

Maria Galina

Wilcza Gwiazda

(Wolczaja Zwiedza)

Przełożył Andrzej Sawicki

*Udręczeni w pełnych zaduchu miastach daremnie marzyliśmy o wiodących w nieznane,
leżących za horyzontem drogach, aż wreszcie Konieczność i Nadzieja zmusiły nas do wyruszenia
na szlak, użyczając na czas wędrówki każdemu nową duszę, różną od duszy Człowieka.*

R. Kipling

PROLOG 1

Richman się spóźniał. Kowalczyk zerknął na zegarek. Lubił ten solidny szwajcarski chronometr, ponieważ była to jedyna nagroda, na którą – jak sądził – zasłużył. Ordery i rangi otrzymywał za to, co z jego rozkazu robili inni. Na zegarek zapracował sam.

Z tyłu, na platynowej płytce wygrawerowano napis:

ZA ODWAGĘ.

Międzynarodowy Związek Astronautów.

Był jedynym, który zdołał przyprowadzić z powrotem na Ziemię statek z ekspedycji. Trwała dwadzieścia dwa lata czasu ziemskiego i piętnaście lat czasu pokładowego. Różnicę pożarł staruszek Albert.

Wróciło ośmiu członków załogi – mniej niż jedna trzecia pierwotnego składu, ale i tak był to niezły wynik. Jeszcze za orbitą Marsa było ich jedenastu, ale dwóch osobiście rozstrzelał przy podejściu do Bazy, a jeden skończył ze sobą, rzuciwszy się na tarczę rozdzielającą. Bardzo nieprzyjemny i dość skomplikowany sposób samobójstwa – na statku zdjęcie osłony z tarczy rozdzielającej jest niełatwe, ale nieboszczyk jakoś dopiął swego. Wygrzebywał go stamtąd Kowalczyk – też osobiście.

Nikommu o tym nie opowiadał. Ci, co mieli wiedzieć, i tak się dowiedzieli – wszystko zostało zapisane w dzienniku pokładowym.

Wszyscy wiedzieli...

Wtedy właśnie dostał ten zegarek. I podziękowanie od rządu, wraz z niezłym stanowiskiem w MZA. Poświęcono mu nawet pieśń. I diabli wiedzą, co jeszcze.

Dlatego, że pozostałe statki nie wróciły.

Jego raport był jedynym.

A on, dureń, bał się sądu wojskowego... Obgryzł paznokcie niemal po łokcie podczas kwarantanny, która wydała mu się aresztem śledczym, zanim młodziutki, jak spod igły lejtnant powiódł go przed oczy dostojnej komisji.

A teraz znalazł się tutaj...

Dlatego, że wtedy wrócił i napisał raport. I dlatego jeszcze, że na Ziemi już od półwiecza nie było większych wojen – tylko lokalne konflikty zbrojne, które wybuchały w krajach trzeciego świata, ale te się nie liczyły. I cała energia ludzkości, nierozładowana w większych wojennych zawieruchach, poszła na podbój i oswojenie głębin kosmosu.

Jego statek był trzecim z kolei, a potem, zanim ENTERPRISE opuścił granice Układu –

z orbity wystartowały jeszcze dwa. I ani jeden nie wrócił.

Oprócz jego statku. Jedynym, który wrócił był ENTERPRISE.

Po wejściu Richmana Kowalczyk ponownie spojrzał na zegarek.

Demonstracyjnie.

Richman spóźnił się o siedem minut.

I nawet nie raczył się usprawiedliwić.

Ręki też nie podał – stał po prostu i patrzył na Kowalczyka. W jego spojrzeniu była cała otchłań pogardy – do czego Kowalczyk zdążył się już przyzwyczaić.

– Richman, nie podobam ci się, prawda? – zapytał obojętnie. Jemu samemu Richman też się nie podobał. Nieważne, żeby tylko coś z tego było. Tym bardziej, że mówiono, iż jest najlepszy.

Richman, trzeba mu to przyznać, nie zaprotestował.

– Nie będę się wypierał – stwierdził po prostu. – Czemu cokolwiek miałoby mi się podobać? Wsiedliście na dyrektora, a on wsiadł na mnie. Z własnej woli bym tu nie przyszedł. Jesteś małym fuhrerem. Całe szczęście, że tak czy owak masz ograniczone możliwości i władzę.

Kowalczyk wzruszył ramionami.

– Jeżeli już o tym mowa – stwierdził rzeczowo – to mojej władzy w praktyce nic nie ogranicza. Mówię o podległym mi Projekcie. Niechże pan da spokój, Richman. Nie jest pan psychologiem. Wy, Niemcy, macie po prostu narodowy kompleks winy. Nie podobają wam się surowe metody...

– Do jasnej cholery, o jakim kompleksie mówisz? Cały wczorajszy wieczór poświęciłem na przeczytanie wszystkich raportów – utopiłeś ten statek we krwi! Masz krew na rękach, Kowalczyk.

Kowalczyk niespiesznie podszedł bliżej. Miał jasne, niemal przezroczyste oczy z czarną obwódką wokół tęczówki.

On wciąż jeszcze pewnie podoba się kobietom, pomyślał ni z tego, ni z owego Richman.

– To prawda – stwierdził Kowalczyk. – Utopiłem statek we krwi. Nie można było inaczej, Richman. Przeszedłem przez piekło. Do tej pory budzę się obłany zimnym potem. Słyszę ich głosy.

Ujął Richmana twardymi palcami za podbródek i przez długą chwilę patrzył mu w oczy, dopóki rozmówca nie uciekł wzrokiem w bok.

– I zrobię wszystko, słyszysz? – wszystko! – żeby już nigdy więcej się to nie powtórzyło.

– Wasz Projekt to szaleństwo.

Kowalczyk uśmiechnął się, pokazując mocne, białe zęby.

– Szaleństwo, to już twoja dziedzina, Richman. Dlatego zwróciliśmy się do ciebie.

– Mówiłem to już na posiedzeniu Rady i powtórzę raz jeszcze: metodykę wypróbowano na poszczególnych chorych, a nie na całych grupach...

– Ale przecież nie będziesz miał do czynienia z chorymi, Richman. Twoimi obiektami będą astronauta, to bardzo zdrowi ludzie. A te grupy nie są przecież takie wielkie. W sumie nie więcej, niż trzydziestu ludzi. Cztery eksperymentalne załogi.

– Umiem liczyć – stwierdził sucho Richman.

– A! – odparł Kowalczyk. – Zrozumiałem. Należysz do tych, co uważają, iż kosmiczne loty nie są nikomu potrzebne, czy nie tak? Jałowe, bezużyteczne tracenie ludzkiego materiału...

– Owszem, materiału... – Richman nasycił te słowa całą dostępną sobie ironią, ale rezultat był mizerny – Kowalczykowi ironia była obca. – Po co w ogóle tak się gorączkować? Jeszcze trochę i problemy rozwiążą się same. Wasz Projekt nikomu nie jest potrzebny, bo zmieni się sam Człowiek... stanie się istotą doskonałą...

– Nie zdołam ciebie zrozumieć – stwierdził Kowalczyk wzruszywszy ramionami. – Z jednej strony... uważasz, że mieszanie się na siłę w ludzką psychikę jest szkodliwe. Jak to się mówi, za delikatna materia. Z drugiej strony, o ile mi wiadomo, swego czasu głosowałeś za immortalizacją. A to przecież zamach na samą istotę człowieczeństwa.

– To tylko ogólniki – zauważył Richman.

– Nie. To nie są ogólniki... Wiesz równie dobrze jak ja, że oba projekty są długofalowe. A rząd jednemu i drugiemu poświęca tyle samo uwagi. Wydzielane środki też są równe. Jeżeli nie zechcesz się tym zajmować, znajdziemy kogoś innego, bardziej skłonnego do współpracy. Może nie będzie aż tak znakomitym specjalistą w swojej dziedzinie, ale łatwiej się będzie z nim rozmawiało. Statki polecą tak czy owak, Richman. Wcześniej czy później, ale polecą. Zawsze tak było.

Przez chwilę jeszcze milczał, a potem otworzył górną szufladę biurka. Na blacie, obok wideofonu, który miał bezpośrednie połączenie z pałacem prezydenckim, połyskiwał chromonikłowy model ENTERPRISE. Kowalczyk wyjął z szuflady staromodną skórzaną aktówkę z monogramem.

– Proszę – zwrócił się do Richmana. – Bierz. Wewnątrz jest płytka. Mój osobisty dziennik. Poza członkami komisji nikt go nie przesłuchiwał. Ja sam też nie odtwarzałem – nie mogę się na to zdobyć.

I znów pomilczał przez chwilę.

– Żaden z nich, z tych, co wrócili, nie chce ze mną rozmawiać. Żaden nawet nie spojrzał mi w oczy. Ale jeżeli zechcesz mnie oskarżyć w ich imieniu, albo przed nimi, nie ręką za twoją skórę, Richman. Zresztą... nie opowiedzą ci, jak było. Nigdy. Chociaż do gazet przesaczyło się to i owo. Powinieneś zrozumieć. To było piętnaście lat temu. Mówiono o mnie wtedy „Gwiazdny Oprawca”. Pięknie... i głupio. Przeczytaj to.

– Nie będę...

– Przecież nie naruszysz żadnych norm, Richman. Ani zawodowych, ani zwyczajnie

ludzkich. Żadnych. Sam ci to przecież daję.

– Nie w tym rzecz.

– Więc o co chodzi? Boisz się?

– Kowalczyk, czegoż miałbym się bać?

– Więc nie chodzi o obawę, tylko o pogardę. Ale przecież twoja odmowa przesłuchania mojego dziennika niczego nie zmieni. Dziennik nie zniknie, nie uleci niczym para. Co się stało, to się nie odstanie. Robisz z siebie głupca. Uważasz się za profesjonalistę. Otwiera się przed tobą unikalna możliwość zaznajomienia się z zachowaniami zamkniętej grupy ludzi w ekstremalnych warunkach... a ty narobiłeś w gacie.

– Dobra – warknął Richman. – Daj to. I idź do wszystkich diabłów!

– Wiedziałem, że tak będzie – stwierdził Kowalczyk ze znużeniem w głosie. – W końcu się złamałeś. Wszyscy się łamiecie.

* * *

– Wejdźcie – rzekł referent. Sam też wszedł za Kowalczykiem do niewielkiego, biało-złotego gabinetu, zatrzymał się jednak przy drzwiach. Miała to być niemal prywatna rozmowa – niemal, ponieważ całkowicie prywatnych rozmów w tym miejscu i o takim czasie nie było, i być nie mogło.

Kowalczyk wyprężył się jak struna i lekko skłonił siwiejącą już głowę.

– Panie prezydencie!

– Tak, tak – uprzejmie skwitował pozdrowienie prezydent. Nie wyszedł zza biurka, żeby się przywitać z Kowalczykiem, ale stał w swobodnej, niemal niedbałej pozycji, bo był cywilem. Kowalczyk miał przez chwilę wrażenie, że prezydent chce mu podać rękę, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar.

– Siadaj. Przeczytałem pański raport – powiedział gospodarz. – Robi wrażenie.

Kowalczyk nie odpowiedział.

– A jednak ryzyko jest wielkie...

– Owszem – zgodził się Kowalczyk. – Zawsze jest jakieś ryzyko... ale w tym akurat przypadku nie tak wielkie. W każdym razie większa część ryzyka finansowego nie spada na rząd.

– Syndykaty – mruknął prezydent.

– Nie inaczej. Wielkie korporacje. Kto jak kto, ale one akurat mogą sobie pozwolić na finansowanie projektów długofalowych. Teraz to może wygląda jak utopia, ale być może nadejdą czasy, w których międzygwiazdne loty staną się czymś zwyczajnym... i rutynowym. A oni wszystko będą już mieli w kieszeni.

– Kto będzie prowadził badania głębin? Zebraliście załogę z inżynierów górnictwa?

Nie czytałeś mojego raportu, pomyślał Kowalczyk. W najlepszym wypadku pobieżnie go przejrzałeś. I chyba głównie tę część, w której jest mowa o finansach.

– Znają się na wszystkim – powiedział – ale nie w tym rzecz. W najgorszym wypadku nie wrócą. Wtedy korporacje mogą się pożegnać ze swoimi pieniędzmi. Pośredni wariant zakłada, że wszyscy wrócą – z próbkami gruntu i materiałami biologicznymi.

Umilkł na chwilę.

Prezydent ponaglił go ruchem głowy.

– Najlepszy wariant zakłada, że także nie wrócą. Jeżeli znajdą warunki sprzyjające osiedleniu. Szanse nie są za wielkie, ale są.

– Jak liczna ma być załoga?

– Standardowa – trzydziestu ludzi.

– No tak – kiwnął głową prezydent. – Ale przecież zabiorą ze sobą embriony.

„A jednak czytał?” – pomyślał Kowalczyk.

– W sprzyjających warunkach embriony zostaną zainicjowane. A tych trzydziestu zostanie patriarchami. Nauczycielami. Być może po raz pierwszy uda nam się stworzyć społeczność zdolną do rozwoju.

– Aaa! – powiedział prezydent. – Richman!

– Nie za bardzo przejął się pan tą ideą.

– W zasadzie... tak.

– A jednak mnie pan poparł.

Prezydent westchnął.

– O ile zrozumiałem, pańscy ludzie to ochotnicy.

– Owszem – przyznał Kowalczyk. – Wszyscy jak jeden.

– No cóż...miejmy nadzieję, że wszystko się uda. Innego wyjścia i tak nie mamy, prawda? Dokąd wysyłacie pierwszy statek?

– Do układu Syriusza.

– Ciekawe... – odezwał się prezydent, jakby z grzeczności. – Czemu akurat Syriusz?

– Bo to gwiazda podwójna. Według teorii Duvala, życie rodzi się w strefie przyptyków i odpływów. A bliźniacze słońce może wywierać na planety taki sam wpływ, jak duże satelity. Oczywiście zakładając, że orbity planet są stabilne. ENTERPRISE przywiózł dane, zdjęcia zrobione z kosmosu. Wygląda na to, że widmo jednej z planet Syriusza zawiera pasma odpowiadające tlenowi i wodorowi. A to oznacza...

– Życie?

– Możliwe. Jak się pan domyśla, nieprędko uzyskamy odpowiedź. Może w ogóle jej nie uzyskamy. No, w każdym razie ja sam nie wiem, czy ekspedycja zostanie uwieczniona powodzeniem. Nawet biorąc pod uwagę aktualne szybkości przelotu i osiągnięcia medycyny...

Prezydent milczał. Patrzył w podłogę... a Kowalczyk zrozumiał.

– Wpisaliście się na listę kandydatów do immortalizacji? – wypalił. Stojący przy drzwiach referent poruszył się niespokojnie.

– Kowalczyk – odezwał się zimno prezydent. – To nie twoja rzecz.

– Proszę o wybaczenie, panie prezydencie. Po prostu... z woli Boga człowiek to istota śmiertelna. Rozumiem, że pokusa jest wielka, ale przecież to tylko pokusa. Co się stanie z człowiekiem, kiedy uzyska fizyczną nieśmiertelność? Któż odpowie na to pytanie?

– A któż odpowie, co się stanie z człowiekiem, jeżeli się wyprze istoty swojego człowieczeństwa? – zapytał prezydent. – Niechby i w imieniu wielkiego celu?

– Wyprze się swojej gorszej połowy – stwierdził Kowalczyk. – Nie będzie znał strachu, napadów bezpodstawnego gniewu, nienawiści do bliźniego wywołanej jedynie tym, że ów bliźni jest inny. Nie taki, jak on. A społeczność współplemieńców, zamkniętych w ciasnocie gwiazdowego statku, nie doprowadzi go do szaleństwa.

– Mam nadzieję – mruknął prezydent z roztargnieniem w głosie. Kaszlnął lekko, i stojący za plecami Kowalczyka referent zrobił krok w stronę gościa.

„Wyszkolony facet”, pomyślał Kowalczyk.

Strzelił obcasami i skłonił głowę szybko, po wojskowemu.

– Czy mogę kontynuować? – zapytał.

– Tak – powiedział prezydent. – Tak, oczywiście.

* * *

– Przesłuchałem twój dziennik – powiedział Richman. – No, w każdym razie tę część, którą mogłem.

– No cóż – odpowiedział Kowalczyk. – Dobrze.

– Proszę o wybaczenie.

– Twoje wybaczenie nie jest mi potrzebne. Potrzebna mi twoja wyobraźnia i pomysły.

– Powinni byli obciąć program.

– I obcięli.

– A teraz go wznowili.

– Owszem, teraz go wznowili. Oni nigdy nie zamkną programu. To oczywiste. Nie mówię tu o tle politycznym, ekonomicznym, o grze wpływów i interesów. Ludzkości, jak każdemu z żyjących gatunków, przypisane jest parcie do przodu, rozszerzenie przestrzeni życiowej. Nazywamy to duchem poszukiwań, dążeniem do wiedzy i tak dalej. Ale to wszystko wywodzi się z biologii. Rozmawiałem wczoraj z prezydentem. Dał nam zielone światło. We wszystkim mamy *carte blanche*. Więc bierz się do dzieła, Richman.

– Dobrze – zgodził się Richman. – W porządku. Spróbuję...

* * *

– Ujmę to tak: największy nacisk położyłem na dążenie do kultury – powiedział Richman. – Na odwieczne wartości.

– Jasne – mruknął Kowalczyk.

Nawet tutaj, w ścianach Instytutu Mózgu, wśród rozmaitych przyrządów laboratoryjnych i odzianych w bladozielone kitle wiecznie zajętych ludzi zachowywał się i wyglądał tak, jakby był na swoim miejscu. Wszędzie tak wyglądał i tak się zachowywał.

– Liczę jednak na program długofalowy. Na kolonizację. Zaopatrzymy ich w bardzo pojemne archiwa – literatura, malarstwo, muzyka, dzieła historyczne... Wszystko to zresztą nie zajmie tak wiele miejsca.

– Oczywiście. Trzeba też wziąć pod uwagę możliwą konieczność kształcenia młodego pokolenia.

Kowalczyk popatrzył na siedzącego w głębokim krześle człowieka, którego twarz skrywał głęboki hełm. Człowiek siedział nieruchomo, położywszy otwarte dłonie na kolanach.

– Jak oni to przyjęli?

– Według mnie, dobrze – odpowiedział Richman. – To znaczy, o ile sądzić z wyników testów. Stopień tolerancji wzrósł o cały rząd wielkości.

– Ale czy zdołają zrobić to, czego się po nich spodziewamy?

– Ależ tak. Poziom intelektualny pozostał, jaki był.

– A jeżeli natkną się na agresywne formy życia? Co wtedy? Zdołają się im przeciwstawić?

– Są raczej ksenofilami, niż ksenofobami – odparł Richman. – A jednak... sędzę, że tak. Ich miłość do świata nie sięga chyba aż tak głęboko.

– Mimo wszystko postaraliśmy się zapewnić im maksymalne bezpieczeństwo – zauważył Kowalczyk. – Agregaty pola siłowego... Droga rzecz i na Ziemi prawie bezużyteczna, ale im się przyda. Następne są syntezatory...

– Aparaty syntezy molekularnej?

– Owszem. Potrafią zsyntetyzować prawie wszystko, poza przekształcaniem jednych produktów w drugie. Więc przynajmniej na początek zapewnił im zaspokojenie potrzeb biologicznych.

– A za resztę odpowiadam ja.

– Tak. Reszta to już wasza sprawa.

Siedzący w krześle człowiek poruszył się. Richman spojrzął na fale biegnące po ekranie encefalografu i ponownie odwrócił się do Kowalczyka.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – powiedział.

– Przed chwilą powiedzieliście – stwierdził zaciekawiony Kowalczyk – że załadowaliście do archiwów wszelką klasykę.

– Owszem. I nie tylko klasykę. Może im się przydać literatura dziecięca. Podręczniki. Kompendia wiedzy...

– Ale przecież, jeśli się dobrze zastanowić, to dojdziemy do wniosku, że cała klasyka, nawet dziecięca, to apologia gwałtu, zabójstw i przemocy...

– Tak – zgodził się Richman. – Ale mamy tu do czynienia ze swoistym paradoksem. Cytują „Iliadę” i nawet im do głowy nie przyjdzie, żeby się rozkoszować cudzym okrucieństwem. Mózg sam daje sobie radę z tą sprzecznością. Wygląda na to, że po prostu odsuwa od siebie niepotrzebne wątpliwości. Za bardzo to abstrakcyjne, żeby brać wszystko za dobrą monetę. Można by zaryzykować stwierdzenie, iż po pewnym czasie oni wszyscy uznają, że cała ziemską historia to po prostu piękne wymysły. Albo przesada.

Pochyliwszy się nad krzesłem wyłączył aparaturę. Następnie poluzował zaciski i siedzący w krześle poruszył się niemrawo, wysuwając się spod hełmu.

– Dzień dobry, komandorze – rzekł zobaczywszy przed sobą Kowalczyka.

– Dzień dobry, Terrence. Jak samopoczucie?

Zagadnięty lekko się skrzywił.

– Huczy mi we łbie.

– To drobiazg. Efekt uboczny.

– Jesteś pewny, komandorze, że podczas tego seansu coś się dzieje? – zapytał Terrence. – Osobiście nie zauważam żadnych zmian.

Kowalczyk spojrzał na Richmana z pytaniem w oczach. Ten tylko wzruszył ramionami.

– Co, żałujecie tego, iż zgłosiliście się na ochotnika? – zapytał zwracając się do Terrence’a.

– Ale co też pan, doktorze... – zachnął się Terrence. – To wielki zaszczyt. Mam tylko wątpliwości, czy jestem godny tego, żeby być przedstawicielem ludzkości. Rozumiem, że powinienem się starać. Ostatnio wiele czytałem i myślałem. Spoczywa na nas ogromna odpowiedzialność.

– Wybraliśmy najlepszych – zapewnił go Kowalczyk.

– Postaram się nie zawieść twojego zaufania, komandorze. Wszyscy się postaramy. Wczoraj przeczytałem sobie Thailarda de Chardina i przyszło mi do głowy...

– Potem, Terrence – przerwał mu łagodnie Kowalczyk. – Wysłucham cię nieco później.

– Proszę o wybaczenie, komandorze.

Kowalczyk wyszedł, odprowadzany przez ledwie za nim nadażającego Richmana. Znalazłszy się za drzwiami, komandor odwrócił się i stwierdził cicho:

– Cieszę się z tego, że nie lecę razem z nimi. To już nie dla mnie.

Część pierwsza

Gwiezdni Ludzie pojawili się z początkiem wiosny... Głuchą nocą, zwykłą o tej porze roku, wszystko wokół się rozjaśniło jak w dzień, ale pozbawiony cieni, tak że widać było każdą suchą trawkę, a nad horyzontem wyciągnął się niski płomień, jakby wiła się za nim ognista żmija; potem niebo pękło, wysypując snopy iskier i ponownie się zamknęło, choć gdzieś za dalekimi wzgórzami wciąż płonęła purpurowa zorza. Kobiety się rozwrzeszczały, myśląc, że oto nastąpił koniec świata, a mężczyźni porwali swoje włócznie i wypadli na zewnątrz. Ja też się rozdarłam i ktoś wielki, dorosły, mimochodem, choć dość boleśnie, palnął mnie w kark. Wszyscy wypadli z zimowych chat i wpatrzyli się w niebo.

Rankiem mężczyźni osiedlili konie i wyprawili się tam, gdzie ogień płonący nocą za dalekimi wzgórzami przekształcił się o świcie w nieruchomy słup dymu. Wrócili bardzo zadowoleni; ich konie były obciążone niezbędnymi i pożytecznymi przedmiotami – Gwiezdni Ludzie szczerze ich obdarowali. Wtedy dopiero zaczęli budować swoje miasto. Potem wokół białych latających pocisków, podobnych do powyciąganych z wody ryb, wyrosły ściany – nie wiadomo z czego, ale mocne, wysokie na dwóch chłopów i przedostać się za to ogrodzenie ku statkom było już niełatwo. Gwiezdni Ludzie nie rozdawali już przedmiotów darmo, ale je wymieniali, niekiedy na żywność lub zwierzęta, ale przeważnie na Przedmioty lub Kroniki. Osobliwie łasi byli na Kroniki, więc Chroniciel rozpuścił się jak dziadowski bicz. Myślę sobie, że za pierwszym razem obdarowali nas tak hojnie po to, żebyśmy się ich nie bali. Co prawda i tak się ich nie baliśmy – nikogo nie krzywdzili i nie czynili żadnych szkód.

Sadybę mieli ogromną, znacznie większą od naszej, ale nikt nie wiedział, ilu ich tam jest, dlatego że cała wymiana szła przy wrotach, które same się podnosiły i opuszczały, jak w tych historiach, które maluchom opowiada się przed nocą. Podobno Gwiezdni Ludzie przeważnie przesiadywali wewnątrz swoich srebrzystych domów, jakby się bali słonecznego blasku, a kiedy wychodzili na zewnątrz to odziewali się w dziwną odzież, która okrywała ich ręce i nogi, jakby wiatr i stepowy kurz były zgubne dla ich delikatnej skóry. Może zresztą tak i było – któż to wie? Nie wiedzieliśmy nawet, ile w naszym kraju jest takich Gwiezdnich Sadyb – chodziły słuchy [rozsiewane z pewnością przez koczowników], że dokładnie to samo wydarzyło się na dalekim zachodzie, gdzie skały nie są tak miękkie jak u nas i nie kruszy ich uderzenie młota. Ludzie żyją tam w pieczarach, wyłobionych w twardej opoce przez wodę. Mówią jeszcze, że ostały się tam prawdziwe Domy, ponieważ są tam liczne lasy – i drewna mają prawie tyle, ile kamienia... O zachodnich ziemiach opowiadają wiele dziwnych historii, a o północy jeszcze więcej: na przykład, że słońce w zimie ledwo wznosi się tam nad horyzont, i od razu się chowa. Zresztą i tam mieszkają jacyś ludzie. Wszędzie ktoś mieszka.

Cała ta historia zaczęła się znacznie wcześniej – kiedy w naszym Domu zjawił się Chroniciel Skarabeusz. Był pierwszym starcem, jakiego zobaczyłam i z początku pomyślałam, że jest jakimś odmieńcem albo zwyczajnie na coś zachorował – choć tak naprawdę Chroniciele nie wiedzieć czemu żyją dłużej od innych. Po części jest to zrozumiałe – żarcia dostają więcej niż inni starzy ludzie.

– To ona – powiedziała Dropia i wypchnęła mnie na środek pokoju. Chciałam się cofnąć, ona jednak capnęła mnie za ucho swoimi kościstymi palcami i boleśnie targnęła.

Chroniciel obejrzał mnie krytycznie.

– Kulawa – powiedział.

– Ale ręce ma na swoich miejscach, i może się zajmować Przedmiotami. Zresztą nie na wiele poza tym może się przydać.

Chroniciel pokręcił głową.

– Wolałbym chłopaka.

– Ale my nie mamy odpowiednich chłopaków – twardo odpowiedziała Dropia.

Gość westchnął, zmełł jakieś słowa pod nosem i stwierdził głośniej:

– Zgoda.

Zaparłam się, bo bałam się pójść za tym strasznym człowiekiem.

– A żreć chcesz? – zapytała ponuro Dropia. – Dość już mam tracenia żywności na kalekę.

W rzeczywistości pracowałam nie mniej niż inni. Ona jednak patrzyła w przyszłość – wątpliwe było, czy znajdzie się głupek gotów zapłacić Domowi kałym [Kałym – wykupne za kobietę wśród ludów Azji środkowej.] za kulawiec.

– Dobra, dobra – mruknął Chroniciel. – Zostaw małą. Tylko ją zastraszysz.

– Akurat, zastraszę – wymamrotała Dropia. – Zobacz, jak patrzy. Rusz tylko, a ugryzie...

– Chodźmy, mała – łagodnie powiedział starzec. – Nie bój się. Nikt cię nie ukrzywdzi.

– Wcale się nie boję – zastrzegłam na wszelki wypadek.

– Jak na ciebie wołają?

– Wyją.

– A to czemu?

– Bo była bardzo krzykliwa – mruknęła Dropia. – Czasami tak się rozdarła, aż siniała. Idź, idź niezguło. I ty idź, ojczu. Mam sporo do zrobienia.

Później się dowiedziałam, że Chroniciele żyją tak długo i dlatego jeszcze, że wszyscy ich szanują i trochę się boją. I dlatego, że nie muszą się męczyć pracując na polach w deszczu i wietrze. Ale Dropia była zadzierzystą babą i nie bała się nikogo.

– Surowa ta wasza starsza – stwierdził Chroniciel, kiedy wspinaliśmy się po zboczach.

– Taką ją matka urodziła – odpowiedziałam. Po stromiźnie szło mi się niesporo, ale jakoś sobie radziłam. Tym bardziej, że on sam szedł powoli.

– Kiedy ci tak dogodzili? – zapytał przyjaźnie.

– Podczas ostatniej napaści – odpowiedziałam. – Choć kiepsko to pamiętam. Mówią, że pozabijali wtedy wszystkich naszych... oprócz mnie.

Było to moje pierwsze, nieco mętne wspomnienie: krzyki – jedne wściekłe, inne pełne przerażenia; roztańczone jęzory ognia, ktoś przelatuje obok mnie, z tupotem i wrzaskiem; ogromne cielska nieznanych, buchających parą zwierząt – i purpurowa mgła bólu... bardzo długo nie czułam potem niczego, prócz tego bólu.

– Wlazłaś pod przewrócony kosz – mówiła mi potem Dropia – i siedziałaś cicho. Znalaziono cię dopiero następnego dnia, kiedy zaczęłaś popiskiwać, jak raniony wilczek. I noga zrosła ci się nieprawidłowo.

Myślę, że pamiętam to tak niewyraźnie z powodu tego przerażenia i bólu.

Chroniciel żył na uboczu – to nawet nie był Dom, tylko jedno nieporozumienie; oprócz samego staruszka i jednego chłopaka przygłupa, przychodzącego z sąsiedniego Domu, aby nanosić wody albo nazbierać chrustu, całymi miesiącami nie widziało się tam nikogo innego. Jego siedziba znajdowała się wyżej od innych; niełatwo było piąć się pod górę, a z wiekiem było mu coraz trudniej – i dlatego doszedł do wniosku, że przyda mu się pomocnik; ale za to z góry, z urwiska, widać było całą osadę i step aż po horyzont, a nawet jasnoblękitne pasmo morza, a od ostatniej wiosny przy dobrej pogodzie można było zobaczyć daleko, daleko na brzegu srebrzyste kopuły sadyb Gwiazdnych Ludzi. Pomieszczenia na tyłach były zapchane Przedmiotami, a Kroniki leżały ciasno pozwijane w skórzanych pokrowcach, żeby ich nie pożarły myszy albo robactwo. Prawdę rzekłszy, co mogły, to już zrobiły – z wielu Kronik została połowa kartek, a i to – jak stwierdziłam znacznie później – niełatwo było się zorientować, co w nich zapisano. W niektórych przypadkach nie dało się niczego odczytać. Przedmioty też po części były uszkodzone – przez wodę, ogień, albo po prostu nadgryzł je czas, ale nawet te, które ocalały, do niczego nie były podobne i nie można się było domyślić ich przeznaczenia. Najbardziej bezużyteczne leżały na ogromnej stercie w kącie, a w płóciennych workach w pobliżu wejścia złożono te, które były choć trochę do czegoś podobne – miały, powiedzmy, rękojeść, którą można było ująć w dłoń – choć ciężko było się połapać, co z nimi robiło się potem. Te Chroniciel od czasu do czasu wyciągał z worków i długo je oglądał w nadziei, że nagle olśni go zrozumienie.

Były tam i Przedmioty, które spotykało się w zwykłych Domach – i w Domu Dropi też. Powiedzmy, butelki z zielonego i białego szkła – czasami znajduje się takie wśród rozwalin. Co prawda u nas były przeważnie porozbijane, a szkło wykorzystywano do skrobania skór. A zresztą, zanim Przedmiot można było przysposobić do pracy, i tak musiał przejść przez ręce Chronicielea – nigdy nie wiadomo, czy nie trafi się jakiś wredny czy szkodliwy.

Chroniciel urządził mnie w pokoju, skąd przez maleńkie okienko można było oglądać tylko

niebo i kawałek stepu, ale samo pomieszczenie było suche i ciepłe; ten Dom w ogóle był lepiej ogrzewany niż inne, ponieważ staruszek potrzebował ciepła. Z początku myślałam, że teraz ja będę musiała nosić wodę z dołu i zbierać chrust, ale tym nadal zajmował się przygłup, a Chroniciel zaczął mnie uczyć odczytywania Kronik. Lepiej by mi było dźwigać wiadra z wodą – lekcje były nudne, a wyuczenie się niezrozumiałych znaków okazało się niełatwą sztuką. Chroniciel niekiedy tracił cierpliwość i tłukł mnie po głowie tymiż Kronikami – co prawda niezbyt boleśnie. Mówił przy tym, że każdy może się nauczyć czytania Kronik, jeżeli tylko zechce. W to akurat nie wierzę. Od Przedmiotów trzymał mnie z daleka – mówił, że jeżeli posłużyć się nimi nieprawidłowo, to można nielecho narozrabiać... A jak posługiwać się nimi prawidłowo, sam chyba nie wiedział.

Tak przeszła zima. A potem wiosna. Wzniesiona na początku wiosny Sadyba Gwiazdników przestała wydawać się nam czymś niezwykłym – stała się znanym elementem otoczenia, jak pochyłe drzewo, które wczepiło się korzeniami w Zachodnią Skałę. Czasami się zastanawiałam, jak oni tam żyją... Opowiadano o nich zdumiewające rzeczy, ale kto by tam uwierzył w takie bajki...

A wkrótce potem Gwiazdni Ludzie sami do nas przyszli.

Stanęli w progu – mężczyzna i kobieta – w tych swoich srebrzystych ubraniach, odsłonięte pozostawały tylko białe, nieznające trudu dłonie i twarze pod kapturami. Włosy kobiety wysypywały się spod kaptura i było widać, że są złociste i lekkie, jak pajęczne włókna. Była bardzo piękna, ale ta jej uroda była jakaś taka bezużyteczna, dlatego że nie miała w sobie żadnej siły – ramiona za wąskie do noszenia wody, a biodra za wąskie do rodzenia. Może i dałoby się ją zbyć jakiemuś koczownikowi za trzecią żonę, ale w sprawie kałumu trzeba byłoby się ciężko targować.

Mężczyzna miał szersze bary, ale i tak daleko mu było do naszych chłopów – choć przerastał każdego o głowę. Żarcia taki potrzebuje sporo, a pożytek z niego niewielki.

– Witacie, ojciec – zaczął uprzejmie mężczyzna.

– I ja was witam – odparł Chroniciel. Nie bardzo się nawet zdziwił, ujrawszy przybyszów i pomyślałam, że już się widywali. Wzięli go ze sobą tam, do Sadyby... Od tego są Chroniciele, żeby patrzeć co i jak.

– A to wasza uczennica?

Miał jakąś taką osobliwą wymowę, miękką, ale w zasadzie zrozumiałą.

Skarabeusz westchnął.

– A jakże inaczej – odparł. – Wzrok mi słabnie. I w palcach czucie już nie te, co kiedyś. – Poruszył palcami, starając się zgiąć nabrzmiałe stawy, a potem łypnął na mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. – Szkoda tylko, że dziewczyna. Chłopcy wszystko szybciej łapią.

– Tego bym nie powiedziała – uśmiechnęła się kobieta.

Miała taką samą wymowę jak jej towarzysz i śpiewny, delikatny głos – jakby nigdy nie przyszło jej oddychać zimnym stepowym wiatrem.

– Znaczy, tylko mnie się trafiła taka niezguła – stwierdził staruch. – A skąd miałbym wziąć inną? No, do tego, żeby się zająć Przedmiotami, jeszcze nie dorosła. Ot, czytać ją uczę.

Ponownie westchnął, jakby chciał podkreślić jałowość tego zajęcia.

– Przyszliście w sprawie Kronik?

– W zasadzie tak – odpowiedział mężczyzna. – Jeżeli pozwolicie.

– Jak każdy będzie się grzebać w Kronikach – sarknął Skarabeusz – to niewiele z nich zostanie. Są jak suche liście – dotknij, a rozsypią się w proch.

– Będziemy uważać.

Z wiszącej na jego pasie sakwy przybysz wyjął jakiś Przedmiot.

– Możemy je wzmocnić, lżej będzie z nimi pracować. Nic ich nie ruszy – ani woda, ani myszy.

– No, no... – mruknął niezbyt jasno stary.

Mężczyzna położył sakwę na stole i wyjął z niej nowe Przedmioty – okrągłe niby klocki, ale chyba zrobione z żelaza. Były w różnobarwnych opakowaniach, jak te, z których dawniej robiono Kroniki, a barwy były niezwykle żywe...

– Przynieśliśmy wam tu coś – powiedział.

– Połóżcie tam – rzucił obojętnie stary. – Na stos...

– Po co zaraz na stos? Ja migiem... Chociaż, zaczekajcie... Coś tu u was ostatnio widziałem.

Pochyliwszy się nad skrzynką, w której leżały Przedmioty zaczął w niej grzebać, nie wykazując żadnych oznak strachu.

– Hola! – zachnął się stary z niepokojem. – Poczekajcie!

– Wiem, co robię. Sami zobaczycie.

W końcu wyjął jeden Przedmiot – z tych, co mają rękojeść – i podniósł go do żelaznego klocka. Okazało się, że ten Przedmiot nadaje się do cięcia żelaza – co prawda nie każdego, ale cienkiego, jak to. No, musiał się trochę namozolić, dlatego że Przedmiot był mocno zardzewiały, choć stary regularnie go czyścił i oliwił – jak wszystkie pozostałe.

Klocek się otworzył i od razu rozgrzał, buchnęła zeń para, a ja poczułam, że zapachniało jedzeniem, choć w Domu od rana nie było żadnego żarcia.

– To konserwy – powiedział mężczyzna. – Sposób na przechowywanie żywności. A ta wasza sztuczka została zrobiona specjalnie do tego, żeby otwierać takie właśnie puszki.

– Skąd mielibyśmy brać takie puszki... – pokręcił głową stary i zapytał podejrzliwie: – A nie nadaje się do czegoś innego?

– Raczej nie.

– I nie szkoda im było tracić żelaza na takie drobiazgi?

– No, po pierwsze, to nie jest żelazo. Po drugie, wydobywano go wtedy dostatecznie dużo. I teraz macie go tu dość.

– A czemu ona jest gorąca – ta wasza puszka?

– Jest w niej specjalne urządzenie. Podgrzewa żywność, gdy trafi do niego powietrze.

Niczego nie zrozumiałam. Skarabeusz, według mnie, też – choć na wszelki wypadek kiwnął głową, jakby wszystko dawno już wiedział.

– Jedzcie, ojczu. Zaraz otworze drugą dla dziewczynki.

Na wszelki wypadek zapytałam:

– To nie trucizna?

– Ależ co ty – uśmiechnęła się kobieta.

Jedzenie w rzeczy samej było smaczne, choć nieco dziwne – nigdy wcześniej nie jadłam niczego podobnego, a potem przez cały dzień się bałam, że zachoruję i umrę.

Można by rzec, że przyparli staruszka do ściany – skoro zgodził się na przyjęcie poczęstunku, musiał ich wpuścić do pomieszczenia, w którym przechowywał Kroniki. Sam polazł za nimi; przez cały czas stękał i wzdychał, oni zaś rozwijali zwoje i wyjmowali Kroniki – godzi się powiedzieć, że trudno było tym dwojgu coś wytknąć, wszystko robili ostrożnie i z miłością. Każdą nadgryzioną zębem czasu kartkę obrabiali osobliwym Przedmiotem, który wypuszczał obłoczek śmierdzącej pary. Nie wiem, co się z tymi kartkami działo, ale każda stawała się twarda i sprężysta – wyginaj ją jak chcesz, a śladu nie zrobisz. Potem schowali ten Przedmiot i wyjęli drugi, migający czerwonymi światełkami – to mi dopiero dziwo! – i zaczęły nim wodzić po stronach Kronik. Nic się przy tym nie działo i nie mam pojęcia, po co to robili.

– No tak – odezwał się wreszcie mężczyzna. – Na dzisiaj koniec. Dziękujemy, ojczu.

– Poczekajcie! – staruszek był czymś bardzo poruszony. – Ten Przedmiot, który wyjęliście ze skrzynki...

– Nóż do konserw?

– Niech wam będzie. Wiedzieliście, do czego służy? Wiecie, jak można korzystać z Przedmiotów?

– Nie ze wszystkich. Z niektórych, owszem. Przeznaczenie większości z nich i dla nas jest niejasne. Gdybyście pozwolili nam wziąć choć kilka ze sobą, moglibyśmy sprawdzić, co i jak.

Starzec się zamyślił.

– Są tu Przedmioty, które zostawił jeszcze mój poprzednik. I jego poprzednicy też. Skoro nikt nie umiał zrozumieć ich przeznaczenia, nie ma z nich żadnego pożytku. Ale przeznaczamy je do przetopienia.

– No to powiedzcie, co chcielibyście z nich wytopić. Damy wam zamienniki. Przywieziemy wam odpowiednie przyrządy i instrumenty.

– Patrzcie państwo! – nie wytrzymałam. – Za te śmieci? Co będziecie z nimi robili?

– Będziemy je badać.

– Po co? Żeby pojąć, jak działają? Przecież my sami potrzebujemy ich właśnie dlatego!

Gwiazdnik westchnął.

– Chcemy się dowiedzieć, co tu zaszło...

– A co miało zajść? – zdziwiłam się.

– No, jakby to powiedzieć... – wzruszył bezradnie ramionami.

– Oni uważają ten stan rzeczy za naturalny – wtrąciła kobieta cicho, ale ja usłyszałam. –

Dziwne w ogóle, że starają się cokolwiek zachować i zrozumieć...

– Pragmatyka – odpowiedział mężczyzna niepojętym słowem. – Czysta pragmatyka...

Skarabeusz popatrzył na nich spode łba, pomilczał, aż wreszcie powiedział:

– Nie. Nic z tego nie będzie.

– Dlaczego? – zapytał przybysz ze znużeniem w głosie.

– Będziecie badać te Przedmioty... a co, jak się okaże, że pomiędzy nimi jest jakiś przydatny? Coś takiego już się zdarzało! Leży sobie jakiś Przedmiot przez kilka pokoleń, a potem jakiś Chroniciel nagle zrozumie, jak go wykorzystać. Wam wygoda, a my zostaniemy z kwitkiem?

Mężczyzna zwrócił się ku kobiecie i powiedział coś półgłosem, tym razem jednak w niezrozumiałym języku. Odpowiedziała mu cicho i melodyjnie, ja jednak pojęłam, że się sprzeczą. W końcu on wzruszył ramionami – jakby chciał powiedzieć: „Dobra, niech ci będzie!” – i ponownie zwrócił się do nas.

– Dobrze – powiedział. – I tak mieliśmy do tego dojść... Możecie obserwować, jak będziemy badali te Przedmioty.

Starzec spojrział na niego, niczego nie pojmując. I wtedy kobieta wyjaśniła łagodnie:

– Będziemy was uczyć – na przykład tego, jak się posługiwać tymi Przedmiotami. I wielu innych rzeczy.

– Jestem już na to za stary! – warknął Skarabeusz. – Ją ucźcie!

I wypchnął mnie naprzód.

– Nie chcę! – zachnęłam się na wszelki wypadek.

Dropi nigdy bym się tak nie sprzeciwiła, a jeszcze przy obcych: mogłabym dostać kopa, ale Skarabeusz, choć czasami na mnie warczał, nigdy mi nawet nie dał po karku. Widać jednak i on poczuł się nieswojo, bo zrobił wściekłą minę i obciął mnie groźnie:

– Nikt cię nie pyta o zdanie!

– Nie bój się, mała – jak przedtem łagodnie odezwała się kobieta. – Nikt ci nie zrobi krzywdy.

– To co, tu mnie będziecie uczyć?

Spojrzeli jedno na drugie, a potem mężczyzna powiedział:

– Raczej nie. Myślę, że lepiej będzie u nas.

– Znaczący zabierzecie mnie do waszej Sadyby? Przecież do niej wierzchem jedzie się pół dnia!

– Zawieziemy cię – wtrącała kobieta. Cały czas się wtrącała – nasze baby tak się nie zachowują.

– Czy cię to nie ciekawi?

– Jeszcze czego!

Dłużej się nie spierali – odwrócili się i ruszyli ku wyjściu. Pomyślałam już, że się rozmyślili, ale mężczyzna odwrócił się na progu i powiedział:

– Przyjadę po nią na dniach. Do widzenia, ojczce.

I wyszedł.

– Ale się porobiło! – mruknełam. – Mam stracha.

– Oni nigdy jeszcze nikogo nie skrzywdzili – zauważył stary.

– Wszystko jedno! To obcy! Przybłądy! O, nie mówią po naszymu – zrozumiałeś, o czym gadali?

– Trochę i owszem. Mówili chyba o tym, że trzeba będzie zrezygnować z pierwotnego planu; byli i w innych Domach, ale z naszymi im wygodniej, bo niedaleko. I jeszcze mówili, że stracili tyle wysiłków i czasu, a tak czy owak nic nie wiadomo.

– Co nie wiadomo?

– Nie wiem.

– Mówią jakimiś zagadkami. W ogóle są jacyś... nie tacy. O, ta baba, jaka nachalna – pcha się ze swoim zdaniem i jeszcze z mężczyzną się spiera, jakby tak wolno było! Nasze przynajmniej swoje miejsce znają. To jego żona?

– Może tak, może nie – odpowiedział Skarabeusz.

– Jest za młoda na to, żeby otwierać gębę w obecności obcego mężczyzny!

– U nich wszystko jest inaczej, niż u nas. Przecież czytałaś!

– I co z tego, że czytałam? Co z tego, że kiedyś tak było?

– A to, że co było kiedyś, może wrócić, niemądry ptaszku. Podobni są do tamtych...

– No, może i latają w powietrzu, jak tamci, dawni – zgodziłam się [sama tego nie widziałam, ale byli tacy, co widzieli i mówią teraz, że napowietrzne łódki Gwiazdnych Ludzi nawet skrzydeł nie mają, a latają aż miło]. – Ale co, u nich każdy niedorostek umie rozgryzać Kroniki? I po co? A może u nich w Domu wody tyle, że choć się utop? Powiedz jeszcze, że gorącą mają!

– Po pierwsze, gorąca woda i dawniej nie w każdym Domu była – odparł sucho stary. – A co się tyczy Kronik... To zależy od obyczajów. Skąd wiesz, jak z tym jest u Gwiazdnych Ludzi? Może tak właśnie mają się u nich sprawy?

– Jakoś niczego nie słyszałam o ich dzieciach!

– Może trzymają je w Domach, daleko od złych oczu.

– To może i woda u nich w Domach sama cieknie? A skąd ją mieliby wziąć? Ich Domy stoją na wzgórzu, a tam wszędzie twarde i suchy grunt!

– Jak tam pobędziesz, to sama zobaczysz.

– Skarabeuszu... – odezwałam się szeptem. – Boję się. Oni mnie zjedzą.

– Akurat jedzenia im brakuje! Takich puszek mają pewnie, ile dusza zapagnie! Oni nawet bydła nie hodują – gdyby je wypasali, tobyśmy widzieli!

– A jeżeli mają wszystko – jedzenie i wodę – to czego od nas chcą? Siedzieliby u siebie! My się do nich nie pchamy!

– No... – pytanie wyraźnie poszło staremu nie w smak. – Gdybyś choć trochę zastanowiła się nad tym, co czytasz, tobyś zrozumiała, że ludzie nie zawsze robią wszystko dla korzyści i wygody.

– A co? Są inne powody?

– Ale mi się dostała uczennica... Kompletny głuptak – westchnął stary. Udał, że się rozeźlił, ale myślę, iż sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

* * *

Liczyłam na to, że o mnie zapomną, ale Gwiazdny Człowiek dotrzymał słowa i przyjechał. Akurat rozniecałam ogień pod paleniskiem – wiatr był bardzo silny, nie podobał mu się dym walący z Domu i wtłaczał go z powrotem. Oczy zaszyły mi łzami, zaczęłam kichać jak najęta i nie od razu usłyszałam jakiś osobliwy hałas z zewnątrz. W pierwszej chwili wydało mi się, że krzyczy jakieś ptaszysko, ale nasze ptaki tak nie krzyczą. Dźwięk był jakiś dziwny – ostry i urywany.

Wyjrzałam za próg. Nieopodal urwiska, nie tykając ziemi i nie zginając nawet jednej trawki zastygła niewielka, lśniąca metalicznie latająca łódka. Dokładnie się przyjrząwszy zobaczyłam, że pomiędzy dnem łódki i ziemią drży powietrze, jak nad rozgrzaną do czerwoności płytą paleniska. To ona tak się darła, ta łódka – a ja właśnie zobaczyłam, jak Gwiazdnik naciska na jakiś występ i całe to urządzenie boleśnie pojekuje.

– A – powiedział Gwiazdny Człowiek na mój widok. – Zbieraj się. Jedziemy.

Spróbowałam znaleźć przyczynę, dla której mogłabym nie pojechać, wszystko jednak stało się tak niespodziewanie, że nic odpowiedniego nie przychodziło mi do głowy, a na domiar złego wredny staruch zapytał:

– Wyją, co tam znowu?

– Gwiazdnik przyjechał – odparłam niechętnie.

– I bardzo dobrze – mruknął gniewnie Skarabeusz; od samego rana wilgoć niemal

unieruchomiła mu palce, i dlatego był w złym humorze. – Jedź.

– Ja...

– Nie wiem, co zamierzałaś powiedzieć, ale z pewnością nic mądrego. Powiedziałem: jedź.

– Pod wieczór ją odwozę – krzyknął zza progu Gwiazdny Człowiek, któremu dokuczyło widać czekanie. Nie pozostało mi nic innego, jak narzucić opończę i wyjść na zewnątrz. Łódka ponownie jęknęła boleśnie.

– No dalej – ponaglił mnie Gwiazdnik. – Właż.

– Co wy jej takiego robicie? – zapytałam. – Przecież ją boli!

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– A czemu ona jęczy?

Gwiazdnik westchnął.

– To zwykły sygnał. Nie chciało mi się samemu wam oznajmiać, że przyjechałem, i poprosiłem, żeby zrobiła to za mnie. No, właż.

Burta była niziutka i przelazłam przez nią bez trudu. Zaraz potem z boków wyrosły przejrzyste ściany, które zamknęły się nad naszymi głowami, a wewnątrz zrobiło się ciepło i cicho.

Gwiazdnik wcisnął kilka okrągłych występów – rozbłysły miękkim mlecznym światłem, i łódka popłynęła w dół po zboczu, nie dotykając ziemi, ale zręcznie przemknęła nad wszelkimi nierównościami. On niczego więcej nie robił – jakby dziwny, podpierający dno wiatr doskonale wiedział, dokąd ma nas nieść, a człowiekowi pozostało tylko przyglądanie się, jak dziwny statek pożera przestrzeń. Wzgórza bezgłośnie odpływały wstecz i pokryte wiosenną mgiełką morze zbliżało się coraz bardziej.

– Jak masz na imię? – zapytał. – Wyją?

– Ummm.

Nie zapytałam jego, bo byłaby to nieuprzejmość, on jednak sam się przedstawił:

– A ja jestem Ulisses.

Nie wytrzymałam i prychnęłam.

– Co jest? – zdziwił się Ulisses.

– Co to za imię? Ono nic nie znaczy!

– A jednak imię, i to mające sławną tradycję. W pewnym sensie oznacza: Wędrowiec, Podróżnik. Przepłynąłem przecież gwiazdny ocean.

Umilkł na chwilę, a potem dodał łagodnym głosem:

...W ślad za słońcem, bracia, popłyniemy

W samo jądro Zachodu, a być może

Do Błogosławionych Wysp w końcu dotrzemy

Tam gdzie Zachód swe rozpala zorze.

Pomyślałam, że zwariował. Nikt z naszych tak nie mówił, ni z tego, ni z owego. Na wszelki wypadek zapytałam:

– Co mówisz?

Westchnął.

– To Tennyson. Wiersze. No... jedna z Kronik.

Ta Kronika była dokładnie taka sama, jak jego imię. Też nie miała w sobie żadnej treści. Zrozumiałam już, że mam do czynienia z przygłupem i nagle ogarnął mnie strach – może u nich w tej Sadybie wszyscy są tacy jak on? Dokąd ja jadę?!

Najwyraźniej coś wyczuł, bo zapytał:

– Wam się takie teksty nie trafiały?

– Może i trafiały – odpowiedziałam niechętnie. – Ale jaki z nich pożytek? Takie od razu odrzucamy.

Widać było, że moja odpowiedź mocno go poruszyła.

– Niszczycie je?

Dałabym słowo honoru, że w jego głosie zadźwięczała groza. Jakbyśmy byli jakimiś dzikusami.

– Nie, po prostu pakujemy je i odkładamy na bok. Kiedyś mogą się przecież przydać. Może z czasem da się z nich wydobyć jakiś sens – coś takiego już się zdarzało. Kroniki niezbędne są do zorientowania się, do czego służą Przedmioty – jak są zbudowane i jak działają...

– Staracie się odtworzyć zapomnianą technologię – zauważył. – A na razie kultura wam na nic.

– A bo co? Po prostu myślimy... a nuż coś kiedyś się przyda. Życie jest ciężkie.

Westchnął i dalej jechaliśmy już pogrążeni w milczeniu.

Ród Gwiazdnych Ludzi na pewno był bardzo potężny, skoro mogli sobie pozwolić na to, żeby wznieść Sadybę i Domy na równinie – stwarzając dogodne podejście z każdej strony. Co prawda w gołym stepie niewiele się ukryje, ale wieżyczek wartowniczych też nie zobaczyłam – tylko wysokie srebrzyste ściany; ze wzgórza było widać, że otaczają gładkie niczym jaja kopuły Domów. Wszystko wyglądało jak Miasto Umarłych – kominy nie dymiły, przy ogrodzeniu nikt się nie kręcił – nie widać było ludzi ani zwierząt. Ze strachu dłonie same zwinęły mi się w pięści, aż paznokcie wcięły mi się w skórę, a ja nawet tego nie zauważyłam.

– A gdzie są wasi ludzie? – zapytałam na wszelki wypadek.

– To zależy – odpowiedział. – Jedni pracują, opracowują zebrane dane, inni są w terenie...

– Polują, znaczy?

Uśmiechnął się nikło.

– Można by i tak powiedzieć. W rzeczy samej łowią strzępy wiedzy – jeżdżą po ludzkich siedzibach, zbierają opowieści o przeszłości, szukają Kronik i usiłują nawiązać jakiś kontakt z koczownikami.

– Koczownicy nie mają żadnych Kronik! To dzikusy!

– Ale mają legendy i przekazy ustne. A my je wszystkie zapisujemy.

– Sami? Sami zapisujecie?

Był chyba nie tylko stuknięty, ale i lubił zełgać.

– No jasne – odpowiedział. – To wcale nie takie trudne. Nauczymy i ciebie.

– Akurat...

Cały czas kombinowałam – jeżeli za ogrodzeniem nie ma nikogo, to kto otworzy wrota? On jednak nacisnął tylko jedną z tych świecących białą wypukłości i wprost przed dziobem naszej łódki rozsunęły się skrzydła wrót – a potem zwały się, gdy je minęliśmy. Wewnątrz zobaczyłam dokładnie to samo, co wcześniej już widziałam ze wzgórza – okrągłe, gładkie ściany Domów podobne do jurt koczowników, choć zrobione z innego materiału. Odstępy pomiędzy Domami pozarastały trawą, jakby nikt ich nigdy nie deptał, żadnych płotów ani zagród dla bydła i trzody – wypisz, wymaluj, Miasto Umarłych.

Przejrzysty kołpak naszej łódki sam wciągnął się w burty i stateczek zatrzymał się przy jednym z domków.

– Wyłaź! – powiedział Ulisses.

Sam zdążył już wyskoczyć i teraz dreptał wokół, nie wiedząc co począć, bo oburącz wczepiłam się dłońmi w burty i wybuchnęłam wrzaskiem protestu.

Darłam się z zamkniętymi oczami i dlatego oczywiście nie zobaczyłam, jak w ścianie Domu zrobił się otwór i wyskoczyła z niego kobieta. Nie tknęła mnie nawet palcem – zaczęła tylko mówić do mnie tym swoim śpiewnym, uspokajającym głosem. W końcu przestałam się drzeć – jak ryczysz, nie sposób złapać tchu – i popatrzyłam na nią: była chyba tą samą, która przyjechała do nas, choć kto ich tam wie...

– Czego się boisz? – zapytała kobieta.

– Myślałam, że jesteście żywi – odpowiedziałam. – A wy jesteście martwiakami!

– Na miłość boską, dziecko, co ci strzeliło do głowy!

– Wy co? Nie słyszeliście o Mieście Umarłych?

Skąd zresztą mieliby o nim słyszeć, skoro sami w nim mieszkają? Mówi się o nich tak: żyją tam umarli absolutnie pewni tego, że należą do żywych...

– No masz ci los! – stwierdziła gniewnie kobieta, zwracając się do Ulissesa. – To był twój pomysł!

– A kto mógłby przypuszczać... – mruknął niepewnie.

– Ognia tam nie rozpalają – sama o tym nie wiedząc, zaczęłam buczeć tym śpiewnym

głosem, którego używała Dropia do zimowych opowieści przy ognisku. – Bydła nie wypasają, dzieci się tam nie rodzą...

Kobieta zdławiła krótki śmieszek, który zabulgotał w jej gardle.

– A co... – mruknęła. – Nie da się ukryć, że wszystko pasuje...

– Przestań – uciał mężczyzna. – Jeszcze ją tylko bardziej przestraszysz. Posłuchaj – zwrócił się do mnie – Jeżeli tak się boisz, to specjalnie dla ciebie rozniecimy ogień. Chcesz?

Nawet nie ruszył się z miejsca; wyrwał z ziemi kępę trawy i podniósł do niej jakiś Przedmiot. Suche źdźbła natychmiast buchnęły płomieniem, Ulisses pomachał nimi przed moją twarzą, a kiedy ogień dotarł do jego palców, syknął z bólu, rzucił płonąca kępę na ziemię i zdeptał ją nogami. Dopiero wtedy wylazłam z łódki: Martwiaki boją się żywego ognia i nie czują bólu.

W Domu było ciepło, cieplej nawet niż u Chronicieła – i pusto. Nie było tu naczyń, ani płyty ni paleniska – nie wiadomo, skąd się to ciepło brało. Ale wyjaśniło się, dlaczego im nie są potrzebne okna – z góry lało się łagodne, nieco przytłumione światło, padające na gładkie ściany. Co prawda jedno okno tu było – nie wiedzieć czemu na środku pokoju i biła od niego ta sama, łagodna poświata. Obok tego okna stały dwa stołki, ale z miękkimi siedzeniami i oparciami pod plecy. A jednak były to stołki, odgadłam prawidłowo, bo Ulisses zaraz usiadł na jednym z nich i skinieniem dłoni zaprosił, żebym zajęła drugi.

– Boję się, że trzeba będzie wszystko dezynfekować – odezwała się cicho kobieta do Ulissesa. – Popatrz tylko na jej ubranie... że nie wspomnę o reszcie.

Syknął na nią i umilkła.

Nie bardzo rozumiałam, do czego ona pije, ale poczułam się nieswojo i stałam obok tego dziwnego stołka, dopóki Ulisses mnie nie ponaglił:

– No, siadajże wreszcie.

Spojrzałam na kobietę, która przygryzła wargę i odwróciła się.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że przed oknem była płaska półeczka z takimi samymi wypukłościami jak w latającej łódce.

Usiadłam i powiedziałam:

– Okno macie do niczego. Niczego się nie da przez nie zobaczyć.

Oparcie stołka mocno mi przeszkadzało, a i siedzenie było jakby za miękkie, ale w końcu jakoś się usadowiłam. Kobieta została za moimi plecami – co mi się nie spodobało.

Ulisses nacisnął jedną z wypukłości i z gładkiej powierzchni półki wylazł jeszcze jeden Przedmiot – sam z siebie, niechby mnie komar kopnął! – taka kulka na giętkiej nóżce.

– Będę cię pytał o rozmaite rzeczy – powiedział Ulisses – a ty odpowiadaj do tej kulki, dobrze?

– Nic z tego – odpowiedziałam.

– Czemu? Znowu coś nie tak?

– Niech wasza baba stanie tak, żebym ją widziała.

Starszym oczywiście nie należy wytykać błędów, ale czy to moja wina, że on do tej pory nie nauczył jej przyzwoitego zachowania?

– Diana, proszę cię... – powiedział.

Kobieta wzruszyła ramionami, przeszła ku przodowi i zatrzymała się, opierając łokieć o gładką powierzchnię tej ich niezwyklej półki.

– Teraz można? – zapytał pokornie Ulisses.

– No...

W sumie wyszła jedna wielka głupota: pytał mnie o rzeczy, które wie u nas każdy brzdąc – co robimy, jak żyjemy, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy robić, a ja miałam odpowiadać. Pytania padały jedno za drugim, coraz szybciej i szybciej, ledwo nadążałam z odpowiedziami, aż nagle on powiedział:

– Chyba wystarczy...

– A co? – zapytałam. – Nie macie nic innego do roboty?

Nie, miałam rację – wyraźnie im odbiło. Środek dnia, a oni zamiast polować, szykować ziemię do wiosennych zasiewów albo zająć się jakąś domową robotą, siedzą w pustym pomieszczeniu – dwoje dorosłych, zdrowych ludzi! – i zajmują się głupotami.

Chciałam już wstać i zapytać, czy nie mogliby mnie teraz odwiedzić do domu, kiedy okno nagle się rozjaśniło i popłynęły po nim jakieś barwne pasy.

– No, no... – powiedziałam na wszelki wypadek.

Nie zwrócili na mnie uwagi, tylko oboje wgapili się w te pasy, jakby ich migotanie zawierało jakieś bardzo ważne treści.

– I kto miał rację? – zwrócił się Ulisses do kobiety.

– To jeszcze niczego nie dowodzi... – odparła zagadnięta z niechęcią w głosie.

– No dobra – mruknął on. – Spróbujemy inaczej. Zaraz ustawię synchronizację w zakresie rytmów alfa i spróbujemy stymulacji wyobraźni przestrzennej. Zobaczysz, co się stanie...

– Czemu mówicie tak, że nic nie rozumiem? – zapytałam z niechęcią w głosie.

To było z ich strony nieuprzejme. Jakbym była jakimś przedmiotem, a oni zastanawiali się właśnie, gdzie go przestawić, żeby im było wygodniej.

– Wybacz – zwrócił się do mnie Ulisses. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Widzisz te tu guziki?

– Znaczą, występy?

– No... tak. Zaraz na ekranie zaczną spadać z góry obiekty.

– Przedmioty?

– Nie całkiem. Takie sztuczki z występami i powyginane pod kątem. A ty, naciskając na te guziki masz je poukładać tak, żeby pomiędzy nimi nie było przerw ani pustych miejsc. O,

popatrz.

Okno nagle zamigotało, aż zrobiło mi się niedobrze, a z jego górnej krawędzi zaczęły spływać w dół różnobarwne dziwactwa. On nacisnął na jeden występ i sztuczka obróciła się w powietrzu. Inna spadła dokładnie na nią i wcisnęła ją w kąt.

– Widzisz – odezwał się z zadowoleniem w głosie, jakby dokonał nie wiedzieć jak ważnego dzieła – następną [z góry już spadała trzecia] trzeba obrócić o, tak... tym guzikiem można obracać je w lewo, a tym – w prawo. Tym popychasz je w jedną stronę, a tym tutaj w drugą. No co, spróbujesz?

Początkowo te dziwactwa spadały powoli, potem jednak zaczęły się sypać szybciej i szybciej – ledwo nadążałam z układaniem. Tak się spięłam, że aż język zagryzłam. To przekłete okno [oni nazywali je ekranem] migotało tak, że zaczęło mi się kręcić w głowie.

W końcu sztuczki zaczęły spadać w takim tempie, że nie nadążałam z przenoszeniem palca z jednego guzika na drugi. A żeby je grom spalił!

Wstałam i powiedziałam:

– Dość! To jakaś głupota.

On się nawet nie zezłościł, tylko powiedział:

– Myślałem, że poddasz się wcześniej. No i jak tam? – zwrócił się do kobiety.

Sztuczki ustały, a na ekranie zamiast nich pojawiły się jakieś słupki.

– Niemożliwe! – westchnęła cicho Diana.

– Według tego przyrządu, ona co najmniej sięga górnej granicy – stwierdził mężczyzna. – Myślę, że z resztą nie pójdzie jej gorzej.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– To czemu oni...

Popatrzył na nią jakoś tak ostro, i umilkła.

– Mdli mnie – powiedziałam. – W głowie mi się kręci. Co wyście mi zrobili?

– To nic – uspokoił mnie Ulisses. – Zaraz ci przejdzie.

– Muszę wyjść na zewnątrz...

Tak naprawdę nie było ze mną tak źle – chciałam po prostu wyjść z tego Domu. Było tu bardzo nieprzytulnie.

Ulisses zwrócił się do kobiety:

– Wyjdź z nią.

Znów nie zdażyłam zauważyć, co oni zrobili, żeby dwa kawałki ściany rozeszły się na boki – na zewnątrz było mroczno i wilgotno, pomiędzy ślepych ścianami obcych domów błędziły pasma mgły, i jak zawsze we mgle, było cicho – tylko gdzieś w pobliżu coś równomiernie stękało i wzdychało – jakby biło ogromne serce.

– Co tak szumi? – zapytałam.

– Silniki stacji energetycznej – odpowiedziała kobieta niezrozumiale.

– Specjalnie mówicie tak, żebym nie mogła zrozumieć?

– Wcale nie. – Diana pomilczała przez chwilę i dodała: – Potem będzie ci łatwiej. Dopiero zaczęłaś naukę. I jesteś bardzo zdolna.

– Zaczęłam naukę? Czego? Nic nie zauważyłam?

– A jednak tak właśnie jest.

– I wy mnie uczycie?

– Owszem.

– A czemu mnie? Czemu nie własne dzieci?

– Kie mam dzieci – odpowiedziała.

Tak myślałam! Zrozumiałe, dlaczego wsadzili mi na kark właśnie ją! Do niczego innego się nie nadaje. Niedługo ją wygonią. Albo wymienią.

– A co to znaczy dezyn...fek...fekować?

Nie wiadomo czemu, nagle się zmieszała. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– No... rozumiesz... macie bardzo mało wody... dlatego...

– A – pojęłam nagle. Mogłam i wcześniej zrozumieć – ona sama była czyściutka, żadnego brudu pod paznokciami, same paznokcie gładkie i różowiućkie... – A wy macie wody pod dostatkiem?

– Owszem – odpowiedziała z niechęcią.

I nagle, nie wiedząc czemu, poczułam się niezręcznie.

– Może się umyję? Jeżeli nie szkoda wam wody?

– Później – odpowiedziała jakoś tak niewyraźnie. – Potem.

Na progu stanął Ulisses i powiedział:

– No co? Pociągniemy dalej?

Teraz dopiero zdziwiłam się naprawdę:

– To jeszcze nie wszystko?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział. – Trzeba nam było określić poziom twoich zdolności i co nieco poprawić, żebyś szybciej się uczyła – a od jutra zaczniesz się uczyć pisania.

– Czego?

– Nauczymy cię robić Kroniki.

Tu już nie wytrzymałam.

– Wszyscy jesteście stuknięci. Kronik nie spisano ręką człowieka. Wszyscy to wiedzą. Żaden człowiek tak nie zdoła – żeby wszystkie znaki były podobne jeden do drugiego. I żeby stały tak równo.

– Większą część wielkich ksiąg – odpowiedział mi – początkowo spisywano ręcznie. Sama pomyśl, czy trudno napisać jakiś znak? Choćby węglem na ścianie, jeżeli nie masz pod ręką nic

innego.

– Może i nietrudno. Ale kto miałby się tym zajmować? I po co? Nie ma w tym żadnego sensu!

– Nijak ich nie przekonasz, i niczym nie zainteresujesz – odezwała się cicho kobieta. – Sam widzisz.

– Bo wszystko podporządkowali pragmatyce w czystej postaci – odpowiedział. – Ale jeżeli uwolni się ich od konieczności codziennej walki o przetrwanie i leciutko popchnie...

– Może warto byłoby poczekać? Grupa Komeńskiego też ma jakieś pomysły. Łatwiej nam się będzie zorientować.

Uśmiechnął się.

– Tobie wciąż się wydaje, że to jakaś okropna pomyłka?

Nie odpowiedziała. Wzruszyła tylko ramionami.

– Chcę do domu – powiedziałam.

– Dobrze – odparł Ulisses. – Zaraz cię odwiozę.

I wtedy zobaczyłam, że do Domu sama z siebie podpłynęła łódka, która zatrzymała się przed progiem.

– Już przecież w niej jeździłaś – stwierdził Ulisses zauważywszy, że trochę się spłoszyłam. – Wsiadaj.

Pomyślałam, że lepiej będzie się nie sprzeciwiać – inaczej przyjdzie mi tu zostać, a wcale mi się to nie uśmiechało. Im też zresztą nie za bardzo ufałam – na razie nie zrobili mi niczego złego, a co, jak się rozmyślą? Gdzie mają wodę, i czy cieknie u nich gorąca – sama z siebie, jak stało w Kronikach – też wolałam nie pytać.

– Czemu ona pływa sama z siebie, ta łódka? – zapytałam, siadając.

– Ma jakby pamięć – odpowiedział Gwiazdnik. – Tak naprawdę to mogłaby cię sama odwieźć do domu, ale pomyślałem sobie, że byś się bała.

Na wszelki wypadek się zachnęłam:

– Jeszcze czego!

– Do zbudowania takiej maszyny potrzebna jest określona wiedza i bardzo delikatne przyrządy. Ale żadnych sekretów w niej nie ma.

– Gdyby to było tak proste, jak mówicie, to takich łódek wszędzie byłoby pełno! A gdzie je widzieliście? Tylko w Miastach Martwiaków jest tak, że przedmioty poruszają się same z siebie.

– Nie powiedziałem, że to jest proste – sprzeciwił się. – Powiedziałem tylko, że w zasadzie jest to możliwe. A czym są Miasta Martwiaków?

– Na noc lepiej o tym nie rozmawiać. Ale w ogóle to takie wielkie sadyby. Mówi się, że niektórzy z dawnych ludzi trafili tam po śmierci – gdzieś w końcu trafić musieli, prawda? Woda sama tam się leje ze ścian i światło nie gaśnie – tak jak u was, tylko po co umarłym woda

i światło? I łążą po ulicach – przecież nie mają nic do roboty – myśląc, że są żywi. Niekiedy się zdarza, że poniekiedy całkiem zapomina, iż umarł... i wtedy zaczyna szukać żywych.

– W zasadzie można zrozumieć, skąd się u was wzięły takie podania – stwierdził Ulisses. – W pewnym sensie to wspomnienia z przeszłości... Widzieliśmy ruiny wielkich miast. Co prawda niewiele po nich zostało...

– Rozwaliny to jedno – odpowiedziałam z niechęcią. – Mówią, że stoją tak od wielu wieków. A Miasta Martwiaków to zupełnie inna sprawa.

– Jesteś pierwszą osobą, która o tym mówi – stwierdził on.

Zrozumiałam, że on ma mnie za kłamczuchę.

– Bo wam nikt więcej już nic nie powie.

O takich rzeczach nikt nie zacznie opowiadać ni z tego, ni z owego, a ja puściłam farbę – ze strachu.

– Trzeba będzie wprowadzić poprawki – mruknął niezrozumiale.

Pojełam, że mam przed sobą osobnika należącego do tych, którzy jak się do czegoś przyczepią, nie popuszczają, dopóki nie

wyduszą z rozmówcy wszystkiego, co ten wie, choćby wbrew jego woli.

Ale akurat wtedy łódka podpłynęła do naszego Domu i rozmowa urwała się sama z siebie w sposób naturalny.

* * *

– Czego oni cię tam uczyli? – Skarabeusz wciąż nijak nie mógł niczego pojąć, i nie dziwota; kto byłby w coś takiego uwierzył. – Klocki składać?

– W zasadzie tak, choć to nie były klocki. Zresztą tych klocków jakby naprawdę nie było. Potem jeszcze były obrazki. Cztery krateczki i w trzech rysunki. Zwierzęta, rośliny, Przedmioty. Czwarta klateczka pusta. A w dolnym rzędzie też rysunek, tylko pomniejszone. I trzeba wybrać z nich jeden, a potem umieścić go w czwartej kratce.

– Po co?

– Żeby był porządek.

– No, no... I akurat po to taszczyli cię do siebie na swojej łódce!

– Przyjadą i jutro. Oczywiście wszystko to nic, sama głupota, ale karmią w ich Domu do syta. Tam naprawdę jest pełno żarcia. Według mnie, wstyd powiedzieć, ale czego nie dojadą, to wyrzucają. Jak sobie chcą tracić czas na głupie rysunek, to niech tracą. I jeszcze powiedzieli, że mnie nauczą robić Kroniki. Co to może być?

Stary się zamyślił.

– Kroniki – powiedział na koniec – nie zostały spisane ludzką ręką.

– Ale można je przecież przerysować, prawda?

– Gdzie? Na ścianę, czy jak?

– A choćby i na ścianę.

– A skąd będziesz wiedziała, że wyszła ci akurat ta Kronika? Jak będzie zapisana obcą ręką i na innym materiale, czy nie zmieni się jej treść?

– A jak myślisz?

– Nie wiem – przyznał uczciwie Skarabeusz. – Bieda w tym, że sens większości Kronik i tak jest niezrozumiały. I łatwo się można pomylić, kiedy się je czyta. Pamiętasz, co się stało w Klanie Białego Kamienia?

– A jakże.

Wszyscy pamiętają, co się stało w Klanie Białego Kamienia, bo tamta historia wywołała wielkie zamieszanie. Ich Chroniciel oznajmił, że dzięki Kronikom zorientował się, co robić z jednym Przedmiotem – okrągłą żelazną sztuką wielkości ludzkiej pięści. Było na niej takie kółeczko; coś tam z początku trzeba było wyrwać, a potem puścić. Nie powiem, że ich Dom rozpieprzyło do cna, coś tam się ostało, inaczej nikt by nie poznał tej historii – ale z Chroniciela zostały tylko krwawe strzępy. I – co było już całkiem ponure – przepadły też Kroniki i większość Przedmiotów. Skarabeusz przypuszczał, że ten Chroniciel nieprawidłowo odczytał Kroniki. A ja pomyślałam sobie – a może akurat prawidłowo? Ta myśl olśniła mnie teraz i zrobiło mi się od niej jakoś tak nieswojo.

Skarabeusz przywrócił mnie rzeczywistości, stwierdzając kwaśno, że jeśli uważam, iż teraz jestem w Domu taka ważna i nie mam żadnych obowiązków, to grubo się mylę – i posadził mnie nad jakąś Kroniką. Zrobił to chyba z czystej złośliwości, ponieważ zrobiło się już całkiem ciemno i trzeba było zapalić kaganek. Kronika należała do tych, które obrobili po swojemu Gwiazdni – czytanie było samą przyjemnością, bo nie kruszyła się w palcach. Chroniciel pomyślał może, iż akurat z tej Kroniki będzie jakaś korzyść – z tego, co zdążył rozgryźć wynikało, że opisywała przygody tych, co szukali jakiegoś Przedmiotu, takiego ważnego, że do poszukiwań połączono siły kilku Domów. Do tego Przedmiotu rościł sobie prawa jakiś inny Dom, który władał nim wcześniej, a potem go utracił. Ten Chroniciel, który stanął na czele poszukiwań był niegłupim człowiekiem, o ile wierzyć jego pomocnikowi, który wszystko to opowiadał Temu, Co Zapisuje. Westchnęłam głęboko i zaczęłam: *„A przecież to wszystko mamy już za sobą – odpowiedziałem. – To naprawdę nie było nic takiego. Nie będę już pani opowiadał takich ponurych szczegółów „.*

Na wszelki wypadek oderwałam oczy od Kroniki i wyjaśniłam:

– Chęłpi się przed swoją babą.

„Mówmy o czymś weselszym. Widzi pani, w tej szkatulce jest skarb. Cóż na przykład może być przyjemniejszego, niż obejrzenie pani własności. Holmes specjalnie mi polecił, żebym

przywiózł to osobiście i myślę, że będzie pani przyjemnie, jeżeli pani pierwsza go obejrzy ...
Skarb – co to takiego?

– To, co ukryte – odparł Skarabeusz.

– Przedmiot? Ale właściwie jaki?

– Woleli ich nie nazywać – wyjaśnił stary. – Mówili: „skarab”, „kosztowności”...

– A szkatułka?

– Skrzynia z pokrywą. Miejsce, w którym chowa się cenne przedmioty.

– A, zrozumiałam! Skład!

– Chyba tak. Czytaj dalej.

– Najwyraźniej doszli do wniosku, że ta szkatułka dostanie się Domowi tej baby, a ona im zapłaci odstępne. A jeżeli on się z nią ożeni, ten uczeń Chroniciela, ten Przedmiot dostanie mu się jako kałym?

– Czytasz, czy nie?

– Aaaa... „*Tak, oczywiście, miło mi będzie popatrzeć – powiedziała miss Morstin...*” – oni mają takie dziwaczne imiona, tak samo jak Gwiazdni Ludzie. Wiesz, jak się nazywa ta baba, która dziś tu przyjechała? Diana! To ci dopiero! „...*bez przesadnego entu...zjaz...*” Nic nie kumam...Aha! O, jest: *najwyraźniej i niewątpliwie uznała, że nietaktowne będzie pozostawianie obojętną na widok... Przedmiotu... którego szukaliśmy z takim trudem i uporem* „... Aha, otwiera tę szkatułkę pogrzebaczem... dalej niezrozumiałe... „...*była pusta!*” Tyle wysiłków i wszystkie daremne! Nawet nie wiadomo, jaki Przedmiot tam leżał. A ta baba... wygląda na to, że nie za bardzo się tym przejęła.

– Wiedziałem, wiedziałem – westchnął Chroniciel – że z tej Kroniki żadnego pożytku nie będzie. Jeżeli kilka Domów pokłóciło się o ten przedmiot, to widocznie był tak cenny, że nawet bali się go opisywać. O, zamka im nie było szkoda... wyłamali... Może tam jest coś o tym zamku, jak był zbudowany?

– ...*gruby, masywny skobel wyrzeźbiony na kształt...siedzą... cego Buddy...*

– Nie, znów niczego nie da się zrozumieć. – Skarabeusz westchnął. – Całe życie można zmarnować, i nie znajdziesz niczego pożytecznego.

– Może w tych naszych Kronikach w ogóle nie ma niczego przydatnego? Ale gdybyś pozwolił mi zająć się Przedmiotami...

– Za młoda jeszcze jesteś – warknął stary. – Przedmioty to rzecz niebezpieczna, jak się nie wie, co z nimi robić.

– Jakbym sama nie wiedziała – odpowiedziałam na wszelki wypadek.

On jednak więcej do tego tematu nie wracał – widać od samego początku rozżłościł się dlatego, że z Kroniki nie udało się wydobyć niczego pożytecznego; kazał mi zgasić kaganek i iść precz. Może i zdenerwowało go to, że liczył na Gwiazdnych Ludzi – i przekonał się, iż z mojej

nauki nie ma żadnego pożytku.

* * *

...a może skrycie jednak żywił jakąś nadzieję, bo nie zabronił mi do nich jeździć; ta ich łódka przyleciała po mnie następnego ranka, i jeszcze następnego. Oni zaś chyba naprawdę sądzili, że zdołają mnie czegoś nauczyć, choć nie pojmowałam czego – kazali mi się godzinami gapić na ten ich ekran, który najczęściej niczego nie pokazywał, migotał tylko jakoś tak paskudnie, albo pojawiały się na nim obrazki i słowa, tak szybko, że nie miałam czasu na to, żeby się im przyjrzeć, a już pojąc, co wyobrażały... Czasami kazali mi ponownie ganiać po ekranie jakieś zakrętasy – Gwiezdni Ludzie nazywali to testami; z początku myślałam, że oni sprawdzają te zakrętasy, czy się poruszają jak trzeba, ale potem zrozumiałam – to mnie poddawano próbom. Niekiedy tak się wpatrywałam w te poruszające się kolorowe linie, że nawet gdy zamykałam oczy to widziałam pod powiekami jakieś ruchome plamki i jaskrawe rozpryski; z początku myślałam, że rzucili mi jakiś urok, ale Ulisses powiedział, że to „normalne zjawisko”, które szybko minie. Z tych wszystkich głupich zajęć był tylko jeden pożytek – dobrze mnie tam karmiono.

Trzeba powiedzieć, że Chroniciel miał rację – wody tam było tyle, że choć się utop, nawet w gorącej. Leciała z takiej sztuczki, która się nazywała „kran” – wystarczyło przekręcić taki grzybek z góry. Wygodna rzecz, ale u nas nie da się tego nijak wykorzystać. Były jeszcze takie pachnące różowe cegiełki – Diana nazywała je „mydło”. Powiedziała, że jak umyję nim głowę, to moje włosy zrobią się takie same, jak jej własne. No, trochę zęłgała – choć tarłam i tarłam, złote się nie zrobiły.

Diana wyprała nawet jakoś moją opończę – zabrała ją z rana, a oddała mi przed odjazdem. Opończa była jak nowa, pokazały się nawet wzory na materiale, a ja zdążyłam już zapomnieć, jakiego była koloru.

Na początku nie widywałam nikogo oprócz Diany i Ulissesa – a kiedy zapytałam, gdzie są pozostali, Diana odparła niechętnie, że tamci i tak mają pełne ręce roboty, a dwoje nauczycieli na jedną dziewczynkę wystarczy aż nadto. Myślę jednak, że jeśli ci, co zostawali w sadybie, mieli jakieś swoje sprawy, to bardzo dziwne, skoro zajmowali się nimi wyłącznie za ścianami Domów. Ale raz Diana obejrzała mnie bardzo uważnie, kazała mi się przyczesać i zachowywać „przyzwoicie”. Nie pojęłam, co ona przez to rozumie, ale na wszelki wypadek postanowiłam mniej machać rękami. Czasami Dianę irytowały bardzo dziwne rzeczy.

Więc tak: usiadłam na krześle starając się nie wiercić, a Diana wyszła i po chwili wróciła z jeszcze jednym Gwiezdnym Człowiekiem, też wysokim – nie był niższy od Ulissesa, ale za to całkiem siwy. Choć starym też nie dałoby się go nazwać – trzymał się prosto i poruszał bez

najmniejszego wysiłku.

– Proszę bardzo – zaczęła Diana – oto i nasza uczennica.

Na wszelki wypadek wstałam z krzesła i powiedziałam:

– Witajcie.

Nie odpowiedział, tylko obrzucił mnie szybkim, uważnym spojrzeniem i zapytał:

– To ta?

Chyba mu się nie spodobałam.

Diana jakby się za mną ujęła:

– Jest bardziej zdolna, niż na to wygląda.

Przez chwilę usiłowałam zrozumieć, czy była to pochwała, czy należało się obrazić.

– Wyją, pokaż, co umiesz – poleciła Diana.

Umiałam wiele, ale jego chyba to nie zainteresowało. Przez pewien czas usiłowałam kiedyś jej wyjaśnić, jak robimy naczynka z gliny, ona mnie niby słuchała, ale widziałam, że robi to z grzeczności. A kiedy zaczęłam jej opowiadać treść tych Kronik, które zdążyłam przeczytać u Chronicieła, to za uszy by jej się nie dało ode mnie odciągnąć.

Dlatego zapytałam teraz:

– A co?

Położyła przede mną jakąś Kronikę – na cienkiej, białej karcie, aż dziwnie było wziąć ją w ręce – i powiedziała:

– Przeczytaj coś, dobrze? Pamiętasz, jak razem czytałyśmy? No, co?

– Diana... Nie mogę – odpowiedziałam szeptem.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem w oczach.

– Dlaczego?

– Ja go nie znam... Tak się nie godzi.

– Ale przecież my...

Niczego nie rozumiała. Odciągnęłam ją na bok i wyjaśniłam szeptem:

– Chronicieł wyprawił mnie tu do was, czyli przy tobie i Ulissesie można. Ale w ogóle tak się nie robi. Nie czyta się Kronik człowiekowi, który ci nawet nie powiedział swojego imienia.

– On się nazywa Lagrange.

– Sam mi powinien się przedstawić. A tak...

– Co tam znowu? – zapytał siwy z rozdrażnieniem w głosie. Zerknął na zegarek – to taki okrągły płaski przedmiot na nadgarstku. Oni cały czas na nie zerkali. Diana mówi, że patrząc na zegarek można poznać czas. Jakby od pomiaru cokolwiek się zmieniało...

– Poczekaj, Lagrange, zaraz wszystko załatwię.

– Za pięć minut mam seans łączności – powiedział siwy i odwróciwszy się na pięcie wyszedł. Diana pobiegła za nim. Doleciały do mnie jakieś urywki rozmowy, zapamiętać je

zapamiętałam, ale niczego nie rozumiałam. Po chwili Diana wróciła – miała mocno przygnębioną minę.

– Ależ się popisałaś! – stwierdziła jadowicie.

Następnego dnia łódka po mnie nie przyleciała.

* * *

Tak się tym zdziwiłam, że nawet nic nie powiedziałam. Przestraszyłam się. A w głębi duszy pomyślałam sobie, że może to i lepiej. Bardzo się tam męczyłam, w tym ich Domu. Niedobre to było zmęczenie – nie odczuwałam go ciałem, ale głową. Ale kiedy łódka nie przyleciała następnego dnia, zaczęłam się niepokoić.

– Co się tak włóczysz po domu, jak struta? – zeżlił się Chroniciel. – Jak już zostajesz w Domu, zajmij się robotą. Zobacz, jak ten parszywiec gospodarstwo zapuścił..

– Zrobiłam coś nie tak – powiedziałam przygnębionym głosem. – I oni się obrazili. Diana mówiła temu... Granzowi, że jestem za bardzo nikomu... niekomu...kutywna. Czy to coś znaczy?

– Pojęcia nie mam – odpowiedział Chroniciel. – Ale, o ile rozumiałem, Gwiazdni Ludzie są bardzo uprzejmi. Jeżeli by cię wygnali [dobrze by zrobili, jak się już o tym zgadało], to usprawiedliwiliby się przynajmniej przede mną. Najpewniej zajęli się na razie czymś innym. Przecież ci nie obiecali, że będą przyjeżdżać po ciebie codziennie?

– No... nie. Ale do tej pory zawsze tak robili.

– I się do tego przyzwyczaiłaś – stwierdził stary zwycięsko. – A teraz się odzwyczaj. My mamy swoje sprawy, a oni swoje.

Nie zdążyłam się odzwyczaić – następnego dnia łódka przyleciała. Rano. Wsiadł z niej Ulisses i wszedł do domu.

– Zechciejcie mi wybaczyć, ojczy – zwrócił się do Chroniciela.

Pomyślałam, że zaraz powie, iż jestem niekutywna i dopiero się zacznie, ale on stwierdził tylko:

– Zdarzyło się nam nieszczęście... i musieliśmy na kilka dni odłożyć inne zajęcia.

– Współczuję – powiedział Skarabeusz.

Nie zapytał, co to za nieszczęście, bo był człowiekiem uprzejmym i dobrze wychowanym. Ja bym nie wytrzymała. Zapytałabym.

Ale Ulisses sam wszystko powiedział.

– Wyszadziliśmy jedną z grup przy ruinach, tam, na północy... No, wiecie...

– Nie wiem – odpowiedział Skarabeusz.

Odpowiadał tylko za swoje ruiny – wiadoma rzecz, cudze go nie obchodziły.

– Niech będzie. Tak czy owak, to daleko stąd. Ale tam kiedyś było wielkie miasto,

i pomyśleliśmy... Ogólnie mówiąc, nasi przepadli. Siedmiu ludzi. Nie wiecie może, czy tam jest niebezpiecznie?

– Wszędzie jest niebezpiecznie – uciął sucho stary.

– Usiłowaliśmy ich odnaleźć, ale... No tak. Zbieraj się, Wyja. Diana czeka.

Znalazłszy się w łódce zapytałam:

– A co się z nimi stało... znaczy z tymi waszymi ludźmi?

– W tym sęk, że nie wiemy – odparł ponuro. – Zgodnie z planem nawiązali łączność dwa dni temu, wieczorem. Następny seans miał być rano, ale...

– Co to znaczy „seans”?

– Już ci mówiłem. Istnieje sposób na to, żeby rozmawiać na odległość. Za pomocą Przedmiotów.

Kiwnęłam głową, bo w niektórych Kronikach sporo o tym było napisane.

– Z pewnością – stwierdziłam – ktoś ich nocą napadł. Znienacka.

– Na nas nie da się napaść znienacka. Sama widziałas – do obozu nie sposób się dostać... Jest zamknięty w siłowym polu. I jeszcze... z pewnością zostałyby jakieś ślady walki, gwałtu... a obóz po prostu był pusty. Obszukaliśmy całą okolicę; żadnych śladów, żadnych znaków, nic... Przybory zarejestrowały silne zakłócenia pola elektromagnetycznego, ale takie zjawiska już obserwowaliśmy. To zresztą pewnie jakieś działanie sił przyrody...

Pokręciłam głową. Nie rozumiałam połowy z tego, co mówił, ale jedno wiedziałam na pewno – kogoś przesadnie pewnego swojej nietykalności i niedostępności można z góry uznać za nieboszczyka. Ich ludzi pewnie już pozabijano i zjedzono, ale czy da się mu cokolwiek wytłumaczyć?

* * *

A wieczorem, kiedy wróciłam, zastałam u Chroniciela Dropie.

Widać było po nich, że się posprzeczali, ale kiedy weszłam, oboje umilkli i wbili we mnie spojrzenia.

– Zjawiała się nareszcie – Dropia niechętnie skrzywiła wargi. – Patrzcie państwo...

– Zostaw dziewczynę w spokoju – mruknął Skarabeusz z niezadowoleniem w głosie. – Sam jej kazałem.

– A ludzie są niezadowoleni. Skarżą się na to, że rozpanoszyli się tu obcy. I wszystko przez nią. A ona też nie lepsza – rozbija się w tej łódce tam i z powrotem, jakby było po co. Skąd wiesz, co oni tam z nią wyprawiają?

– Niczego złego jej nie robią, powiedziała, że będą ją uczyć.

– Czego uczyć? Popatrz tylko na tę niezgułę – czego ją można nauczyć? Stoi i tylko gały

wytrzeszcza!

– Niech sama powie. Wyją, czego oni cię tam uczą?

Zacukałam się. Według mnie, nie uczyli mnie niczego pożytecznego, tylko samych głupot, ale powiedz to tej starej sowie, nie opędzisz się od kłopotów. Dropia jest wredna jak rzadko która baba. Czy to wiadomo, co jej do łba strzeli?

I oczywiście usłyszałam: – Może zły urok na nią rzucili... Nie ma powodu, żeby tam jeździła.

– Uczą mnie, jak się posługiwać Przedmiotami – wyrzuciłam szybko z siebie. – Oni tam mają pełno rozmaitych Przedmiotów.

– Te ich Przedmioty też pewnie zauroczone. I ciebie zauroczyły.

Wzięłam miskę i podeszłam do składziku w odległym kącie. Skarabeusz chciał chyba mnie powstrzymać, ale Dropia spojrzała nań tak jadowniczo, że go zatkało.

– Nooo? – syknęła stara.

Przedmioty leżały w półmroku, każdy w swojej przegródce: każdy kiedyś do czegoś służył, a teraz oczyszczono go z błota i rdzy.

– Na przykład to... – powiedziałam.

– No co? Co – to? – głos Dropi ociekał jadem.

– To niezupełnie jest Przedmiot. To część Przedmiotu. I to też.

Liczne Przedmioty trafiały do nas pokaleczone lub poskręcane przez jakąś niewiadomą siłę, a jeden wyglądał tak, jakby ktoś specjalnie go skręcił, usiłując wyżyć zeń wodę. I nagle poczułam się tak, jakby ktoś siedzący w mojej głowie podpowiedział mi, że ten Przedmiot tak akurat powinien być wyglądać.

– Jeżeli wzięć tę skręconą sztuczkę... – zaczęłam.

– Śrubę – podpowiedział mi cicho Chroniciel.

– Aha... Więc jeżeli tę śrubę wsunie się do tej rurki... wtedy na jej koniec świetnie będzie pasował ten metalowy kwiatek z ostrymi płatkami po bokach, a potem przyjdzie ta płaska płytką z dziurkami. O, a ten... wihajster trzeba przykręcić do śruby z drugiej strony...

Wihajster był nieco zniekształcony, i wcześniej była na nim chyba drewniana rurka, żeby było wygodniej go trzymać, ale i tak się nadał. W korpusie, z którego wywijał się z boku kielich, był występ i otwór, przez który należało przetknąć jakiś sztyft – teraz go brakowało, drobne Przedmioty lubiły się rozbiegać jak karaluchy, ale gdyby był, to można by całość przykręcić do stołowego blatu.

– I co? – Dropia przez cały czas łypała podejrzliwie i wszystko obserwowała. Skarabeusz też patrzył. Z pewnością doszedł do wniosku, że zmontowałam coś niebezpiecznego.

– To taki młynek. Tylko mały. I nie przeciera, tylko tnie na kawałki. Śruba przepycha naprzód wszystko, co włożycie o, tu... do tego kielicha. Tylko popychać należy ostrożnie, bo można skaleczyć się w palec.

– I co tym można ciąć?

– Co się chce. Owoce albo mięso. Sami zobaczycie.

– No, no... – powiedziała Dropia. Capnęła młynek i wypadła z Domu, jakby ją Zły gonił.

Skarabeusz zareagował tak samo:

– No, no...

Wrodzona skromność kazała mi milczeć.

– Jak się tego domyśliłaś? – zapytał zdumiony Chroniciel.

– Nie mam pojęcia. Samo tak jakoś wyszło. Jakbym to gdzieś widziała.

– A... coś jeszcze możesz? – zapytał nieśmiało i niepewnie.

– Tu więcej nie ma niczego... kompletnego. Może, gdyby popatrzeć w innych Składnicach...

– Dobra... – przerwał mi. – Później pogadamy... Znaczy... czegoś cię uczą.

Pomyślałam, że niczego takiego mnie nie uczą, ale na wszelki wypadek powiedziałam:

– No!

– Taaak... no to niech teraz spróbują... – mruknął ponuro i tajemniczo.

Zrozumiałam tylko, że dzisiaj obeszło się strachem. Co prawda nie zrozumiałam, jak i dlaczego.

* * *

Po tej historii nikt już się nie protestował przeciwko temu, że lśniąca łódka Gwiazdnych Ludzi codziennie, rano i wieczorem, pojawia się w sadybie, a wkrótce potem zdarzyło się coś jeszcze.

Może, gdyby oni nie wozili mnie za każdym razem tam i z powrotem, wszystko potoczyłoby się inaczej, ale Gwiazdni niezłomnie przestrzegali raz poczynionych ustaleń. Ani razu nie zostałam na noc w ich sadybie. W tym Domu, w którym ze mną pracowali, nie było nawet niczego podobnego do posłania, a gdzie indziej mnie nie wpuszczali. Z rana któreś z nich dwojga – Ulisses albo Diana – mnie zabierało, a wieczorem odwożono mnie z powrotem. Wiosną wieczory są długie, ale jeżeli ta ich łódka nie nadażala z dotarciem do naszej sadyby przez zapadnięciem zmroku, to oświetlała sobie drogę ogniami – jasnymi jak dwa maleńkie księżycy. Jeżeli odwoziła mnie Diana, to robiła coś takiego, że sama z siebie pojawiała się muzyka, choć z początku w ogóle się nie połapałam, że to muzyka, bo grana była bardzo dziwnie – ani ładu, ani składu, jakby instrumenty, zamiast grać jedną melodię, starały się sobie przeszkadzać. Potem przywykłam i zrozumiałam, że coś w tym jest. Czasami do gry mieszały się głosy, niekiedy męskie, a niekiedy żeńskie. Wiedziałam już, że istnieją same z siebie, oddzielnie od człowieka, jak Kroniki. I że jedną i tę samą melodię można było słuchać tyle razy, ile się chciało, a ona wcale się nie zmieniała. Raz jednak muzyka urwała się niespodziewanie i zamiast niej rozległ się

męski głos. Powiedział coś w niezrozumiałym języku, którego nienawidziłam właśnie dlatego, że niczego nie mogłam pojąć. Pomyślałam, że Skarabeusz by zrozumiał, trzeba go poprosić, żeby mnie nauczył. I sama się zdziwiłam tej osobliwej myśli – przedtem starałam się unikać zbędnych zajęć, jak tylko mogłam.

Ku mojemu zdziwieniu Diana odpowiedziała, mówiąc do tej sztuczki, która się wysunęła z panelu, podobnej do tych, z którymi rozmawiałam w ich Domu.

Potem tknęła palcem w panel i łódka popłynęła szybciej. W ogóle nie była to łódka, oni mówili na nią „mobil”, czy jakiś podobnie, choć zupełnie nie wiadomo, po co wymyślać nową nazwę, skoro jest stara.

– Co się stało? – zapytałam.

– Jedzie ku wam spory oddział uzbrojonych ludzi – odpowiedziała Diana. – Konno.

– Och! – jęknęłam.

Zimą koczownicy odchodzą na południe, tam jest ciepło i są lepsze trawy, a potem, z wiosną, ciągną z powrotem i rozdzielają się na mniejsze oddziały, które odbijają dość daleko od głównego szlaku.

– Ilu ich jest?

– Stu, może stu pięćdziesięciu – odpowiedziała. – Jak będą się poruszać w dotychczasowym tempie, za godzinę pojawią się tutaj.

– Za godzi...

– No, niedługo.

I tak wdarła się do naszej sadyby – na tym swoim mobilu ze świecącym ogniami, który ryczał tak głośno, że wszyscy powyskakiwali z Domów, żeby zobaczyć kto i z kogo zdiera skórę.

Zeskoczyłam na ziemię i wrzasnęłam:

– Koczownicy! Idą tu koczownicy! Widziałyśmy ich!

– Ale przecież... – spróbowała wtrącić Diana.

– No to powiedzcie im o tej waszej łączności na odległość! Akurat wam uwierzą!

W sadybie zawrzało. Sprawnie sprzątnięto wszystkie drabiny i przygotowano kamienie do rzucania; niektóre z nich owinięto szmatami zmoczonymi łatwopalną cieczą, a mężczyźni zajęli stanowiska za kamiennym nasypem, zza którego można było ostrzeliwać wszystkie podejścia do sadyby. Łódka Diany pogasiwszy ogień zawisła nad zboczem, jakby jej nie było. Przez jakiś czas było cicho – wszyscy się przyczaili, a potem usłyszałam tętent: tamci zawsze atakują w pędzie, licząc na zaskoczenie. Wkrótce wdarli się do doliny – pojawili się ciemną falą na tle dość jeszcze jasnego nieba. Ciągący się za nimi obłok pyłu rozmywał zarysy i dlatego wydało się nam, że konie i jeźdźcy zlewali się w jednego, długiego, potwornego zwierza.

Rozbolała mnie noga.

Może i naprawdę nie było ich więcej niż stu, ale mnie się wydało, że są znacznie liczniejsi. Nasi czekali w milczeniu, żeby podpuścić ich bliżej, a tamci, kiedy zbliżyli się na odległość strzału z łuku, zaczęli przeraźliwie wrzeszczeć, wałąc swoimi krótkimi kopiami w tarcze, i od tych ryków zrobiło mi się niedobrze.

I wtedy poleciały na nich kamienie z katapult. Pod końskie kopyta poleciały ogniste kule, rozbryzgujące snopy iskier. Konie zaczęły się płoszyć i rzucać na boki. Nie mam pojęcia, jak mogłoby się to skończyć, przypomniałam sobie mój kosz i pomyślałam, że teraz się pod niego nie wcisnę, ale właśnie wtedy, zza grzbietu wzgórze, błyskając wszystkimi światłami i rycząc niby ranny zwierz wypadła łódka Diany. Zawisła nad głowami napastników, tak że niewiele mogli wskórać strzałami, a z jej dna buchnęły fale różnobarwnego dymu. Ogarnięci nimi koczownicy gwałtownie ciskali wodze i zaczęli trzeć oczy dłońmi, a konie stawały dęba, zrzucając jeźdźców pod kopyta innych. Wszczął się straszny zamęt i nasi mężczyźni kopnęli się za nasyp z włóczniami, żeby podobijać leżących na ziemi, ale zaraz też zaczęli kichać jak najęci i krztusić się tym dymem. W sumie można powiedzieć, że był to bardzo udany wieczór, choć oprócz koni i kopii niewiele nam się dostało – szykujący się do napaści koczownicy zbytnio się nie obciążają.

Diana wyszła z mobila z dolną częścią twarzy ukrytą pod maską, i teraz z przerażeniem patrzyła, jak nasi sumiennie dorzynają rannych. Wytrzeszczyła oczy – nigdy jej taką nie widziałam – i drżała jak w gorączce, a gdy jej wzrok padł na jednego draba ze zmiażdżoną głową, zbladła, jednym szarpnięciem zdarła z twarzy maskę i puściła pawia – nie zdążyła nawet odbiec na bok. Pomyślałam, że Gwiedzni mają takie słabe żołądki, bo jedzą zbyt delikatne pożywienie. Zaraz potem otarła twarz, włożyła z powrotem do swojego mobila i tyle ją widziano. Nawet się nie pożegnała – a nasi akurat się zebrali, żeby jej z serca podziękować, bo wszystkim uratowała tyłki... i nie tylko.

* * *

O pomocy udzielonej w biedzie się nie zapomina – i kiedy następnego dnia rano przyjechał po mnie Ulisses, przyjęto go z wszystkimi honorami: na powitanie mobila wyszła starszyzna wszystkich Domów i Gwiedzni musiał wysłuchać zapewnień o wiecznej przyjaźni. Sam też powiedział coś odpowiedniego do sytuacji, ale według mnie czuł się przy tym dość niezręcznie i cały czas uciekał wzrokiem na boki. Nie wiem zresztą, czego szukał; pobitych już rozdzielano i uprzątnięto, a jeńców [było ich w sumie tylko dwóch] zabrano precz i nie było na co się gapić.

Potem wrócił do mobila – ja siedziałam już w środku – i powiedział:

– Jedziemy.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu, widziałam jednak, że chce mnie o coś zapytać, ale

nie może się zdecydować.

– Wasza Diana nieźle to sobie umyśliła, choć nie mam pojęcia, czym ona ich...

– Gazem łzawiącym – stwierdził, myśląc chyba o czymś innym, a potem dodał: – Posłuchaj...

– Tak?

– Zaproszono mnie na święto... właściwie wszystkich nas zaproszono.

– A jakże – odpowiedziałam. – Przecież jesteście naszymi sojusznikami.

Tego akurat należało się po starszyźnie spodziewać – wcześniej wszyscy uważali, że choć z plemieniem Gwiezdných Ludzi można się jakoś dogadać, ale i ogólnie, i w szczegółach, są mimo wszystko przyglupami, ale po wczorajszym okazało się, że tak potężnych przyjaciół jak oni nie znajdziesz nigdzie, choćbyś za dnia z ogniem szukał. Teraz nikt już nie powie, że przybysze przynoszą nieszczęścia i pecha.

– Jeżeli się z nami spokrewnicie, możecie brać sobie od nas kobiety. Tej wiosny akurat kilka doszło do swoich lat. Przyjdzie wam zapłacić, jasna rzecz, ale za wiele od was nie zażądataj – co tam się liczyć między swojakami...

Zrobił taką minę, jakby nie za bardzo go to ucieszyło.

– A na tym święcie...

– Będzie mnóstwo dobrego jedzenia.

– Owszem... – mruknął smętnie. – Ale z czego będzie to jedzenie?

Dopiero wtedy zrozumiałam.

– A co wy sobie myślicie? Za dzikusów nas uważacie? Nie zjadamy nieboszczyków. Jakże mogliby sobie znaleźć drogę do domu, pytam się ja was? Kładziemy ich w pieczarach, twarzą ku zachodowi, wszystko jak się należy. Nawet broń im dajemy – choć nie żelazną.

Westchnął jakby z ulgą.

– Koninę przygotowują – wyjaśniłam. – Tyłu koni nie wykarmimy.

Ponownie zrobił ponurą minę.

– Widziałem wczorajsze pobożowisko – powiedział.

– Nie łyżycie! – nie wytrzymałam. – Jak mogliście widzieć, skoro was tam nie było? Była Diana.

– Na mobilu ustawiono samoczynne kamery. Utrwalają wszystko, co się dzieje dookoła.

– Jak Kroniki? – zapytałam.

– Owszem, jak Kroniki.

Zamyślił się na chwilę, a potem powiedział:

– Czytać o tym, jak było kiedyś, to jedno, ale zobaczyć wszystko na własne oczy, to rzecz zupełnie inna.

– I co z tego? – zachnęłam się. – Świat jest taki, jaki był.

Westchnął ponownie.

– Wygląda na to, że masz rację.

– Nie mam pojęcia, skąd przybyliście – być może u was są inne porządki, ale u nas tak było od zawsze.

Starał się nie pokazać tego po sobie, ale spostrzegłam, że jest mu nieswojo. Może oni i koniny nie jedzą?

– Jakże wam tu żyć się będzie, skoro jesteście tacy delikatni? A ta wasza Diana? Jak popatrzyła na tego gnojka, zaraz puściła pawia. Dostał w łeb kamieniem z katapulty, a potem zleciał pod końskie kopyta... i głowa, wiadomo, pękła jak orzech, a mózg na kamienie-bryzg! A ona jak nie zzielenieje, i...

– Oj, przestań, bardzo cię proszę – zachnął się natychmiast.

– Jak walą z katapult, to prawie zawsze ktoś tak oberwie. A u was co, katapult nie macie? To czym się będziecie bronić?

– Coś tam się znajdzie.

Dziś nie mieli do mnie głowy; wiadomo, szykowali się na święto – skoro nasi gotowi są zasypać nowych przyjaciół podarunkami, to i ci, jasna sprawa, nie chcieli dać się wyprzedzić w szczodrości, pakowali więc zwoje tkaniny, lekkiej i mocnej, te ich wspaniałe naczynia, które nie pękają nawet, gdy je upuścić na kamienną posadzkę, i nawet sztabki żelaza – bogate, bardzo bogate dary. Gwiazdni Ludzie mają wszystkiego pod dostatkiem i mogą sobie pozwolić na taką hojność. W sumie prawie nie widziałam Diany, która przedtem cały czas gdzieś tu się kręciła, przyszedł za to ten siwy – rozmawiali z Ulisesem o czymś w naszym, nie tym ich języku, ale mówili tak szybko i cicho, że mogłam rozróżnić tylko oddzielne słowa: „taka możliwość...”, „powinieneś...”, „w każdym przypadku...”. Siwy jakby nalegał, Ulisses się sprzeciwiał, i stopniowo zaczęli mówić coraz głośniej. Potem siwy powiedział:

– No dobrze. Ale weź pod uwagę, że możemy się mylić.

– Nie – ponownie sprzeciwił się Ulisses. – Nie sędzę. Sam widzisz: nigdzie więcej... niczego...

– To znaczy – stwierdził siwy – że szukamy nie tam, gdzie powinniśmy.

– Tak czy owak – odezwał się Ulisses znowu zniżając głos – oni są naszymi sąsiadami.

Znów przeszli na szept, potem siwy westchnął, jakby zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale ostatecznie machnął ręką i wyszedł.

– Ten Granż jest wodzem? – zapytałam.

Ulisses pokręcił głową:

– U nas nie ma wodzów. Ale Lagrange odpowiada za określoną dziedzinę ludzkiej działalności. Znaczą, za stosunki międzyludzkie.

– Jest takim jakby starszym?

– Owszem, takim jakby.

– I dlaczego jest niezadowolony?

– Uważa, że na darmo tracimy czas. Ja tak nie myślę. Gdyby zaproponował jakąkolwiek alternatywę, tobym go wysłuchał, ale...

Zauważyłam jedno – Gwiazdni zawsze odpowiadali na pytania, ale najczęściej tak, że niczego nie dało się zrozumieć.

* * *

Dziś wszystko było inaczej niż zwykle; najpierw Ulisses mnie odwiózł, potem odjechał, a potem mobil wrócił z trzema osobami – przyjechali Ulisses, Diana i ów właśnie Lagranż. Przyjęto ich z honorami i po zgodnej z tradycją wymianie darów usadzono ich na honorowym miejscu, postawiwszy przed każdym po dzbanie kwaśnego wina i ogromnym kęsie mięsiwa – daleko od dzieci i staruchów, co i rusz starających się zwykle podwędzić jakiś kawałek.

Mnie też by przepędzono, ale byłam jakby w ich świetle.

Obrzęd spowinowacenia przeszedł zgodnie z obyczajem, choć tak myślę, że gdy Krzczot podszedł do nich ze świętym nożem, to specjalnie się nie ucieszyli. Tak czy owak, pozwolili sobie naciąć ręce i krew ich zrosiła ziemię, mieszając się z krwią pozostałych członków obrzędu. Przeznaczone dla nich dary, solidne i przydatne, przeważnie wykonane z żelaza, wladowali do swojego mobila. Chroniciel ze ściśniętym sercem podarował im kilka wybranych na chybił trafił Przedmiotów [co prawda wszystkie pochodziły z tej części jego Domu, w której leżały rzeczy wyraźnie uszkodzone i do niczego nieprzydatne], oni zaś podziękowali uprzejmie, oznajmiając, że z czasem zorientują się, co do czego służy i zatrzymają te Przedmioty, które im będą odpowiadały. Wiadomo, teraz czasu mieli pod dostatkiem – mogli tu zostać jak długo by zechcieli.

I wszystko poszłoby gładko, gdyby Krzczot nie poprowadził ich do jeńców. Ci nawet nie byli ranni – ogłuszył ich upadek z konia, a teraz leżeli pod Kamieniem Zmierzchu, związani jak się należy – ręce za plecami i podciągnięte do kostek. Zdążyli się jednak już ocknąć i teraz łypali niespokojnie oczami na boki.

– Proszę bardzo, drogi gościu – odezwał się uprzejmie Krzczot i podał święty nóż temu Lagranżowi, uznawszy go widać za starszego i ważniejszego.

Ten zachnął się z niedowierzaniem w oczach.

– Wygląda na to – odezwał się cicho Ulisses – że nam proponują, żebyśmy się z nimi rozprawili.

– A jakże – stwierdził Krzczot. —To wielki honor. I dla was, i dla nas. Dzielni to wojownicy i powinni umrzeć od noża. W przeciwnym razie, jakże im będzie iść na Zachód?

– Nie – odparł Lagranż. – Nie. Tego zrobić nie mogę. Złożyłem ślubowanie. O właśnie –

tego mi zabrania złożony przeze mnie ślub.

– Ślub, że nie będziecie zabijać? – zdziwił się Krzczot.

– Nie. Nie wolno mi tylko zabijać związanych i bezbronnych ludzi – odparł twardo Lagranż.

Krzzot zerknął na niego i na jego niewzruszonej twarzy mignął uśmiešek.

– No cóż – odpowiedział – różnie w życiu bywa. Ale jeżeli wy związaliście się tak dziwną przysięgą, to może wasz człowiek...

– O nie! – parsknęła Diana krótko.

Krzzot nawet nie spojrział w jej stronę, jakby jej tu nie było.

– Mam oddać nóż jemu? – kiwnął głową wskazując Ulissesa.

Ciekawe, pomyślałam, jak ten się wykręci? Według mnie takie zabójstwo nie mieściło im się w głowach, choć żaden z nich ani razu nie powiedział tego wprost.

– Ten ślub – stwierdził Lagranż ze spokojem w głosie – rozciąga się na wszystkich członków naszego plemienia.

Krzzot wzruszył ramionami.

– Wasza sprawa. Myślałem tylko, że jesteście mocnymi ludźmi. Prawdziwymi mężczyznami.

Była to niemal obraza, ale oprócz mnie i Krzczota nikt jej chyba nie zauważył. No, oczywiście jej świadkami byli jeńcy. Jeden z nich splunął na ziemię, nie przestając wiercić Lagranża wściekłym spojrzeniem.

– To pozwól, że ja to zrobię, mój przyjacielu – odezwał się Krzczot po krótkiej chwili milczenia.

Wziął święty nóż i postąpił krok ku więźniom. I wtedy Lagranż rzucił szybko:

– Poczekajcie.

Krzzot pomyślał, że jego nowy pobratymiec zmądrzał wreszcie i odwróciwszy się szybko stwierdził:

– No proszę.

– Możemy ich wykupić – rzekł Lagranż patrząc mu w oczy. Trzeba przyznać, że nie można mu było odmówić śmiałości ani zdecydowania. – Wymieńcie swoją cenę.

– Cenę? – zapytał zimno Krzczot. – A jaka tu może być cena? Ich życie, mój przyjacielu, nie ma już żadnej wartości!

I dodał, lekko naciskając drugą dłońią głownię świętego noża:

– Za to śmierć i owszem, ma.

– Jeżeli ich śmierć oddacie w nasze ręce – odezwał się siwy spokojnie – uznam to za potwierdzenie naszej przyjaźni.

Krzzot zastanawiał się niezbyt długo:

– Znaczący, potrzebni są wam niewolnicy? – zapytał z pogardą w głosie. – Cóż, każdy ma swoje obyczaje. My niewolników nie trzymamy. Ci tutaj, mój przyjacielu, do niczego się nie

nadadzą. Ludzie stepu to kiepscy niewolnicy. Są na to zbyt dumni. Nigdy wam nie wybaczą tego, żeście ich nie pozabijali.

Lagranż postanowił najwyraźniej, że nie ustąpi.

– To już nasza sprawa.

Krzeczot zacisnął wargi.

– Niech będzie, jak chcecie – rzekł. – Zgoda. Bierzcie ich. Wzgardziłbym sam sobą, gdybym zaczął handlować ludźmi. A wy... bierzcie. Za darmo.

I dodał drwiąco:

– Może jeszcze zechcecie, żebym rozciął im więzy?

– Nie ma potrzeby – stwierdził Lagranż. – Podjedziemy mobilem tutaj.

Jeden z koczowników, ten starszy, nawet nie drgnął, choć doskonale rozumiał, o czym była mowa – narzecze Ludzi Stepu nie bardzo się różni od naszego, za to młody nie wytrzymał. Szarpnął się jak pojmana wydra.

– Zabij mnie – wycharczał. – Jesteś łajnem. Jeżeli nie chcesz zabijać bezbronnego, to rozwiąż mi ręce i spróbuj wtedy!

– No cóż... – odezwał się Lagranż. – Wytrzymaj do obozu.

Kiwnął głową Ulissesowi – cokolwiek by ktoś mówił, skoro go słuchano, był jednak wśród nich kimś w rodzaju wodza. Ulisses jednym szarpnięciem podniósł jeńca i przerzucił go przez burtę mobila, który tymczasem Diana podprowadziła ku Skale Zmierzchu. Na widok bezszumnie podpływającego, ciężkiego pojazdu ten młodszy spróbował się wyrwać, ale Ulisses trzymał go nie pozwalając mu na żaden ruch. Spojrzałam na starszego. Ten leżał w pętach milcząc i bez ruchu, a gdy poniesiono go w stronę mobila nawet nie drgnął, ale zmierzył Gwiazdnych takim spojrzeniem, że na ich miejscu dobrze bym pomyślała, zanim tknęłabym go choć palcem.

Lagranż podziękował Krzeczotowi za poczęstunek, wsiadł do mobilu z pozostałymi i czcigodni goście odjechali. Krzeczot odprowadził znikające ognie mobila spojrzeniem pełnym zadumy.

– Bardzo są dziwni, ci Przybysze – stwierdził wreszcie. – I składają dziwne śluby. Żeby pozbawiać jeńca prawa do godnej śmierci... Sumienia nie mają, czy co?

* * *

Kiedy następnego ranka Diana przywiozła mnie do sadyby Gwiazdnych Ludzi, zobaczyłam, że na moim zwykłym miejscu siedzi jeden z koczowników – ten młodszy. Obok niego stał zadowolony z siebie Ulisses. Nie wiedzieć dlaczego poczułam ukłucie zazdrości – jakby nie pytając mnie o zdanie pozbawiono mnie tego, co do tej pory było wyłącznie moje. Najwyraźniej odbiło się to na mojej twarzy, bo Ulisses pospieszył z wyjaśnieniami:

– To chwilowe. Później znajdziemy mu inne miejsce.

Wzruszyłam ramionami udając obojętność.

Koczownik zmierzył mnie kosym spojrzeniem. Jego twarz niczego nie wyrażała, ale zrobiło mi się jakoś nieswojo. A Ulisses ciągnął dalej, jak przedtem dobrodusznie:

– Poznajcie się. To Borsuk.

– A jakże – powiedziałam.

Żaden koczownik, choćby go wziąć na męki, nie zdradzi swojego prawdziwego imienia.

– A to Wyja.

I co z takim zrobisz!

Tym niemniej powiedziałam zgodnie z wszelkimi formami:

– No cóż, teraz wiesz.

W tym miejscu magia koczowników z pewnością nie działa. Gwiazdni Ludzie mają swoją.

– Diana, chodź tu. Oprowadź go. Może ich trener jest już przygotowany. I zadbaj o to, żeby ich nakarmiono.

Koczownik wstał i żwawo ruszył ku wyjściu. Co prawda szybko spostrzegłam, że Diana nie podchodzi do niego za blisko, a w ręku ma jakiś dziwny płaski Przedmiot, który musiał być rodzajem broni: Przybysze, choć mieli swoje dziwactwa, z pewnością nie byli skończonymi idiotami.

Ulisses z taką samą jak przedtem zadowoloną miną przyglądał się kolorowym słupkom na ekranie.

– Zdumiewające zdolności – powiedział. – Wszystko chwytają z nadzwyczajną łatwością.

– Łatwiej niż ja? – zapytałam zazdrośnie.

Zmieszał się najwyraźniej, nie chcąc mnie urazić.

– No, idzie im szybciej.

– To puśćcie mnie do domu. Macie kogo uczyć. Oni, jak myślę, będą u was mieszkać?

– Owszem – zgodził się Ulisses. – Przez jakiś czas.

Spojrzał na mnie i powiedział:

– Posłuchaj, to nie ma nic wspólnego z tobą. Raczej... chciałem, żebyście się bliżej zaznajomili.

– Po co? – zapytałam zimno.

– Być może, jeżeli się jakoś dogadacie, to uda się w końcu przerwać te niekończące się najazdy i bezmyślne rzezie. Wszyscy na tym skorzystają – wy i oni. Jak się wszystkiego nauczą i wrócą do swoich...

Zrozumiałam, że Gwiazdni Ludzie są stuknięci. I że byli stuknięci od samego początku.

A potem wyjaśniłam cierpliwie jak małemu dziecku.

– Ulisses, nie wolno do tego dopuścić. Nie wiem, co wyście im tam naobiecowali, jak ich

namawialiście i co oni wam obiecali, ale to nieważne, bo oni zgodzą się na wszystko, złożą wam przysięgi jakich zażądacie, co tam zresztą – podzielią się z wami posiłkiem i będą jeść z waszych rąk, a mimo to nie będą się uważali za związanych żadnymi obietnicami i przysięgami. To koczownicy! Wystarczy, że się odwrócisz do któregoś plecami, a wsadzi ci nóż w plecy. Śmiertelnie ich obraziliście – i czego się teraz po nich spodziewacie?

Spojrzał na mnie z wyrzutem w oczach.

– Rozumiem, że trudno się uporać ze starymi przesądami i urazami – powiedział. Wyglądało na to, że i on mnie uznał za ciężki przypadek idiotyzmu. – Ale minie jakiś czas i zrozumiesz, że oni są takimi samymi ludźmi, jak ty. Nie są w niczym od was gorsi!

– Akurat!

– I bardzo chętnie zgodzili się z nami współpracować. Bardzo ich tu wszystko zaciekało, pojmujesz?

– A wyście im uwierzyli? Ciekawe, co powiecie, jak wam poderzną gardziele?

Co prawda wiadomo, że w takim wypadku bałwan jeden z drugim też nie powie ani słowa.

Miałam ochotę płakać ze złości.

– I wy myślicie, że on wam zdradził swoje imię? Akurat! Wziął pierwsze lepsze z brzegu. Ukradł któremuś z naszych!

Ulisses wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, jaka to różnica? I w ogóle jak można ukraść imię? Może po prostu przejął je po jakimś znanym człowieku? Każdemu wolno tak się nazwać, jak mu się spodoba!

– Co wy nie powiecie? Moje imię, na przykład, zawsze jest przy mnie. I nikomu go nie ukradłam. Inna rzecz, że kiedy dorosnę, dadzą mi drugie, tajne, którego nikt poznać nie może.

„Tylko mąż i żona znają swoje drugie, tajne imiona – pomyślałam. – Ale ja chyba nigdy nie będę miała męża, ani dzieci”.

– Nigdy bym nie pomyślał – odpowiedział Ulisses – że koczownicy wykażą się większą cierpliwością i zrozumieniem niż twoi współplemieńcy.

I wyszedł. Albo naprawdę się na mnie rozeźlił, albo udał, żebym poczuła się winną – nie da się ich zrozumieć, tych Gwiezdników.

* * *

– Nie da się zrobić tak, żebym więcej do nich nie jeździła? – zapytałam wieczorem Chronicieła.

– A co się stało? – odezwał się z niezadowoleniem w głosie.

Od tamtego dnia, w którym złożyłam Przedmiot, zauważyłam, jak on na mnie patrzy – z nadzieją i oczekiwaniem, jakbym mogła dokonać jakiegoś niesłychanego cudu.

– Oni uczą tych koczowników – powiedziałam.

Zamyślił się na chwilę.

– Uczą? A ja cały czas się zastanawiałem, po co im niewolnicy? Ich łódka porusza się sama z siebie, a wszystko pozostałe działa chyba podobnie.

– To się źle skończy.

Przez chwilę poruszał wargami.

– Mmmm... Może to być... może być.

– Mówią coś o bezsensownych rzeziach... i że teraz my z koczownikami zawrzemy jakby przyjaźń. Oni w rzeczy samej coś mają z głowami, ci Gwiezdni Ludzie.

– To nie tak – zaprzeczył stary. – Wiesz... oni są całkiem jak ci w starych Kronikach. Czytałem o takich. Przypuszczam, że chcą jak najlepiej. Chcą zmienić świat...

– Po co?

– Może sądzą, że powróci Złoty Wiek.

– A on w ogóle był? Ten Złoty Wiek?

– Myślę, że i wtedy sprawy były dość skomplikowane. W przeciwnym razie po co by im były Przedmioty służące do zabijania?

– To może ja jutro nie pojedę?

– Pojedziesz – uciął Skarabeusz. – Jeżeli oni rzeczywiście nauczą koczowników czegoś, czego my nie będziemy wiedzieli... Nie, nie wolno do tego dopuścić. I wiesz, co jeszcze?

– Tak?

– Nigdy nikomu tu nie mów o tym, co oni robią z tymi jeńcami.

Zrozumiałam, że i on się przestraszył. Nie mniej, niż ja... a może i bardziej.

– Mów, że widziałas, jak oni tam kamienie w żarnach popychają, albo noszą wodę. Coś w tym rodzaju. Bo nasze matyły ze starszyny dojdą do wniosku, że nie masz tam niczego do roboty.

Westchnęłam ciężko.

– No dobrze – powiedziałam. – Rozumiem. Pojadę.

* * *

Oczywiście ci koczownicy żadnej wody tam nie dźwigali; nie mam zresztą pojęcia, czym się tam zajmowali – ja uczyłam się robić Kroniki. O tym to nawet Skarabeuszowi nie powiedziałam – doszedłby do wniosku, że Gwiezdni rzucili na mnie urok, albo co. Pomyślałam, że powiem mu o tym później, jak już będę wszystko umiała jak należy; może w końcu zrozumie, że żadnej chytrności w tym nie ma, i że Kronika wcale się nie zmienia, jeżeli ją wiernie przepisać. Z początku bałam się okropnie podczas przepisywania znaczków – nawet ręka mi sztywniała, bo

przez cały czas spodziewałam się gromu z jasnego nieba, albo czegoś w tym rodzaju, ale widać Gwiezdni Ludzie mieli swoją magię. A potem nabrałam śmiałości. Diana była ze mnie raczej zadowolona – a że znaczki wychodziły mi takie krzywe to nic, mówiła, z czasem nabiorę wprawę. Kiedy ona brała się do dzieła, znaczki wychodziły jej zupełnie równe, jak prawdziwe. Inna rzecz, że Kroniki trafiały mi się całkiem bezużyteczne – na przykład długa historia o jakby koczownikach, tylko że morskich, którzy przez prawie dziesięć lat oblegali jakichś osiadłych – jakaż to sadyba ostoi się tak długo? Rzecz chyba w tym, że ci osiadli uprowadzili tamtym jakąś babę, nie zapłaciwszy kałumu, choć pytam się, na kiego grzyba była im ta baba po dziesięciu latach? Przecież do niczego się już nie nadawała! A kiedy zapytałam Dianę, po co komu Kroniki o jakichś wariatach, roześmiała się tylko i powiedziała, że to „artystyczna przesada”. Tak to zrozumiałam, że Ten-Który-Opowiadał wszystko Temu-Co-Zapisywał zełgał trochę, żeby upiększyć opowieść; wstyd i tyle.

Więc tak – siedziałam sobie i przepisywałam tę nudną Kronikę – Diana zaznaczyła mi kawałek „odtąd dotąd” i wyszła, a tu włązi ten Borsuk z kradzionym imieniem. Zrobiło mi się strasznie – sam otworzył wejście, jakby tak było trzeba. Na wszelki wypadek cofnęłam się za stół z ekranem – w pomieszczeniu nie było niczego nadającego się do obrony, choćby zwykłego noża!

Obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem, podczas gdy ja dygotałam i myślałam, czy nie wezwać pomocy [niekiedy Gwiezdni słyszą na odległość], on jednak nie podszedł bliżej, tylko powiedział:

– To ciebie tu chowają! Ty co, też wykupiona jesteś?

– Nie twoja rzecz! – odpowiedziałam.

– Nie bój się – ciągnął swoje. – Nie ruszę cię. Chciałem tylko zapytać – co to za jedni?

– Nowe plemię.

– Skąd przyszli?

– Z nieba.

Pokręcił głową.

– Niemożliwe.

– Sama widziałam.

– Ilu ich tu jest?

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Chyba wielu, skoro tak szybko wznieśli swoją sadybę.

Uśmiechnął się.

– To nic nie znaczy. Oni wszystko robią szybko. Znaczą, te ich sztuki, maszyny. Cała ich siła jest w tych maszynach. Wszystko za nich robią – toczą wodę, wożą karmią. Bez tych maszyn byliby bezradni jak nagie i bose dzieci. Tak jak ślimak bez pancerza – nadepnij i po wszystkim. Więc ilu ich tu jest? Gdzie spędzają nocę?

– To wy tu chodzicie, gdzie chcecie. Nie ja. Sam powinieneś wiedzieć lepiej.

– Nas trzymają oddzielnie. I zamykają na noc. A poza tym nie wszystkie drzwi otwierają się tak łatwo.

Ponownie obrzucił mnie zimnym spojrzeniem.

– Czyli przychodzisz tu z własnej woli? Wasza sadyba się z nimi pobratała, tak? Dobrych pobratymców sobie zna leżliście – przecież to nieludzie! Ale czego się spodziewać po osiadłych?

– Ale przynajmniej nie uderzamy z tyłu!

– Przekaż waszym – powiedział – że jeszcze zapłaczą krwawymi łzami.

Może i rzeczywiście nie zamierzał mnie zabijać teraz, ja jednak byłam prawdziwie przerażona. I wtedy drzwi otworzyły się ponownie, wpuszczając Ulissesa. Koczownik natychmiast umilkł i wbił wzrok w ziemię, a Ulisses obdarzył nas tym swoim głupawym, dobrodusznym uśmiechem.

– No tak – stwierdził. – Wygląda na to, że zaczynacie znajdować wspólny język...

Otworzyłam już usta, żeby mu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę, ale uprzedził mnie koczownik z kradzionym imieniem:

– Tak właśnie – odpowiedział. – Wszystko w porządku, przyjacielu.

* * *

Wiosną do słonego jeziora położonego na wschód od sadyby, za przesmykiem łączącym je z morzem, napływają ryby – nazywamy je „głowaczami” – żeby nabierać tłuszczu i składać ikrę. Na dzień wiosennej równi wszystkie pobliskie sadyby wysyłają tam oddziały swoich ludzi na wielki połów. O zachodzie rozstawiają sieci w tym przesmyku, przez który jezioro łączy się z morzem i przez całą noc krążą z pochodniami, zaganiając ryby w saki, a potem wybierają niewody. Tej nocy pozostający na brzegu palą zwykle ogniska i tańczą, żeby połów był udany. Potem prawie przez cały miesiąc w okolicy pachnie rybą, wszędzie błyszczą łuski, a nad stertami rybich flaków kręcą się chmary zielonych much, ta jednak noc jest naprawdę czarowna i niezwykła – i kiedy opowiedziałam o niej Ulissesowi, zapalił się do wszystkiego i powiedział, że chce zobaczyć nocny połów. Najpewniej niczego takiego nie widział – pomyślałam sobie, że jeśli rzeczywiście przylecieli z gwiazd, znaczy ryb tam u nich nie ma.

– Jeżeli zechcecie stanąć z tymi, co stawiają sieci – powiedziałam – Krzczot nie będzie się sprzeciwiał.

– Dobrze – odparł. – To przyjdziemy z Dianą.

– Nie rozumiem, po co tu Diana? Kobiety nie stawiają sieci. Jeżeli ona zechce wejść do jeziora podczas połowu, ryba się obrazi i na zawsze odpłynie w morze. Co, nie wiedzieliście?

– Pojęcia nie miałem – przyznał. – Ale ty sama idziesz?

– Ja do wody się nie pcham. Zostanę z innymi – będziemy siedzieli na brzegu i palili ogniska. Akurat mi potrzebne, żeby mnie ukamienowano!

– Jasna sprawa – odpowiedział. – No cóż, znaczy – ona też posiedzi na brzegu.

Przez chwilę milczał, a potem zapytał:

– A gdybyśmy wzięli ze sobą Borsuka i Mrocza?

– A jak myślicie?

– Myślę – stwierdził ze smutkiem w głosie – że nikt z waszych przyjaciół by ich nie powitał. A szkoda – byłby to doskonały pretekst do rozpoczęcia rozmów pokojowych. Mroczek w swoim plemienu ma wielki mir.

– Sam wam to powiedział?

– A czemu miałbym mu nie wierzyć?

– Bo koczownik nigdy nie powie wam prawdy. I żaden z niego Mroczek – też ukradł komuś imię.

– Coś ty się tak przyczepiła do tych imion? – sarknął z rozdrażnieniem w głosie.

– Bo to najważniejsze, czy tego nie rozumiecie? Oni nie mają żadnego honoru, ot, nawet tyciuteńko...

– A ja liczyłem na to, że jednak zmienisz swoje nastawienie, kiedy poznasz ich trochę lepiej – stwierdził smętnie.

– Ulissesie – odpowiedziałam – nawet o to mnie nie proście.

Cokolwiek by sobie myślał, posłuchał jednak głosu rozsądku i przywiózł ze sobą tylko Dianę. Została na brzegu jeziora z innymi kobietami i dziećmi, które jak zwykle w takie święta, wszędzie wtykały swoje nosy i pętały się pod nogami. Gwiezdna Kobieta trzymała się godnie i z honorem, ja jednak widziałam, że czuje się nieswojo – nasze baby na wszelkie sposoby starały się jej dać do zrozumienia, iż jest tu potrzebna jak zającowi piąta noga. Wiedziałam, że nią gardzą – nie umiała robić niczego, co powinna umieć przyzwoita kobieta, pytała nawet o to, jak się wypieka chleb. Wszędzie płonęły ogniska – cały brzeg był nimi ukwiecony, jak jesienne niebo gwiazdami, wszędzie słychać było śmiechy i nawoływania, odbite w wodzie niebo mieniło się wszystkimi barwami zachodu, potem pozieleniało, zieleń zastąpił głęboki granat – a ognie na brzegu zapłonęły jeszcze jaśniej. Na jeziorze też lśniły ognie odbijające się w czarnej toni – pochodnie, latarnie i olejne kaganki – jedne na dziobach łodzi, inne w dłoniach naganiaczy. Jezioro było płytkie, poza niektórymi tylko miejscami można było w nim brodzić zanurzając się co najwyżej po pas. Z kęp sitowia co chwila wzbijały się przestraszone ptaki, dziś jednak nikt nie zwracał na nie uwagi. Niekiedy nad głowami przemykały bezszelestnie nietoperze, zwabione chmarami owadów, które zlatywały się do świateł.

Diana patrzyła na to wszystko ze zdumieniem i zachwytem w oczach – nawet usta otworzyła. W dłoniach trzymała taki specjalny Przedmiot, bardzo mały, za pomocą którego każdy potem

będzie mógł zobaczyć to, co widziała tylko ona – nazywali ten Przedmiot „kamerą”. Powoli wodziła nią z boku na bok, potem się odwróciła i ujrawszy mnie chyba się nawet ucieszyła – zwykle traktowała mnie łaskawie i z góry, jakbym była jakąś niezgułą i przygłupem, teraz jednak widać dokuczyla jej wrogość naszych bab.

– Och – odezwała się – jakież to piękne... Wszystkie te ognie i ogniska...

– To na ryby – wyjaśniłam. – Tej nocy ryby boją się światła, i uciekają przed nim do przesmyku. A tam postawiono sieci.

Spojrzała na mnie i stwierdziła z nieokreślonym smutkiem w głosie:

– Wy wszystko robicie z jakiegoś konkretnego powodu... celowo, prawda?

Zdziwiłam się:

– A jak można inaczej? Głupio byłoby robić cokolwiek tak sobie, bez powodu.

Pokręciła głową i ponownie podniosła tę swoją kamerę do oczu. Niebo zrobiło się już zupełnie czarne, tej nocy akurat równia przypadała na pełnię Księżyca, co uznawano za dobry znak na cały najbliższy rok.

Na wschodzie, dysząc miarowym, nocnym oddechem, leżało morze. Teraz było niewidoczne, ale wisiała nad nim mgła, przez którą światło gwiazd przebijało się z trudem. Właśnie stamtąd, zza krawędzi wód, wiosną zlatywały się gęsi, krzyżąc i skarżąc się jak małe dzieci na te niewiadome siły, które gnały je w nasze kraje. Pomyślałam kiedyś, że może tam w dalekiej krainie w ogóle nie ma stałego lądu i one płaczą dlatego, że sądzono im bez przerwy krążyć na wietrze. A może przyleciały z tej jasnej, jakby rozmytej przez deszcze zielonej gwiazdy, która czasami pojawia się nad krawędzią morza?

Kiedy zapytałam o to Dianę, ta pokręciła przecząco głową i powiedziała, że nie – tam, za morzem, są takie same ziemie, jak nasza.

– To czemu ptaki nie zostają tam na całe lato?

Odpowiedziała, że ptaki tak się zachowują od wielu wieków; one po prostu nie mogą nie wędrować, tak są zbudowane i już.

– Jak wy? A może przylecieliście tutaj po prostu dlatego, że tam, gdzie żyliście wcześniej, skończyła się żywność?

Odpowiedziała, że nie – było całkiem nieźle, ale musieli tu przylecieć. Musieli jednak pokonać bardzo długą i niebezpieczną drogę, a ptaki lecą tylko zza morza.

– Więc skąd wiecie, jak jest za tym morzem – zapytałam – skoro tam nie byliście?

Odpowiedziała, że wiedzą, jak się wyraziła „w ogólnych zarysach”; po pierwsze, dlatego, że wszystko widzieli z góry, zanim wylądowali u nas; po drugie dlatego, że niedawno wysłali tam coś w rodzaju tej kamery, która sama z siebie unosi się nad ziemią, niby dzika gęś.

– Jeżeli chcesz, to da się urządzić, żebyś zobaczyła to, co ona tam ogląda – zaproponowała.

Uprzejmie podziękowałam – ogólnie rzecz biorąc oni nie byli skłonni do łgarstw, choć

wierzyli w rozmaite głupoty, jak ta historia z dziesięcioletnim obłąčeniem. Nie bardzo jednak wiedziałam, po co im była taka sztuczka – no dobrze, spojrzeć raz i drugi, to zrozumiałe, dobrze jest wiedzieć, co się dzieje, ale żeby tracić cały swój czas na obserwację miejsc, których być może nigdy się nie odwiedzi...

Diana zaczęła mi to wyjaśniać, i tak jak zwykle z Gwiazdnymi, dość niezrozumiale – mówiła o „duchu poszukiwań” i o przeznaczeniu rodzaju ludzkiego. Zrozumiałam z tego tylko, że oni szukają kogoś, lub czegoś, i że my wcale nie jesteśmy tym skarbem, ku któremu dążyli błędząc wśród gwiazd.

– My też się do was nie pchaliśmy ze swoją przyjaźnią – stwierdziłam.

– Nie, nie – odparła pospiesznie – źle mnie zrozumiałas.

Mnie jednak się wydało, że trafiłam w sedno.

Ognie na jeziorze pobladły i zaczęły przygasać, za to niebo na wschodzie pojaśniało i od morza nadleciał chłodny, rześki wiatr. Najwyższa pora ogrzać się przy jednym z ognisk, dopóki te się nie powypalały – Diana nie marzyła w tej ich dziwnej odzieży, ale mnie zaczął przenikać ziąb, odwróciłam się więc do niej, żeby powiedzieć, że połów właściwie już się skończył i najwyższy czas napić się czegoś gorącego, dopóki woda w kociołkach nie wystygła.

I wtedy zobaczyłam, że na wschodzie, nisko nad morzem, tropem dzikich gęsi przepływa Miasto Martwiaków.

Było dokładnie takie, jak w opowieściach starych ludzi, którym zdarzyło się je widzieć – mglista świecąca plama o płaskiej podstawie, na której pewnie osiada znużywszy się wędrówkami i włóczęgą; przez mgłę widać było niejasne zarysy lasu ni to gigantycznych włócznie, ni to lśniących pni drzew, zakończonych jak kapelusze strzelistych grzybów. Wydawało się, że jeżeli dobrze natężyć wzrok, to można zobaczyć i pojąć, co tam widać naprawdę, ale w rzeczywistości wszystko się przelewało, zmieniało kształt i rozplýwało w wilgotnym powietrzu.

Chwyciłam stojącą twarzą do mnie Dianę za rękaw.

– Co ci jest? – zdziwiła się.

Ja jednak przejęta strachem niczego nie mogłam powiedzieć – otwierałam tylko i zamykałam usta, jak ryba głowacz, którą wyciągnięto z wody.

W końcu odwróciła się, żeby popatrzeć na to, na co się gapiłam, ale tymczasem z przekłętego Miasta została tylko świetlista plama we mgle – w rzeczy samej przemieszczała się bardzo szybko.

– Widzieliście?

– Co miałam widzieć? – zdziwiła się ona.

– Tam... – plamka mętniała i rozplýwała się w świetle nadciągającego szybkimi krokami poranka. Diana zmrużyła oczy, wpatrzyła się w dal, a po chwili pokręciła przecząco głową.

– Przywidziało ci się – stwierdziła łagodnie.

I wtedy na brzegu rozległa się dzika wrzawa przerażonych głosów – rozwrzeszczały się nasze pozostałe kobiety.

– Im też się przywidziało? – zapytałam.

Diana rozejrzała się z niedowierzaniem w oczach.

– Wróci Ulisses to go zapytamy – powiedziała.

– Bądźcie pewni, że wróci – powiedziałam. – Zaraz wszyscy wyjdą na brzeg, jakby ich poparzyło.

I w rzeczy samej – te światła i pochodnie, które jeszcze się nie dopaliły, popłynęły w stronę brzegu [teraz, w świetle poranka można było już zobaczyć śmigające po wodzie łódki i tratwy] – niczym stado niezwykłych wodnych stworzeń wszystkie razem rzuciły się do brzegu.

Diana kopnęła się w ich stronę – nie wiem, na co liczyła, ja wiedziałam o tym, że nikt z taplających się w jeziorze nie zobaczył latającego Miasta – bo zalegało nisko i zasłaniały je niezbyt wysokie wzgórza. To jednak w końcu było jej sprawą – ja sama rzuciłam się do swoich.

Dropia stała przy ognisku, które całkowicie się już wypaliło – zapomniała na czas podzucić chrustu i teraz ponuro gapiała się w ziemię.

– Widziałaś? – zapytała mnie nie podnosząc wzroku.

– No, no... – mruknęłam.

– Zły znak – warknęła spluwając przez lewe ramię. – Mówię ci, to zły znak. Teraz tylko czekać nam nieszczęścia.

Uwierzyłam jej – ona bardzo dobrze wiedziała, co i jak. Nie to, co przybysze.

* * *

Nie minęło wiele czasu i Diana dotrzymała obietnicy, choć wcale jej o tym nie przypomniałam, ani się nie napraszałam – jakoś tak po zajęciach podeszła do mnie i zapytała, czy nie zechcę popatrzeć sobie na obce kraje z lotu ptaka. Powiedziałam, że oczywiście, chcę; ona wtedy odprowadziła mnie do innego Domu o płaskim i niskim dachu – pośrodku pustego pomieszczenia stał taki sam ekran jak mój, tylko znacznie, znacznie większy, a to urządzenie, które nazywało się „pulpit” było tu znacznie bardziej wymyślne. Wiadomo, jeżeli Przybysze wbiją sobie coś do głów, to młotkiem im tego nie wybijesz; siedział tam już jeden z tych koczowników, który nazywał siebie Mrocziem. Gwiezdnym Ludziom wystarczyło widać rozumu na to, żeby rozdzielić więźniów, ale tak jakoś wszystko zawsze urządzali, że co rusz natykałam się albo na jednego, albo na drugiego. Teraz też – Mroczek siedział już w krześle, jakby tak właśnie należało. Udałam, że go nie zauważyłam – on zresztą zrobił to samo. Na twarzy obserwującej nas z jakąś osobliwą nadzieją w oczach Diany odmalowało się

rozczarowanie. Potem, domyśliwszy się widać, że nie dojdzie z nami do ładu, nic już nie mówiąc usiadła i ekran się zaświecił; zobaczyłam bury, nieco zielonkawy szmat ziemi i po chwili zrozumiałam, że patrzę na jeszcze nie porośnięty wiosennymi trawami step. Jary i rzeki wyglądały jak fałdy tkaniny, a Diana, naciskając na te ich guziki zmusiła obraz na ekranie do ruchu – a mnie wydało się, że to my lecimy nad ziemią jak Miasta Martwiaków, albo dzikie gęsi.

Obraz ten tak mnie zaciekawił, że zapomniałam o tym koczowniku, ale Diana popatrywała na niego z dumą, tak jak matka spogląda na swojego małego głuptasa, który właśnie zaczął stawiać pierwsze kroki.

– Teraz ty spróbuj – zwróciła się do niego.

Ja się odsunęłam, a on przeciwnie, zaczął dość zręcznie przesuwając ten obrazek – najpierw widać było ciągle to samo, a potem zobaczyłam zwierzęta, które wędrowały tą równiną; wyglądały na bardzo małe, ale w lot zrozumiałam, że takimi czyni je wysokość, z jakiej na nie patrzę – były to suhaki. Mknęły po stepie, podskakując jak szmaciane piłeczki.

Barwa stepu wciąż się zmieniała – zieleń ustępowała miejsca rudej barwie. Coś tam, na tej równinie, błyszczało odbijając promienie słońca; pomyślałam, że to woda, ale Diana wyjaśniła mi, iż patrzę na sól; nad wyschniętymi słonymi jeziorami drżało rozgrzane powietrze, a dalej rozciągało się morze wody, nieznośnie błyszczącej w słońcu – zrozumiałam, że coś jest nie tak i zapytałam Dianę, czy to też jest sól. Odpowiedziała, że nie – to też miraż i zobaczywszy moje zdziwione spojrzenie wyjaśniła, że tak bywa, kiedy mocno rozgrzane powietrze błyszczy jak woda. Zrozumiałam; u nas też w najgorsze letnie upały można i zobaczyć coś podobnego; widmowe, przejrzyste morze, które odsuwa się od ciebie, gdy się do niego chcesz zbliżyć. Ale tak bywa latem, a i to rzadko...

– Dalej są góry – powiedziała Diana.

I zobaczyłam góry – piętrzyły się na horyzoncie niczym niskie chmury – ich podnóża tonęły w gęstej niczym futro jakiegoś zwierza zieleni, a szczyty błyszczały w słonecznym blasku, ale to już nie była sól, tylko śnieg.

– Jeżeli chcecie, można zobaczyć, co jest za górami – powiedziała Diana.

Mroczek spojrzał na nią badawczo.

– Mogę zobaczyć moje plemię?

Odpowiedziała, że owszem, jeżeli koczownik wskaże, gdzie szukać – tam, gdzie zachodzi słońce, czy gdzie indziej. I co tam mają w pobliżu – rzekę, las?

Wyciągnął rękę wskazując coś za ścianą – ci koczownicy mają niesamowite wycucie stron świata; przecież w tutejszych Domach nie było okien, a światło padało z góry i nie zmieniało się ani rankiem, ani pod wieczór.

– Trzeba nieco przestroić obraz – powiedziała Diana. – Zaraz ci pokażę.

Nie zdążyłam odetchnąć trzy razy, kiedy on odpowiedział:

– Zrozumiałem.

Pomyślałam, iż musi mu być straszliwie głupio z tego powodu, że uczy go kobieta, ale z jego twarzy niczego się nie dało wyczytać.

Dotknął palcami pulpitu i krzyżyk ze środka ekranu ponownie popłynął nad ziemią – a raczej ziemia zaczęła się przesuwać pod nim. Przemknęło morze, szare i niespokojne, poszarpane skały nad brzegiem, znowu step – i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam sadybę koczowników. Początkowo wydała mi się maleńka jak garstka rozsypanych na piasku muszelek, ale to, co wzięłam za muszle, w rzeczy samej okazało się okrągłymi Domami, które w pewnym sensie przypominały Domy Gwiazdnych, tylko oczywiście były wykonane z innego materiału. Nie mogłam spostrzec, czy były z wojłoku, czy z grubo tkanych płacht sukna. Od razu za to zrozumiałam, że te Domy łatwo można przenosić z miejsca na miejsce, gdzie dusza zapragnie – bo tak właśnie były pobudowane. Nieopodal pasły się zwierzęta – konie, mnóstwo koni, a wokół stada kręcili się konni pasterze i pilnowali, żeby się konie nie rozbiegły. Z okrągłych otworów w dachach walił dym – widać były tam paleniska; na zewnątrz Domów porozpinane na żerdziach suszyły się jakieś skóry, trzepotały na wietrze. Pomyślałam nawet, że być może to, co mówili Gwiazdni Ludzie nie było nawet takie głupie – sadyba koczowników, którymi straszono u nas dzieci, okazała się niestraszna i podobna do naszych.

– No proszę – odezwała się Diana z satysfakcją i zwróciła się do Mrocza:

– To twoje plemię?

– Tak – odparł krótko.

– Wygląda na to, że nie zamierzają ruszać się z miejsca?

– Nie – odpowiedział. Nie należał do szczególnie rozmownych ludzi.

Pomyślałam, że oprócz tych kilku pastuchów w sadybie nigdzie nie było widać dorosłych mężczyzn – niekiedy pomiędzy okrągłymi ścianami przemykały się kobiety, które wyłaniały się z wejść Domów, żeby coś przenieść z miejsca na miejsce, albo zająć się gotowaniem przy rozpalanych pod gołym niebem ogniskach.

– Zapytajcie go, gdzie się podziali mężczyźni – zwróciłam się do Diany.

Zdziwiła się:

– A ty nie możesz?

– Ja nie zapytam, a on nie odpowie. Lepiej wy...

Wzruszyła ramionami, ale zapytała.

– Polują – odpowiedział Skórzen.

A ja widziałam w oddali, za okrągłymi kopułami dachów kłęby kurzu – coś tam się działo; potem pył opadł nieco i z chmury wypadło kilku jeźdźców, a na ziemi, jak przedtem osłoniętej niskim już burym obłokiem zostały ciała, nie mniej niż dwudziestu ludzi. Dokładniej określić się nie dało, bo wszystkie zwalono na bezładny stos.

Chwyciłam Dianę za rękę:

– Zobaczcie, co tam się dzieje!

W tejże chwili koczownik zrobił coś, od czego obraz ostro pofrunął na bok i się rozmył – teraz przed krzyżykiem leniwie przelewały się szare, zwieńczone pianistymi grzebieniami fale.

– Urwało się – mruknął Mroczek. – Ja jeszcze niezbyt dobrze...

– Nic, nic – pocieszyła go Diana. – Każdemu się zdarza...

Gdy odwracałam się do Diany, żeby jej powiedzieć, co o tym myślę, natknęłam się na spojrzenie koczownika – patrzył mi prosto w oczy i uśmiechał się. Jego leżąca na pulpicie dłoń lekko drgnęła i zrozumiałam, że zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, on mnie zabije. I pomyślałam, że ostatecznie to nie moja sprawa – Diana widziała przecież to samo, co ja. Co prawda w głębi duszy doskonale wiedziałam, że niczego nie zobaczyła – w przeciwnym razie by go zmusiła, żeby przeniósł tam spojrzenie tego niebiańskiego oka. Nie to, żeby ci Gwiazdni Ludzie byli ślepakami, ale ich oczy spostrzegały wszystko zbyt wolno. W krzyżyku wciąż jeszcze widać było morze – i patrząc z góry doskonale się widziało, że przy brzegu woda ma burą barwę zmaconego łu, a sam brzeg jest tam urwisty; na wierzch wyłaziły płyty czerwonawej gliny, co upodabniało brzeg do rozprutego brzucha jakiegoś zwierzęcia. A niebiańskie oko niosło się coraz dalej, nad wodami płynęły kłęby mlecznej mgły, a jedna mglista plama, która mignęła w dole, była osobiwie zwarta.

– Niech zatrzyma – odezwałam się.

Zerknął na mnie z krzywym uśmieszkiem i powiedział, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do mnie:

– Nie mogę.

– To wy zatrzymajcie – zwróciłam się do Diany.

– Nie – mruknął Mroczek. – Ja spróbuję...

Spróbował chyba zwolnić lot niebiańskiego oka, ale w rzeczywistości rozpedził go tak, że fale w dole zwały się w zupełnie szare pasma. Wyraźnie starał się odwieść oko od swojej sadyby, ale Diana chyba wcale się w tym nie połapała – myślała pewnie, że przyczyną tych niesamowitych skoków jest brak umiejętności kierowania lotem oka, ja jednak doskonale wiedziałam, że Mroczek wszystko to robił celowo.

– Tam było chyba Miasto Martwiaków – wyjaśniłam. – Pamiętacie? Mówiłam wam. Tylko on zbyt daleko odleciał.

– To chyba jakiś efekt optyczny – odpowiedziała Diana. – No, tak jest wtedy, kiedy coś zmyli nam wzrok. Niekiedy mgła zbiera się w szczególnie gęste chmury.

– A wtedy w nocy też coś nam zmyliło wzrok?

– Możliwe – wzruszyła ramionami.

– A wy coś widzieliście? – zwróciłam się do koczownika.

– Nic – odpowiedział spokojnie.

– On w ogóle nic nie widzi – odezwałam się jadowicie. – Taką ma już naturę.

Koczownicy mają wzrok jak drapieżne ptaki; mówi się u nas, że potrafią dostrzec gwiazdy w biały dzień.

Pomyślałam, że skoro Diana okazała taką ufność i naiwność, to może wysłucha mnie Ulisses – zaniepokoiło mnie nie tyle pojawienie się Miasta Martwiaków, choć to w rzeczy samej zły znak, co owa niepojęta kotłowanina pod sadybą koczowników. I dlatego zapytałam, zwracając się do Diany:

– A gdzie jest Ulisses?

– Pojechał z Lagrange'em do sadyby Koczowników – odpowiedziała. – Wzięli ze sobą Borsuka.

– Pojechali tam? Po co?

– Na rozmowy.

– Wyście tu chyba powariowali! Możecie już o nich zapomnieć! I o tym waszym Borsuku też. Żaden z nich nie wróci.

– Mroczek obiecał – odpowiedziała zwracając się do koczownika – że zostaną dobrze przyjęci.

Mężczyzna kiwnął głową, patrząc jej prosto w oczy.

– Dawno pojechali?

– Rano – odpowiedziała. – Pod wieczór będą na miejscu, a jutro wrócą. Też chyba wieczorem.

I dodała, patrząc na mnie:

– Utrzymujemy z nimi łączność. Wszystko w porządku.

– Jasne – odpowiedziałam. – Z tamtą waszą... ekspedycją, też utrzymywaliście łączność.

– Owszem – odpowiedziała. – Owszem, ale tam... tam mogło zdarzyć się wszystko. Byli w opuszczonym mieście... znajdowały się tam podziemne pomieszczenia, mógł się na nich zwalić jakiś uszkodzony budynek... a tu, sama widziałaś, nie ma się czego bać.

Pokręciłam tylko głową. Co na to poradzisz, na nic się tu nie zda ich niebiańskie oko i łączność na odległość. Oni, ci Gwiezdni Ludzie, widzieli tylko to, co chcieli, niczego im nie można było wytłumaczyć – sęk w tym, że choć nikomu nie życzyli źle i nikomu nie chcieli zrobić nic złego, samą swoją obecnością budzili niebezpieczeństwo, które ich otaczało jak fale rzucony w wodę kamień. Od tej myśli przeszedł mnie dreszcz, choć niewidzialne ognisko grzało jak zawsze. Diana chyba to zauważyła, bo powiedziała uspokajająco:

– Oni wrócą... na pewno wrócą. Sama zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Nie uwierzyłam jej wtedy, ale oni faktycznie wrócili. Przed wieczorem następnego dnia, tak jak obiecali.

* * *

Wrócili następnego wieczoru, a w kilka dni później latająca łódka zjawiała się u nas i Lagranż w jak najbardziej uroczysty sposób zaprosił naszą starszyznę do sadyby Gwiazdnych – powiedział, że skoro oni gościli u nas, to i nasi powinni odwiedzić Domy przybyszów. Przypuszczam, że starym nie za bardzo się do tego paliło; pobratymstwo pobratymstwem, ale żaden z nich nie miał ochoty zaglądać za te nieprzeniknione ściany. Ale nic nie poradysz – konieczność okazywania uprzejmości zmusiła dziesięciu najbardziej znacznych ludzi do wyruszenia w drogę. Oczywiście pojechali konno. Lagranż proponował, że przyśle po nich mobil, ale wszyscy jak jeden odmówili. Pojechali sami, nie zabierając ze sobą kobiet ani dzieci. Ja byłam u Gwiazdnych od samego rana i mogłam obserwować wszystkie przygotowania.

Konie oczywiście nie mogły sprostać latającym łódkom – i kiedy nasi zjawili się na miejscu, wszystko dawno było już gotowe – na placu przed największym Domem poustawiano nakryte stoły, zastawione tym dziwnym jadłem Gwiazdnych Ludzi, które samo z siebie robiło się gorące, a talerze i kubki były z pozoru takie kruche, że aż dziwnie brało się je w ręce – choć tylko tak wyglądały. Noży w ogóle nie było, dlatego że wszystko leżące na talerzach pocięto już w odpowiednie kęsy, a zamiast tych ich niewygodnych krzeseł z oparciami, na twardej podłodze poukładano stosy poduszek. Patrzyłam z daleka, jak wszystkich usadzano na miejscach – myślę, że gdyby Gwiazdni wydali tę ucztę w jednym ze swoich Domów, naszym byłoby nieswojo, ale pod otwartym niebem, rozciągającym się nad sadybą obcych niby ogromny namiot, czuli się całkiem dobrze. Była późna wiosna i w górze, w złotych promieniach słońca, jak pyłki na wietrze trzepocząc skrzydłami unosiły się skowronki.

Gwiazdni Ludzie też się porozsiadali na swoich miejscach – przyszli w dziesiątkę, poznałam jednak tylko troje z nich; pozostali wydali mi się jednacy – jak to zawsze bywa z obcymi. Mieli urozyste miny i wymieniali pomiędzy sobą jakieś ciche uwagi. Spostrzegłam od razu, że przy stole zostały puste miejsca i serce ścisnęło mi złe przeczucie. Coś się miało wydarzyć. Nasi chyba też to zauważyli, ale doszli pewnie do wniosku, że niektórzy z Gwiazdnych dołączą do uczujących nieco później.

W Imieniu Gwiazdnych Ludzi przemówił Lagranż na prawach starszego – usadowiłam się nieco dalej, ale tak, żeby wszystko słyszeć; Krzczot co prawda doskonale mnie widział, ale nie uznał za stosowne obdarzyć mnie choć jednym spojrzeniem czy słowem. W przeciwnym razie musiałby mnie przepędzić precz, a był tu jednak gościem, i wyszłoby jakoś niezręcznie.

Lagranż zaczął coś mówić o nowych czasach, o pozbyciu się „ciąglego strachu przed głodem”, i zakończeniu „walki o byt”, o „rodzinie narodów” – nasi pewnie doszli do wniosku, że to taki biesiadny obyczaj Gwiazdnych Ludzi, ja jednak doskonale wiedziałam, do czego on

zmierza i ze ściśniętym sercem czekałam na nieuchronny koniec.

I rzeczywiście; z najbliższego Domu wyłoniło się kilku ludzi. Szli otoczeni kompletną ciszą – naszych zatkała taka bezczelność, przerwali nawet jedzenie i zrobiło się tak cicho, że słychać było szelest wiatru w trawie. Koczownicy – też zjawili się w sile dziesięciu ludzi – szli każdy obleczony w pełen bojowy rynsztunek, choć bez broni; w milczeniu zajęli puste miejsca, jakby byli na to przygotowani. Poznałam naszych jeńców; pozostali też pewnie byli ważniakami wśród swoich, na co wskazywały skomplikowane tatuaże zdobiące ich gęby. Lagranż nadal stał – oczywiście nie był aż tak głupi, żeby nie wiedzieć, czym to się może skończyć – i pospieszenie kończył:

– Moi przyjaciele, nie poczytajcie sobie za urazę tego, że zaprosiłem dziś i innych gości. Nie miałem zamiaru narażać kogokolwiek na niebezpieczeństwo. Przeciwnie, chcę – my wszyscy chcemy – skończyć z dzielącą was wrogością. Właśnie dlatego tu przylecieliśmy. Rozumiem, że niełatwo się zapomina o starych urazach i krzywdach, ale przecież trzeba myśleć i o przyszłości. Człowiek nie rodzi się po to, iżby przez całe życie walczyć ślepo o byt. Jeżeli nikt nigdzie nie będzie odczuwał niedostatku, zniknie konieczność wojen i najazdów.

Nasi wysłuchali go w kompletnym milczeniu, a ja w ogóle nie miałam pewności, czy zrozumieli choć połowę z tego, co próbował im powiedzieć. Jeden tylko Krzczot zachował zimną krew.

– Mówisz bardzo pięknie – odezwał się niezbyt głośno. Nie dodał: „mój przyjacielu”, co było złym znakiem, Lagranż jednak tego nie zauważył.

– Pozwoliłem tym ludziom wziąć udział w uczcie, ponieważ przyszli tu z pokojowymi zamiarami.

Popatrzył na siedzących za stołem ludzi i wśród ponurej ciszy, bezradnie powtórzył:

– Oni przyszli zaproponować wam pokój, rozumiecie?

– Nie – odparł spokojnie Krzczot.

Do tej pory koczownicy siedzieli cicho, jakby rozmowa ich nie dotyczyła – ale ja zauważyłam, że żaden z nich nie tknął jedzenia ani napojów. Teraz jednak najwyraźniej doszli do wniosku, że nadeszła pora na ich wypowiedź, a Lagranż też spojrział wyczekująco na Mrocza, który był wśród tamtych chyba kimś w rodzaju naszego Krzczota. Pewnie Lagranż przygotował to z nim wszystko wcześniej i umówili się, co który powie. I oczywiście Mroczek wstał i zwrócił się z przemową do Krzczota. Głosem słodkim jak miód, patrząc Krzczotowi prosto w oczy, zaczął opowiadać o tym, jak pięknie będzie, gdy wszyscy staniemy się jedną rodziną. Lagranż słuchał i kiwał głową, popatrując to na jednego, to na drugiego – widać było, że czegoś takiego właśnie się spodziewał.

– Zaprawdę, ci ludzie przybyli tu niosąc dobro nam wszystkim – mówił tymczasem koczownik – i pełne prawdy są ich słowa. Bo jeśli skłonimy przed nimi głowy, dadzą nam oni

siłę, wobec której włócznie i łuki są niczym. A kiedy nią zawładniemy, nasze Domy staną się waszymi Domami, a wasza ziemia – naszą ziemią. I któż wtedy powie, gdzie jest które plemię?

Na taką zniewagę twarz Krzczota powlekła się czerwienią – poderwał się, porwał stojący na stole dzban i chlusnął koczownikowi w gębę jego zawartością. Purpurowy płyn zalał Mroczkowi oczy.

I wtedy się zaczęło. Nikt nie miał broni, ale to im wcale nie przeszkodziło – każdy porwał to, co miał pod ręką. W następnej chwili ziemię pokrył ruchliwy kłęb wściekle walczących ludzi – Lagranż odskoczył na bok, pozostali Gwiezdni Ludzie przez chwilę gapili się na to wszystko ze zdumieniem i niesmakiem w oczach, a potem Diana, która miała chyba szybszy od innych pomysłuńek, wyciągnęła skądś jakiś okrągły przedmiot i krzyknęła:

– Maski! Włóżcie maski!

Zobaczyłam, że Gwiezdni Ludzie naciągają na twarze coś jakby wysokie kołnierze, a Ulisses, który spostrzegł, że kulę się pod ścianą Domu, zanim zakrył twarz, zdążył mi krzyknąć:

– Wstrzymaj oddech i biegnij do Domu!

Tak też zrobiłam. Choć obejrzałam się w biegu za siebie. Zobaczyłam, że nad poprzewracanymi stołami i wściekle ryczącymi ludźmi unoszą się kłęby dymu – nie zielonkawego, jak poprzednio, ale bladego, niemal bezbarwnego. Tłukący się zajadle ludzie zaczęli tracić zapał... przez chwilę jeszcze usiłowali niemrawo wymieniać ciosy – ale walka ustawała.

Niczego więcej nie zobaczyłam, usiadłszy na ziemi za wielkim ekranem trzęsłam się, dopóki do pokoju nie wszedł Ulisses.

– Chodźmy – powiedział. – Już po wszystkim.

Na placyku przed Domem leżały pokotem ciała niedawnych walczących zajadle wrogów, a Gwiezdni Ludzie – już z odsłoniętymi twarzami – odciągali gdzieś koczowników. Koczownicy leżeli bezwładnie, a ich ciała były miękkie, jakby pozbawione wszystkich kości. Nasi leżeli tam, gdzie który padł. Wszystko – trawa, ludzie i poprzewracane stoły – powleczone było jakimś dziwnym nalotem, który wyglądał jak śnieg, spadły nie wiedzieć skąd i nie w porę.

– Zabiliście wszystkich? – zapytałam.

– Ależ nie – odparł ze znużeniem w głosie. – Uśpiliśmy ich, i to wszystko. Nie dało się ich powstrzymać. Obudzą się później.

Nieopodal stał Lagranż, groźny jak burzowa chmura. Według mnie, wszystko co się stało, było jego winą, on jednak myślał chyba inaczej. Obdarzył mnie ciężkim spojrzeniem, ale zwrócił się nie do mnie, tylko do Ulissesa:

– Popelniono chyba błąd...

– Lagrange – odpowiedział markotnie Ulisses – ja od samego początku...

– Doskonale wiesz, że nie mówię o tym niefortunnym incydencie. Błąd polega na tym, że od samego początku wzięliście się nie za tych, za których powinniście byli się wziąć. I oto macie rezultat. Niczego z nimi nie wskóracie.

– Gdybyście dali nam czas...

– A skąd ty wiesz, ile mamy czasu? Być może nie tak wiele. Nie możemy sobie pozwolić na błędy.

– Właśnie – odpowiedział cicho Ulisses.

– Zwróciliśmy naszą uwagę i wysiłki nie na tych, co trzeba. A teraz...

Ulisses wskazał mu mnie oczami i chrząknął znacząco, ale Lagranż machnął tylko ręką.

– Boję się – jak przedtem cicho powiedział Ulisses – że teraz wszystko wymknie się spod kontroli.

Lagrange jednak już go nie słuchał, tylko odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Paskudnie to wszystko wyszło, prawda? – zapytał markotnie Ulisses.

– A czegoście się spodziewali? Struliście ich, a teraz się dziwicie? Ciekawe, kto to wszystko wymyślił? Koczownicy?

Przez chwilę milczał, a potem powiedział ponurym głosem:

– Oni powiedzieli, że są gotowi do rozmów pokojowych, ale jak się wasi wcześniej o tym dowiedzą, to po prostu nie zechcą przyjść.

– To rozumiałe.

– Ale oni chcą pokoju. Słyszałaś przecież. I gotowi są z nami współpracować. Chcą nam oddawać na naukę swoje dzieci, gotowi są pozwolić naszym obserwatorom żyć pomiędzy nimi... zgodzą się na wszystko, czego zechcemy. A twoi współplemieńcy oddali nam tylko ciebie jedną, i to tylko...

„I to tylko dlatego, że się do niczego nie nadaję” – pomyślałam z goryczą.

– I to tylko dlatego, że wam pomagaliśmy, jak tylko mogliśmy. Wasza nietolerancja przekracza granice zdrowego rozsądku. Po co było urządzać taką bójkę?

– Ulisses – powiedziałam tracąc resztki nadziei. – Przecież oni nas śmiertelnie obrazili.

Potał czoło, jakby czegoś nie rozumiał.

– Czyżby?

– „Nasze Domy staną się waszymi Domami, a wasza ziemia stanie się naszą ziemią...”. *Uczynimy z was naszych niewolników i odbierzemy wam ziemię...* Zrobili to umyślnie. Doskonale wiedzieli, jak się to wszystko skończy. I osiągnęli to, czego chcieli. Nasi teraz nie dopuszczą was do siebie – i żaden inny porządny Dom też; czyli co wam zostanie do zrobienia, skoro nie możecie żyć bez tego, żeby nie pchać nosa w nie swoje sprawy? Będziecie się cackać z koczownikami – są przecież tak rozumni i zdolni! A oni pozwolą wam na to cackanie – dopóki im to będzie wygodne. A potem stopniowo nabiorą takiej siły, że wszystkim – wam też! –

pokażą, gdzie raki zimują.

– Przecieniasz ich. Nie są aż tak przebiegli.

– A jakże – powiedziałam. – Oczywiście. Wiecie, co jest źródłem waszych niepowodzeń? Mówicie o jakimś tam braterstwie narodów, a sami uważacie, że jesteście lepsi i mądrzejsi od innych. Lepiej niż inni wiecie, czego wszystkim potrzeba, tak?

– Ależ nie! – zachnął się jak człowiek do żywego dotknięty.

– Jesteście jak ci, z tej historii o durnych Achajach... tam też tacy byli, przychodzili z nieba, pomagali to jednemu, to drugiemu i wszędzie wtykali swoje nosy. I czym to się wszystko skończyło? Wojowali przez dziesięć lat, a potem ci dranie koczownicy i tak dopięli swego, a jedynego szlachetnego człowieka po śmierci jeszcze i zbezczeszili i za końmi włóczyli.

Szarpnął palcem kołnierz, jakby mu zabrakło powietrza.

– Ale my naprawdę staramy się pomóc! Pomyśl tylko, jak będzie wyglądało wasze życie, jeżeli uwolni się was od konieczności codziennej walki o przetrwanie. Kto, według ciebie, pisał te Kroniki? Wasi przodkowie!

– Nie chcę tego słuchać – powiedziałam pospiesznie.

– Przecież te Przedmioty, w które tłuczecie głowami jak ślepe kocięta, są dziełem ludzkości. Ludzie dotarli do gwiazd!

– Bzdury!

– Ależ nie! Mówisz, że uważamy się za mądrzejszych od innych. Ale przecież my jesteśmy waszymi potomkami! Nasi przodkowie byli kolonistami z Ziemi, którzy zasiedlali obce światy! Wiesz ty, czym dla nas była Ziemia? Wiesz, jak bardzo się staraliśmy, żeby nie zawieść zaufania, którym obdarzyła nas i obarczyła ludzkość?

Ten ich usypiający środek najwyraźniej był nieszkodliwy – ludzie, którzy niedawno jeszcze leżeli nieruchomo na trawie, zaczęli się już poruszać i pojękiwać; nie rozumieli widać, co się z nimi stało.

– No dobrze – powiedział pospiesznie Ulisses i zaczął coś szybko mówić w to swoje urządzenie do rozmów na odległość; uprzedzał widocznie swoich. Zobaczyłam, że z domu wyszli Lagranż i pozostali – nie podeszli do nas, a ustawili się w szeregu nieopodal. Dopiero wtedy zobaczyłam wszystkich – było ich razem dwudziestu... Tylko dwudziestu. Ulisses ruszył już w ich stronę, ale ja capnęłam go za łokieć. Wiedziałam, że jeżeli mam go wypytać, muszę pytać tu i teraz – inna okazja może się już nie nadarzyć.

– Nie, poczekajcie. Cały czas mówicie o tym, że tu się coś zdarzyło. Co mianowicie?

– Nie wiem. Nikt z nas nie wie. Nasza kolonia przez pewien czas utrzymywała łączność z Ziemią. Z waszym światem. Potem łączność się urwała. Na długo. Na zawsze.

– I wtedy postanowiliście wrócić?

– To nie było takie proste. Kolonia nie miała dość sił i środków do wyposażenia ekspedycji

międzygwiazdnej. Trzeba było czekać. Kilka pokoleń.

– I co?

– I to. Oto, co zobaczyliśmy zamiast tej Ziemi, która wysłała do gwiazd naszych przodków... Zabawne, prawda?

Krzeczot powoli podnosił się z ziemi; cały czas potrząsał z niedowierzaniem głową, ale potem odszukał wzrokiem Lagranża i już nie odrywał od niego spojrzenia.

– Przerwana łączność – i tyle? To... jak niedawno? Z tą waszą, jakże ją tam... ekspedycją północną?

– Tak. Ogólnie rzecz biorąc, tak. Sygnał idzie dłużej, ale zasadniczo – tak.

– A z innymi sadybami? Na innych gwiazdach?

– Z nimi – odparł zagadnięty bezbarwnym głosem – łączność urwała się jeszcze wcześniej.

– Kłamstwa – odezwała się, on jednak nie usłyszał. Ruszył spieszenie do Lagranża, bo Krzeczot już wstał i teraz ponuro łypał na Gwiazdnika spode łba.

– Mój przyjacielu – zwrócił się do niego Lagranż. – Przykro mi, że tak wyszło. Być może...

– Dziękujcie swoim niebiosom za to, że zmieszaliśmy krew – przerwał mu Krzeczot zimnym głosem. – W przeciwnym razie nie ścierpiałbym zniewagi. Ale więcej się już u nas nie pokazujcie.

Odwrócił się i krocząc niezbyt pewnie poszedł tam, gdzie pod ścianą stały spętane konie. Pozostali nasi, zionąc wrogością ruszyli za nim. Żaden z nich się nie odwrócił. Ja też ruszyłam za nimi – co mogłam zrobić innego?

– Poczekaj! – zawołał Ulisses. – A ty dokąd?

Nie odpowiedziałam. Nie zostało już nic do powiedzenia.

I dopiero wtedy Krzeczot raczył mnie zauważyć.

– A – odezwał się. – To ty. Więcej już tu przychodzić nie będziesz.

– Wiem, czcigodny – odpowiedziałam.

– I jeżeli choć raz otworzysz gębę i coś o nich powiesz...

– Rozumiem.

– To dobrze. Tak też zresztą myślałem, że oni nie są ludźmi – stwierdził z goryczą, sadowiąc mnie przed sobą w siodle. – Nie mają sumienia.

* * *

Kiedy starszyzna zabroniła mi jeździć do sadyby Gwiazdnych Ludzi, powiedziałam, że i przedtem nie miałam na to zbyt wielkiej ochoty, w rzeczy samej jednak odczuwałam wewnątrz dziwną pustkę, jakby świat pozbył się jakiejś tam części swoich cudów. Wróciłam do swoich zajęć z Chronicielem – ten chłopak, który mu usługiwał [nie miał nawet swojego imienia, tylko

przezwisko] powitał mnie na drodze pod górę i zaraz potem rzucił się do ucieczki z taką prędkością, jakby mi wyrosła druga głowa. Zawsze był przygłupem, więc mnie to nawet specjalnie nie zdziwiło, ale na wszelki wypadek zapytałam Chroniciela, co tamtego napadło.

– O Gwiazdnych Ludziach mówi się teraz rozmaicie – odparł niechętnie – sama wiesz, jak to jest...

– A skoro do nich chodziłam, to i ze mną jest coś nie tak?

– Nie inaczej – potwierdził. – Ogólnie rzecz biorąc. Powinnaś być ostrożniej sza.

– Ostrożność to moje drugie imię – odpowiedziałam. – Cóż jeszcze mogę zrobić?

– Taaaa... – westchnął. – Popatrz, jak to się dziwnie plecie. Co prawda, można się było tego spodziewać.

– Czego? Tego, że się dogadają z koczownikami?

– Oni starają się dogadać ze wszystkimi – odparł stary. – W tym cały kłopot. I wierzą we wszystko, co im się powie – a już szczególnie ochoczo wierzą w to, co sami chcieliby usłyszeć.

Pokręcił smutno głową, a ja zapytałam:

– Ojczy, oni mają takie Niebiańskie Oko... które widzi bardzo daleko. Więc... widzieliśmy sadybę koczowników – oni, ci Gwiazdni, akurat tam się wybrali, żeby pomówić o spotkaniu. Tam coś się takiego działo... stos martwych ciał...

– Nie wiedziałaś, że koczownicy potrafią rozmawiać na odległość nie gorzej, niż ci twoi Gwiazdni Ludzie? – zapytał stary. – Co prawda robią to za pomocą ognisk i dymów, ale w końcu jaka to różnica? Najwyraźniej jeńcom udało się powiadomić wodzów, że Gwiazdni kierują się do ich sadyby.

– I co?

– Koczownicy okrutnie kaleczą swoich niewolników. Potworny to widok dla człowieka, który nic o tym nie wie – myślę, że nie chcieli, żeby Gwiazdni to zobaczyli. Bo mogłoby to pokazać im nowych sojuszników w złym świetle, pojmujesz?

– I dlatego przed przyjazdem przybyszów wszystkich pozabijali?

– Tak.

– Oni naprawdę są jak dzikie bestie.

– Wcale nie – sprzeciwił się stary. – Ich obyczaje mogą nam się wydać dzikimi i bestialskimi, ale w końcu to obyczaje, a oni ich przestrzegają. Nie gorzej też od nas pojmują, czym jest honor i poczucie obowiązku. Ale oszukać obcego... tego za hańbę nie uważają.

– Więc zdołali okręcić sobie Gwiazdników wokół palca?

– Owszem, tak. Myślę, że Gwiazdni Ludzie nie dostrzegają różnicy, jaka dzieli nas i koczowników. Oni po prostu szukają kogoś, komu mogliby przekazać swoją wiedzę – tak jak ja tobie. Wydaje im się, że wybrali godniej szych.

– Tamtych?!

Chroniciel westchnął ciężko.

– Zły to był dzień, kiedy oni zstąpili z nieba. Bo zjawili się u nas nie znając obyczajów, ani reguł wedle których określa się cześć i honor. I rozchodzą się od nich zmiany, jak kręgi na wodzie. Od wieków odpieraliśmy najazdy koczowników, zdarzały się też spory pomiędzy Domami, ale świat pozostawał, jakim był – a teraz wszystko się zmieni. Myślisz, że byłoby lepiej, gdyby odpędzili koczowników i przyhołubili naszych, albo jakikolwiek inny Dom?

– A nie byłoby?

– Nie – odparł krótko. – Tak czy inaczej, to zagłada wszystkiego, co znamy.

Pomilczał przez chwilę, a potem dodał znużonym głosem:

– Mówiłem ci, że powinnaś być ostrożniejsza. I teraz gotów jestem to powtórzyć. Boję się, że nie uda się powstrzymać tego, co zapoczątkowaliśmy, choćby nasi starsi nie wiedzieli jak się starali. I że jeszcze będziemy musieli podejmować wyzwania. A ja już jestem za stary, żeby od początku uczyć wszystkiego jeszcze jednego ucznia.

– Wiem – powiedziała. – Będę się starała.

* * *

Sadyba Gwiazdnych Ludzi, jasna sprawa, pozostała na swoim miejscu; jeżeli stanąwszy na najwyższych wzgórzach spojrzano nocą ku morzu, można było zobaczyć, jak drży nad nią i mieni się widoczna nisko nad horyzontem słaba zorza. To jednak nie miało już żadnego znaczenia – nasi ani razu o niej nie wspomnieli, jakby nigdy jej nie było. Z początku czułam się dziwnie, kiedy rankami nie trzeba było się nigdzie spieszyć, ale w miarę upływu czasu pamięć o pomieszczeniu z ekranami zacierała mi się coraz bardziej, zostawiając jedynie nikłe wspomnienia przypominające sen – jakby wszystkie spędzone tam dni zwały się w jeden bardzo długi, niekończący się dzień. Tym bardziej, że wkrótce ja i pozostali członkowie plemienia, musieliśmy zająć się czymś innym.

Po wczesnej, bezdeszczowej wiośnie nadeszło tak samo bezdeszczowe, upalne lato. Czekaliśmy na deszcz, ten jednak nie nadchodził, choć słońce było ledwo widoczne na zaciągniętym sinawą mgiełką niebie; przepływający w pobliżu Domów strumień najpierw zmizerniał, a potem w ogóle wysechł, kołowrót przy studni skrzypiał i jęczał niczym ranne zwierzę, a nocami w ogóle już nie można było dostrzec na niebie Gwiazdnej Osady. Nad horyzontem pojawiała się rzucająca na niebo purpurową poświatę zorza. Płonęły stopy, a kozom mleko zaczęło wysychać w wymionach. W osiedlu porozwiązywano wszystkie węzły i rozplatanano sieci, żeby otworzyć drogę wilgotnym wiatrom od morza, a kobiety przestały wiązać i spletać w warkocze swoje włosy. Wiatr jednak ciągnął nie od morza, ale od stepu – suchy i gorący – przynosząc ze sobą zapach dymu i popiołów. My, młodzi, szukaliśmy żab, żeby

polewać je wodą – żaby mają dobre układy z deszczami – ale żaby gdzieś się pochowały, a może powymierały, niekiedy tylko znajdowaliśmy ich wyschnięte, płaskie niczym liście ciała. Jedne tylko jaszczurki wygrzewały się beztrąsko na gorących kamieniach, ale potem i one gdzieś przepadły.

Niekiedy się zastanawiałam, czy Gwiazdni Ludzie mają takie same kłopoty z wodą, jak my – wcześniej mieli jej, ile chcieli – ale nie można było tego sprawdzić. A u nas zaczęły już umierać niemowlaki – ich wyschnięte, jak tamte żabie truchła, ciała układano pod Skałą Zmierzchu, żeby nasyłające wiatr od morza siły mogły zobaczyć efekty swojej bezczynności. Być może jednak nie zechciały nawet popatrzeć w naszą stronę.

Wtedy przyszła pora na zakopanie Dropi.

Powodem, jak myślę, było to, że wszyscy ją szanowali – jaki sens w tym, by poświęcać kogoś, kogo nie żał – nasyłających deszcze sił nie da się oszukać, a teraz w ogóle zatraciły poczucie litości.

W suchej ziemi wykopano jamę – zaczęto ryc o świcie, a skończono dopiero pod wieczór, bo spieczona, kamienista ziemia nie zamierzała ustępować. Następnego ranka, tak żeby niebiosy widziały, poprowadzono ją ku jamie – ledwo się wlokła na spuchniętych nogach; wtedy już mało kto mógł się swobodnie poruszać, szczególnie ze starszych i spuściwszy ją na dół zasypano dół suchą ziemią – tylko głowa Dropi wystawała ponad grunt. Słońce wzbijało się coraz wyżej, od Skały Zmierzchu niesło nieznośnym smrodem; małe ciała, których nikt nie sprzątał, oblepione były przez zielone muchy. Pozostałe kobiety rozsiadły się wokół jamy i zaczęły głośno lamentować – wyły, zwracając twarze ku niebu. Licząc na to, że skoro nie chce na nas patrzeć, to może choć usłyszy.

Wyły tak przez cały dzień, do późnego wieczora i pod koniec zupełnie ochryły. Ich ostre, przenikliwe głosy brzmiały teraz jak wrzaski mew, które czasami nadlatywały od morza na falach błogosławionych, wilgotnych wiatrów.

Kiedy na rozpalonym niebie pogasły ostatnie pasma zachodu, kobiety się rozeszły – choć lepiej byłoby rzec, że się rozpełzły, zostawiając Dropie samą. Ja się nie liczyłam, ukryłam się za leżącym przy wejściu do Domu stosem kamieni, ale nawet gdyby mnie ktoś zauważył, toby mnie nie pogonił. Prawdziwa, ciemna noc nie nadeszła – na wszystkim, na suchej trawie i na kamieniach leżał szkarłatny poblask dalekiego pożaru, i w tym nikłym świetle mogłam ją zobaczyć. Jej głowa sterczała z ziemi jak ogromna purchawka i nawet spod Domu było widać, że w ciągu tego dnia Dropia całkowicie osiwiła.

Pojmowałam, że wszystko się dzieje tak, jak powinno, ale coś mnie gryzło; przyszło mi na myśl, że Gwiazdni Ludzie nie pochwaliliby takiego postępowania, choć ktoś mógłby powiedzieć, jak by się zachowali i jakie dziwne obrzędy by urządzili, gdyby woda zupełnie ich opuściła, tak jak nas teraz. „Ale mimo wszystko – pomyślałam – wymyśliliby pewnie jakiś inny sposób”.

Chronicielowi wciąż jeszcze wydzielano wodę – co to byłby za Dom bez Chronicieła? – ale można by ją wyczerpać dwiema garściami, a moja była jeszcze mniejsza; choć męczyłam się w upale cały dzień i starałam się pić jak najmniej, pozostał mi tylko jeden łyk. Tak czy owak wzięłam kubek i opuściłam się ku Skale Zmierzchu.

Wiatru nie było i usłyszałam w ciszy ciężki, chrapliwy oddech. Może ona już umiera? Zdjął mnie strach, ale podeszłam bliżej i powiedziałam:

– Mateczko...

Musiałam wywołać ją jeszcze raz; w mroku nie można było zobaczyć, czy ma zamknięte, czy otwarte oczy, usłyszała mnie jednak, bo jej charczenie jakby ustało. Coś wystękała, a ja odpowiedziałam:

– Przyniosłam wodę.

Podniosłam kubek ku jej wargom.

I wtedy powiedziała niezbyt wyraźnie:

– Nie.

Spróbowała też odsunąć kubek podbródkiem, ale była słabsza niż chore kocię.

– Czy niebo nie wybaczy ci jednego, jedyne łyku wody?

Ponownie otworzyła usta, teraz jednak wymówiła to bardzo starannie.

– Idź precz!

Spróbowałam wlać jej wodę w usta, ona jednak tylko zacisnęła wargi.

To ona miała rację, nie ja – nieba nie wolno oszukiwać, ale może, pomyślałam sobie nagle, tym siłom, które władają deszczem, rzeczywiście jest wszystko jedno, co się dzieje tu na dole? Nie ma nikogo oprócz ludzi – powiedzieli mi kiedyś Gwiazdnicy, wszystko pozostałe jest tylko łańcuchem pewnych wydarzeń.

Niestety, nie miałam czasu na to, żeby o tym pomyśleć jak należy – Dropia ponownie zaczęła chrypieć, a ja zwróciłam się w tę stronę, gdzie daleka zorza nad ziemią miała inny, bardziej miękki odcień.

Gdyby chodziło o coś innego, w życiu bym się nie puściła przez step pieszko, w dodatku nocą, teraz jednak odwróciłam się i po prostu zsunęłam się w dół, wespół z osypującymi się kamieniami.

O tej porze roku nawet nocą step zwykle kipiał życiem i w trawie kryło się pełno wszelakiego drobiazgu – polne myszy i chomiki, a czasami zdarzał się i nieco większy zwierz. W nocy na łowy wychodziły lisy, a niekiedy i wilki – teraz jednak step był pusty, jak w zimie, choć cykady grały tak głośno, aż w uszach dzwoniło. Najbardziej bałam się nie wilków i nie ludzi – bałam się trafić w pas ognia; gdyby dał wiatr, jak we wszystkie poprzednie dni, to byłoby ze mną krucho, ale wiatr ucichł zupełnie. Nie wydeptano tu ścieżek – mobile Gwiazdnych Ludzi obywateli się bez nich, a nasi w tamtą stronę nie chodzili; teren był nierówny, poryty jarami, ale ja

pamiętałam szlak nie gorzej od tej latającej łódki.

Do sadyby Gwiazdnych dotarłam głuchą nocą, kiedy ziemię spowija najgęstszy mrok, teraz jednak musiał ustąpić czerwonawej poświacie dalekich pożarów; wzniesione na szczycie wzgórze osiedle przybyszów było widoczne z daleka. Po raz pierwszy zobaczyłam je w nocy – ukryło się za swoimi ścianami, ale jak przedtem rozchodził się od niego niezbyt głośny szum, jakby drzemała tam ukryta przed ludzkim wzrokiem, ogromna żywa istota. Pamiętałam, że wrota są od południa i podeszłam do nich, teraz jednak były zamknięte, a o tym, że Gwiazdni mogą je zamykać nie pomyślałam. W tym półmroku niełatwo w ogóle było je dostrzec – ściana wyglądała jak jednolita zapora.

Podniosłam z ziemi kamień i zaczęłam nim walić w ścianę ogrodzenia, okazało się, że prawie bezgłośnie, ściana pochłaniała uderzenia; coś jednak chyba do Gwiazdnych dotarło, bo nagle tuż koło mnie ktoś zawył – i tak niespodziewanie, że odrzuciłam kamień i odskoczyłam. Nieznany stwór wył jeszcze przez chwilę, a kiedy zaczął się uspokajać, ja ponownie zabrałam się do roboty. Wycie się nasiliło, na grzbiecie ściany pojawiły się czerwone ogniki, a po chwili ogrodzenie niespodziewanie rozjechało się na boki – zupełnie nie tam, gdzie się spodziewałam – a w oświetlonej przerwie pojawiła się ludzka sylwetka.

Tego Gwiazdnego Człowieka nie znałam; jego oświetlona blaskiem dalekich pożarów twarz wydała mi się całkiem obca, jakby w rzeczy samej przybył z innego świata, ale za późno już było na to, żeby się cofnąć. Obcy popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a potem powiedział:

– No proszę! Skąd jesteś, piękne dziecię?

Być może w jego głosie była kpina, ale teraz nie miałam do tego głowy.

– Chcę się widzieć z waszym starszym – powiedziałam.

– Tylko tyle? – zdziwił się. – Ot tak sobie, ni z tego ni z owego, pośrodku nocy? Ale wiesz, my nie mamy starszyny. Może wystarczy ci ktoś inny?

– To poproście Dianę albo Ulissesa.

– A! – powiedział. – Teraz cię poznaję. Przychodziłaś tu się uczyć, tak? No cóż, chodźmy...

Weszliśmy przez wrota – w środku było jaśniej, niż na zewnątrz – światło padało z wierzchołków słupów poustawianych od środka wzdłuż ogrodzenia, Domy jednak były całkiem czarne – otaczały mnie jak kurhany na stepie.

Poprowadził mnie znajomą dróżką – już dawniej bywałam w tym Domu, ale teraz w nocy wszystko wydawało mi się inne. W końcu trafiłam do tego samego pomieszczenia, w którym mnie uczono – teraz było tu cicho, ognie, które zapłonęły, gdy tylko przekroczyłam próg, nie rozjarzyły się z całą mocą i pomieszczenie wydało mi się nieznane – a także mniejsze, niż pamiętałam.

– Poczekaj tu – powiedział Gwiazdnik. – Zaraz kogoś poproszę.

– A... nie można dostać trochę wody?

Popatrzył ma mnie, zdziwił się mocno, ale powiedział:

– Tak, oczywiście.

Zrobiło mi się wstyd.

– Może wam też brakuje? Wtedy...

– Nie – odpowiedział. – Nie, skądże. Poczekaście chwilę.

Na chwilę przepadł w jakiejś bocznej komórce – nawet nie wiedziałam o jej istnieniu, ale z nimi tak zawsze – i wrócił trzymając w dłoniach wielki kubek.

– Wystarczy? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam. – To bardzo dużo.

– Poczekał tu i odpocznij – zaproponował. – Zaraz wrócę.

I skierował się ku drzwiom.

Piłam wodę bardzo powoli, bo wiedziałam, że w przeciwnym razie zacnie mnie rznąć w brzuchu. Wokół było cicho – słycać było tylko, jak za ścianą postępuje nie wiadomo co. Z ekranu biła mleczna poświata.

Nie zobaczyłam, kiedy Ulisses wszedł, ale w pewnej chwili poczułam, że w pomieszczeniu jest jeszcze ktoś oprócz mnie.

– Wyją! – zdziwił się Ulisses. – Co ty tu robisz?

Nie miałam czasu na żadne głupie wyjaśnienia i dlatego zapytałam wprost:

– Wasze Niebiańskie Oko teraz też może coś zobaczyć?

– Tak. A bo co?

– Chcę, żebyście coś zobaczyli.

– Dobrze. Ale czemu w środku nocy?

– Potem będzie już za późno. I dla niej, i dla mnie.

– No dobrze – wzruszył ramionami – jeżeli tak chcesz, możemy popatrzeć stąd. Co prawda nie jest to ekran panoramiczny.

– Nie potrzeba mi wiele – zastrzegłam się.

– A gdzie mam popatrzeć?

– Na plac przed Skałą Zmierzchu. Byliście tam kiedyś.

Powiedział „Dobrze” i zaczął naciskać jakieś guziki na pulpicie.

Dopiero wtedy poczułam niepokój.

– Ono widzi w ciemnościach?

– Tak – odpowiedział. – Nie przejmuj się. Może nie tak dobrze, jak za dnia, ale widzi.

– Bardzo dobrze. To niech popatrzy.

Zaczął naprowadzać spojrzenie Oka na Skałę – widziałam jak po ekranie przesuwały się skokami stepowe pustkowia, potem skały; wszystko było osobiwie czerwone, ale ogólnie dało się zobaczyć, co gdzie jest.

W końcu zatrzymał Oko nad Skalą Zmierzchu. W pierwszej chwili nie pojął, na co patrzy, a potem, jak zrozumiał, jęknął:

– O Boże!

– Dobrze się przyjrzyjcie – powiedziałam.

Wybałuszył oczy, ale już na mnie.

– Co wy wyprawiacie?! Po co to wszystko?

– Ponieważ u nas nie ma deszczu – odparłam.

– Ale jaki to może mieć związek? To jakiś obrzęd, czy co?

– Ulisses – zaczęłam wyjaśnienia – jak nie ma deszczu, trzeba go jakoś przywołać. To słuszne i tak robimy od zawsze, ale teraz mi się wydaje, że coś jest nie tak. Chyba jednak rzuciliście na mnie jakiś urok – przecież jeżeli, jak mówicie, ani deszcz, ani wiatr nie mogą nas usłyszeć, wychodzi na to, że to wszystko na darmo, tak?

Popatrzył na mnie i westchnął.

– Gdyby to coś dawało, byłoby inaczej – ciągnęłam – ale jeżeli to jest zupełnie daremne, to jaki z tego pożytek?

– Aż tak źle u was z wodą?

– A co, nie wiedzieliście, co się u nas wyrabia?

Pokręcił głową.

– Nie. Zajmowaliśmy się czymś innym. Wiedzieliśmy, że tu jest susza, ale na południu szaleją okropne pożary i...

– A koczowników susza nie dotknęła? Wiem, że oni potrafią znaleźć wodę węchem, ale...

– Nie, to my im dajemy wodę. Ale nie myśleliśmy, że aż tak... Posłuchaj, jak wysłemy waszym kilka beczek, to oni je przyjmą?

Zastanawiałam się dość krótko.

– Nie.

– No to czego od nas chcesz?

– Nie wiem. Potraficie wszystko. Chcecie, żeby wszystkim było dobrze. Może potraficie też zsyłać deszcz?

– No, wiesz... – powiedział niepewnym głosem.

– Nie przyjmą od was wody. Ale przyjmą wodę z nieba.

– No dobrze, poczekaj tutaj.

Zostałam sama, ale nie chciało mi się siedzieć w pustym pomieszczeniu – czułam się obca, więc wyszłam na próg. Niebo na wschodzie zrobiło się już przejrzyste – jeszcze trochę i zacznie się świt. Ponownie zaczął dąć wiatr – suchy i gorący, niosący ze sobą pył i popiół. Nad ziemią wisiały niskie, ciężkie obłoki podświetlone od spodu pożarem – ale deszczu wciąż nie było.

W końcu Ulisses wrócił. Wyglądał na rozzłoszczonego, jakby długo się z kimś kłócił.

Popatrzył na mnie i powiedział:

– Czy według ciebie jest jakiś sens w tym, żeby stare przesady zastępować nowymi?

Wzruszyłam ramionami. Wiedziałam z kim rozmawiał i że nie spodziewa się ode mnie odpowiedzi.

– Nie jesteśmy aż tak wszechmogący.

Ponownie nic nie powiedziałam, on zaś pomilczał jeszcze przez chwilę i rzekł:

– A dlaczego nie miałabyś zostać tutaj?

– Nie mogę.

– Niczego ci tu nie zabraknie. Będiesz się mogła dalej uczyć. Czy to źle?

– Może i nieźle. Ale wtedy nie mogłabym już wrócić do swoich. A tak być nie powinno.

Wstałam i otarłam pobrudzone ziemią kolana – gdy tu szłam, parę razy upadłam.

– No dobra... Jeżeli nie możecie zesłać nam deszczu, trzeba mi wracać. Bo nasi się spostrzegą, że mnie nie ma...

– Poczekaj! Podwiozę cię – zaproponował Ulisses.

– Nie rozumiesz, że waszym ludziom zabroniono pokazywania się u nas? Jeżeli moi zobaczą, że przyjechałam z tobą...

– Ależ nie, o tym to ja wiem – odparł z rezygnacją w głosie. – Po prostu podwiozę cię bliżej. Nikt niczego nie zauważy.

– Skoro tak, to dobrze.

Wyprowadził ten swój mobil i wsiadłam już bez słowa protestu. Niebo gorzało dziwnym, zimnym blaskiem – i nagle zobaczyłam, jak z jednej chmury na drugą przeskakuje ognisty łuk, który na chwilę zawisł nad stepem, wijąc się niczym gniewny wąż. Gdy zgasł, natychmiast pojawił się drugi. A potem całe niebo rozjaśniła sieć błyskawic, w oddali głosem górskiej lawiny zahuczał grom, potem tuż obok uderzył drugi... Bijące w ziemię błyskawice raziły wzrok swoją intensywnością... a po chwili w przezroczysty dach mobilu uderzyły pierwsze krople deszczu.

Deszcz lunął z taką siłą, że przestaliśmy cokolwiek widzieć. Mobil zapalił te swoje światła i zobaczyłam przed sobą nieprzeniknioną burą ścianę wody – wyglądała na nieprzebytą, ale latająca łódka cięła ją jak nóż masło.

– No, no... – powiedziałam tylko.

Ulisses zerknął na mnie z ukosa.

– Tylko nie myśi, że to nasza sprawka.

– A jakże! Oczywiście, że nie – odpowiedziałam.

Chciał może jeszcze coś rzec, ale poprosiłam go, żeby mnie wysadził pod Skałą Zmierzchu – trzeba było wyciągnąć Dropie, zanim ją zaleją potoki spływającej ze zbocza wody. Deszcz bił mnie po twarzy, jakby w odwecie za to, że wbrew jego woli zmuszono go do okazania łaski, ale tym się akurat nie przejmowałam – niech się wścieka, a co mi tam. Znalazłszy się na placu

spojrzałam za siebie – latająca łódka migając światełkami malała coraz bardziej, niczym unoszący się w nurcie potoku patyczek, a potem znikła zupełnie.

* * *

Podejrzewałam, że z tym deszczem coś jest nie tak – i tak było w istocie. Rozpoczął się burzą, która z hukiem piorunów napełnia wszystkie koryta, a potem szybko się uspokaja; ten jednak przeszedł w dokuczliwą, uporczywą mżawkę, ziemia cmokała pod nogami, a ludzie w domach pomarkotnieli i zrobili się drażliwi, jak bywa zawsze przy przeciągającej się niepogodzie. Dni mijały jeden za drugim, szare i podobne do siebie, nie było niczego do roboty, a Skarabeusz przez cały czas spał – podczas suszy podupadł mocno na zdrowiu. Zajmowałam się jakimiś nieszkodliwymi Przedmiotami i chyba udało mi się nawet odkryć, jak wykorzystywać niektóre z nich, ale do tego potrzebne byłyby Przedmioty uzupełniające, a tych nigdzie nie było. Tak jest niemal zawsze, jeżeli Przedmiot składa się z kilku części.

Potem przyszła mi do głowy jedna myśl – tak dziwna, że z początku zrezygnowałam z przemyślenia jej do końca, przeszkadzała mi jednak jak drzazga pod paznokciem, a i tak nie miałam niczego do roboty. Potrzebna mi była równa deseczka, niewiele takich mieliśmy, ale wystarczyła mi najmniejsza z nich – chciałam tylko spróbować. Trzeba ją było wypolerować – tak gładko, jak tylko się da. Robota była nudna i mozolna, podejrzewam, że starożytni robili to jakoś inaczej, chyba że mieli mnóstwo zbędnych rąk do pracy. Skarabeusz zapytał nawet, czym się zajmuję – dziwne mu się wydało, że siedzę w odległym kącie i nigdzie nawet nie wylażę, ale powiedziałam, że pokażę jak skończę i zostawił mnie w spokoju. Może liczył na to, że mnie coś olśni, jak to było z tamtym Przedmiotem, i że lepiej mi nie przeszkadzać?

Tak czy owak, znalazłam sobie zajęcie na czas długiej niepogody, a potem deszcz nagle ustał. Ziemia wyglądała jak umyta, plony – nie to że ocalały; strzeliły w górę z oszałamiającą szybkością, wszyscy mieli pełne ręce roboty, i dałam spokój tej mojej deszczulce, ale pewnego razu wracając z ogrodu zobaczyłam, że na placyku przed Domem Chroniciela stoją ludzie. Poznałam Dropie i Krzczota – ten nigdy tu nie przychodził bez szczególnej potrzeby, a tu prosię bardzo, siedzi jakby nigdy nic. Pierwsze, co pomyślałam, to że umarł Chroniciel. Kiedy wychodziłam, czułam się niby dobrze... ale był już bardzo stary.

Zatrzymałam się, niepewna, co dalej, ale Dropia przywołała mnie słodziutkim głosem:

– A no podejdz tu, Wyja.

Podeszłam.

Krzczoć milczał, ale to akurat było bardzo złą oznaką. I wtedy zobaczyłam, że za plecami ludzi kryje się ten przygłup, który usługiwał Chronicielowi i wykonywał całą brudną robotę – bo tylko do tego się nadawał, głupek jeden. Ostatnio mocno się mnie bał – od czasu, kiedy wróciłam

od Gwiazdnych Ludzi, ale tym się nie przejmowałam – matoł bał się wszystkiego i wszystkich.

Dropia podniosła się z trudem i wstała – od tamtego czasu, kiedy ją zakopali, ledwo chodziła, w dodatku pojęłam, że jest prawie równego wzrostu ze mną – albo ona się skurczyła, albo ja urosłam.

– Wiesz ty, co gada ten chłopczyzna? Mówi, że masz się za Tego Który Czyni Kroniki. Nie za wielki to zaszczyt i brzemię dla ciebie?

Krzeczot patrzył na mnie tak, jakby mnie w ogóle tu nie było – i zdjął mnie strach.

Ale mimo to odpowiedziałam:

– Przecież to przygłup. Naprawdę bierzecie poważnie jego gadanie?

– Aha – stwierdziła Dropia. – Przygłup, powiadasz... A co to jest?

W jej ręce pojawiła się moja deszczułka.

– To ty się takimi rzeczami zajmujesz w domu Chronicie – la? Kiedy powiedziałam o tym Skarabeuszowi, przeraził się. Powiedział, że nigdy w życiu nie ścierpi obok siebie podobnej herezji! Czy on cię kiedyś uczył czegoś podobnego?

Otworzyłam i zamknęłam usta.

– Nie... – odpowiedziałam po chwili milczenia.

– Znaleźliśmy to wśród twoich rzeczy. Chronicieł powiedział, że widzi to po raz pierwszy – bo sam by nam o tym powiedział.

„Akurat niczego nie wiedział!” – pomyślałam. Dropia co prawda mogła i podejrzewać, że stary kłamie, ale wolała uwierzyć mu na słowo – gdzieżby teraz, tak od ręki, znalazła drugiego Chronicieła?

Na wszelki wypadek popatrzyłam na Skarabeusza. Siedział bez ruchu, a z jego twarzy niczego nie dało się wyczytać.

Krzeczot też zerknął na Skarabeusza, a potem powiedział:

– Może ona po prostu odtworzyła to z jakiejś Kroniki, o Czcigodny? Jeśli tak, to chciałbym zobaczyć, z jakiej...

– Nie – odpowiedział zwięźle Skarabeusz.

– Nawet gdyby ona zwyczajnie... – zaczęła Dropia, ale Krzeczot zamknął jej usta ruchem ręki.

– Poczekaj, mateczko... Czyli sama ją napisała, tak? Co właściwie miałyby napisać?

Stary drżącą ręką sięgnął po deszczułkę. Przez pewien czas oglądał ją uważnie, wodził palcem po grubej pokrywie wosku, potem odwrócił ją do góry nogami i powiedział:

– Nie mam pojęcia.

Pomyślałam, że najprościej byłoby zapytać mnie samą, ale na ten pomysł jakoś nie wpadli. Krzeczot odebrał deseczkę Skarabeuszowi i stwierdził ponuro:

– To wszystko przez Gwiazdników. Same klęski i uroki nasylają. Traktowaliśmy ich jak

braci, a oni zasypują koczowników darami, nawet Przedmioty im dają. Od ich przybycia sypią się na nas nieszczęścia. Nie bez powodu ludzie widzieli Miasto Martwiaków – to zły znak. Oni mają złe oko... ci Gwiazdni Ludzie.

Zrozumiałam, że do tej pory nie może tamtym darować poniżenia... A mnie nie daruje, bo byłam tego świadkiem.

Wstał.

– Wszystko zaszło już za daleko – stwierdził. – Tę zarazę od początku trzeba było wyplenić.

Dropia pchnęła mnie w plecy.

– Idziemy, Wyją...

Zrozumiałam, co ma się stać, ale strachu nie czułam, tylko jakieś osobliwe zdziwienie – czy oni naprawdę myślą, że jak się mnie pozbędą, to czas popłynie wstecz i wszystko będzie jak dawniej? Może liczą na to, że Gwiazdni zabiorą swoje Domy i odlecą – tak samo nagle, jak przylecieli? A koczownicy co? Opuszczą swoje siedliska i też pójną precz?

Ale ruszyliśmy w dół, ku Skale Zmierzchu, a gdy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, że za nami tłumnie idą ludzie – z daleka, bo nikt nie ośmielił się podejść bliżej.

* * *

W nocy nikt bez powodu nie podejździe do placu pod Skałą Zmierzchu – i zostałam sama, przynajmniej do świtu. Było mi dość niewygodnie, bo ręce wykręcono mi w tył i związane w nadgarstkach za słupem. Noc była cicha, spokojna, a gwiazdy świeciły, jakby je umyto. Widziałam Gwiazdny Czerpak, Łowcę i tę niezbyt jasną gwiazdę, wokół której obraca się całe niebo – ta wisiała całkiem nisko, nad horyzontem. Były całkiem malutkie, te gwiazdy, jak zwyczajne ogniki i nie chciało się wierzyć, że ktoś tam może żyć; cokolwiek by mówili Gwiazdni Ludzie, z pewnością były to łgarstwa. Po niebie przepływały ciemne cienie i słyszałam krzyki gaszących skrzydłami gwiazdy ptaków; nad dalekim morzem rozlewała się nikła poświata i zobaczyłam, że w mglistej dali, zasłaniając Gwiazdę Osi, przepływa Miasto Martwiaków. Czy nie za często ostatnio się tu zjawiają?

W trawie rozległ się cichy szelest, a ja drgnęłam nagle: po kamieniach wspinało się ku mnie jakieś spore zwierzę. Niby żadna różnica, a nieprzyjemnie...

– Wyją!

To nie było zwierzę.

– Chroniciel! – powiedziałam.

– No patrzcie tylko, jaką idiotkę wyuczyłem na swoje nieszczęście – sarknął stary. – Czemu mi niczego nie powiedziałaś? Od razu bym ci kazał rozbić tę przeklętą deszczułkę i wyrzucić jak najdalej precz.

Uniosłam ramię, żeby podrapać się w nos i powiedziałam:

– Chciałam ci zrobić niespodziankę. Myślałam, że się ucieszysz.

– No to ci się udało – stwierdził sucho.

– Nie, naprawdę. Często myślałam, jak to Starożytni robili, że wychodziły im takie równe znaczki. To bardzo proste, w rzeczywistości nie potrzeba do tego maszyn Gwiazdników, choć oni i to potrafią, sama widziałam – bierzesz deseczkę, trzeba tylko, żeby była gładka, potem powlekasz ją grubą warstwą wosku, a potem wycinasz na nim znaki... Mażesz farbą, może być i sadza, tylko żeby gęsta była – i przykładasz do płótna. Płótno walcujesz, żeby farba się odbiła. Tylko że znaki wychodzą białe na czarnym, a u Gwiazdnych Ludzi jest odwrotnie. No i trzeba je wycinać odwrotnie.

– A! – mruknął stary. – A ja się zastanawiałem, czemu one wszystkie są takie odwrócone, jakby odbite w wodzie...

– Tyle, że u mnie wyszły nie bardzo równe, ale z czasem...

– Nie dano ci czasu – stwierdził Chroniciel.

Usłyszałam, jak pochylił się ze stęknieniem i poczułam, że pomiędzy moje dłonie a sznur wsuwa się ostrze noża. I zaraz potem zrozumiałam, że mogę opuścić ręce.

– Uciekaj – powiedział stary.

– Ale... Dokądże ucieknę? Nie przyjmie mnie żaden porządny Dom.

– To prawda – westchnął. – Musisz iść do Gwiazdnych Ludzi, póki jeszcze tu są. Wydaje mi się, że oni niedługo już tu zostaną.

Zamyśliłam się na chwilę.

– Może i oni mnie przegonią?

– Nie sądzę. To, co ci zrobiono, jest po części ich winą. Możesz im tak powiedzieć. Cokolwiek by nasi o nich mówili, Gwiazdni też mają swoje poczucie honoru i obowiązku. Przyjmą cię.

– A co będzie z tobą, Chronicielu? Jak mnie tu nie znajdą, wezmą się za ciebie – muszą mieć kogoś, na kim się wyładują.

– Owszem – odpowiedział. – Z pewnością masz rację. Ale ja jestem już stary. Wiesz, wszyscy kiedyś umrzemy, wcześniej lub później. Czegóż miałbym się bać? Ale nie mogę pozwolić na to, żeby zabili ciebie – drugiego ucznia i tak już nie będę miał.

Stałam wciąż pod słupem, i wtedy stary pchnął mnie w plecy.

– No idź...

– Ale ja...

– Idź, bo ten parszywy przygłup znowu coś zwęszy. Tak go wychwalali, że teraz ze skóry wyskoczy, żeby się jeszcze raz wykazać.

– Ale...

– Jest w tym wszystkim i moja wina. Nie trzeba mi było oddawać im ciebie na naukę.

Powinienem był wiedzieć, czym to się może skończyć. Tak, Wyjo... A coś ty tam napisała?

– Nic szczególnego, czcigodny. Napisałam: „Nazywam się Wyją. Mieszkam w Domu. Uczyłam się u Gwiezdných Ludzi, teraz uczy mnie Chroniciel”. To wszystko. Chciałam jeszcze napisać, jak ty się nazywasz, ale nie starczyło miejsca. O wszystkim tak można napisać – i o tym na przykład jak to u nas nie było deszczu.

– No proszę... – zamyślił się. – Wychodzi na to, że...

Ale w tejże chwili w pobliskich krzakach odezwał się jakiś ptak i Chroniciel ponownie pchnął mnie w plecy, ale tak że nie utrzymawszy równowagi padłam na czworaki, a sam zaczął się wspinać w górę stoku. Starał się to robić bezgłośnie, ale i tak słychać było, jak spod jego stóp osuwają się kamyczki uderzające o inne. Wstałam, odczekałam jeszcze chwilę, a potem też ruszyłam przed siebie – ale w drugą stronę. Przed sobą miałam prawie całą noc, a drogę już znałam. Jeżeli podejść do tych ścian, które wyją i migają ognikami, najpierw mnie wpuszczą, myślałam, a pytania zaczną zadawać potem. Nie należą do ludzi, którzy działają bez namysłu. Zobaczysz się na miejscu. Teraz jednak nie miałam za kim się wstawiać – chyba że za samą siebie.

* * *

Noc była bardzo ciemna, bezksiężycowa, a światła gwiazd nie starczyło na to, żeby choć z grubsza obserwować okolicę, a cóż dopiero mówić o patrzeniu pod nogi. Ale tak czy owak, nie sposób było zablądzić – nad sadybą Gwiezdników, podświetlając niebo, płonęła wciąż ta sama, nikła poświata. Doszłabym tam jeszcze przed świtem, ale nagle coś tam się zmieniło – niezbyt jasne, ale jednostajne światło rozlewające się niczym ta na poły przezrzysta zorza, która w gorące dni sierpniowe zawisa nad morzem, nagle przygasło, a potem w niebo wzbił się słup ognia, który pulsował nierównomiernie, jak krew śmiertelnego rannego zwierzęcia. Po jakimś czasie zgasł i nad stepem przetoczyło się przeraźliwe, rozdzierające uszy nieludzkie wycie, jakby głos powalonego olbrzyma, który miota się i rozrzuca wokół siebie odłamki skał i powalone drzewa. Nie dało się go słuchać – rozwalał czerep od środka. Padłam na ziemię, zatykając uszy dłońmi, ale mimo to go czułam – sama ziemia pode mną jęczała i trzęsła się, jakby chciała mnie zrzucić. Odotoczyłam się do jakiejś jamy, którą po brzegach porastały kępy burzanu.

I to mnie uratowało. Jeźdźcy przemknęli obok – mnie, która patrzyłam na nich ze swojej kryjówki, wydali się ogromni; czarne, kosmate figury na tle czarnego nieba, na którym nikło lśniły gwiazdy i płonęła daleka luna. Pomyślałam, że są ich tysiące, choć pewnie tylu aż nie było, ale ziemię wstrząsał tętent kopyt ich koni, oni zaś wyli i pohukiwali tak głośno, iż stłumili to przeraźliwe wycie – a może ucichło samo z siebie, jakby ten ranny gigant w oddali zachłysnął się swoją krwią.

Rwali tam, skąd ja przyszłam, lecieli nad stepem niczym niszcząca fala, która zmiata

w nicość wszystko na swojej drodze.

Przez jakiś czas jeszcze leżałam nieruchomo, przyczaiwszy się w swojej kryjówce. Fala przeszła, a za nią nadciągnęła druga – ta toczyła się wolniej, słyszałam jak jeźdźcy przekrzykują się nad moją głową ostrymi, ptasimi głosami i jak skrzypią ciężko obciążone telegi – nie musieli się spieszyć, był to ostatni oddział, który ciągnął od sadyby Gwiezdných. Przez suchą trawę nad krawędzią mojej jamy przemykało światło pochodni, to ją oświetlając, to kryjąc w cieniu, a ja ze wszystkich sił wtulałam się w ziemię. Potem i ci znikli w oddali – ucichły głosy ludzi, śmiechy i rżenie koni, a nad stepem zapadła cisza, jaka bywa po burzy. Umilkły nawet świerszcze.

Przez jakiś czas jeszcze leżałam bez ruchu, przepełniona obawą, że zjawi się jeszcze któryś z maruderów, ale nad moją jamą nikt już nie przejechał – nocą tętent kopyt niesie się daleko, a jeżeli przyłgnąć do ziemi uchem odzywa się w niej miarowym szumem, wokół jednak naprawdę było cicho. Wreszcie ostrożnie wysunęłam głowę i rozsunęłam porastającą krawędź jamy lebiode.

Świt nadciągał jakoś niechętnie i powoli, jakby wolał nie ujawniać tego, co dotąd skrywały nocne ciemności. Zrobiło się chłodno, a od morza zaczął dąć wilgotny wiatr. Niebo pojaśniało, wokół zaczęło się rozwidniać i zobaczyłam, że wzniesiona na szczycie wzgórza sadyba Gwiezdných Ludzi zmieniła swój wygląd.

Z daleka niezbyt dobrze było widać, ale gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, w czym rzecz. Osiedle wyglądało na martwe i niezamieszkane, najważniejsze jednak było to, że wyraźnie zmienił się jego zarys; znikły gdzieś kopuły Domów i została tylko otaczająca cały teren ściana, rysująca się mrocznie na tle różowiejącego nieba. Odczekałam jeszcze chwilę, w obawie, że zobaczę błędzące we mgle ruchliwe cienie, ale tam chyba było pusto. Zupełnie i całkowicie pusto. Gdy rozjaśniło się jeszcze bardziej, zobaczyłam, że wrota stoją otworem – okazuje się, że mogły się rozsuwać bardzo szeroko i w wielu miejscach naraz; ta ściana sama pewnie wiedziała gdzie i jak bardzo ma się rozstąpić, tym razem jednak popełniła fatalny błąd; ziemia w przejściach zryta była końskimi kopytami, darń porozdzierana i przecięta koleinami – ślad był głęboki; obciążony pojazd ciężko zagłębiał koła w ziemi. Zajrzałam do środka.

Z Domów Gwiezdných Ludzi nie zostało prawie nic oprócz stosów osmalonych kawałków, niekształtnych i sterczących gdziekolwiek w górę jak bezsilne kły fragmentów ścian.

Roztrąciła je jakaś potworna siła, jakby z głębin ziemi wyrwał się ognisty wichur, który rozniósł wszystko tak, że nie można było nawet odgadnąć, gdzie co było.

Pośród odłamków leżało kilka ciał – poczerńiałe i zwęglone wydały się nikczemnie małe, pozwijane jak dzieci wydobyte przed momentem z łona matki. Wszędzie pachniało spalonym ludzkim mięsem i czymś jeszcze; wśród obcych zapachów nieznanymi mi stopionych materiałów szczególnie jeden był ostry i wierzący w nosie, jak powietrze po burzy. Poczulałam na skórze

ukłucia niewidzialnych igiełek i włosy stanęły mi dęba.

Pod ogrodzeniem leżało jeszcze kilka innych ciał; jeden z mężczyzn, który najwyraźniej nie pojmując o co chodzi w tej zawierusze usiłował wybiec na zewnątrz, miał wbitą w pierś opierzoną strzałę. Tego nie znałam, ale pod samą ścianą leżał jeszcze jeden, twarzą w dół. Pod nim czerniała kałuża krwi. Gdy odwróciłam go na plecy, zemdlilo mnie nagle – na jego szyi zionęła okropna rana. Poderżnięto mu gardło, ale tak, że w głębi rozcięcia białeły szyjne kręgi. Miał zmasakrowaną twarz, ale te rany już nie krwawiły – okaleczono go po śmierci. Z trudem poznałam w nim Lagranza.

W rozwalinach poruszył się jakiś cień; drgnęłam i odskoczyłam, choć niepotrzebnie – z daleka było widać, że ów człowiek, kimkolwiek by był, ledwo się trzyma na nogach; co chwila przystawał i macał wokół siebie szukając oparcia.

Podeszłam tak, że mogłabym go dotknąć i dopiero wtedy go poznałam.

– Ulisses!

Wzdrygnął się i zapytał:

– Kto tu jest?!

– To ja, Wyją.

– Co ty tu robisz?

Rozglądał się na boki, choć jasne było, że prawie niczego nie widzi – miał osmalone brwi i rzęsy, cały czas mrużył oczy, jak człowiek, którego nagle wyprowadzono z ciemności na jasne światło, choć w rzeczy samej okolicę rozświetlały pierwsze, nikłe jeszcze promienie brzasku.

– Jesteście ranni? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział. – Nie. Ogłuszyło mnie. W czasie wybuchu byłem w aparatu; odrzuciło mnie na bok... najgorzej dostało się oczom, ale to już mija. Wiesz, co się stało?

Kiwnęłam głową, a potem, pomyślawszy, że on jeszcze źle widzi, powiedziałam:

– Tak.

– Wyłączyli siłową tarczę, sygnalizację... wszystko... i wpuscili swoich. – Pokręcił głową. – Wyszadzi nawet stację energetyczną. Nikt nie pomyślał, że coś takiego jest możliwe.

– Owszem... – powiedziałam. – Nie na durniów trafiło.

Co jeszcze miałam powiedzieć?

– Czemu oni to zrobili? – Ulisses wciąż jeszcze zachował zdolność dziwienia się. – Przecież chcieliśmy dla nich jak najlepiej.

– Kiedyś ich znieważyliście. Zabraliście ich sobie jak bydło. Będą to wam pamiętać nawet wtedy, gdy słońce wzejdzie na zachodzie. Ale nawet gdyby nie to, przyczyna i tak by się znalazła. Wy mieliście siłę, a oni nie; teraz wy jesteście słabi, a oni staną się jeszcze silniejsi, i tyle.

– I tak oto runęły mury Troi – wymamrotał.

Pomyślałam, że zwariował. On jednak podchwyciwszy moje spojrzenie, wyjaśnił:

– To historia, rozumiesz?

– Dajcie spokój tej swojej historii! – Chwyciłam go za ramię i nie wiedząc nawet, co robię, potrząsnęłam nim kilka razy. Zorientowałam się dopiero, gdy zobaczyłam jak jego głowa kolebie się z boku na bok. – Czy wiecie chociaż, co wyście tu nawyrabiali, sukinsyny jedne? Dopóki was nie było, wszystko szło dobrze. Kto was prosił, żebyście wtykali nosy w nasze życie?! Przez was zabito Skarabeusza! To wy, swoimi wariackimi poczynaniami, ściągnęliście nam na głowy koczowników! Popatrz! Popatrz tam!

Naszych Domów stąd, rzecz jasna, widać nie było, ale można było zobaczyć czarny słup dymu, który wzbijał się nad wzgórzami. I jeszcze jeden, nieco bardziej na lewo i drugi, na północnym wschodzie...

– Przecież my chcieliśmy jak najlepiej – powiedział z rezygnacją. – Myśleliśmy...

– Myśleliście? Że wiecie lepiej od wszystkich? I co z tego? Co zostało po was i po tych waszych maszynach? Dobrze wam tak!

Milczał i ocierał dłonie. Nie zostało już na nich nic – ani brud, ani krew, a on wciąż je wycierał.

– Widziałaś kogoś? – zapytał wreszcie. – Lagrange’a?

– Widziałam, Ulissesie, ale on...

– Rozumiem – odpowiedział sucho.

Znów się rozeźliłam.

– Nie widziałeś jeszcze, co z nim zrobili? No to popatrz i dobrze się przyjrzyj! Tak samo potraktowano naszych – obcięte uszy, taka jest miara ich sławy! I to z nimi chcieliście się zbratać? Bo są lepsi od nas? Tak?

– Przestań mówić, proszę...

Umilkłam, ale on sam nie wytrzymał. Pomilczał chwilę, a potem zapytał:

– I co teraz robić? Dokąd pójść?

Miał minę dziecka, które się zgubiło w ciemnościach. Zrobiło mi się go żal.

– Mówiłeś, że macie gdzieś jeszcze jedno osiedle, tak?

– Owszem, jest jedno, w górach, ale to daleko. I nie można teraz nawiązać z nimi łączności, żeby poprosić o pomoc. Widziałaś, co zrobili z całą aparaturą...

Zmęczonym gestem przetarł twarz.

– Wiesz, czy porwali Dianę?

– Nie. Ale nie widziałam jej wśród zabitych.

„Ale są te – pomyślałam – popalone ciała. Nie zgadniesz, kto to był...”

– Dla niej to śmierć.

– O wa, zaraz śmierć. Oni zawsze zabierają ze sobą młode, ładne kobiety. Ktoś tam ją sobie

weźmie i to wszystko. Przynajmniej jej nie okaleczą tak, jak to robią z pojmanymi mężczyznami. Pewnie, będzie jej ciężko, przypadnie jej w udziale najgorsza robota, a starsze żony z pewnością będą ją biły, ale to nie takie straszne.

– Nie – odezwał się Ulisses. – Nie rozumiesz. Ja... niełatwo mi to wyjaśnić. Ona w takich warunkach długo nie wytrzyma.

– Wy naprawdę jesteście takim cherlawym narodem?

Przez chwilę siedział, ukrywając twarz w dłoniach, a potem rzekł:

– Tak.

I co z takimi zrobisz?

– A gdzie stoją te wasze inne Domy? – zapytałam.

Kiwnął głową, wskazując bliżej nieokreślony kierunek na zachodzie.

– Daleko?

– Owszem, daleko – odpowiedział. – Znaczy... przedtem to nie było takie ważne, sama rozumiesz...

„Rozumiem – pomyślałam. – Jeżeli oni rzeczywiście przylecieli z gwiazd [w co do tej pory nie bardzo byłam skłonna uwierzyć], to tutejsze odległości musiały im się wydać nic nie znaczącymi – dopóki nie odebrano im tych wszystkich maszyn, pozwalających rozmawiać na odległość”.

– Wszystko jedno – odezwałam się. – Pójdziemy tam i wszystko im powiemy – nie mieliby sobie dać rady z koczownikami? Przecież też mają te latające łódki i wszystkie wasze inne sztuczki. Pozabijają drani, a potem wy sobie zabierzecie tę waszą Dianę – o ile będzie jeszcze żyła.

– Ty nie rozumiesz... – powtórzył tępo.

– No oczywiście, jakżebym miała zrozumieć – sarknęłam.

– Żaden z naszych nie będzie się mścił na nikim z waszego narodu. To po pierwsze...

– Koczownicy nie są moim narodem.

– Tak naprawdę to nie ma różnicy – sprzeciwił się.

Siedział tutaj, na ruinach swojej sadyby, otoczony trupami towarzyszy, a jednak zdołał mnie już obrazić – i to nawet się nie zastanowiwszy, co mówi...

– Po drugie – ciągnął, jakby nie usłyszał moich słów – zwyczajnie nie zdążymy. Nie mamy na to czasu. Rozumiesz?

– Nie.

– No to będziesz mi musiała uwierzyć na słowo.

– Ale czemu się tak przejmujesz losem jednej baby? Ta Diana była twoją kobietą, czy co?

– Wcale nie – odpowiedział. – Ale jesteśmy przyjaciółmi. Straciliśmy już tylu... A tobie samej nie żal? Każdy z nas odchodząc zabiera ze sobą część naszej niegdysiejszej wielkości.

– Znów te wasze głupoty. Jaka tam wielkość? W niczym nie jesteście lepsi od nas. Popatrzcie dookoła – na co teraz wasi się przydadzą? Chyba tylko robakom na karmę.

Wzdrygnął się, jakbym go uderzyła, a potem zapytał:

– Jak chowacie swoich zmarłych?

– Sadzamy ich twarzą do Skały Zmierzchu. Okładamy każdego chrustem. Podpalamy chrust i potem...

– Chyba wystarczy... – stęknął.

– ...oczyszczamy kości i układamy je w pieczarze grzebalnej.

– Tu nie ma grzebalnych pieczar. Może ich zakopujemy?

– Ulissesie... – odezwałam się. – Czemu by ich nie zostawić tak, jak leżą? Obrażą się nie na nas, tylko na koczowników. Nieukojone duchy będą ich prześladowały i żądały pomsty, o ile za życia miały dość charakteru...

– Czytałem o czymś takim – odparł sucho. – Ale nawet jeżeli masz rację – niech odejdą w pokoju. Nie będziemy się mścić. To nic nie da. Czy ty tego nie rozumiesz?

Jakoś nie rozumiałam. Jeżeli cię obrażą, a ty tego nie pomścisz, to kim się staniesz po czymś takim? Czym się będziesz różnił od zwierzęcia? Ale nie wszczęłam z nim sporu – może w tym zamieszaniu coś go rąbnęło w głowę?

Grunt był tu suchy, kopało się ciężko, na dodatek mieliśmy tylko żelazny odłamek [i to nie do końca z żelaza], który z grubsza tylko przypominał łopatę, ale ziemia wszędzie była porozrywana. Gdziekolwiek nawet kamienie powyrzucało z ich gniazd i w końcu Ulissesowi udało się wykopać grób – jeden dla wszystkich. Ale kiedy przyszło do układania w nim pozostałych na pogorzelniku martwych, nie wytrzymał – oparł się o ostatek jakiejś ściany i zasłonił dłonią oczy. Musiałam sama dokończyć dzieła. Żar wysuszył ich ciała i żaden nie był cięższy od małego dziecka. Ściągałam ich do jamy za nogi, pytając grzecznie każdego, czy się nie obrazi za to, że go tak bezceremonialnie wlokę; w końcu chcieliśmy jak najlepiej. Lagranza i pozostałych, których ciała ucierpiały najmniej, zniósł sam, bez słowa – chyba zrobiło mu się wstyd własnej słabości.

Przysypaliśmy potem jamę ziemię i przywaliliśmy kamieniami – kiepska mogiła, ale lepsza taka, niż żadna. Chciałam już odejść, żeby się umyć i napić – woda tu była, wydostawała się z ziemi i zapełniała jakąś jamę, ale on powiedział:

– Poczekaj.

– No, co jeszcze? – zapytałam.

– Trzeba chyba coś powiedzieć?

– A co tu gadać? Jeżeli nie zamierzacie ich pomścić, to co takiego możesz im powiedzieć?

Westchnął.

– Pożegnalne słowa. To nie tylko dla nich. Dla mnie też ważne, jeżeli już chcesz wiedzieć.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– Aha...tak.

Być może było to z jakiejś innej dawnej historii; znał ją na pamięć, bo zamknawszy oczy niemal bez zająknięcia zaczął mówić uroczystym głosem:

„Oto nasyciła się moja dusza nieszczęściami, a życie moje stało się jako piekło.

Zrównałem się ze zstępującymi do grobu; stałem się jako człek bez siły.

Między martwych wrzucen jestem – jak zabici leżący w grobie, o których nie pamiętasz i od których odsunąłeś ręce Swoje.

Czyż spełnisz cud nad martwymi? Czyż martwi powstaną i będą sławić imię Twoje?

Czyż w mroku poznają cuda Twoje, a w ziemi Zapomnienia – prawdę twoją?

Rzekłem: wszyscy jesteście bogami i synami Najwyższego.

Ale umrzecie, jako synowie człowieczy i upadniecie, jak każdy z książąt...”

A potem powiedział, już normalnym głosem:

– No, myślę, że to się nada. A ty jak sądzisz?

Według mnie sensu było w tym niewiele: zrozumiałam tylko, że on bardziej użalał się nad sobą, niż oplakiwał wszystkich martwych, każdy jednak ma swoje obyczaje, więc powiedziałam tylko, żeby go nie urazić:

– Pięknie zabrzmiało. A wy nie macie swojej pogrzebowej mowy? U nas taka jest.

Pokręcił głową.

– Nie mamy... przynajmniej nie dla tych, co zginęli gwałtowną śmiercią. Takich jeszcze nie mieliśmy.

Nigdy nie pojdziesz, kiedy mówią prawdę, a kiedy nie – przecież czegoś takiego być nie może! Co prawda w tej chwili to akurat obchodziło mnie najmniej ze wszystkiego.

– No dobrze, a co dalej? Zostać tu nie możemy – niebezpiecznie. Nie wiem, kto po koczownikach pojawia się na takich pogorzeliiskach, ale ktoś przyjdzie na pewno. Ludzie mówią, że za nimi ciągną zupełnie już dzikusy, które nawet zabijać nie potrafią – zbierają tylko, co się trafi.

– Pójdę za Dianą – powtórzył z uporem. – A ty rób, co chcesz.

Typowe świńskie podejście dorosłych – niby to zostawiają ci wybór, a w gruncie rzeczy nie masz żadnego.

– A czy w tej drugiej waszej sadybie mają Niebiańskie Oko?

– Mają – odpowiedział – i co z tego?

– Wywołają was, a wy nie odpowiecie. I co, nie zechcą wtedy zobaczyć, co się tu wyrabia?

– Tak – odpowiedział. – Z pewnością masz rację. Ale skoro nie możemy tu zostać, jaka

różnica, dokąd pójdziemy? Nie wiesz, dokąd ją uprowadzili?

– Koczownicy nie lubią zbyt długo pozostawać na jednym miejscu – tym bardziej po tak zuchwałych napaściach. Postarają się odejść jak najdalej stąd.

– To pójdziemy ich tropem – odparł twardo. – Posłuchaj, przecież mogli zabrać i kogoś z waszych. Czemu uważasz, że nie można ich uratować?

– Bo to na nic się nie zda. Oni kaleczą mężczyzn – oślepiają ich. Nie wiedzieliście? Doić bydło czy robić ser można i bez oczu, chodzić też – a uciec nie zdołają. A kobiet pilnują pewnie ich baby. Zresztą, nawet gdybyśmy je odnaleźli, one i tak nie zechcą uciekać.

– Tego to już zupełnie nie rozumiem – zdziwił się.

– A dokąd miałyby uciekać? Na pogorzelsko?

W rzeczy samej przypuszczałam, że on i tej swojej Diany nie odnajdzie, a gdyby nawet, to co z tego... on jednak jak zawsze nie chciał słuchać.

Wstał, rozejrzał się ponuro dookoła i powiedział:

– No dobra... Idziemy.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że mu odbiło i naprawdę zdjął mnie strach. Miałam iść nie wiadomo gdzie i to jeszcze z człowiekiem, który stracił resztki rozumu!

– Jak chcesz iść? Bez niczego? – I wyjaśniłam jak małemu dziecku. – Z pustymi rękami nie przeżyjemy.

– No dobrze – odparł ze znużeniem w głosie. – Czego nam trzeba?

Gdyby był ode mnie młodszy, dałabym mu po karku, ale był starszy, więc zaczęłam mu cierpliwie objaśniać:

– Musimy mieć bukłak na wodę. Nóż. Tę sztuczkę, która umie rozpalać ogniska – kiedyś ją u was widziałam. Potem te wasze puszki z jedzeniem – co będziemy jedli, choćby z początku?

– Według mnie – odpowiedział – tamci wszystko rozgrabili. Ale dobrze, poszukajmy...

Dom, w którym był skład Przedmiotów, ucierpiał najmniej, ale wewnątrz wszystko poprzewracano – na podłodze pełno było odłamków, które chrzęściły pod nogami; gdybym nie miała na sobie nogawic, poprzecinałabym sobie nogi do krwi. Błyszczały tam też jakieś kałuże, jedna miała piękną, jaskrawoniebieską barwę, ekran – taki sam za jakim kiedyś siadywałam, był rozbity i okazało się, że wewnątrz jest czarny i pusty. Jeszcze jedna kałuża, w którą niechcący wlałam, była lepka i tłusta, ale ogólnie rzecz biorąc cały bałagan nie różnił się od innych składów Przedmiotów, na które udawało się natrafić; Ulisses wciąż się denerwował na widok tego, jak jego pieszczochy obeszyły się z całym oprzyrządowaniem, ale w końcu to było jego prawo – przedmioty były jego, nie moje.

Tak czy inaczej, wszystko wyglądało beznadziejnie. Ale na wszelki wypadek zapytałam:

– Te wasze Przedmioty składaliście tylko tutaj?

– Owszem. Razem z nimi przechowywaliśmy te, które przeznaczaliśmy dla was – noże,

harpuny, groty strzał... to zabrali w pierwszej kolejności. Z pozostałych niektóre wzięli, a inne zniszczyli – przecież sama widzisz.

Rzeczywiście nie znaleźliśmy nic, co mogło się do czegokolwiek przydać. Szukając noża przewracałam puste skrzynki – niechby się trafił choć najmarniejszy, choćby jeden... ale żadnego nie znalazłam.

– Czego szukasz? – zapytał mnie.

– Noża. Może zajrzemy jeszcze w jakieś inne miejsce? Tam, gdzie kroicie mięso?

– Nie kroimy mięsa.

I cóż można na to powiedzieć?

Czasu mieliśmy nie tak znów wiele – mogli wrócić koczownicy pragnący sprawdzić, czy nie zostawili tu czegoś pożytecznego – w nocy można to i owo przeoczyć; mogli też zjawić się i gorsi, którzy złączą się do wszelakich ruin i na pobojowiska. Sama nigdy takich nie widziałam, ale nasłuchiwałam się sporo. Dlatego dałam sobie spokój z grzebaniem w rumowisku resztek Przedmiotów i wyszłam na zewnątrz – w Domu czułam się jak w pułapce.

W świetle nadciągającego dnia rozwaliny zdążyły już nabrać wyglądu miejsca opuszczonego przez ludzi, jakie mają zwykle porzucone osiedla – dawniej, gdy tu przychodziłam, wydało mi się, że ich Domy pełne są cudów, teraz jednak wszystkie te dziwy gdzieś się ulotniły, a najbardziej potrzebnych rzeczy nigdzie nie mogliśmy znaleźć. Pod ścianą leżała latająca łódka – na boku, jak wyrzucona z wody przez fale martwa ryba.

– Może się poruszać? – zapytałam Ulissesa.

Pokręcił głową.

– Nie. Eksplozji towarzyszył impuls elektromagnetyczny o wielkiej mocy – cały system sterowania uległ zniszczeniu.

Nie bardzo zrozumiałam, co właściwie się z nią stało, ale było jasne, że i łódka zamieniła się w kupę bezużytecznego złomu.

– Ale może jest w niej coś, co nam się przyda? Co, nigdy nie zabieraliście ze sobą najbardziej niezbędnych rzeczy?

– O Boże! – westchnął tylko.

Znajdująca się na rufie łodzi skrzynka nijak nie chciała się otworzyć – i wtedy Ulisses zahaczył drzwiczki jakimś żelaznym wygiętym prętem i zwyczajnie je wyłamał. Na ziemię sypnęły się jakieś rzeczy, których przeznaczenia w większości przypadków nie mogłabym nawet odgadnąć, ale niektóre mogły się przydać – płaska manierka na rzemieniu, nóż, którego ostrze samo się chowało we wcięcie na rękojeści i jakieś okrągłe, zamknięte naczynie. Ulisses zważył je w dłoni i zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Wiesz, co to jest?

– Owszem – odpowiedziałam. – Ta sztuczka wypuszcza z siebie jakieś świństwo, od którego

ludzie kichają i płaczą, albo walą się pokotem na ziemię i zasypiają. Lepiej byłoby, gdybyście mieli łuki i strzały – tak czy owak, więcej z nich pożytku.

Podniósł jeszcze jeden przedmiot – z rękojeścią, która dobrze leżała w dłoni, ale wszystko inne było w nim zupełnie do niczego niepodobne.

– A może to ci się spodoba. Strzela ogniem.

– Jeżeli mieliście takie sztuczki, to czemu o nich nie pomyśleliście wcześniej?

– To rzecz, której używa się tylko w ostateczności. Nie przyjechalśmy tu na wojnę. Ten zresztą też długo nie pociągnie – akumulatory są w połowie rozładowane.

Teraz, kiedy zebraliśmy już wszystko, co nam było potrzebne, nie należało zwlekać. Odwróciłam się do Ulissea, który najwyraźniej się denerwował – bał się tu zostać dłużej, czy może spieszno mu było do ratowania swej baby.

– No dobrze, chodźmy. Ale czy jesteście pewni, że ci z drugiej waszej sadyby zdołają nas odszukać?

– Tak – odpowiedział. – I nie zajmie im to zbyt wiele czasu. Mam nadzieję że nas dogonią, gdy będziemy w drodze.

– A jak nas odnajdą? Skąd będą wiedzieli, gdzie mają popatrzeć swoim Niebiańskim Okiem?

– Jest do tego specjalny system wyszukujący...

No proszę, tyle rozmaitych mądrych urządzeń mają, a bezbronni są jak małe dzieci!

– To niech pozabijają koczowników. Co może być bardziej prostego?

– Nie ja będę o tym decydował – odpowiedział zimno – i nie sadzę, żeby zechcieli unicestwić całe plemię. To bez sensu. Zabitym nikt nie przywróci życia.

– Krzeczot miał rację. Nie macie żadnego honoru. No dobrze, mścić się nie chcecie; a czy choć Dianę zdołają tamtym odbić?

– Taką mam nadzieję.

– Uśpić wszystkich, tak jak wtedy uśpiliście naszych i spokój. A potem ja sama poderżnę im gardła, jeżeli wam jaj do tego zabraknie.

– Boże! – westchnął. – Co za krwiożercza dziewczyna!

Słońce wzbijało się coraz wyżej; dzień zapowiadał się gorący, nawet bardzo gorący i zapach dymu i spalenizny doskwierał na pobojuwisku coraz bardziej. Z początku schodziliśmy ze wzgórz w dolinę – po prawej mieliśmy morze, matowe, ciężkie, wpierało się w niebo niczym ściana; wyżłobione przez ciężko obciążone wozy koleiny wciskały się głęboko w ziemię, a trawa dookoła była zdeptana końskimi kopytami. Koński nawóz był jeszcze świeży – główna grupa najeźdźców, obciążona skradzionymi dobrami i pojmanymi niewolnikami, posuwała się powoli, ale ryzykowaliśmy, że w każdej chwili nadziejemy się na jakiś oddział, który pojawi się gdzieś w pobliżu.

– Trzeba gdzieś przeczekać – odezwałam się. – Przynajmniej do zmroku.

A tymczasem Ulisses się uparł. Gotów był iść w skwarze, w biały dzień, ryzykując nadzieję na strzały koczowników – i przyszło mi do głowy, że on traktuje wszystko, co się stało, jak jedną z tych ich historii, które tak kochali; nie całkiem poważnie. Oni zawsze mieli coś z głowami, ci Gwiazdni Ludzie.

– Przez ten czas bardzo się oddała – upierał się. – I co wtedy poczniemy?

– W przeciwieństwie do nas, oni wędrują tylko za dnia. Na noc się zatrzymują i rozbijają obóz. A my wyjdziemy, jak się ściemni. Tylko że...

– Tak?

– To nie ma sensu, Ulissesie. Jeżeli dostaniemy pomoc, to inna sprawa, ale we dwoje nie uda nam się jej odbić. Obóz z pewnością jest strzeżony. I jeszcze... oni mają psy, a te podniosą alarm.

– Powiedziałem, że pójdę sam – odparł z uporem.

Potem spojrzał na mnie i trochę zmiękł.

– No dobrze, zobaczymy. Gdzie, mówisz, można się ukryć?

– Na brzegu są ruiny – powiedziałam.

– A – przypomniał sobie. – Stare miasto. Byliśmy tam... prowadziliśmy wykopaliska. Ale czemu uważasz, że tam będziemy bezpieczni?

– Bo tam nikt nie zagląda – tylko Chroniciele. A i to po powrocie każdy z nich musi spędzić tydzień w samotności, nawet żywności do rąk im podawać nie wolno – ten, co ją przynosi, zostawia i odchodzi. Taki obyczaj.

– To zakazane miejsce?

– Dla Chronicieli, nie. A dla wszystkich innych – tak.

– A my?

– Wcześniej, jak tam zaglądaliście, nikogo nie pytaliście, prawda? A zresztą myślę, że w całej okolicy nie został ani jeden Chroniciel.

Nie powiedziałam mu, że po części to i jego wina – a raczej wina jego współplemieńców. I tak się zamartwiał – choć znów nie z tego powodu, z jakiego był powinien; zaczął coś opowiadać o sumie wiedzy i potencjale kulturowym... Tymczasem zeszliśmy już ze wzgórza w dół – jak zawsze na nizinach trawa była tu niższa, i rosły jeszcze jakieś gęste krzaki. Koczownicy tu nie zaglądali, zbocza były za strome, koń mógłby nogę złamać, a swoje konie to oni szanują, co prawda to prawda.

Ulisses wciąż jeszcze się zadreślał utraconym poziomem wiedzy, kiedy kazałam mu się zamknąć; nad nami drżały otoczone jakąś mglistą zorzą ruiny Gwiazdnej Osady i wydało mi się, że krążą tam jakieś cienie.

– Uciekliśmy w samą porę – stwierdziłam szeptem.

Na jego zmęczonej twarzy pojawił się nikły uśmiech nadziei.

– A może to nasi? – zapytał.

– A czemu wasi mieliby łązić na czworakach? Nie mam pojęcia, co to za jedni. Wiem tylko, że zawsze się pojawiają na pobjowisku – ściąga ich zapach krwi, jak ścierwojady. U nas nazywają ich Ludźmi Nocy... Ciężko zobaczyć, jak wyglądają – za nic nie pozwolą człowiekowi się do siebie zbliżyć.

– A nie napadną na nas?

– Żywych nie ruszają. Boją się.

Tak czy owak staraliśmy się trzymać zarośli, choć nie sądzę, żeby te krzaki dały nam schronienie przed buszującymi na pobjowisku, gdyby ci zechcieli na nas napaść. Węch mieli jeszcze lepszy, niż koczownicy. Czasami się zastanawiałam – jak też wygląda otaczający nas świat dla takich jak oni? Albo, powiedzmy, jak go widzi pies – tyle rozmaitych zapachów i każdy coś oznacza. A reszta jest tylko niewyraźnymi cieniami.

Morze było coraz bliżej – słyszałam jego szum, słaby i niepewny, jakby obracało się we śnie. Zabłądzić się nie dało – szliśmy wzdłuż brzegu – ale szło się ciężko; brzeg przecinały osypiska, płyty czerwonej gliny nadającej się tylko do tego, żeby wędrowcy łamali sobie nogi; z ziemi sterczały korzenie zwalonych drzew, ale potem wyszliśmy na resztki starej drogi – była okropnie popękana, ale równa i szło się dość wygodnie.

Zaczęliśmy trafiać na ruiny – czas tak je nadgryzł, że niełatwo je było odróżnić od glinianych lawin, czasami tylko w zwaliskach kamieni odgadywało się zarysy oplecionych chwastami regularnych budowli.

– No proszę! – powiedziałam. – Rzeczywiście była tu jakaś osada!

– Nigdy tu nie byłaś? – zdziwił się Ulisses. – To przecież tylko jeden dzień drogi!

– Mówiłam, że nie. Nikt tu nie przychodził oprócz Chroniciela.

Byłam pewna, że niebo ześle na nas straszną karę. Z drugiej strony tyle się już na mnie zważyło...Jedno nieszczęście więcej, jedno mniej...

Rozwaliny częściowo pochłoneło morze – trawione pleśnią kamienie lizały fale i w głąb wody wnikały gigantyczne stopnie; wszystko było zbyt wielkie, nie na miejscu, jakby przeznaczone wcale nie dla ludzi.

– Kto tu żył? – zapytałam Ulissesa. – Czy ci ludzie Złotego Wieku byli olbrzymami?

– Nie – odpowiedział. – Wcale nie. Po prostu tak wtedy budowano. Przecież ludzi było znacznie więcej, niż teraz. W takich miastach żyło bardzo wielu ludzi.

– I gdzie się wszyscy podziali?

– Też zadaję sobie to pytanie – odparł ponuro. – Osiągnąć tak wysoki poziom techniczny, wspiąć się na takie wyżyny ducha... uwolnić się od wojen, chorób, zasiedlić obce światy – i odejść w niebyt!

– Ulissesie – powiedziałam cierpliwie, jakbym wyjaśniała coś dziecku – to po prostu bajka. Ludzie są ludźmi – trafiają się dobrzy i źli, sami zresztą o tym wiecie. A jeżeli to, o czym

mówicie, jest prawdą, to nie zbudowali tego ludzie, tylko ktoś inny.

– Właśnie oni – odpowiedział – byli prawdziwymi ludźmi.

W jego tonie było coś obraźliwego, jakby wyrzekaj się tego, co go otaczało, jakby to wszystko było niczym. Może, cokolwiek by mówił o bezsensie zemsty, w głębi duszy nie mógł wybaczyć, że koczownicy tak zwyczajnie go nabrali – ale czemu jednocześnie obrażał naszych?

Słońce wzbilo się już dość wysoko i zaczęło niezłe przypiekać, ale tu, w ruinach było chłodno i mroczno: kamienie nasiąkły wiekową wilgocią, jak korzenie drzew. W szczelinach pomiędzy kamieniami kłębiły się stonogi, a na załomach bielą łajno mew, które odpoczywały na kamieniach w sztormową pogodę. Nieopodał czerniał, niczym do połowy zasypany piaskiem szkielet morskiego zwierza, jakiś Przedmiot przypominający z grubsza latającą, wypatroszoną łódkę Gwiazdników.

– Oni też umieli latać w powietrzu, i inne takie? – zapytałam.

– Przecież ci opowiadałem – przypomniał mi ze zmęczeniem w głosie.

– Różne rzeczy się opowiada.

– Umieli. Ale nie w tym rzecz – sama widziałaś, że wasi koczownicy opanowali posługiwanie się naszą aparaturą niezwykle szybko; byliby z nich znakomici inżynierowie, zdolni tworzyć rzeczy wiecznotrwałe. Takie, które nigdy nie umierają.

– I to właśnie jest niemożliwe.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Twój upór jest absolutnie niezrozumiały! Przecież powinnaś czuć dumę – sama jesteś potomkiem tych, którzy wysłali ludzi do gwiazd. Którzy tworzyli wielkie dzieła sztuki, napisali wspaniałe książki. I marzyli o Złotym Wieku.

Mówił, jakby czytał z jakiejś Kroniki i zaczęło mnie to już drażnić.

– No przecież właśnie to był Złoty Wiek!

– Wygląda na to, że masz rację – przyznał przygnębiony.

– I co z tego? Byli, kim byli... ale popatrz dookoła! Gdzie podziała się ich wielkość?

Odsuwał dłonią piasek wokół siebie, aż stopniowo wyłoniła się kamienna kładka; gładkie, jakby wyszlifowane dotknięciami niezliczonych ludzkich rąk kamienie przylegały jeden do drugiego tak, że nie dałoby się wsunąć pomiędzy nie ostrza noża.

– Gdziekolwiek by się podziała – odparł Ulisses – coś jednak zostało. Pamięć.

– A jaki z niej pożytek?

Wstał.

– Chodźmy – powiedział. – Pokażę ci.

– Wystarczy, że tu siedzimy – uparłam się. – Jak zaczniemy wtykać nosy, gdzie nie wolno...

– Ty znowu swoje – mruknął. – Komu nie wolno? Przecież to wszystko należy do nas – do kogo miałyby należeć?

Przez chwilę zastanawiałam się nad tym, co powiedział.

– Ulissesie, a jeżeli to nie oni sami tego dokonali? O, popatrz, jak równo te kamienie są ułożone. Czy to może być dzieło człowieka? Może do nich też ktoś przyleciał? Tacy, jak wy... I po co oni to wszystko pobudowali?

– Co za idiotyczny pomysł! – sarknął gniewnie. – Nikt do nich nie przyleciał. To oni wyprawiali się do innych światów, w poszukiwaniu sobie podobnych... w poszukiwaniu prawdy.

– I co, znaleźli?

– Obawiam się, że nie – odpowiedział ponuro. – Obawiam się, żenię...

Musiałam poleżeć za nim, bo uparł się i za nic nie chciał zrezygnować. Nie to, żebym się bała, że lada moment zza jakiegoś kamienia wyskoczy żywy trup, albo coś w tym guście. Po prostu same ruiny wyglądały bardzo obco i obojętnie – jakbyśmy byli czymś w rodzaju łączących pod kamieniami stonóg. Tu też było zejście ku wodzie – nie stopnie co prawda, a wąska ścieżka wyłożona żółtym kamieniem, któremu czas i porosty nadały zielonkawy odcień; szła w głąb morza, gdzie fale leniwie kołysały łodygami wodorostów osiadłych w szczelinach pomiędzy płytami – a z naszego miejsca mogliśmy zobaczyć maleńkie rybki o końskich pyszczkach, które tkwiły bez ruchu, zaczepiwszy cienkimi ogonkami o liście podwodnych roślin.

W dole coś tam białało – nikło jak obłok na wieczornym niebie.

– Oczyszciliśmy ją z wodorostów – odezwał się Ulisses. – Ale nie zdążyliśmy jej wydobyć.

Z początku nie widziałam, co to jest, a gdy zobaczyłam, to aż mną rzuciło:

– Tfu, co za hańba! Przecież to goła baba. Że też ktoś zadał sobie trud, żeby ją wyciosać z kamienia! Żeby każdy mógł się pogapić... Oj!

W zielonkawym półmroku drżało łagodnie nagie ciało – maleńkie piersi, okrągły brzuch, głowa zwrócona nieco w bok i ślepe, wyżarte przez czas oczy. Wokół twarzy krążyły drobne rybki.

– Jest piękna – powiedział niemal szeptem Ulisses. – Nie widzisz tego?

– A co mam widzieć? Baba jak baba, tylko kamienna. Że też się komuś chciało tak kamień zharatać... Co prawda widziałam taki, który jest miękki, lekko go ciąć, ale po co zaraz stawiać taką olbrzymkę? Co oni z nią robili?

– Zachwycali się i podziwiali.

– Ci starożytni byli zбочeńcami, to ci powiem. Zrozumiałe, że w końcu dosięgła ich kara niebios – żeby tyle sił tracić na jakąś marmurową dupę! Komu to potrzebne, pytam się?

Wstałam, a po twarzy kamiennej kobiety przebiegły cienie – i nagle mi się wydało, że maleńkie białe usta wyginają się w pełnym tajemniczych obietnic uśmiechu.

– Jesteście beznadziejni – stwierdził Ulisses.

– No jasne! My jesteśmy beznadziejni! Jeżeli wy, twoi są tacy mądrzy, to gdzie się podziali? Jeżeli w tych ruinach pełno takich sprośności, to można zrozumieć, czemu zabroniono tu

przychodzić – ta osada od samego początku była znieprawiona i tyle!

– Źródłem zakazu była obawa, że w mieście może być zaraza. Dlatego każdy Chroniciel po odwiedzeniu tych ruin przez tydzień poddawany był kwarantannie. Wiesz, większość takich rytuałów miała zupełnie realne podstawy.

– Wiadoma rzecz – odpowiedziałam. – Oni tu z pewnością zdychali jak muchy. Szkoda, że tu wleźliśmy, ale gdzie mieliśmy się schronić? Ulissesie, lepiej będzie, jak się trochę prześpię – miałam paskudną noc, a następna chyba nie będzie lepsza. Tylko znajdziemy jakieś miejsce dalej od tej paskudy, ona mi się wcale nie podoba. Jeszcze i mruga, gadzina jedna.

Kamienna kobieta wciąż stroiła miny w głębi wód, ale ja już odwróciłam się do niej plecami.

* * *

Położyłam się wprost na piasku pod resztkami ściany – był tu cień i nie dokuczał tak wiatr, który dał bezustannie, niosąc z grani piaszczystych wydm drobinki piasku. Sam z siebie jego świst nie był nieprzyjemny, ale pochłaniał wszelkie inne dźwięki – gdyby ktoś się do nas zbliżał, trudno byłoby go usłyszeć. Morze też szumiało, miarowo jak szmer krwi w żyłach, ten jednak szum był łagodny – dokładnie tak samo szumiało, kiedy wokół łążyły całe tłumy ludzi, którzy schodzili w dół i wspinali się po kamiennych schodach, hałasowali latającymi łódkami i zajmowali się swoimi sprawami; może nawet robili coś nieprzyzwoitego z tą kamienną babą?

Spanie w takim miejscu było niebezpieczne – a nuż podkradnie się ktoś do ciebie, albo wylezie wprost z ziemi i wyssie rozum, albo odbierze ciało, żeby je wykorzystać wedle woli, skoro sami dawno już potracili własne... A jednak zasnęłam – dławiło mnie zmęczenie i nawet strach, który przez cały czas mi towarzyszył, teraz jakoś się rozmył i zobojętniał. Kimkolwiek by byli tutejsi mieszkańcy, dawno już wszyscy obrócili się w proch, w burą ziemię, ich kości podmywała woda. Tam w dole, na dnie, leżały chyba poro śnięte wodorostami ich czerepy, ale z ich oczu wyglądały już tylko drobne rybki.

Szum morza przeszedł w szmer setek nóg, wokół mnie snuły się niewyraźne, widmowe cienie odziane w dziwaczne, przelewające się tęczowymi barwami szaty. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale mnie to wcale nie zdziwiło; w życiu kipiącym na tych kamiennych płytach i wśród bijących w niebo ścian nie było dla mnie miejsca.

Ci ludzie zawsze tutaj żyli – nie odczuwali potrzeby koczowania czy przemierzania czarnych międzygwiazdnych otchłani, ale właśnie ta stałość wydawała mi się dziwaczna; nie mogłam pojąć, jak udawało się wykarmić taką masę narodu? I czym się zajmowali, skoro nie pracowali na polach i nie wypasali bydła – czyżby cały swój czas poświęcali na rzeźbienie takich figur, z których nie było żadnego pożytku?

Obudziłam się, kiedy słońce zdążyło się przesunąć na tyle, że cień ściany pod którą leżałam

zdążył odpełznąć daleko w bok. Ale skwar też minął – słoneczne promienie padały ukośnie, barwiąc kamienne rozwaliny i piasek różowawą barwą i zmuszając każdą rosnącą wśród płyt suchą łądźkę do rzucania długiego cienia. Niebo w zenicie też było już ciemnoniebieskie i głębokie, niczym woda w studni.

Wiatr ucichł i wokół panowała głęboka cisza – morze coś szeptało po swojemu, ale też cichutko i jakby niechętnie.

Byłam sama, samiutka w całym świecie.

Nie, rozumiałam, że wszystko inne nigdzie nie przepadło – obciążone łupami wozy przemierzają step skrzypiąc z wysiłkiem kołami, jeźdźcy na swoich krępych konikach to je wyprzedzają, to wracają ku nim ponaglając do pośpiechu... wszystko to jednak stąd wydało się takie maleńkie i nic nie znaczące!

Zrobiło mi się strasznie.

Nie bałam się Martwiaków, ni żyjących wśród rozwalin widmowych mieszkańców miasta, nie przejmowali mnie strachem nawet jadący w obłokach pyłu uzbrojeni w krótkie łuki koczownicy – bałam się samotności. Samotności, gdy obok ciebie nie ma nikogo, kto by pamiętał kim jesteś, gdy po tobie nic nie zostanie...

Porwałam się na nogi, otrzepując piasek i rozejrzałam się dookoła.

Nikogo.

I wtedy wrzasnęłam:

– Ulissesie!

Wrzeszczeć tu raczej nie należało – nie wiadomo, kto może ci odkrzyknąć i kogo ściągniesz na głowę swoim wrzaskiem – ale było mi już wszystko jedno.

Podmuchy wiatru przesypywały szeleszczący piasek, jakby przesuwająca się po nim niewidzialna żmija, a czarnogłowy ptaszek, który niedaleko łąził po kamieniach, odbiegł o kilka kroków potrząsając ogonkiem – i tyle.

Wszystkie nasze rzeczy leżały pod ścianą zapakowane w jeden z tych nieprzemakalnych worków Gwiazdnych Ludzi, teraz lekko przysypany piaskiem.

Kamienne, przecinające się wzajemnie ściany stały niczym dziecięca przeplatanka ze sznurków, ciągnąca się od wody do urwiska – i łatwo można było wśród nich zabłądzić.

Ponownie krzyknęłam, zwracając twarz ku ruinom i odpowiedziało mi tylko echo – te ściany umiały rozmawiać. Kompletnie nie wiedziałam, dokąd iść – szukając tych nikomu niepotrzebnych, nie będących nawet Przedmiotami rzeczy, Ulisses mógł wejść między te ściany, a tam wszystko się mogło zdarzyć – nie bez powodu przecież ogłoszono to miejsce przeklętym!

Ponieważ jednak brzeg był pusty, ja też polazłam w te ruiny, niekiedy przełaząc przez kamienne murki, a niekiedy okrążając je w miejscach, w których ściany wznosiły się zbyt wysoko.

Potem spostrzegłam, że coraz częściej muszę obchodzić ściany bokiem – zniszczenia nie były tu aż tak zupełne.

Przez jakiś czas szłam w milczeniu, ale potem wspięłam się na stos kamieni i znów zawołałam imię mojego towarzysza.

Było tu znacznie ciszej, niż nad wodą – ściany tłumiły porywy wiatru, i dlatego usłyszałam jakiś szelest. Z początku był prawie niesłyszalny – jakby sznur buszował wśród kamieni. Chciałam sięgnąć po nóż, ale przypomniałam sobie, że zostawiłam go z pozostałymi rzeczami. Znieruchomiałam więc tylko i zaczęłam nasłuchiwać.

Szmer stał się głośniejszy, jakby ktoś deptał w miejscu albo usiłował podnieść się z ziemi. Krzyknęłam ponownie, choć właściwie nie należałoby tego robić.

– Ulisses!

Przez pewien czas nikt nie odpowiadał; nieopodal spadł jakiś kamień, który szurnał po osypisku, a potem rozległ się głos:

– Słyszę.

Zlazłam ze szczytu osypiska, gdzie byłam widoczna z daleka i ruszyłam w stronę, z której dochodził głos; ściany usiłowały mnie zwieść, odbijając dźwięki i przesyłając je jedna drugiej.

– Ulissesie, wszystko w porządku?

Chwila milczenia... i usłyszałam odpowiedź:

– Tak. Poczekaj, zostań na miejscu... zaraz do ciebie przyjdę.

Głos brzmiał niewyraźnie i był stłumiony – może znów uwięziły go te ściany? Wszystko ucichło; słońce tymczasem zdążyło się przenieść za grzbiet kamiennej kładki i został z niego tylko cienki skrawek. Kiedy na ruiny spłyne ciemność, trzeba się będzie stąd wynieść; mrok daje im siłę, a nam ją odejmuje. Przez jakiś czas jeszcze nic się nie działo, a potem Ulisses wyłonił się zza równie wysokiego jak on nasypu – widziałam, że szedł niepewnym krokiem i jedną ręką opierał się o ścianę.

– Niedobrze ci? – zapytałam.

Tak czy owak trzeba się było stąd wynosić, nie miałam jednak pojęcia, co się robi w takich wypadkach.

– To tylko reakcja nerwowa – odpowiedział. – Nic, zaraz mi przejdzie.

– Musimy iść.

– Pójdziemy – odparł znużonym głosem. – Wszystko w porządku.

Poruszał się i mówił nie jak zwykle i na moment zrobiło mi się straszno – ktoś w tych ruinach czaił się nie wiedzieć ile lat, po to, żeby teraz, doczekawszy się wreszcie swego, przyjąć jego wygląd.

– To naprawdę wy? – zapytałam.

– Ciekawe pytanie – odpowiedział. – Gdzie rzeczy?

– Zostawiłam je na brzegu.

– Dobrze – odpowiedział. – Zabierzemy je i pójdziemy, dopóki zupełnie się nie ściemniło.

Dość szybko przychodził do siebie, nawet poruszał się żwawiej, niż przed chwilą.

– Znalazłeś coś? – zapytałam. – Coś ciekawego?

– Nie – odpowiedział. – Nic godnego uwagi. Żeby znaleźć coś wartościowego, trzeba by się tu wgryźć w ziemię.

– Okropnie się bałam. Myślałam, że coś ci się stało.

– Nie dziwię się – odpowiedział. – Mnie też było strasznie. Tu jest tylko śmierć. Śmierć i strach. Wasi ludzie mieli rację – lepiej tu nie zaglądać.

– To parszywe miejsce. Ale mimo to jeszcze pożyjemy...

Szczera prawda, ale zabrzmiało to jakoś nieprzekonująco.

Rzeczy leżały tam, gdzie je rzuciłam – w pobliżu nie było nikogo, kto by się odważył wejść pomiędzy ruiny, nawet dla takiego bogactwa. Zjedliśmy kilka suchych pałeczek – z tej lekkiej, ale pożywnej masy, którą Gwiazdni biorą ze sobą, gdy wyprawiają się gdzieś daleko. Popiliśmy je wodą z bukłaka, ale następnego dnia trzeba będzie zatroszczyć się o wodę i pożywienie – mogło się zdarzyć tak, że w przyszłości nie będziemy mieli na to czasu albo sił. W podwodnych ruinach z pewnością było pełno ryb – z tych, które lubią się kryć wśród wodorostów lub pomiędzy kamieniami, ale jakoś nie słyszałam o tym, żeby ktoś odważył się je łowić w zakazanym miejscu. Czasu też już nie mieliśmy, choć o zachodzie ryba bierze najlepiej. Może trafi się coś później, bo do tej pory szczęście nam raczej sprzyjało...

Ulisses milczał prawie przez cały czas, i dlatego zapytałam:

– Wciąż jeszcze chcesz iść za Dianą?

– Chcę czy nie, to jest konieczne – odparł sucho.

– Myślałam, że do tego czasu odszukają nas twoi. Przecież te wasze latające łódki mogą się bardzo szybko poruszać – sam tak kiedyś mi powiedziałeś. A ich nie widać i nie widać.

Wzruszył ramionami.

– Sam nie rozumiem, co się stało. Ale nie możemy tu zostać. Trzeba ruszać, dopóki się zupełnie nie ściemni. Wiesz, dokąd iść?

– Wiem, w którą stronę się kierują. Gdy idą wielkim oddziałem, nigdy nie skręcają. My też pójdziemy, tylko wzdłuż brzegu.

To naprawdę było znacznie bezpieczniejsze – o ile w naszym położeniu w ogóle można było mówić o bezpieczeństwie; na stromych zboczach każdy koń okuleje, a przez zalew, poprzecinany osypiskami i maleńkimi zatoczkami nie przejdzie żaden wóz, ale dla ludzi ten szlak był możliwy do przebycia. Gdzieniegdzie trzeba było co prawda przemykać się nie po brzegu, a wodą, ale ja osobiście miałam znacznie ważniejsze powody do obaw, niż słona woda.

Zmierzch zawsze wywołuje smutek, niebo, morze i gasnący dzień żegnają się ze sobą; teraz

też w długich, przecinających brzeg liliowych cieniach wszystko wydawało się niewypowiedzianie smutne. Ucichł nawet wiatr.

Niespodziewanie dla samej siebie zapłakałam cichutko – zawsze jest łatwiej, jeżeli się wypłaczesz, ale przedtem nie miałam na to czasu.

– Co się stało? – zapytał Ulisses.

Wytarłam oczy rękawem.

– Ty się możesz skarżyć, a ja nie? Myślisz, że tylko tobie jednemu jest źle? Moich pozabijali tak samo jak twoich, a tym, których nie zabili, lepiej byłoby się nie urodzić.

– Tak – przyznał. – Masz rację. Wybacz, jakoś tak ...

– Po ciebie przylecą z pomocą, a ja zostanę sama jedna...

– Coś ty... – powiedział. – Zabiorę cię ze sobą. Nikt nie zamierza cię zostawić.

– A co ja będę tam robiła? Żeby mnie wszyscy wytykali palcami i mówili „Patrzcie, jakie z nich dzikusy!”.

– Nikt o niczym takim nie pomyśli. Przeciwnie: chcemy, żebyście nam dorównali. Albo żebyście dorównali waszym przodkom. Żebyście znów nauczyli się cenić piękno. I latali do gwiazd.

– Jakoś nie bardzo wam to wychodzi.

– Na razie nie – westchnął. – Ale... nie wszystko naraz.

– A co do latania ku gwiazdom... Tyle się nam trafiło Przedmiotów, a żaden się do tego nie nadaje.

– Produkty skomplikowanej technologii są najbardziej podatne na uszkodzenia – odpowiedział Ulisses. – I, co za tym idzie, najszybciej ulegają zniszczeniu. Pozostają zwykłe rzeczy. Stare, dobre i proste. A poza tym... do tego, żeby stworzyć jakąkolwiek działającą konstrukcję potrzebna jest ogromna wiedza. To nie to samo, co zmontowanie maszynki do mielenia mięsa...

Spojrzałam na niego z ukosa, ale nie odpowiedziałam.

Morze całe świeciło, jakby oddając nagromadzone za dnia słoneczne światło, ale brzeg stopniowo pogrążał się w mroku. Szło się coraz trudniej, a wejście na górę wkrótce miało stać się w ogóle niemożliwe. Wypatrzyłam jednak dość dogodną ścieżkę – nie wiem, kto nią schodził, może stało tu dawniej jakieś osiedle rybackie?

– O! – powiedziałam. – Tędy wejdziemy.

– A potem? – zapytał Ulisses.

– A skąd mam wiedzieć? To twoja wyprawa.

– No dobrze – odparł. – Zobaczymy co i jak, a potem postanowimy, co dalej.

I zaczęliśmy się pięć pod górę.

* * *

Zmierzch stopniowo stawał się nocą, ale całkowite ciemności nie zapadły – niebo, jak to często bywa na początku lata, świeciło łagodnym, zielonkawym blaskiem, a pojawiające się gwiazdy wydawały się jaskrawe, jakby je ktoś umył za dnia. Jedna z nich – zielona – wisiała nisko nad horyzontem płonąć, niczym zimny ogień.

– Stamtąd przylecieliście? – zapytałam.

– Coś ty – zachnął się Ulisses. – to w ogóle nie jest gwiazda. To planeta. Widzisz, ona się przemieszcza po niebie.

– I co z tego?

– Jest bliżej, niż inne. Możesz uważać, że tuż tuż. A my przylecieliśmy z daleka. Z jednej z takich właśnie planet, krążących wokół Syriusza.

– Szkoda – powiedziałam.

– Dawniej nazywano ją imieniem bogini miłości i piękna – kiwnął głową – ale i Syriusza uważano za niezłą gwiazdę.

– Ona jakoś podobna jest do sierpa. A wszystkie pozostałe...

– Ty to naprawdę widzisz? – zdumiał się mój towarzysz.

– A co to za sztuka? Kiedy niebo jest czyste, jak teraz...

– Nigdy nie wiadomo, czego się po tobie można spodziewać – powiedział. – Czasami mi się wydaje...

Umilkł na chwilę, więc go ponagliłam:

– Co?

– Nie, nic – odpowiedział. – Ja tylko tak...

– Tam też ktoś żyje, na tej gwiazdzie?

– Planecie.

– No, na tej planecie.

– Tam chyba była jakaś badawcza baza – odpowiedział. – Ale to było bardzo dawno temu.

Teraz nie mam pojęcia. Raczej nie.

– Kiedy ludzie tam przylecieli, było pusto?

– Co znaczy – pusto? – zdziwił się Ulisses.

– No, nikt tam nie mieszkał? Jakies plemiona?

– Od swoich pierwszych wędrówek po wszechświecie ludzie zawsze szukali innych. W dużej mierze właśnie to było przyczyną tych podróży.

– Po co? Do czego im byli potrzebni obcy?

– No, jeżeli rozpatrywać ludzkość jako jedną istotę... jeden organizm... to on był chyba bardzo samotny. Myślę niekiedy, że to instynkt, podświadoma potrzeba znalezienia kogoś

podobnego, gnały ludzi coraz dalej i dalej... Tak wilk krąży po stepie, żeby znaleźć sobie parę.

– I co, znaleźli?

– Niestety – odpowiedział – nie udało im się znaleźć nikogo. Czasami myślę... może źle szukali... nie tego oczekiwali... może nie potrafili rozpoznać czegoś bardzo ważnego...

– Ale, Ulissesie, jeżeli wilk nie znajdzie sobie pary...

– To nie ma przed nim przyszłości – odpowiedział. – Umiera samotnie, jak żył, ot i wszystko.

Może i ja też umrę samotnie, jak ten jego wilk.

Szło się trudno, bo ziemia była tu rozryta – koczownicy przejeżdżając po niej porozrywali darń; miejscowe rośliny niezbyt głęboko się zakorzeniły. Odchodziliśmy coraz dalej od morza, i grunt stopniowo się obniżał, a pognieciona trawa pachniała wilgocią.

– Oni chyba uznali, że są bardzo silni – powiedziałam – skoro odważyli się zejść tak daleko. To bogate i żyzne miejsce, ale niewiele tu przestrzeni dla koni.

Okolica była rzeczywiście bogata, a dalej, w odległości dnia marszu, miała stać się jeszcze bardziej obiecująca. W licznych drobnych strumieniach płytkiego i podmokłego ujścia rzeki żyło mnóstwo ryb, którymi żywiło się ptactwo zimą i latem; nie brakowało tu żywności; miejsca były bogate na tyle, że ludzie nie odważali się osiedlać w wielkich Domach; zbyt wielu tu zaglądało głodnych i dobrze uzbrojonych cudzoziemców. Miejscowi stawiają sobie ukryte głęboko wśród gęstego sitowia chatki na palach, poruszają się z miejsca na miejsce w łódkach i na tratwach, albo po sobie tylko znanych ścieżkach, przez okrągły rok stawiają sieci i biją dzikie ptactwo, oszczędzając je tylko w sezonie godów, piją stęchlą stojącą wodę, cierpią na artretyzm i choroby żołądka, a umierają najczęściej od bagiennej gorączki. Przedmiotów tu nikt nigdy nie znajduje – pewnie pordzewiały albo pogniły, swojego żelaza też prawie nie mają i chętnie wymieniają je na wędzone ptactwo, lub suszone na słońcu ryby. Nasi jednak rzadko ich spotykali – mieszkańcy mokradeł to ludzie skryci, ich obyczajów nie znaliśmy – a kto zechce się nosić z obcymi?

Na razie jednak do rzeki mieliśmy jeszcze daleko – choć do głosu świerszczy dołączyły gardłowe pojękiwania żab, a w powietrzu krążyły chmary muszek, za którymi na swoich bezgłośnych skrzydłach pomykały nietoperze.

– One piszczą, te nietoperze, słyszycie? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział.

Dorośli nigdy nic nie słyszą.

Trawa – tam gdzie jej nie zdeptały końskie kopyta – była wysoka i gęsta; sięgała mi do pasa i pomyślałam, że w razie czego łatwo się będzie w niej ukryć. I w tejże chwili zobaczyłam, że nieopodal trawa lekko się porusza – pełzało ku nam coś dużego... bardzo dużego.

– Ulissesie! – syknęłam szeptem.

– Co znowu? – zapytał znużonym głosem.

– Tam ktoś jest!

Odwrocił głowę, żeby się przyjrzeć wskazanemu przeze mnie miejscu, ale ja zdążyłam się już zorientować, że on ma znacznie gorszy wzrok od mojego. I dlatego wcale się nie zdziwiłam, kiedy spytał szeptem:

– Człowiek, czy zwierzę?

– Nie mam pojęcia.

Dość niepewnie zważył na dłoni swoją dziwną broń, a potem stwierdził:

– Jak zaczniemy strzelać, zdradzimy swoją obecność – bo będzie bardzo jasny błysk.

– Lepiej byłoby, gdybyś umiał posługiwać się nożem – odpowiedziałam szeptem.

– Co to może być, takie duże? – zapytał równie cicho, jak ja. – Wilk?

Ale ja nie musiałam już zgadywać – doleciał mnie cichutki jęk, jakby pełznący ku nam miał usta pełne ziemi.

– Człowiek.

Ulisses już chciał ruszyć w tamtą stronę, ale capnęłam go za łokieć:

– Poczekaj.

Step wokół nas był pusty. Świerszcze darły się tak, że aż dzwoniło w uszach, a nad zaroślami krążyły niczym niespłoszone chmary bagiennych muszek.

– Dobra – powiedziałam. – Idziemy.

Ulisses bezgłośnie przesunął się w bok, nie wypuszczając z ręki swojej broni. Odczekałam chwilę; ukryty w trawie znieruchomiał usłyszawszy kroki, a potem Ulisses pochylił się nad nim i wydał stłumiony okrzyk zgrozy.

– Wyją! – powiedział. – Podejdź tutaj.

Zbliżyłam się, zachowując ostrożność. Ulisses siedział w kucki obok rozpostartej na ziemi ciemnej figury. Ów człowiek nie próbował wstać, leżał, wpierając twarz w ziemię i drapiąc dłońmi trawę.

– To twój? – zapytał cicho mój towarzysz.

Przyjrzałam się uważnie. Nie widziałam twarzy nieznajomego, ale od razu pojęłam, że to obcy.

– Nie. On nie jest z naszego Domu. Ale i nie z koczowników – ma inne ubranie. To chyba jeden z jeńców – koczownicy wzięli ich bardzo wielu.

– Udało mu się uciec – mruknął Ulisses, jakby się nad czymś zastanawiając.

Leżący na ziemi przestał jęczeć, i tylko lekko się trząsał; było mi go żal, ale żałowałam też i Ulissesa, który niczego jeszcze nie rozumiał.

– Ulissesie, jemu udało się uciec dlatego, że nikt go nie pilnował – powiedziałam. – Odwróć go.

– A co, potrzebna mu pomoc? – zapytał Ulisses. – Jest ranny? Ale ja nie mam...

Pochyliłam się i dotknęłam ramienia leżącego. Wzdrygnął się i mocniej wtulił w ziemię, ale nie podniósł głowy.

– Nie macie się czego bać – powiedział Ulisses. – Nie skrzywdzimy was. My... O Boże!

Plemieniec dźwignął się na czworaki i uniósł głowę – nawet w półmroku było widać, że na jego bladej twarzy zamiast oczu zioną dwie rany – zakrzepła krew wydała się nam prawie czarną.

– Mówiłam ci, że oni oślepiają swoich jeńców.

– Ale jak on zdołał uciec?

– A po co pilnować kalek? I tak połowa z nich nie wyżyje. Jeden więcej, jeden mniej, co za różnica... On odszedł, żeby umrzeć, i tyle.

– Nie mogę tego znieść! – stęknął cicho Ulisses.

– Dokąd znieść?

– Mam na myśli... Och! Daj spokój!

Odciągnęłam go na bok.

– Ulissesie, on niedługo umrze. A jak nie umrze, to lepiej będzie, jak go zabijemy, żeby się nie męczył. Ale najpierw trzeba go wypytać – może zanim go oślepił zdołał zobaczyć, dokąd ci dranie zabrali kobiety.

– Kto ma go wypytać?

– Mogę ja, jak ty nie chcesz.

Spojrzał na mnie z naganą w oczach, jakby chciał powiedzieć: że też język ci kołkiem nie stanie, gdy będziesz męczyła okaleczonego. Ale nic nie powiedział; bardzo mu widać zależało na tym, żeby się dowiedzieć, co z Dianą. Gdyby nie to, przypomniałby sobie o swoim humanizmie, cokolwiek to znaczyło.

Wróciłam do rannego i przysiadłam na piętach. Leżał nieruchomo i nie starał się ukryć – zresztą i tak nie zdołałby nigdzie uciec.

– Chcesz pić, o czcigodny?

Wycharczał coś, co mogło oznaczać zgodę i odmowę, ale odkorkowałam bukłak i uniósłszy nieco jego głowę, wlałam mu w usta trochę wody. Pił chciwie – być może koczownicy wymuszają posłuch na swoich jeńcach, każąc im błagać o każdą kroplę wody.

– Gdzie się zatrzymał?

– Na nizinie, za dębowym gajem – odpowiedział niewyraźnie. – Na wzgórzu ustawili człowieka z latarnią i łuczników.

– Wielu?

– Nie. On powiedział: „Ty i ty”.

– Nie wiesz, czcigodny, gdzie trzymają kobiety? Mój towarzysz chce odbić swoją.

– Wielki namiot – stary mówił z trudem i powoli, oddychając ciężko po każdym słowie. – Za zagrodą dla koni... Ale ich tam... wiele...

– Nam wiele nie trzeba.

Odwrociłam się do Ulissesa, który stał tyłem do nas i patrzył na dalekie wzgórza. Ranny znów poprosił o wodę – to były resztki naszych zapasów, ale sądząc z soczystej zieleni, łatwo tu było odszukać strumień.

– Zaraz – odpowiedziałam. – Pójdę i przyniosę.

I odeszłam.

Ulisses spojrzął na mnie ze zdziwieniem – oprócz wody w bukłaku, innej nigdzie w pobliżu nie było – ale kiedy go zawołałam, jednak podszedł.

– Ja mu dam wody, a kiedy on będzie pił, zrobisz to. On nawet nie zauważy – powiedziałam.

– Co niby zrobię? – zapytał Ulisses.

– Poderżniesz mu gardło, a cóżby innego? Albo skręcisz mu kark, ale to jest trudniejsze.

– Ty co? – zapytał zimno. – Proponujesz mi zabicie bezbronnego człowieka?

– A co mamy z nim zrobić? Ze sobą wziąć go nie możemy – jeżeli naprawdę uda ci się uprowadzić Dianę, trzeba się będzie bardzo szybko stąd wynosić. A może wolisz go zostawić na pastwę losu i odejść?

– Nie, w żadnym wypadku – wymamrotał niepewnie. – Ale może... gdybyśmy mu zostawili wodę i jedzenie...

– I według ciebie to będzie miłosierny uczynek? Tanie jest to wasze miłosierdzie... jak śmiecie pod nogami... Daj mi nóż, sama to zrobię...

Nigdy do tej pory nie musiałam zabijać człowieka, ale myślę, że w zasadzie niewiele się to różni od zabicia zwierzęcia. Ale wszystko jedno... nieprzyjemna sprawa.

– Nie, tak się nie godzi – odezwał się Ulisses. – Jesteś jeszcze dzieckiem...

– A w czym różnica? To on będzie nam ciężarem, nie ja. A jeżeli oni mimo wszystko postanowią go odszukać...

– To... nieludzkie – odparł Ulisses z rezygnacją. – Ale dobrze... Chodźmy.

Ranny leżał tam, gdzie go zostawiliśmy – oddychał szybko, nierówno i z każdą chwilą tracił resztki sił. Pochyliłam się, podniosłam mu głowę i przysunęłam mu do ust wylot bukłaka. Ulisses przez chwilę stał za mną niepewnie, aż musiałam go ponaglić skinieniem głowy. Wtedy pochylił się i szybkim ruchem uderzył nieszczęśnika w jakieś miejsce za uchem – i nie nożem, ale kantem dłoni. Ranny zacharczał i głowa zwiśla mu w tył.

– Nożem byłoby pewniej – powiedziałam.

– Tak też jest pewnie. To uderzenie zablokowało mu nerw błędny, co zatrzymało oddech.

Podtrzymywane przeze mnie ciało nagle stało się bardzo ciężkie. Opuściłam je na ziemię.

– Może i dobrze. Jeżeli mimo wszystko go znajdą... Pomyślą, że umarł z wyczerpania.

– Nie w tym rzecz – odpowiedział Ulisses z bezbrzeżnym smutkiem w głosie. – Nie w tym rzecz... Po prostu nie można... nie można zarzynać człowieka, jak zwierzę.

Westchnął nie odrywając spojrzenia od martwego ciała.

– Wcale tego nie chcieliśmy... I proszę, jak to wszystko się potoczyło...

Nie podobał mi się jego nastrój, teraz jednak nie mogłam się z nim cackać. Jak jest taki wrażliwy i delikatny, będzie musiał przywyknąć.

– Jeżeli chcesz to zrobić tej nocy, musimy iść. Potem wszystko się skomplikuje. Rano ruszą się z miejsca – zwiadowcy zwykle oddalają się mocno od głównego oddziału, i mogą się na nas natknąć.

– Tak – powiedział. – Masz rację.

– A może wolisz poczekać, aż przyjdzie pomoc? Twój z łatwością mogliby się z nimi rozprawić.

– Liczyłem na to, że odnajdą nas jeszcze za dnia – odparł z rezygnacją w głosie. – Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że nie możemy za bardzo na nich polegać...

– Nie przybędą?

– Chyba nie.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Nie wiem. Będziemy musieli radzić sobie sami.

– W takim razie – stwierdziłam – powinniśmy poszukać wody i napełnić bukłak. Bo później możemy nie mieć na to czasu.

Pomyślałam jeszcze, że jeśli iść po wodzie, mogą nas nie zwęszyć – i łatwiej będzie się stamtąd wynieść.

– Widzisz – machnęłam ręką ku południowi – o, tam...

Trawa była tam wyższa, kołysały się nad nią motylki sitowia i widać było, jak w ciemnościach iskrzy powierzchnia wody, kiedy wiatr marszczy jej gładź.

– I lepiej nam będzie uciekać w tamtym kierunku. Tam się zaczynają rozlewiska, a koczownicy nie lubią wody. Po mojemu to oni nawet pływać nie umieją.

– Dobrze – odparł Ulisses niezbyt pewnym głosem. – Spróbujemy. Ale najpierw...

– Najpierw trzeba sprzątnąć łuczników.

Jeżeli on tak dobrze posługuje się nożem, jak ręką, to może nawet nam się powiedzie. W tych okolicznościach broń strzelająca ogniem nie zda się na nic – w nocy błysk ognia na wzgórzu nawet dziecko zobaczy z daleka.

* * *

Jeżeli nawet wartownicy mieli latarnię sygnałową, to przykryli ją jakimś kołpakiem, bo w pobliżu obozu nie zauważyłam żadnych innych ogni, ale samo obozowisko było zalane światłem ognisk i pochodni; koczowników było tak wielu, że nie musieli się niczego obawiać,

nikt nie zaryzykowałby napaści, nawet gdyby mógł liczyć na bogate łupy. Z daleka dolatywały odgłosy rozmów i śmiechy, pomiędzy namiotami błędziły łańcuszki ogników, a na łące przy samej wodzie pasły się konie, których pilnowały ogromne kudłate psy koczowników i kilku zabranych właśnie do tego zadania pastuchów. Konie parskały, łowiąc chrapami niezwykajnie wilgotne powietrze, a od czasu do czasu jakiś wchodził na płyciznę i puszczał się galopem, rozbryzgując dookoła pieniste fontanny wody. Koczownicy nigdy przedtem nie docierali tu tak licznie – owszem, zaglądały małe grupki młodzików, którzy chcieli popisać się odwagą i przebiegłością, teraz jednak wyglądało na to, że ruszyło się z miejsca całe plemię. Jeżeli postanowią zatrzymać się w tym żyznym kraju, to dla mieszkańców dorzecza zaczną się ciężkie czasy. Nie ocaleją chyba też i Domy wciśnięte pomiędzy Rzekę i Step; i w jednej chwili zmieni się zwykły porządek rzeczy, ukazując nam inny świat.

Obóz był z trzech stron otoczony wodą – najeżdźcom wydawało się widać, że tak jest bezpieczniej, choć w rzeczy samej takie płycizny nie są poważną przeszkodą dla mieszkających tu wodniaków; od strony lądu osłaniał go gaj młodych dębów o gęstym listowiu i to wzgórze, na którym należało się spodziewać ukrytych wartowników.

– Nie rozmyśliłeś się? – zapytałam Ulissesa.

– Nie – odparł krótko.

– Może poczekamy do następnej nocy? W tym czasie spróbujemy wysledzić, gdzie trzymają więźniów i gdzie rozstawili posterunki wartowników.

– Nie – odpowiedział pospiesznie. – Nie wolno nam zwlekać... Jutro może być już za późno i...

– A co się z nią może stać gorszego od tego, co już ją spotkało? Jeżeli nie będzie się specjalnie opierała, to zostanie żywa i zdrowa – w każdym razie do jutra.

Baby koczowników są zazdrosne jak kocice – jeżeli któreś z nich wyda się, że jej chłop za bardzo się zapatrzył na Dianę, mogą jej podrapać twarz alby wyrwać kępę włosów, ale od tego się przecież nie umiera.

– Nic nie rozumiesz... – odpowiedział z rezygnacją.

Zabrzmiało to raczej smętnie, niż potępiająco, ale mimo wszystko się obraziłam.

– No jasne, za głupia jestem... To co, idziemy?

Ulisses pogrzebał w swoim worku i wyjął zeń jakąś kilkakrotnie złożoną szmatkę. Podał mi ją ze słowami:

– Poczekaj. Weź jeszcze to.

– Co to jest?

– Filtr. Przyłożysz do ust i będziesz przez niego oddychać, a ja spróbuję ich potraktować gazem usypiającym. Szkoda tylko, że pojemnik jest taki mały. Gdyby to było wewnątrz jakiegoś pomieszczenia...

– Prościej byłoby popodrzynać im gardła – mruknęłam.

Dwa razy widziałam na własne oczy, jak działają te ich sztuczki, ale mimo wszystko nie pokładałabym w nich zbyt wielkiej nadziei.

– A ty znowu swoje – stwierdził Ulisses. – Dlaczego choć raz nie możemy spróbować obyć się bez rozlewu krwi?

– Po co?

– A po co w ogóle włączyć na to wzgórze? Moglibyśmy zejść od wody.

– Ulissesie – westchnęłam. – Nie moglibyśmy od wody. Natychmiast zwęszyłyby nas psy.

– A tak – odpowiedział. – Chyba masz rację...

...Wartowników najpewniej zostawili na wzgórzu, ponieważ mogli się obawiać napaści innych większych oddziałów ze stepu – teraz sami, z tym swoim nagrabionym dobrem, mogli stać się upragnionym obiektem ataku.

Zadał słaby wiatr, niebo pokryło się chmurami, a wokół zapadły sprzyjające nam ciemności – my mogliśmy kryć się w mroku, podczas gdy światła ognisk płonęły jeszcze jaśniej. Ziemię w gaju pokrywało zeszłoroczne suche listowie, ale odgłos naszych cichych kroków ginął w szeleście poruszanych wiatrem liści.

W miarę, jak zbliżaliśmy się do szczytu wzgórza gaj robił się coraz rzadszy, teraz niemal przez cały czas musieliśmy się czołgać. Z dołu dolatywały głośne okrzyki i śmiechy, ale tu było cicho – wartownicy znali się na rzeczy; nadstawiałam uszu, ale nie usłyszałam niczego, ruchu ani rozmów. Potem spostrzegłam nikłe światełko przykrytej splecionym z łożyny kołpakiem latarni. Kołyszący się obok niewyraźny cień był jedyną oznaką ludzkiej obecności na szczycie wzgórza.

Uniosłam głowę, wpatrując się w mrok. Wiatr dął od nas w ich stronę. Kiepska sprawa.

I nagle odezwał się Ulisses:

– Dobrze, że wiatr ciągnie ku nim. Gaz szybciej zadziała.

Wciąż jeszcze znajdowaliśmy się dość daleko od wierzchołka, kiedy nas usłyszeli – albo zwęszyli. Doleciał do nas gardłowy okrzyk ostrzegawczy i niewyraźny cień skoczył w bok. Latarni jednak nie odsłonili. Może się bali, że wtedy staną się łatwymi celami dla łuczników? Albo że światło ich zwiedzie: przekształci szczyt wzgórza w jasne miejsce, gdy wszystko dookoła pograży w jeszcze głębszym mroku.

Dopóki nie sprawdzą, jakie właściwie im wszystkim grozi niebezpieczeństwo, nie będą wszczynać alarmu – ostatecznie na zboczu wzgórza mogły być nory jakichś większych zwierzaków; wilk albo lis mógł wracać akurat z nocnych łowów.

– Załóż maskę – zwrócił się do mnie szeptem Ulisses.

Sam też przyłożył do ust skrawek tkaniny, odkorkował pojemnik z gazem i lekko się uniósłszy rzucił go w stronę szczytu. Zobaczyłam, jak puszka wiruje w powietrzu ciągnąc za sobą smugę zielonkawego dymu. Ulisses upadł na ziemię i w tejże chwili tuż obok niego wbiła

się w grunt strzala.

– Ależ mają reakcję! – mruknął mocno zdumiony.

Przez tę ochronną maskę niezbyt dobrze się oddychało – była przesycona jakimś świństwem o przenikliwym zapachu. Na chwilę wstrzymałam oddech i zapytałam:

– Długo jeszcze?

Ulisses spojrzął na świetlisty krąg na nadgarstku – za pomocą takiej sztuczki Gwiezdni określali czas – i po chwili powiedział:

– W porządku. Chodźmy.

Na wszelki wypadek schyliwszy się mocno, pobiegliśmy ku wierzchołkowi. Ale nikt już do nas nie strzelał.

Szczyt wzgórza był płaski – wiatr znacznie go wygładził podczas zimowych burz; i na nim usadowili się wartownicy.

Przypuszczam, że zdołaliby zaalarmować obóz, gdyby nie stracili kilku mgnień oka na próbę zrozumienia, co to takiego leci ku nim, ciągnąc za sobą warkocz dymu.

Kiedy dotarliśmy na wierzchołek, tamci już się nie ruszali – naliczyłam trzech; Ulisses już sięgał ku latarni, żeby zdjąć kołpak i lepiej im się przyjrzeć, ale zdążyłam go uderzyć po ręce – trzeba być kompletnym bałwanem, żeby się popisać taką tępotą!

Owszem, tu było ich trzech, ale na zboczu wzgórza, schodzącym ku obozowi, z pewnością czaił się jeszcze jeden – i tego dym mógł nie ruszyć.

Wyskoczył z mroku bezgłośnie, jak to oni zwykle; był bardzo żwawy i uzbrojony w krótki łuk.

Wystrzelić nie zdążył – rzuciłam się na niego z tyłu i skoczywszy mu na plecy zaczęłam go dusić; puścił łuk i spróbował mnie strącić, a nałożona już na cięciwę strzala upadła na ziemię. Ulisses patrzył na nas przez chwilę z dość głupim wyrazem twarzy, aż w końcu zdołałam kwiknąć:

– Ciachnij go!

Koczownik nie był głupi: założył ręce za plecy i z kolei on spróbował mi skrócić kark – niewiele brakowało, a by mu się udało, zaczęło mi się mroczyć w oczach, choć w zasadzie i tak wszędzie wokół było ciemno i niewiele mogłabym zobaczyć. „Zaraz mnie wykończy – pomyślałam – i wszystko dlatego, że Ulisses, z jego idiotycznym wyobrażeniem o honorze, nie może rzucić się na wroga, który ma zajęte ręce”.

Co prawda nie było czasu do namysłu – koczownik nareszcie oderwał mnie od siebie i rzucił w bok, ale tak, że potoczyłam się w dół po zboczu i dopiero po chwili zdołałam się zatrzymać i wspiąć ponownie na wierzchołek. Kiedy wreszcie mi się to udało, oni już zdążyli się zewrzeć i teraz zawzięcie tarzali się po ziemi. Wszystko to działo się w kompletnej ciszy.

W zasadzie nie bardzo się bałam o Ulissesa – choć koczownik był zwinny jak łasica, to

Ulisses doskonale wiedział, gdzie bić, żeby przeciwnik się nie podniósł. Odczołgałam się na bok, żeby przypadkiem mnie nie przygnietli, i zajęłam się pozostałymi. Leżeli jak przedtem bez ruchu, i nawet kiedy zaczęłam ich obszukiwać, żaden nie stawiał najmniejszego choćby oporu. Wszyscy mieli broń – jednakowe luki i strzały, a jeden miał nawet całkiem niezły nóż w skórzanej pochwie na pasie. Odczepiłam tę pochwę i przytroczyłam sobie do pasa, a potem wyjęłam nóż i spróbowałam ostrza opuszką palca – w rzeczy samej, dobre ostrze...

Tymczasem Ulisses rozprawił się z ostatnim wartownikiem. Wstał nieco chwiejnie na nogi – najwyraźniej i jemu trochę się oberwało. Koczownik pozostał bez ruchu na ziemi.

– Paskudna sprawa – stęknął Ulisses. – Musiałem go zabić. Inaczej bym sobie z nim nijak nie poradził... Nigdy bym nie pomyślał, że ktoś z tutejszych potrafi tak zawzięcie walczyć.

– Mimo wszystko dość długo się z nim szarpałeś – stwierdziłam krytycznie. – Myślałam już, że będę musiała ci pomóc...

– To dlatego, że starałem się go ogłuszyć. Ale nie dałem rady.

– No i dobrze – uspokoiłam go. – Idziemy. Trzeba się pospieszyć – może oni od czasu do czasu mieli dawać swoim jakieś sygnały.

Ulisses obejrzał się za siebie.

– Trzeba ich czymś związać, żeby nie wszczęli alarmu.

– Już nie – powiedziałam.

Wybałuszył na mnie oczy, a potem zapytał drżącym głosem:

– Coś ty zrobiła?!

– Oni zabili wszystkich naszych. A ja pozabijałam ich.

– Bezbronnych?

– Gdyby nie byli bezbronni, to sami by mnie w mig zarżnęli!

Westchnął i milczał przez chwilę, jakby usiłując się zmusić, żeby do mnie przemówić. W końcu się przemógł:

– No cóż, teraz i tak nic się już nie da z tym zrobić. Chodźmy. Tylko nie rób niczego bez mojego pozwolenia.

Niedaleko zajdziemy, pomyślałam, jeśli będę czekać na twoje pozwolenie. Ale nie podjęłam sporu – byłaby to jedynie strata czasu. I dlatego zapytałam tylko:

– Widzisz ten wielki namiot? Tam, obok pastwiska i zagrody dla koni?

Namiot stał nieco na uboczu i płomienie ognisk ledwo go oświetlały. Za nim poustawiano wozy, tworzące ruchomą zapórę wokół obozu, a jeszcze dalej rozciągała się tafla wody.

– Widzę – odpowiedział mój towarzysz.

– On mówił, że ta twoja Diana jest właśnie tam. To jak, idziemy?

Pochyliliśmy się i ruszyliśmy w dół po stoku wzgórza.

* * *

Mimo głębokiej nocy obóz był pełen rozmaitych głosów i odgłosów – przy ogniskach śmiali się koczownicy, czemu towarzyszył warkot ich skórzanych bębenków. Pomiedzy pasmami dymu przesuwwały się gibkie cienie. Wszystko to jednak działo się na otoczonym namiotami placu pośrodku obozu, a skrajne namioty gubiły się we mgle. Zagroda dla koni była pusta – większość zwierząt pasła się na wygonie pod opieką czabanów i psów, i tylko dwie żrebne kobyły parskały cicho, wetknawszy pyski w żłoby. Za zagrodą ciemniał namiot dla kobiet, którego wnętrze rozjaśniał nieco olejowy kaganek. Światło wydostawało się też przez szczeliny w zasłonie wejściowej.

Położyliśmy się w trawie za zagrodą i przez pewien czas obserwowaliśmy wejście – ale zasłona się nie poruszyła; z namiotu nikt nie wyszedł.

– Co proponujesz? – zwróciłam się do Ulissesa.

– Nie wiem – odparł niezbyt pewnym głosem. – Liczyłem na to, że ona wyjdzie. Może... może ją zawołać?

– Tego by tylko brakowało!

Zrozumiałam, że nie miał żadnego rozsądnego planu. Wleźliśmy do obozu koczowników licząc na szczęście – trudno byłoby wymyślić coś głupszego. Ale cofnąć się już nie mogliśmy – bo i po co?

– Poczekaj tutaj – powiedziałam. – Spróbuję przedostać się do namiotu. Tam wszystkie są nowe, a nawet jak zostawili im jakąś starą do pilnowania, to z pewnością nie zdążyła ich zapamiętać.

Najpierw jakby się ucieszył, ale potem pomarkotniał, jakby mu się zrobiło wstyd.

– Ale to niebezpieczne – stwierdził niepewnie.

Wzruszyłam ramionami.

– A co za różnica? Ty chyba nadal niczego nie rozumiesz. Ja już nie mam po co żyć bez mojego plemienia. A tak przynajmniej spróbuję się zemścić... choć trochę.

W rzeczy samej zemsta wyglądała trochę śmiesznie – myślałby kto, babę porwali!

– To nie tak! – wymamrotał. – Możesz...

– Dobra! – ucięłam. – Potem.

Pochyliłam się i dałam nura w trawę.

Obok zagrody stał ceber z wodą – podniosłam go i już nie kryjąc się ruszyłam w stronę obozu. Liczyłam na to, że o ile skradający się i ukrywający człowiek może wzbudzić podejrzenia, to nikt nie zwróci uwagi na młodocianą niewolnicę, która z wysiłkiem taszczy ceber niewiele mniejszy od niej samej. Spokojnie mogłabym się wytłumaczyć, iż wygoniono mnie po wodę z namiotu dla kobiet – w końcu nie byłoby w tym niczego niezwykłego.

Okazało się, że moje rachuby były słuszne – nikt mnie nawet nie spróbował zatrzymać. Odsunęłam zasłonę przy wejściu; w namiocie panował półmrok, kobiety szeptały coś i pochlipywały cichutko, ale tych szeptów było mniej, niż się spodziewałam – wiele z nich pochodziło z rozmaitych Domów i jedna z drugą się nie znały. Oczywiście nikt ich nie wiązał i mogły swobodnie poruszać się po obozowisku – i tak nie miały dokąd uciekać.

Wszystkie były młode i tylko jedna drzemiąca w kącie starucha należała do bab koczowników, najwidoczniej polecono jej mieć baczenie na niewolnice, ale i ona doszła do słusznego skądinąd wniosku, że branki nie mają dokąd uciec.

Nieopodal wejścia płonął kaganek – tylna ścianka namiotu była pogrążona w mroku, ale nie mogłam wziąć światła i przyrzeć się niewolnicom – taka samowola z pewnością wzbudziłaby podejrzenia. Dlatego przyjrzałam się tym, które były w pobliżu – same młode, dziewczęce i pełna przestrachu twarze, ale ani jednej nie znałam. Diany wśród nich nie było.

I wtedy usłyszałam, jak ktoś cicho wymówił moje imię:

– Wyją!

Na wszelki wypadek przesunęłam się ku wyjściu i wpatrzyłam w półmrok.

Nie była to jednak Diana; w półmroku wypatrzyłam młodą, niezamężną kobietę z naszego domu. Nazywali ją chyba Wilgą – nie za dobrze ją znałam, bo po tym, jak mnie oddano na naukę u Chronicieła, prawie nie bywałam na kobiecych pogwarkach.

– Co ty tu robisz? – zapytała mnie, nawet bez jakiejś szczególnej ciekawości.

Wydało mi się, że zadowoli ją każda odpowiedź, i wcale się nie zdziwiła, kiedy odparłam, że poszłam za koczownikami. Zapytała tylko leniwie:

– Co, chcesz się do nich przyłączyć? I co tu miałabyś robić?

Sama była zdrowa, urodziwa i spokojnie mogła liczyć na to, że jakiś koczownik weźmie ją do swojego namiotu. Ale ponieważ nie uważała mnie za rywalkę, jej głos brzmiał prawie przyjaźnie.

– Może będę wodę nosiła? – odpowiedziałam.

– Oni mają swoich do noszenia wody – ucięła. Ale zaraz dodała, ulitowawszy się widać nad moją smutną miną:

– Może rano się za tobą wstawię.

Do rana było jeszcze daleko, więc zapytałam:

– A co z pozostałymi? Nie widziałaś Chronicieła?

– Widziałam – odparła. – Za koniem go włóczyli. Gdy przecięli rzemień, stary się już nie ruszył.

I dodała tonem wyjaśnienia:

– Był już w bardzo podeszłym wieku...

Koczownicy zabierali ze sobą tylko tych, którzy mogli się im na coś przydać, dlatego wcale

mnie to nie zdziwiło. Ostatecznie stary zginął z rąk obcych, a nie swojaków z Domu.

Wildze chyba jednak nie za dobrze tu było, bo kontynuowała, jakby chciała sobie ulżyć rozmową z kimś znajomym:

– Gwiazdników też wyróżnili, wiesz?

– Wiem – odpowiedziałam.

– A ja się nie spodziewałam, że ktoś się może dobrać im do skóry. Całą ich sadybę oczyścili, nie mniej niż dziesięć wozów załadowali różnymi Przedmiotami. Takie bogactwo!

– Tak – odpowiedziałam – to plemię teraz nabierze siły. Posłuchaj, tam, u Gwiazdnych, była taka kobieta, pamiętasz, po mnie przyjeżdżała. Wysoka, jasnowłosa... nie wiesz, gdzie ona jest? Tu jej chyba nie ma...

– A, ta... – przypomniała sobie Wilga. – Widziałam, jak ją wieźli... Dziwna jakaś... Jakby nie wiedziała, co się z nią dzieje. Borsuk ją sobie wziął...

W jej głosie zabrzmiała skryta uraza – może chciała, żeby to ją wziął ten Borsuk, a nie Dianę? I jakby na potwierdzenie moich domysłów dodała:

– Nie rozumiem, co on w niej takiego zobaczył...

– A gdzie jest jego namiot? – zapytałam.

– Nad wodą – odparła. – O, ten, stąd go nawet widać. Tylko tam nie łaż, bo narobisz sobie kłopotów...

– Poczekam na zewnątrz – mruknęłam. – Może ona rano się za mną wstawi, skoro teraz należy do takiego wielkiego człowieka...

Wilga parsknęła z urazą, ale nic nie powiedziała. Wyszłam z namiotu i poszłam ku zagrodzie dla koni. Nie kryłam się nawet za bardzo – jeżeli ktoś mnie zauważy, zobaczy jedną z niewolnic, która zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem – normalna rzecz...

Ulisses zobaczył mnie, gdy zbliżyłam się do zagrody. Poruszył się w trawie i zapytał niespokojnym głosem:

– I co?

– Nie ma jej w namiocie kobiet. Porozmawiałam z jedną kobietą, z naszego Domu. Ona mówi, że Dianę zabrał sobie Borsuk.

– Och, nie! – jęknął mój towarzysz.

– To może być prawda. On musi się jakoś na was zemścić. Nie wybaczył wam. W przeciwnym wypadku nawet by na nią nie spojrzął. Wybacz, Ulissesie, ale na nią nikt by się nie połąszczył – nie baba, ale ni pies, ni wydra...

– Dość, wystarczy – powiedział ze znużeniem w głosie. – A dowiedziałas się, dokąd ją zabrał?

Wyglądało na to, że on jak sobie coś wbije do głowy, to młotkiem mu tego nie wybijesz – pierwszy raz widziałam, żeby człowiek pchał się na pewną śmierć z powodu jakiejś baby, która

nie dość, że nie była piękna, to i do rodzenia dzieci się nie nadawała.

– Owszem, tylko że niczego nam to nie da. Z babskiego namiotu może i dałoby się ją jakoś wyciągnąć, ale stamtąd nijak nie damy rady. Ona zresztą, ta Wilga, powiedziała, że Dianie jakby odbiło. Może ze strachu? A jak tak, to nie możemy się spodziewać, że nam w czymkolwiek pomoże.

Miałam nadzieję, że on się opamięta i zrezygnuje ze swojego pomysłu, ale zamiast tego on aż podskoczył:

– Musimy się pospieszyć.

Przypomniałam sobie, że związałam się z wariatem, po którym niczego dobrego spodziewać się nie należy. Najmądrzej byłoby go tu porzucić – niechby się wystawił na strzały koczowników, skoro tak mu do tego spieszno, a sama mogłabym uciec jak najdalej, ale rzecz w tym, że nie miałam dokąd uciekać. Może przed śmiercią uda mi się jeszcze dobrać do tego Borsuka i poderżnąć mu gardło – zawsze to bardziej honorowa śmierć, niż umieranie pośrodku stepu, jak zaszczuty zajac.

I dlatego zgodziłam się mu pomóc:

– No dobrze. Jak zamierzasz ją stamtąd wywabić?

Zamyślił się.

– Tam jest tylko Borsuk? I nikt więcej?

– Jak to, nikt? Tam są wszystkie jego żony. A gdzie miałyby być?

– Możemy spróbować wpuścić tam gaz usypiający – powiedział. – Został mi jeszcze jeden pojemnik.

– Ostatni?

– Tak.

Wzruszyłam ramionami. W końcu to były jego Przedmioty i mógł nimi rozporządzać, jak chciał.

– Może – powiedział niepewnie – udałoby się nam odszukać coś z tego oprzyrządowania, które oni zabrali z naszej bazy. Jeżeli jeszcze nie rozładowali wozów...

– Wozy z pewnością są chronione znacznie lepiej, niż kobiety. Niewiele mamy czasu, Ulissesie. Tylko... jeżeli twój Przedmiot zadziała jak należy, to jak myją powlecemy ze sobą uspioną? Oni nam nie pozwolą tak sobie uciec. To, że do tej pory nie odkryli naszej obecności to tylko szczęśliwy traf.

– Nieważne – odpowiedział. – Jakoś ją wywlecemy. Przecież ona prędzej czy później się ocknie. Możemy spróbować ucieczki wodą.

– I tak będziemy musieli uciekać wodą. W stepie szybko nas dogonią.

W końcu się zamknął i zaczęliśmy się przekradać ku namiotowi Borsuka – ten był mniejszy od namiotu kobiet, ale z pewnością wygodniejszy i bardziej solidny. Stał nad samą wodą. Lekki

wietrzyk niósł zapach zgniłych roślin – nie był to rześki, suchy zapach schnących na słońcu wodorostów, jaki czuje się na morskim wybrzeżu, ale lepki i ciężki. Żaby darły się tak, że zagłuszały wszystkie pozostałe dźwięki – i przez nikogo niezauważeni dotarliśmy całkiem blisko do celu.

Wewnątrz gorzał kaganek – słabe, przenikające na zewnątrz światło pozwalało dostrzec, że namiot jest wygodny i bogato zdobiony. Zasłona wejściowa była z wyszywanego aksamitu; dziwaczne zygzaki na tkaninie wyglądały na zupełnie czarne.

Ulisses się zatrzymał, więc zapytałam szeptem:

– Na co czekasz?

– Czekam, aż on zgasi kaganek.

– On go nie zgasi.

– Jak zobaczą pojemnik, ktoś może wyskoczyć na zewnątrz i wszcząć alarm...

Chyba zaczął coś rozumieć, ale według mnie za późno...

– No to zabijemy tego, co wyskoczy. Miej tylko nóż w pogotowiu.

Zaczął rozwiązywać swój worek, żeby wyjąć ten pojemnik, kiedy nagle w namiocie coś się zaczęło dziać. Rozległ się głuchy łoskot, jakby na usłaną dywanami podłogę runęło coś ciężkiego, a potem usłyszeliśmy wycie – a właściwie nawet nie wycie, tylko skrzek, jakby krzyczał nie człowiek, a ranny zwierz, albo gorzej jeszcze: tak mógłby krzyzczeć ożywiony Przedmiot, gdyby miał głos... Ulisses sprężył się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale jego słowa utonęły w chórze wrzasków – teraz krzyczały już całkowicie ludzkie głosy; w namiocie darły się przeraźliwie i co tchu w płucach baby.

Zrozumiałam, że trzeba nam się jak najszybciej stąd wynieść, a właściwie wiać gdzie pieprz rośnie – cokolwiek się tam stało, te baby lada moment poderwą wszystkich na nogi. Ale w tej samej chwili zasłona się odchyliła i na tle wejścia pokazała się męska figura – Borsuk wyskoczył z namiotu goły, jak go matka rodziła, ale z łukiem w dłoniach. Koczownik wyjdzie raczej bez gaci, niż bez broni.

Nie mieliśmy już nic do stracenia, więc kwiknęłam:

– Bij!

Ulisses zamarudził, ale ja skoczyłam na koczownika z nożem w ręku. Nie spodziewał się natychmiastowej napaści, miał zajęte ręce i w ogóle jeszcze chyba nie do końca się obudził: tuż przy swojej twarzy zobaczyłam białe, nieruchome i wytrzeszczone oczy. Natychmiast jednak się ocknął – w każdym razie na tyle, żeby się uchylić. Mój nóż liznął tylko jego przedramię, zostawiając na nim czarną, rozwierającą się ranę. Rąbnęłam go kolanem w krocze, choć nie za mocno, bo nie miałam miejsca do rozmachu, a on się znów uchylił, rzucił łuk i chwycił mnie za nadgarstki. Capnęłam go zębami za rękę; zawisłam na niej, jak wodny szczur, ale wreszcie Ulisses ocknął się, opamiętał i podskoczywszy bliżej, pchnął koczownika nożem w miejsce,

gdzie schodzą się obojczyki. Koczownik zagulgotał dziwacznie, z gęby chlusnęła mu krew i rozluźnił dłonie. Kiedy padał, kilkakrotnie go kopnęłam – właściwie zupełnie niepotrzebnie, bo i tak już zdychał, ale nie mogłam się oprzeć impulsowi. Wewnątrz namiotu wciąż jeszcze darły się baby – wyglądało na to, że nie zamierzają się uspokoić i nikt chyba nawet nie usłyszał naszej szamotaniny.

Rozległy się za to wycia w obozie – zobaczyłam nagły ruch pochodni i latarni, które zamrowiły się nagle pośród wozów jak ożywione ognie.

Namiot też się trząsał i kołysał jak żywy – ktoś tam wewnątrz miotał się chcąc wyjść i obijał się o ściany. Kaganek zamigotał i zgasł przewrócony w zawierusze.

Stałam ciężko dysząc nad ciałem koczownika i tocząc wokoło oszołomionym wzrokiem, aż Ulisses szarpnął mnie za ramię.

– Pospieszmy się.

Pociągnął mnie ku wodzie. Zbytnio się nie opierałam, ale mimo wszystko zapytałam:

– Może ona sama zdoła wyskoczyć?

– Kto? – krzyknął w biegu.

– No przecież Diana.

Pokręcił głową, a jego oczy nagle zrobiły się jakieś takie martwe.

– Nie – powiedział. – Za późno. Spóźniliśmy się.

– Ale co tam się stało?

Docieraliśmy już do zalewu. Woda sięgała nam do kostek – nawet jeżeli puszcza naszym śladem psy, rzeka zmyje wszelkie zapachy.

– Nieważne – stwierdził. – Ale mamy jeszcze trochę czasu. Najpierw się zajmą tym, co zobaczą w namiocie. A kiedy... No, przez pewien czas nie pomyślą o tym, żeby nas ścigać. Potem, jak znajdą wartowników, i tego drania, dojdą do wniosku, że ktoś się wdarł do obozu, ale to dopiero nad ranem. W nocy za nami nie ruszą.

– Dlaczego? Koczownicy widzą w nocy nie gorzej, niż za dnia.

– Zatrzyma ich strach – odparł krótko.

Za naszymi plecami wzmagała się wrzawa. Choć szybko się oddalaliśmy, usłyszałam że do wycia kobiet dołączyły gardłowe wrzaski mężczyzn.

Działo się tam coś dziwnego, czego nie rozumiałam, ale Ulisses miał rację – nikt nas nie ścigał. Wszyscy zgromadzili się wokół namiotu, pochodnie spływały ku niemu jak ogniste strumienie, a potem buchnęło tam jedno wielkie ognisko – namiot płonął niczym trafiony gromem stóg siana. Na wodzie tańczyły szkarłatne odbłaski, najbliższe kępy trzciny rozjaśniły się tak, że widać było każdą łodygę i liść, ale Ulisses nawet się nie obejrzał.

– Tam została Diana! – powiedziałam.

– Jej tam już nie było – powiedział zmęczonym głosem.

I nie oglądając się za siebie, poszedł dalej.

Nad wodą płynęły pasma mgły – teraz, w blasku odległego ognia też wyglądały na purpurowe, jakby promieniując własnym światłem; żaby ucichły, za to w głębi zalewu, w zaroślach tataraku podniosły wrzawę ptaki, które tam się schroniły na nocleg. Coś jeszcze wyłoniło się z mgły – wielkie, czarne parszkające figury, a mnie serce uciekło w pięty i dopiero po chwili zrozumiałam, że to pasące się na łągu konie.

– Nie tam – powiedziałam. – Tabuny są strzeżone.

Było już jednak za późno, coś jeszcze przedzierało się ku nam przez pasma mgły.

– Kto to? – zapytał szeptem Ulisses. – Człowiek?

Kiepsko widział po ciemku, do czego nijak nie mogłam przywyknąć.

Pokręciłam głową.

– Nie człowiek. Psy. Choć to może jeszcze gorzej.

Ogromne kudłate psy koczowników nigdy nie towarzyszą im w napaściach, ale od wieków ochraniają stada i są zmyślne niemal tak, jak ludzie. A obcych nie puszcza – i nie wypuszcza.

Pies wyskoczył z mgły całkiem niespodziewanie i ze strachu wydał mi się niewiele mniejszy od konia – tylko poruszał się niemal bezgłośnie. Za nim pojawił się jeszcze jeden.

Poruszyłam się i ten pierwszy warknął – głos był niski, jak pomruk odległego gromu.

– Masz ze sobą ten balonik? – zapytałam szeptem nie odwracając głowy. – Możesz je uśpić?

– Nie wiem – Ulisses też odparł szeptem. – Nie jestem pewien. Tu jest za dużo wilgoci w powietrzu i gaz od razu opadnie. Poza tym nie mam pojęcia, jak on podziała na zwierzęta. Może w ogóle ich nie ruszy.

– A ta twoja sztuczka, która razi ogniem?

– Ale błysk będzie widać z daleka.

– Co za różnica? Te psy i tak nie pozwolą nam odejść. Mówią, że one od razu skaczą do gardła.

Niepewną ręką sięgnął do swego worka.

– Jak bić, to na pewniaka. To twarde zwierzaki.

– Odejdź na bok – polecił mi.

– Nie mogę. Natychmiast zaatakują.

Ulisses bardzo powoli, żeby nie sprowokować bestii do napaści, sięgnął do worka i wyjął zeń ogniomiotny Przedmiot. Bliższy z psów ugiął łapy, nie spuszczać z niego oczu. Drugi chyba wziął na cel mnie, bo przesunął się nieco w bok. Jeżeli Ulisses zdecyduje się strzelić, może zdoła położyć oba psy naraz...

Wiatr, który ucichł już zupełnie, dmuchnął mi nagle w plecy, a gładka powierzchnia wody pokryła się zmarszczkami. Pies uniósł głowę, rozdał nozdrza i wciągnął w nie powietrze. Potem się cofnął, jakby zdjęty strachem i zaskomlił.

Ulisses zrobił niepewny krok przed siebie i oba psy odskoczyły wstecz – krok, potem drugi. Stuliły krótkie uszy i zatrzymały się na sztywnych łapach... Potem jeden jęknął, jakby go smagnięto batogiem i rzucił się w tył, rozbryzgując wodę. Drugi pognął za nim, podkuliwszy pod siebie ogon.

– No proszę! – powiedziałam.

– Ależ ja nic nie zrobiłem! – zachnął się Ulisses.

– I co z tego? Jaka różnica? Coś je przestraszyło. Ale my musimy się stąd wynieść – i to jak najszybciej.

Ulisses zwlekał, aż musiałam go nieco popchnąć.

– No, szybciej.

– Nie wiem dlaczego, ale bardzo się zmęczyłem – wymamrotał.

To, że ja też się mogłam zmęczyć, jakoś mu widać nie przyszło do głowy.

– Wyślą za nami pogoń – powiedziałam. – Nie wiem, co tam się stało, ale cokolwiek by to było, nie zatrzyma ich na długo. Trzeba uciekać. Wody to oni się boją – może więc nam się jeszcze poszczęści... Umiesz pływać?

– Chyba tak – odpowiedział niepewnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Dobrze.

Koczownicy nie lubią morza, a innej wielkiej wody w ich stepach nie masz, i rzadko który z nich potrafi się utrzymać na powierzchni wody, albo poradzić sobie z łódką, konie jednak potrafią pływać, choć nikt ich tego nie uczy, a prześladowcy mogą je puścić przez głębsze miejsca. W rzeczy samej nie na wiele mogliśmy liczyć, ale skoro udało się raz, mogło się udać ponownie.

– No to chodźmy. Tych twoich Przedmiotów woda chyba nie uszkodzi?

– Nie wiem – odparł.

– To unieś je wyżej.

Zalew był tak zarośnięty, że w podnoszącej się właśnie porannej mgle nie można było zobaczyć, gdzie jest płycizna, a gdzie głęboka woda, choć mogliśmy przypuszczać, że na wysepkach trzciny rosną gęściej. Nieopodal też rosła kępa – wyłamałam grubszą łądygę i ruszyłam przed siebie, wymacując dno. Rzeka, z pozoru taka bezpieczna i przyjazna, w istocie była groźna i zdradliwa – mnóstwo głębokich wirów, a z dna były lodowate źródła – tak zimne, że skuwały nogi i zapierały dech temu, kto w nie wstąpił.

Tam jednak, gdzie szliśmy, wody było co najwyżej po pas – choć to, co było wygodne dla nas, mogło też sprzyjać naszym prześladowcom.

Ulisses szedł w milczeniu, jakby śnił, i tylko jeden raz zapytał:

– Dokąd idziemy?

Zapytał obojętnie, tak jakby to nie miało żadnego znaczenia.

– W górę pod prąd i przez zalew, na drugi brzeg – odpowiedziałam. – Jak zdołamy tam dotrzeć, to może uda nam się uciec.

– Ale tam jest wszędzie tak samo – odpowiedział beznamiętnie. – Nic nowego nie znajdziemy.

– Dlaczego nic? Mówią, że tam jest nizina i rozległe moczary – u nas takich nie ma. Bez trudu wciągnie tam jeźdźca i konia.

– Ja nie o tym...

Ponieważ nie miałam pojęcia, co chciał powiedzieć, umilkłam – i tak lepiej było teraz milczeć, bo na wodzie, przy braku wiatru a jeszcze o świcie, słowa odbijają się od powierzchni wody i niosą się daleko od miejsca, gdzie je wypowiedziano.

Na lewo ode mnie trafiła się jama, ale obok niej prąd naniósł wąski grzbiet piasku, który stopniowo przechodził w wysuwający się z wody pas łądu, porośnięty po brzegach łagodnie chwiejącymi się trzcinami i tatarakiem. Chłopot naszych kroków wypłoszył z mgły jakiegoś ptaka.

– Zatrzymamy się tutaj? – zapytał Ulisses z nadzieją w głosie.

– Nie.

Wiatr tak utwardził piasek, że zastygły na nim nieruchome zmarszczki, jak na powierzchni wody i każdy ślad byłby widoczny z daleka – nie trzeba koczownika, żeby zrozumieć, że ktoś tędy przechodził.

I dlatego obeszłam pas łądu bokiem, gdzie wody było po kostki, a piasek gładki i twardy – a potem znów znaleźliśmy się w nurcie, tylko już po drugiej stronie zalewu. Prąd był tu silniejszy, ale po drugiej stronie rękawa rzeki z wody wznosiło się mnóstwo drobnych, ledwo wystających nad powierzchnię wysepek; niektóre łączyły się pasmami piasku, inne były samotne, a wszystkie jakby porzrzucała bezładnie, wytrząsnawszy je z gigantycznego wora, ręka jakiegoś olbrzyma. Niektóre stwarzały tylko pozory bezpieczeństwa, będąc w istocie kępami zielska, które zgromadziło się wokół wystającego z wody jakiegoś korzenia. Ale tu mogliśmy już zgubić pogoń – trzeba nam było tylko przebyć niebezpieczny odcinek szybkiego nurtu.

– Mówiłeś, że umiesz pływać – zwróciłam się do Ulissesa.

Zajęty był zamykaniem swojego wora – zaciągał te wszystkie dziwaczne zapięcia i zębate szczeliny, które się zamykają i łączą w całość, jak przejechać po nich zapinką.

Wzruszył tylko ramionami.

– Nie spróbujesz, to się nie dowiesz, prawda?

– No to ruszajmy!

Wypuściłam z rąk trzcinę – ta popłynęła z prądem, wirując niekiedy wokół osi, było tu wiele wirów, a miejsce nie należało do bezpiecznych – i rzuciłam się w wodę. Była ciepła niby mleko

i podobnie mętna. Ulisses płynął za mną całkiem dobrze sobie radząc, choć przeszkadzała mu pałętająca się na plecach i pełna powietrza sakwa, ciągnąca go wstecz. Z dołu, od dna bił zimny strumień, kiedy nad nim przepływałam, ciął mnie po nogach jak nożem. Odwróciłam się do towarzysza i powiedziałam:

– Uważaj.

Nie odpowiedział – wyglądał bardzo kiepsko, jakby zupełnie opadł z sił. Z mgły wyłoniła się najbliższa wysepka, unosząca się pozornie nad wodą, a za nią widać było drugą, do której się kierowaliśmy.

Ulisses zostawał z tyłu i musiałam zwolnić, żeby na niego poczekać, a wtedy zaczął mnie znosić prąd. Przecinanie go w poprzek nie miało sensu, ale Ulisses jednak spróbował – chyba tracił resztki sił.

Podpłynęłam bliżej i powiedziałam:

– Bierz na ukos.

Nawet nie spojrział w moją stronę – miał na poły przymknięte oczy. Gdyby nie kołysząca się na jego plecach nadęta niczym topielec sakwa, sam już pewnie poszedłby pod wodę. Capnęłam go za przerzucony przez ramię rzemień i szarpnęłam w bok. Ciężko było wiosłować jedną ręką, ale znający się na rzecz mógł sobie z rzeką poradzić – niekiedy niosła cię sama. Prąd nas zakreślił i rzucił w stronę wysepki, woda zrobiła się całkiem mętna, a gdy spróbowałam zmacać nogą dno, natknęłam się palcami na miękki mul. Wczepiłam się ręką w jakiś śliski pniaczek ze sterczącymi z wody sękami i szarpnęłam rzemień ku sobie – sakwa pokornie podpłynęła do mnie, a razem z nią podpłynął Ulisses. Nie opierał się, ale też najmniejszym gestem nie próbował mi pomóc.

– Czemu łągałeś, że umiesz pływać? – zapytałam z przekąsem.

Nie odpowiedział.

Nie sądziłam, że tak opadł z sił – wyglądał na znacznie bardziej wytrzymałego. Przy samym już brzegu potknął się i padł w wodę – na twarz i byłby się chyba śmiertelnie zachłysnął, gdybym nie złapała go za kołnierz i nie wytaszczyła na brzeg.

Pomyślałam, że to wszystko z głodu – chłopcy w ogóle potrzebują większej ilości jedzenia – więc powiedziałam:

– Tu chyba jest mnóstwo ryb. Pocierp jeszcze trochę, to ja coś złowię. Tyle że trzeba ją będzie jeść na surowo – nie możemy palić ognia.

– Nie – odpowiedział. – Nie trzeba. To tylko... nieważne, powinno mi przejść.

Mówił też jakoś niewyraźnie, jakby miał pełne piasku usta.

Wiatr zgarniał tu piasek w wysokie wzgórza, a porastające je wiklinowe zarośla nie pozwalały mu ich ponownie rozsypywać – i za jednym z takich pagórków się zatrzymaliśmy. Pomogłam Ulissesowi usiąść i zdjęłam mu z pleców tę sakwę – tkanina była mokra, ale zawartość nie ucierpiała. Szkoda tylko, że niewiele było z niej pożytku; bronią która strzelała

ogniem posłużyć się tu nie da, prościej byłoby od razu dać dymny sygnał, że tu jesteśmy. Miałam też niejasne podejrzenia, że na wodzie i tak na nic by się nie przydała – w zetknięciu z ogniem woda zmienia się w parę, czy nie tak? Prostsza rzeczą było wyłamanie witki i zaostrenie jej na końcu, tak żeby przypominała ościę – i to właśnie zrobiłam. Kiedy siedziałam obok Ulissesa ostrugując gałązkę nożem – bardzo dobrym nożem, przetopionym ze starych Przedmiotów [koczownicy przetapiają wszystkie żelazne Przedmioty, jakie im się trafiają], mój towarzysz milczał, ale gdy tylko wstałam, podnosząc w ręce ościę, powiedział:

– Nie odchodź.

W jego głosie dźwięczał taki strach, że wzruszyłam ramionami i ponownie usiadłam.

– Powiedz coś.

– Co?

– Cokolwiek. Tylko nie milcz.

Pomyślałam, że poczuł się samotny i dlatego zdjął go strach, albo wciąż jeszcze smucił go los tej jego Diany, ale przecież nie można sobie pozwolić na taką beczynność. Mimo wszystko jednak zapytałam:

– Ulissesie, co tam się stało, w tym namiocie?

Pytanie najwyraźniej poszło mu nie w smak, dlatego że znów jakoś dziwnie zeszytniał i odpowiedział:

– To nieważne.

– Ale ty wiesz, co?

– Tak, wiem – padła równie niechętna jak przedtem odpowiedź.

– Nie chcesz o tym mówić?

– Nie mogę.

– No cóż...twoja sprawa.

W rzeczy samej gryzła mnie ciekawość – nigdy w życiu nie myślałam, że koczownicy potrafią tak zawyc, niechby i kobiety. Tak się zhańbić, a jeszcze przy ludziach... Ale wiedziałam, że teraz niczego zeń nie wyciągnę. Dlatego postanowiłam nie ruszać tego tematu. Zamiast tego zapytałam:

– A tam, na tej gwiazdzie, żyliście tak jak tutaj? W takich samych Domach?

Trochę się ożywił.

– Niezupełnie... Ale w podobnych, ogólnie rzecz biorąc. Tam w ogóle wszystko jest inne. Mało wody. Skąły. I bardzo jaskrawe słońce... a świcie i o zachodzie krystaliczne skały rozbłyskują wszystkimi barwami tęczy. Wiesz, to bardzo piękne.

– Jak tam było tak pięknie, to po co przylecieliście tutaj?

– Nie dlatego, że tam było źle – odpowiedział jakby w zadumie. – Nie... Ale kolonia była zbyt mała... rozumiesz, zbyt zamknięta. Rozum wymaga wymiany informacji... rozmów

i dialogów z podobnymi do siebie. W przeciwnym razie zaczyna ubożeć. Podczas minionych stu lat nie dokonano u nas żadnego technicznego odkrycia... w ogóle nie stworzono niczego nowego. Nie napisano ani jednej książki, nie skomponowano ani jednej symfonii – bo po co? Wcześniej czy później, a raczej wcześniej, zaczęły się regres... i całkowite załamanie. Zrozumieliśmy, że zbliżamy się do niebezpiecznego progu, i dlatego wyprawiliśmy się tutaj – choć poszły na to niemal wszystkie siły i środki kolonii. Ale postanowiliśmy zaryzykować...

– A ja myślałam, że przybyliście, żeby nam pomóc. W każdym razie tak kiedyś mówiliście...

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Wy potrzebujecie pomocy nie mniej, niż my sami. Kiedy tu lecieliśmy, myśleliśmy... no, nieważne... Ale tak czy owak już tu jesteśmy. Moglibyśmy wam pomóc. Uczyć. Leczyć. Wśród was praktycznie nie ma ani jednego zdrowego człowieka. Ty sama kulejesz – a takie wady postawy łatwo można naprawić.

Żachnęłam się.

– Może ja się i do niczego nie nadaję, ale ty też nie jesteś lepszy! Ja się przynajmniej trzymam na nogach!

– Przecież nie o tym mówię! Po prostu wasze życie jest tak surowe i okrutne, że nie masz w nim miejsca na to, co człowieka czyni człowiekiem... ale co pozornie jest niepotrzebne, bezużyteczne i zbyteczne.

– Jeżeli coś jest bezużyteczne – zdziwiłam się – to znaczy, że jest bezużyteczne i tyle. Niepotrzebne. O czym tu mówić?

– No tak – stwierdził ponuro. – Nikt z was nie próbuje zmienić swojego życia. Wymyślić coś nowego. Zrobić coś dla samej satysfakcji... albo żeby zaspokoić swą ciekawość. Posługujecie się Przedmiotami, które zostały wam po przodkach, ale nikt z was nigdy nie próbował ulepszyć, udoskonalić żadnego z tych Przedmiotów, ani wynaleźć cokolwiek swojego. Czytacie stare teksty, ale traktujecie je niby instrukcje do wykorzystania tychże Przedmiotów – i nic więcej.

– A wam to się nie podoba? – zapytałam mrocznie.

– Co tu się może podobać? To przecież ślepy zaulek.

No tak, nigdy wszystkim nie dogodzisz.

– Tacy jesteście mądrzy... a jak myślisz, dlaczego podczas napaści koczowników znalazłam się sama w stepie? To przez te wasze przeklęte teksty! Tylko dlatego, że przyszło mi do głowy, iż sami możemy je robić nie gorzej od starożytnych!

– Co? – zdumiał się Ulisses.

I nagle mnie olśniło.

– Posłuchaj, Ulissesie, wiesz, co mi przyszło do głowy? Straszna rzecz! Jeżeli można robić takie właśnie Kroniki, ile tam ich zechcesz, i wszystkie będą jednakowe, znaczy można robić i swoje własne! Po prostu bierzesz i piszesz wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Ale to oznacza...

– Mów dalej...

– Wychodzi na to, że jak my sami możemy pisać wszystko, co zechcemy, to i starożytni mogli pisać wszystko, co im do łbów strzeliło! Każdą głupotę i każde łgarstwo! Znaczy nie, można i napisać prawdę, ale przecież potem nikt nie odróżni, co było prawdą, a co nie!

– No, w zasadzie tak – odpowiedział.

– A my się staramy, wysilamy, i wierzymy w każdy wymysł, który ktoś kiedyś zapisał tylko dlatego, że mu się to wydało piękne! Gdyby ci starożytni mogli nas nad tym zobaczyć, popękaliby ze śmiechu! Żeby tak nas oszukać!

– To, co wymyślone, też może mieć swoje określone znaczenie i wagę.

– Tak, ale nie to znaczenie, któregośmy szukali! Tak? No, no... Biedny Chroniciel, dobrze, że tego nie dożył!

– Wiesz, ja myślę, że on koniec końców i tak by się domyślił. Nie był głupim człowiekiem, ten wasz Chroniciel.

Pomyślałam nagle, że on ma rację – może by się i domyślił. Albo już się domyślił – w przeciwnym razie, dlaczego...

Czułam się jak ktoś, kogo przez całe życie oszukiwano.

– Czemu mi niczego nie powiedzieliście?

– Przecież mówiliśmy ci o tym przez cały czas! I ja, i Diana. Ty po prostu nie chciałaś przyjąć tego do wiadomości.

– No dobra, teraz przyjąłam. I co z tego? Czy dzięki temu wybrniemy jakoś z tych tarapatów?

– W końcu mogłoby to wam pomóc przeżyć – odpowiedział mój towarzysz. – A może i nam. Tylko tyle, i aż tyle. Zostać ludźmi, to nie tak mało, prawda?

Znów te puste rozmowy...

Mgła stopniowo zaczęła się unosić w górę, odsłaniając powierzchnię wody, niebo zrobiło się szare i pogasły na nim wszystkie gwiazdy. Wkrótce miało się rozwidnić na tyle, że wzrok sięgnie daleko, na odległość przelotu ptaka, nie mówiąc o zasięgu strzały z łuku. Jeżeli mieliśmy wynieść się stąd cało, trzeba było iść dalej. Ja jednak się nie ruszałam – wokół było cicho, bardzo cicho, nawet maleńkie fale lizwały brzeg wysepki bezszumnie, i pojawiło się we mnie takie uczucie, jakby ktoś nas obserwował... wpierając nam w karki ciężkie spojrzenie, od którego ciarki przebiegają po skórze i jeżą się włosy.

– Wasze Niebiańskie Oko nie może nas znaleźć? – zapytałam szeptem.

Ulisses odpowiedział niezbyt głośno, ale nie ciszej niż przedtem – on chyba niczego nie spostrzegł i nie poczuł:

– Teoretycznie... mogłoby. Mnie jednak niepokoi to, że nie odnaleźli nas już wczoraj wieczorem. Może...

Teraz zrozumiałam, co na nas patrzy i odpowiedziałam:

– Nie. Nie może.

Świetlista plama we mgle była zupełnie blisko, bliżej niż zwykle, i przez cały czas wisiała nieruchomo – jak to zwykle bywa; nie dało się zobaczyć, co tam jest wewnątrz – czasami wydawało mi się, że widzę zarysy Domów, czasami jakieś niewyraźne sylwetki, ale ich zarysy zaraz się zmieniały, rozplywały – nie pojmiesz: ludzie to, czy cienie...

W tejże chwili zobaczył to i Ulisses.

– Uch, ty... – powiedział.

Otworzył szeroko oczy i znieruchomiał patrząc w dal, jakby chciał wchłonąć w siebie bez reszty to nikłe, niewyraźne światło.

– Co to jest? – wymamrotał oszołomiony. – Nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałem...

– To Miasto Martwiaków. Mówiłam przecież.

– Tak, ale ja myślałem, że to wymysł, legenda... Co prawda powinienem był pamiętać, że nie jesteście skłonni do fantazjowania... ale dlaczego w takim razie nie zarejestrowały tego przyrzady? Nie rozumiem... Ma jakąś ochronę, czy jak?

– Pokazuje się, kiedy chce. I komu zechce. Mówi się, że oni pojawiają się tam, gdzie coś się ma wydarzyć... – i wtedy należy spodziewać się biedy.

– Ale czy oni... jakoś się z wami porozumiewają?

– Jak mogą się porozumiewać? Przecież to Martwiaki!

– Nawet nam do głów nie przychodziło... że tu jest jeszcze coś, czego... Mówisz, że to nie miraż?

– Nie co?

– Powietrzna soczewka... Powietrze niekiedy zmienia swoje właściwości i pokazuje nam to, co tak naprawdę nie istnieje.

– A – powiedziałam. – Rozumiem. Jak te jeziora na stepie, których tak naprawdę nie ma. Widziałam je – przez to wasze Niebiańskie Oko. Nie wiem skąd mam tę pewność, ale to jest coś innego.

– Ale dlaczego w takim razie oni... Nie, nie rozumiem. Posłuchaj, czy oni od dawna się tu pojawiają?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale chyba byli tu od zawsze.

– Mówisz, że pokazują się tam, gdzie się coś dzieje? Obserwują?

– Ulissesie, oni nigdy niczego nie robią. Wiszą sobie tylko na niebie i świecą.

– Ale przecież powinien być w tym jakiś cel! Jakiś sens!

Trząsł się cały i był chyba gotów skoczyć i pogonić za tą świecącą nikłą plamą, dokądkolwiek by odleciała.

– Przecież tam są ludzie!

– Jacy tam znowu ludzie? Martwiaki!

– Tyle lat poszukiwań... – wymamrotał. – A oni przez cały ten czas byli tutaj... nigdzie się stąd nie ruszyli.

Coś tam mówił... o sprawach, które działy się dawno, bardzo dawno temu. O poszukiwaniach, które podjęła ludzkość, o statkach, które wyruszyły do gwiazd i wróciły z niczym... a niektóre w ogóle nie wróciły...

– Ty znaczy co, myślisz, że oni też przylecieli z gwiazd, czy tak?

– Tak – odpowiedział. – Chyba tak. Ale w takim razie... – poderwał się nagle, a potem znów usiadł. – Muszę jakoś nawiązać łączność ze swoimi. Dlaczego... dlaczego nie ma od nich żadnych wiadomości?!

– Tak... – odpowiedziałam. – Dlaczego?

– Musimy się dostać do bazy – stwierdził stanowczo. – Nie wiem, co tam się stało i nawet się boję snuć domysły, ale może jest jeszcze jakaś nadzieja. Szczególnie teraz.

Wyglądał jak człowiek, przed którym pojawił się cel godny jego wysiłków. Nawet głowę trzymał inaczej. Do tej pory nawet patrzeć na niego było niemiło.

Tymczasem Miasto Martwiaków ruszyło z miejsca i niespiesznie cofnęło się za rzekę – ku obozowisku koczowników.

– Im się to też nie podoba – powiedziałam.

Byłam pewna tego, że koczownicy wysłali za nami pogoń – oni nigdy niczego nie zapominali, nie wybacжали i nic ich nie mogło zatrzymać. Ale może i oni uznają pojawienie się miasta Martwiaków za zły znak i choć na krótko opóźnią wysłanie pościgu? A skoro tak, to może nam się uda zyskać na czasie – niewiele, ale zawsze...

Wstałam i zwróciłam się do Ulissesa:

– No to ruszajmy, jeżeli wiesz, dokąd iść.

– Tak – odpowiedział. – Wiem.

Bez wysiłku już uniósł swój worek i ruszyliśmy w drogę.

PROLOG 2

Pół wieku później.

Richman wyłączył autopilota i z nie bez trudu wylazł z maszyny. Na ulicy było ciemno – teraz wieczorami zawsze było ciemno, a i w niskim budynku szpitala Międzynarodowego Zrzeszenia Astronautów świeciło się tylko kilka okien.

Wydało mu się, że stopnie są liczniejsze, niż dawniej. I bardziej strone.

Młody chłopak przy wejściu siedział, położywszy nogi na biurko, i studiował ubezpieczeniową polisę okręgowego Immortalia. „Długo jeszcze będziesz musiał oszczędzać” – pomyślał Richman, odczuwając jakąś dziwną, złą uciechę. Staniesz się nieśmiertelnym w wieku lat siedemdziesięciu, ni mniej, ni więcej. Co prawda mówi się, że oni przechodzą jakąś procedurę odmładzania.

To jakieś powszechne szaleństwo – pomyślał. Ludzie oszczędzają na wszystkim, żeby zgromadzić odpowiednią sumę na obróbkę, odmawiając sobie wszystkich życiowych uciech... a w wysoko rozwiniętych krajach wskaźnik urodzeń spadł niemal do zera... Co prawda zostały jeszcze kraje trzeciego świata, ale tam...

Nawet nie zauważył, jak dotarł do znajomych drzwi.

Kowalczyk leżał na łóżku, od którego odchodziły liczne rurki – przezroczyste, półprzezroczyste... Jego niegdyś masywne ciało schudło okropnie i teraz pod pościelą widać było niemal zarysy szkieletu, ptasio kruchego. Ale oczy jak dawniej patrzyły bystro i zimno.

– A... – powiedział szeptem, ujrawszy Richmana. – Stary wróg...

– Dajcie spokój, Kowalczyk – odparł Richman, sadowiąc się ciężko na krześle. – Stary przyjaciel...

– Nie pozwalają mi słuchać nowin – mruknął Kowalczyk. – Nie chcą mi psuć humoru. – Zachichotał niespodziewanie. – A skoro tak, nowiny raczej są złe, prawda?

– Byłem w Centrum – stwierdził Richman. – Niedawno dostali wiadomość z „Mayflowera”. Lot mija normalnie, ani jednego wypadku nadzwyczajnego. Wszystko idzie zgodnie z planem... Wiadomość oczywiście nie dotyczy sytuacji aktualnej, ale poprzednia też była taka. Dokładnie takie same są doniesienia z „Kolumba”. I z „Czeluski”. Twój projekt wieńczy powodzenie. W każdym razie, na tym etapie. Wyszli z anabiozy przy podejściu do systemu gwiazdowego i przystąpili do planowanych czynności.

– Jeżeli ta wiadomość jest dobra – odezwał się Kowalczyk – to powinna być i zła. Prawda, Richman?

Zagadnięty wzruszył ramionami.

– Jak wiecie, niemal wszyscy Hindusi wyrzekli się Immortaliów. I zabronili montowania urządzeń na terenie Hindustanu.

– Są w lepszym położeniu, niż my.

– Niezupełnie... – Mruknął Richman. – Dziś przekazali w Sieci – szaleje u nich epidemia dżumy. Śmierć zbiera milionowe żniwo.

– Ale zgodnie z umową...

– Powinniśmy tam wysłać lekarzy i pomoc humanitarną. Ale zerwaliśmy umowę.

– Dlaczego?

– Ludzie nie chcą ryzykować. Wielu z nich zostanie kiedyś nieśmiertelnymi... wielu już się takimi stało. I choć biologicznie są nieśmiertelni, fizycznie mimo wszystko mogą umrzeć. Boją się. A przecież to praktycznie cała elita technokratyczna. Wszyscy, którzy cokolwiek byli warci...

– I nikt nie zainterweniował?

– Rosja zgłosiła protest. Ale oni mają swoje problemy, jak sami wiecie. Z drugiej strony jest to zrozumiałe – dżuma nie zna granic ni kordonów. Nasi wydali oświadczenie, że niby dotyczy to Rosji i krajów sąsiednich – niech sami się wykrecą...

– Nikt się nie wmieszał?

– Nie. O ile pięć lat temu, gdy zdarzyło się to trzęsienie ziemi w Chinach, posłaliśmy tam garstkę specjalistów i udzieliliśmy im pomocy technicznej, to teraz trzęsiemy się jak galareta. Okazujemy skrajne tchórzostwo. Co prawda może jednak podjęto jakąś decyzję... Kto wie – Sieć pracuje teraz jedynie dwie godziny na dobę...

– Dlaczego?

– Immortalia żrą mnóstwo energii.

– I nikt nie protestuje?

– Nie. Większość ludzi ma nadzieję, że prędzej lub później do nich trafią.

– A ty? – zapytał ostro Kowalczyk.

– Nie – odpowiedział Richman. – Mimo wszystko jestem lekarzem.

– Psychiatrą!

– Teraz to się robi bardzo aktualna profesja – gorzko zauważył Richman. – Gdyby jeszcze zgodzili się przyznać, że padli ofiarą masowej psychozy i potrzebna im pomoc! A przecież uważają, że są absolutnie zdrowi. Pchają się do tych Immortaliów, a przecież nikt dobrze nie wie, co się tam z ludźmi wyrabia – ci, co przeszli obróbkę, ograniczyli kontakty z innymi do minimum. I ciągle tylko żądają – dawaj im energię, środki, przestrzeń... wszystko!

– Żądać sobie mogą, ile chcą. Ale przecież nigdy nie pójdą na otwarty konflikt – będą się bali o swoje drogie nieśmiertelne skóry.

– Im to wcale nie jest potrzebne. Mają w ręku klucz do wszystkich nadziei ludzkości.

– Nadzieje ludzkości – wymamrotał Kowalczyk z odrazą w głosie. – Nikt już nie wysyła

statków. Nawet przeloty w atmosferze ograniczono do minimum. Nadzieje... Projekt, oto jest prawdziwa nadzieja dla ludzkości! Oni tam staną się zupełnie inni... czyści. Oni są inni. Rad jestem, że się wtedy zdecydowałem na to szaleństwo.

Richman ostrożnie uściskał chudą dłoń, leżącą na kołdrze. Od dłoni ciągnęła się rurka, w której pulsowała niebieskawa ciecz.

– Ja też jestem rad – powiedział.

Kowalczyk leżał z przymkniętymi oczami. Richman wziął laskę i poczłapał do wyjścia na korytarz.

„Nie powiedziałem mu – pomyślał. – I niech umiera w spokoju”.

Wesołek Benny był jednym z pierwszych podopiecznych Richmana. Po przejściu obróbki miał siedemnaście lat, ale na jego koncie było już kilka trupów... Richman wybrał go do pierwszej serii eksperymentów, i po poddaniu go wszechstronnym testom wypuścił na swoją odpowiedzialność w szeroki świat. Benny trzymał się przez pięćdziesiąt lat. Przed trzema dniami wstał ze swojego krzesła, wziął do ręki młotek, którym przedtem przybijał do ściany rodzinne fotografie i walnął nim w głowę córkę, która właśnie zmywała w kuchni naczynia. Nie umiał nikomu wytłumaczyć, dlaczego to zrobił. Kiedy do mieszkania wpadli policjanci, stanął na parapecie zbryzganym krwią. Potem pomachał im ręką, uśmiechnął się i skoczył w dół.

Część druga

*Zostajemy jeszcze w kokonie światła.
A kiedy się rozpadnie (powoli, czy błyskawicznie),
czy zdążymy pośród nocy
rozpostrzeć pokryte pawimi oczami skrzydła,
żeby spłynąć na nich w ten chłód i tę ciemność?*

F. Jacottiere

Simon odłożył przeglądaną właśnie książkę, jednocześnie obrabianą przezeń roztworem utrwalającym, i zerknął w okno. „Jeszcze nie tak dawno – pomyślał – wszystko tu wyglądało inaczej”. Centralna część zamku, w której akurat się znajdował, była już odbudowana, boczne skrzydła oczyszczono z rumowisk, a powietrze wzdłuż perymetru drżało lekko, wskazując na obecność pola ochronnego. W piwnicach łagodnie pomrukiwały generatory pola, jednocześnie zapewniające ekspedycji światło i ciepło, a na dziedzińcu wyrosły już pomieszczenia pomocnicze – w tym i hangar dla awionetki. Do tej pory zagadką pozostawała dla niego dziwna pasja, jaką przejawiał Gedeon, gdy chodziło o podobne zabawki – żeby taszczyć podobnie niefunkcjonalną rzecz na odległość kilku lat świetlnych! „Co prawda – pomyślał – ona prawie nic nie waży”.

Pod sklepieniem zamkowych komnat odgłos kroków odbijał się tak głośnie, że przysiągłbyś, iż idzie olbrzym – a to był tylko Gedeon. Wszedł, odrzucając w tył kaptur spod którego wyjrzała twarz o udręczonym wyrazie.

– Deszcz – powiedział. Zabrzmiało to tak, jakby żywił osobistą urazę do pogody.

Simon ponownie zerknął w okno. Rzadkie iskry na powierzchni kopuły ochronnej powstające tam, gdzie krople parowały w zetknięciu z tarczą pola siłowego, przeistoczyły się w równą nikłą poświatę.

– Tak – odpowiedział. – Tutaj to rzecz zwyczajna.

– Ja do czegoś takiego nie przywykłem – mruknął Gedeon, otrząsając się jak pies.

– Ejże! – powiedział Simon. – Mimo wszystko jesteś w archiwum.

– Akurat! – odciął się Gedeon. – A jak o tym czytałem, wszystko wyglądało całkiem inaczej.

– Powiedz jeszcze, że nas nabrali...

– Nabrali nas – zgodził się ochocho Gedeon. – No dobra, kończ swoje trudy. Idziemy.

– Przecież ja nie pracuję – westchnął Simon. – Ot, tak sobie się wygłupiam. A, cześć,

Wiener.

– Przyszedłem po was – oznajmił Wiener. – Komenski czeka w Sali Dębowej.

Spojrzawszy w okno, dodał smętnie:

– Będzie lato.

– Co, wyście się zmówili, czy jak? – zdumiał się Simon. – To najważniejsza nowina w ostatnim czasie?

– Tam nie było deszczów.

– Wielu rzeczy tam nie było.

– Co czytasz? – zapytał Wiener, zaglądając do książki zza pleców Simona.

– A, wygrzebałem w archiwum. Czytam, zanim do tych rzeczy dorwie się Oliwia... Na razie ma dość pracy z dokumentami. Karpackie legendy... coś w tym guście.

– Ciekawe – zapytał Gedeon. – Wśród miejscowych do tej pory zachowały się stare wierzenia?

– Po części się zachowały. Przeważnie, rozumie się, to jakaś mieszanina... co nieco zapisałem, jak zechcesz, to posłuchaj ...

– Niepotrzebnie chodzisz tam sam.

– Oni się mnie boją.

– No właśnie.

Wiener zajrzał mu przez ramię i przeczytał:

„Nad nieszczęsną kobietą zawisł cień zguby. Zbliżała się noc i wampir zaczął się poruszać w swoim grobie. Jedyne dobroć i łagodność serca pięknej Matyldy mogły uratować jej nieszczęsnego męża porażonego jadowitym oddechem Nosferatu. I oto, przycisnąwszy do piersi zaklęty amulet, zdecydowała się na mężny postępek...”

– Oni przepadali za różnymi horrorami – wymamrotał.

– A czegoś się spodziewał? – Simon z trudem stłumił w sobie chęć zatrzęsienia książki. Kiedy ktoś czyta ci zza ramienia to samo, masz nieprzyjemne wrażenie, że się wdiera w twoje myśli. – Przecież jesteśmy w Transylwanii.

– No – odezwał się Gedeon, który przeprowadzał fotozwiad powietrzny – nie do końca...

– No cóż, zgódźmy się zatem, że kiedyś była tu Transylwania. Rzeźba terenu co prawda mocno się zmieniła...

– Jak myślicie – zapytał nagle Wiener – dlaczego Komenski nie zamyka prac? Ciągłe jeszcze liczy na cud?

Simon wzruszył ramionami.

– Tu chyba już nie. Ale być może w innym miejscu...

– A ty? Też myślisz, że gdzieś jednak żyją prawdziwi ludzie? Nie te dzikusy? Jeżeli tak, to czemu nie dają nam znać o swoim istnieniu?

– Być może się boją...

– Nas? – zdumiał się Wiener.

– A czemużby nie? Przybyliśmy z daleka, nie znają naszych zamiarów... przecież miejscowi się nas boją...

– To przez te ich legendy – odparł twardo Wiener. – Przywykli opowiadać sobie wzajemnie różne durnoty. Jedno i to samo, z pokolenia na pokolenie, przez całe długie zimowe wieczory...

– No dobrze – uciął Gedeon. – Dość gadania o bajkach. Chodźmy.

Zza drzwi do jadalni – a drzwi były solidne, masywne, z dawnych jeszcze czasów, ozdobione rzeźbą liści i pęków winogron – rozległy się głosy i śmiech.

– Znów się spóźniłeś – stwierdził Wiener z naganą w głosie.

– My się spóźniliśmy – poprawił go Simon.

Otworzył drzwi do jadalni zalanej łagodnym blaskiem świec.

– A właśnie! – powitał ich Komenski. – Otóż i nasi samotnicy. Jak wam idzie, Simon?

Simon odsunął ciężkie krzesło i przysiadł się do stołu.

– Na razie jeszcze za wcześnie mówić – wymamrotał. – Poczekamy, zobaczymy...

– Nawiązałeś łączność z Lagrange’em? – to pytanie Komenski zadał Gedeonowi.

– Tak – odpowiedział Gedeon wzruszając ramionami.

– I co? Są jakieś rezultaty?

Gedeon pokręcił głową.

– Jakich ty rezultatów się spodziewasz, Amosie? Minęło tyle czasu. Oni zrezygnowali z poszukiwań...

– Pojmuję, to coś było wielkim miastem – powiedziała Natasza. – Ale chyba tam było najbardziej niebezpiecznie. Takie miasta są niebezpieczne. Dobrze mówię, Simon?

– Nie wiem – odpowiedział Simon. – Chyba tak... w każdym razie dla miejscowych większa część dawnych osiedli to zakazane miejsca.

– Może z powodu epidemii – odezwał się Wiener. – Im więcej ludzi w jednym miejscu... pobyt we wszystkich tych miastach stał się bardzo niebezpieczny. Same epidemie z czasem wygasły, ale przesady zostały.

– Tak – wymamrotał Simon. – Przesady mają długi żywot.

– W archiwach są zapiski o epidemii – stwierdziła Oliwia. – Ręczne... wygląda na to, że gdy wszystko się zawaliło, ktoś jednak próbował prowadzić dziennik... ale te zapiski są jakieś takie mętne.

Simon spojrzał w jej stronę. Włosy dziewczyny w blasku świecy wyglądały jak złoty nimb otaczający jej główkę, ale sama twarz ginęła w półmroku.

– Może właściciel? – podsunął.

– Nie, to pisała jakaś kobieta... członek rodziny albo miejscowa przewodniczka... ktoś z jej bliskich został w mieście, a łączność się urwała...

– Przy okazji, Wiener, zrobiłeś posiew? – zapytał Komenski. – Dzieje się tam coś? Nie za

bardzo się pilnujemy, a jeżeli...

– Ależ tak, zrobiłem – zbył go Wiener. – I ja zrobiłem, i Chlebnikow... jeszcze wtedy...Wszystko czyste. Jakby co, pierwszy bym się dowiedział.

– A radiacja?

– A co ma być z radiacją? Nie gorzej ode mnie wiesz, że w tym rejonie radiacja praktycznie nie przewyższa normy. Widziałeś mapy radiacji – owszem, jest spora plama na południowo-zachodniej Francji.

– Jaka tam teraz Francja – stwierdziła ze smutkiem Natasza.

– No, na południowym zachodzie tego, co było Francją... Doszło tam chyba do wybuchu atomowej siłowni. Były też jakieś ruchy tektoniczne... Ale ogólnie nie zanotowałem niczego, co by wychodziło poza ramy normalności... Nic z tego, czym straszili futurologowie, Amosie... Nie było wojny jądrowej, ani wielkich kataklizmów... Nic... po prostu wszystko się zawaliło.

– Jednocześnie? – zapytał Gedeon z sarkazmem w głosie.

– Nie. Niejednocześnie. Ale dość szybko. Sądząc z danych uzyskanych z datowania warstw kulturowych...

– Ona pisze o tym samym – zauważyła Oliwia. – Ta kobieta.

– A przyczyny?

– Ani słowa... Może nie miała do tego głowy...

– Może wszystko było tak oczywiste – podsunął Simon – że nie uznała za konieczne o tym pisać...

– No dobrze – odezwał się Komenski. – może uda się jeszcze coś znaleźć. Ale odeszliśmy od tematu. Chcę podkreślić jedno – Ulisses mówi, że znikli tylko ludzie – wszystko inne zostało na miejscu – przedmioty codziennego użytku, urządzenia... I w sumie to właśnie mnie niepokoi.

– Podejrzewasz najgorsze?

– Nie wiem. Raczej się boję. Oczywiście mogło się zdarzyć wszystko, ale nie wolno nam zapominać o tej możliwości...

– A miejscowi?

– Co, miejscowi? Sam wiesz, że nie bardzo są rozmowni...

– Nie to, co ci twoi, prawda Simon?

– Owszem, ci – tak...

Umilkł i przysunął sobie talerz.

Wszystko, co wydobyto spod rozwalin muzeum – o czym tylko można było marzyć w świecie metalu i plastyku, w funkcjonalnym świecie lotów kosmicznych i gwiazdnych kolonii, gdzie istnieje tylko to, co niezbędne i nic więcej...

Wszystko oczyszczono, wysterylizowano, doprowadzono do porządku – porcelana i matowa patyna srebra, która w blasku świec mieniła się różem, kruche szkło pucharów na wysokich

nózkach, które tak wygodnie leżą w ręce... i wrażenie prawdziwości psuła tylko żywność z syntezy, leżąca nieforemnymi kęsami na talerzach.

Gedeon pomyślał chyba o tym samym, bo powiedział:

– Przydałaby się prawdziwa żywność. Jeżeli już...

Siedząca na lewo od Simona Natasza wzdrygnęła się:

– Nie daj Bóg! – stwierdziła zaśmiawszy się nerwowo. – Zgroza! Bród, nawóz – wiecie, że oni używają wszystko nawozem? Żywe mięso...

– W tym rzecz – mruknął pouczająco Gedeon, obracając widelec w palcach. – W tym rzecz! Jesteśmy zbyt wydelikaceni! Cywilizacja to nie tylko sama kultura.

– Nawóz na polach i rzeźnie to też jeszcze nie kultura – stwierdził Simon.

– Co ty nie powiesz?

Simon zaczął jeść, czemu towarzyszyły niezbyt głośne dźwięki muzyki, odtwarzanej starannie przez aparaturę z przywiezionego spośród gwiazd kryształu. Brakowało tylko muzykantów na chórze, choć sam chór w postaci pogrążonej w półmroku pod sklepieniem sali galeryjki się zachował.

– Marzysz o powrocie do korzeni, Gedeonie? – zapytał. – O prostym, nieskomplikowanym życiu? Opowiedz o tym miejscowemu staroście – temu, co smarka na podłogę. A ten smród w jego domu...

– Och! – jęknęła Natasza. – Proszę...

– Ale mimo wszystko, Simonie – zwrócił się do niego Komenski – chciałbym wiedzieć...

Simon wzruszył ramionami.

– Miałeś rację. Nie mogę powiedzieć, że są zupełnie beznadziejni, ale... Piśmiennictwa nie mają, wierzą w kompletnie idiotyczne przesady... Na każde kichnięcie mają opracowany oddzielny rytuał...

– Grupa Lagrange'a ostro się zabrała do kontaktów – zauważył Gedeon. – Oni chyba zaczęli tam kogoś uczyć...

– Wiem, Ulisses mi opowiedział. Współ z Dianą wzięli jakąś dziewczyninę... umyli ją i posadzili przed komputerem... I nawet stymulator podłączyli... Sam Lagrange był akurat temu przeciwny – ale tak długo go nachodzili, aż się zgodził. A jaka będzie korzyść z jednej smarkuli? Oni tam, na wybrzeżu, są całkiem dzicy. Co zresztą zabawne, piśmiennictwo traktują sakralnie i zachowali nawyki czytania.

– A rezultaty?

– Na razie nikłe. Diana jeszcze na coś tam liczy.

– No dobrze – wtrącił się Komenski. – A ty, Gedeonie?

– Co ja? – odparł z niechęcią Gedeon. – Tubylcy jak tubylcy. Mnie osobiście się podobają.

– Doskonale wiesz, o co cię pytam. Prowadzisz obserwacje z powietrza?

– Powiesiłem czujniki – jeżeli cokolwiek zarejestrują... natychmiast się o tym dowiemy.
Albo grupa Lagrange’a...

– Natasza, podłącz się do obserwacji, dobrze?

– A co z muzeum? – zapytała Natasza z urazą w głosie. – Mówiłam ci, że w wewnętrznej galerii chcę urządzić...

– W wolnym czasie, Nataszo. Twoje muzeum nigdzie nie ucieknie.

Natasza umilkła i wetknęła nos w talerz. „Nie bardzo to radosny obiad – pomyślał Simon. – Zresztą tak właśnie wszystko idzie – coraz gorzej i gorzej...”

– Tak się staraliśmy – stwierdziła smutno Oliwia – a tu mimo wszystko jakoś nieprzytulnie jest...

– To miejsce zbyt długo było porzucone – stwierdził Simon. – Nawet miejscowi unikają tego zamku...

– Jak myślisz, dlaczego?

Simon wzruszył ramionami.

– Dlaczego się tu nie osiedlili? Zamek nie tak łatwo utrzymać... Nie da się go nawet ogrzać.
Ale zastanawia mnie coś innego – dlaczego nie rozebrali go do fundamentów?

– Boją się – stwierdziła Natasza, – jak myślisz, kto tu kiedyś mieszkał? Hrabia Dracula!

– Kto? – zdziwił się Wiener.

– No, ten najsłynniejszy wampir...

– Co? – zapytał Gedeon. – Naprawdę?

– No nie, oczywiście, po prostu tak tu zwabiano turystów. Znalazłam prospekty reklamowe... w rzeczy samej dwadzieścia lat przed ogólną zapaścią cywilizacji osiedlił się tu jakiś drobny właściciel ziemski, potomek dawnych władców. I urządził tu muzeum dla turystów. A potem, dla ściągnięcia tychże, rozpuścił odpowiednie słuchy...

– A miejscowi uwierzyli – zauważył Simon. – I wierzą do tej pory.

– Trzeba mu oddać sprawiedliwość, temu właścicielowi – dodał Gedeon. – On w ogóle był niegłupim człowiekiem. Kiedy wszystko zaczęło się walić, zebrał wszystkie rodowe skarby i archiwa, zapakował starannie i zamurował w piwnicy. Moje serwy...

– Twoje serwy – mruknęła ponuro Natasza – wszystko zapaćkały olejem...

– Dałabyś spokój...

– A przy okazji – zauważył Komenski – jak się już zgadało o tych serwach... Wyłączyłeś je?
Nie chciałbym straszyć miejscowych.

– A tak. Jak tylko oczyściły prawe skrzydło, zaraz je wyłączyłem. Są w hangarze.

Na wbudowanym w ścianę pulpicie zapłonęła nagle czerwona lampka, niszcząc iluzję starożytności.

– No proszę – mruknął Gedeon. – Znowu.

Niechętnie wstał od stołu.

– Głupia sprawa...

– Co tam? – zapytała Oliwia.

– Czujniki... Najpewniej znów rozpetęła się jakaś elektromagnetyczna burza w eterze. Pójdę, zobaczę co i jak...

– Anomalia? – zapytał Komenski.

– Diabli wiedzą. Chcesz, to sam zobacz.

– Dobrze – teraz wstał od stołu Komenski. – Chodźmy.

– Czy kiedyś choć raz uda nam się zjeść normalny obiad? – zapytał ponuro Wiener.

* * *

Gedeon dogonił go przy wyjściu z obozu; zapadał już wieczór i ze szczytów gór na przełęcz spływała mgła, zawisająca kępami na zboczach i czepiająca się szczytów jodeł. Droga była tu uszkodzona, gdzieniegdzie poprzegradzana osypiskami i Simon pomyślał, że w drodze powrotnej trzeba będzie korzystać z latarek.

– Mimo wszystko idziesz? – zapytał Gedeon.

– Tak – Simon wzruszył ramionami. – Dziś wieczorem ma być jakieś niezwykle widowisko.

– Jakie? – zaciekawiał się Gedeon.

– Nie mam pojęcia. Starosta mówił.

– Idę z tobą – ofiarował się pospiesznie Gedeon.

– O ile pamięć mnie nie zawodzi, powinienes być zająć się regulacją czujników pola.

– To co najwyżej pięć minut roboty.

„Nie daruje niczemu, co wychodzi poza ramy codzienności – pomyślał Simon. – taką ma już naturę”.

– Jak chcesz, to chcesz, to chodź – powiedział głośno. – Co mi tam... Ale Komenski będzie niezadowolony.

– Nie rozumiem, co miałoby mu się nie spodobać? W końcu po to właśnie przylecieliśmy, prawda?

– Gedeonie – westchnął Simon. – Przylecieliśmy wcale nie po to. Komenski po prostu się boi, że te kontakty przyniosą więcej szkód niż pożytku. Sam wiesz...

– Ale ty tam chodzisz?

– Gotów jestem podjąć ryzyko.

– Ach, no tak... Jesteś przecież naszym etnografem...

– Jaki tam ze mnie etnograf... Ot, amator...

„Wszyscy jesteśmy amatorami – pomyślał. – I w tym cały kłopot”.

Przegrodziło im drogę kolejne osypisko. „Trzeba by tu wszystko oczyścić” – pomyślał Simon. – „Droga powrotna będzie ciężka – nie taka znów wysokość, a jak co, to od razu zaczyna brakować tchu”.

– Czemu nie bierzesz mobila? – zapytał Gedeon.

– Wolę pieszo. Mniej oficjalnie i tak dalej...

– Co, boisz się, że cię wezmą za boga?

– Raczej za jakiegoś czarciego syna. Oni tu się boją siły nieczystej.

– Taaa.. – mruknął Gedeon. – Strasznie są przesądni. Wiesz, kiedy tu przybyliśmy, myślałem, że wszystkie te etnograficzne opowiadki to czysty wymysł. Jak „Iliada”.

– Nikt z nas nie był na to przygotowany – odpowiedział Simon. – Mieliśmy szczęście, że w archiwach kolonii znalazła się podobna literatura. Kiedy odlatywali z Ziemi, zabrali ją chyba na wszelki wypadek. A nuż przyjdzie mieć sprawę z cywilizacją na niskim stopniu rozwoju...

– Zabawna rzecz – stwierdził Simon. – Wyszło dokładnie na odwrót...

– Tak – kiwnął głową Simon. – Zabawna rzecz. Boki zrywać można...

Wioska leżała w niewielkiej dolinie pomiędzy dwiema górskimi ostrogami; ot, garstka ogników w mroku zbliżającej się szybko nocy.

– Jak oni się nie boją tu żyć? – zdziwił się Gedeon.

– Boją się – odpowiedział Simon. – Bądź pewien, że mocno się boją.

– Są tu jakieś dzikie zwierzęta?

– Mówią, że są. Ale oni boją się nie zwierząt, lecz wszelkiej siły nieczystej. Przemieńców, wilkołaków...

Im bliżej podchodzili, tym wyższy się wydawał otaczający wioskę częstokół – co prawda zbudowano go raczej dla ochrony przed zwierzętami, niż przed ludźmi. Simon odsunął kłodę rygla, wsunąwszy dłoń pomiędzy pale.

Starosta – krzywonogi chłopina o chytrym spojrzeniu – powitał ich na progu swego domu, który zresztą niczym się nie różnił od innych; ot, niska, kryta słomą chatynka z przybudówką na chlew. Gestem znawcy prze sunął palcem po ostrzu przyniesionego przez Simona kolejnego noża.

– Dobry nóż – przyznał z niechęcią w głosie. – My takich nie robimy...

Simon kiwnął głową. Widział już ich wyroby i to, jak powstawały; w zakolu rzeki stała samotna kuźnia, w której przetapiano wszystkie pokryte rdzą resztki niegdysiejszej wielkości. Tu, w górach, z dziedzictwem kultury rozprawiano się dość radykalnie.

– Wejdźcie pod dach, panie – poprosił nadęty starosta. – I wasz druh też niech wejdzie.

– Co ty będziesz robić, gdy syntezy przestanie pracować? – zapytał cichutko Gedeon.

– Zapytaj raczej, co wszyscy wtedy zrobimy...

– Potrzebny mi nowy lemiesz – ożywił się tymczasem starosta.

– Dobrze – zgodził się Simon. – Następnym razem.

– Ależ wchodźcie...

Simon wszedł do izby. Niskie, duszne pomieszczenie przesycone było zapachami kuchni, chlewu, i jeszcze jakąś kwaśną, przenikającą wszystko wonią, pochodzącą najprawdopodobniej z niedopieczonych ciast. Niewielkie okno chroniło przed deszczem i wiatrem szkło, ale to szkło było mętne i prawie nie przepuszczało światła. Na pociemniałym od wieku stole płonął olejny kaganek.

– Jadwiga! – krzyknął starosta, zwracając się do kogoś ukrytego w mroku.

Otworzyły się drzwi do przybudówki i ukazała się dziewczyna, która wniosła ze sobą całą gamę zapachów – nawozu, mokrego siana i wilgotnego owczego runa. W dłoniach trzymała dzbanek mleka. Rzucając na przybyszów krytyczne spojrzenia spod nisko nasuniętej chusty, podeszła do stołu drobnymi kroczkami, postawiła dzbanek i cofnęła się ku ścianie. Okutana w owczy kaftan i kilka sukien wyglądała na niekształtną lalkę.

– Siadajcie, drodzy goście – zaprosił starosta, siłąc się na uprzejmość. – Posilcie się...
Jadwiga!

Dziewczyna wniosła na ręczniku ciepły jeszcze bochen chleba i zaczęła go kroić wprost na stole. Ogromny i groźnie wyglądający nóż był najwyraźniej wyrobem miejscowym. „A gdzie podziali nasze?” – zastanowił się Simon. Niezbyt foremne kromki chleba barwą przypominały glinę. Siedzący obok Simona Gedeon mimo woli przełknął ślinę.

– Jedz! – ponaglił go szeptem Simon. – W przeciwnym razie ich obrazisz!

Odlamał kęs i zaczął go żuć. Kubków im nie podano i trzeba było pić mleko prosto z dzbana.

– Przyszlście popatrzeć na święto? – starosta najwyraźniej postanowił zabawić potężnych gości uprzejmą rozmową.

– Tak – przyznał się Simon. – Jeżeli można...

– Jakże nie? Ot, nowy lemiesz mi tylko potrzebny.

– Zrozumiałem – uciał Simon. – A co to za święto?

– Nawrót słońca – wyjaśnił starosta, zdziwiony nieco podobną niewiedzą. – Całą noc hulać będą.

– W domu?

– Jak to – w domu? Któż by się w domu bawił? Tu nawet nie ma się gdzie obrócić. Jak się ściemni, to pójdziemy. Może goście zechcieliby nieco odpocząć, dopóki tańce się nie zaczęły?
Jadwiga!

Jadwiga podeszła bliżej, rzuciwszy kolejne szybkie spojrzenie na przybyszów. W półmroku jej oczy wydawały się czarne i błyszczące. Stanąwszy obok Simona zaczęła rozplątywać jedną z niezliczonych chust, które kępowały jej pierś.

– Nie, nie – pospiesznie odezwał się Simon. – Dziękujemy, gospodarzu. Lepiej pójdziemy się

przejsć.

– No, jak chcecie – mruknął gospodarz niewyraźnie.

Jadwiga zachichotała i ponownie owineła się chustą, zręcznie zawiązując węzeł na piersi.

– Duszno tu u was jakoś – wymamrotał Gedeon.

Simon kopnął go pod stołem, ale gospodarz wyjaśnił ochotczo:

– Babka choruje. Miesiąc już będzie, jak leży. I dlatego smród w izbie...

Dopiero teraz Simon spostrzegł, że to, co wziął za niekształną kupę szmat rzuconych na ławę pod ścianą, jest w rzeczy samej starą kobietą, tak wycieńczoną, że nikła zupełnie pod stosem kiepsko wyprawionych skór.

– Co jej jest? – zapytał.

– A co ma być? Wiadomo, starość.

Simon wahał się przez chwilę, a potem zapytał niepewnym głosem:

– Popatrzę... może da się jej jakoś pomóc. Mamy dobre lekarstwa.

– Na starość nie ma lekarstwa – stwierdził filozoficznie starosta, ale zaraz potem dodał wielkodusznie: – Popatrzcie, jak chcecie.

– Poczekam na dworze – wtrącił się Gedeon.

Simon zmarszczył brwi. Do zabawy to jest pierwszy, a jak przychodzi do poważnej pracy...

– Nie wychodź tylko za wrota – zastrzegł. – Lepiej nie kusić licha...

– Dobrze.

W kącie, gdzie leżała chora, w ogóle nie było czym oddychać – w powietrzu wisiała ciężka woń niemytego i bezsilnego ciała, spod której przebijał nieznośny, przenikliwy smród odchodów i źle wyprawionych skór.

Simon włączył latarkę i wyciągnął z torby podręczną apteczkę – wszystko pod bacznyimi spojrzzeniami stojących pod przeciwległą ścianą gospodarza i jego córki.

Starucha leżała bez ruchu, ale nachyliwszy się nad nią Simon nie bez zdziwienia skonstatował, że chora zachowała przytomność – poruszyła się lekko, gdy na jej twarz padło światło latarki. Ale pomarszczone powieki nie drgnęły – stara kobieta była niewidoma.

– Dawno oślepla? – zapytał starostę.

– Dawno – stwierdził ten. – Ze dwadzieścia lat będzie... Piorun w nią trafił. Ogień z nieba.

Simon ostrożnie zaczął rozsuwać okrywające starą kobietę skóry – staruszka poczuwszy dotknięcie obcego, chudziutką, ptasią rączką spróbowała przytrzymać brzeg koca, ale Simon powiedział łagodnie:

– Nie bójcie się...

– Ja się was nie boję – odezwała się staruszka niespodziewanie wyraźnym głosem. – Czego?

– Co – czego? – zapytał lekko zbity z tropu Simon.

– Czego miałabym się bać? – stara mówiła cicho, jej głos drżał lekko, ale słowa wymawiała

wyraźnie, i mówiła władcym tonem, charakterystycznym dla ludzi mających za sobą bardzo długie życie. – To wy powinniście się bać...

Simon wyjął z apteczki przenośny analizator, którego do tej pory ani razu jeszcze nie uruchamiał i podniósłszy ku kościstej dłoni nacisnął guzik. Podczas gdy aparat pobierał próbkę, odparowywał i przeprowadzał analizę spektrograficzną maleńkiej kropli krwi, Simon milcząco obserwował twarz starej kobiety. Wreszcie zapytał:

– Czego mielibyśmy się bać?

Starucha ledwo dostrzegalnie poruszyła dłonią.

– Nachylcie się – powiedziała.

Simon się nachylił – dłoń staruszki musnęła jego twarz i opadła na koc.

– Bliżej...

Urywany oddech starej łaskotał mu szyję, gdy staruszka cichutko szeptała mu wprost do ucha:

– Oni nie widzą, a ja widzę... Jesteście obcy, przybyliście z nieba... w przeklętym miejscu się osiedliliście, i sami jesteście przekleci...

– Skądże znowu! – zachnął się. Brzęczenie analizatora ucichło.

– To prawda... oni was się boją, durnie... A mnie was żal, bo policzono już dni wasze...

Z analizatora wysunęła się kartka z wynikami badania. Simon odsunął się nieco i przejrzał ją w świetle latarki. Gospodarz miał rację – ze starości nikogo nie wyleczysz. Cały bukiet chorób... cukrzyca... arterioskleroza... nie do końca wyleczone zapalenie płuc... wrzody żołądka i dwunastnicy...

Przejrzawszy kod kuracji włożył do aparatu kilka ampulek i włączył iniektor. Igła wbiła się w na poły przezroczystą skórę.

– Niedługo wam ulży – oznajmił chorej. – Nie za bardzo, ale mimo wszystko poczujecie się lepiej...

– I co z tego? – odezwała się surowo. – Każdy musi umrzeć. To zresztą nie jest najgorsze. Znacznie... znacznie gorszy los czeka was... strasznie jest być niczym, prawda, cudzoziemcze?

Nie odpowiedział.

– Długo jeszcze? – zapytał Gedeon wtykając głowę w drzwi.

– Nie – odpowiedział – już wychodzę.

Na łące, pod ochroną dwóch skalistych ostróg obejmujących ją niby dwie ręce, rozpalano już ogniska – nawet tu dolatywały rozlegające się tam śmiechy i okrzyki.

– Wali od ciebie jak niedźwiedziowi spod ogona – zauważył Gedeon.

– Wywietrzy się.

– Też sobie znalazłeś zajęcie – stwierdził kąśliwie Gedeon. – Babrać się w tym brudzie...

– A co innego nam zostało? Możemy tylko uczyć i leczyć...

– Akurat ci podziękują. I coś ty taki szlachetny się zrobił... dziewczyny się wyrzekłeś...
A ona jakby nie od tego była.

– Daj spokój. Po prostu to taka gościnna tradycja.

– Wiem, czytałem. Ale jak jesteś taki mądry, to mi powiedz, czemu starosta ma kurtkę futrem na wierzch wywróconą?

– To przeciwko sile nieczystej. Na wszelki wypadek. Sam rozumiesz, zabobony i przesady...

– I kto ma być tą nieczystą siłą?

– My!

– No proszę... W dom prosi, częstuje... córunię podsuwa...

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. Lemiesz jest mu potrzebny. My zresztą, skoro na widok tej jego kufajki wywróconej futrem na wierzch nie wylecieliśmy natychmiast kominem, w porządku jesteśmy. To po prostu dodatkowe zabezpieczenie, przyjacielu. Nic więcej.

– A co ze staruchą?

Simon popatrzył w zadumie na rosnące w oczach ognisko. Płomienie były w górę jak języki słonecznej plazmy, jak gra światła na dalekich krystalicznych szczytach, jak zew, obietnica, tęsknota...

– Nic – odpowiedział. – Jej już w niczym nie można pomóc.

„A kto pomoże nam?” – pomyślał.

...Ognisko się już wypaliło i rozsypało w krąg płonących węgli, podniecone głosy ucichły, a pieśni zastąpiło rytmiczne klaskanie w dłonie. Podniósłszy głowę Simon zobaczył, że mieszkańcy wioski zebrali się wokół żaru i usiadłszy na ziemi utworzyli wokół niego ciasny krąg. Trzask uderzających o siebie dłoni wzrastał się miarowo i nagle przy wtórze głosów powtarzających jedną niezrozumiałą frazę z kręgu widzów wyskoczyła bosa kobieta – jakby nie mogła usiedzieć na miejscu. Uniósłszy rąbek sukni podeszła do skraju ognistego kręgu i cofnąwszy się usiadła na swoim miejscu. Nie zdążyła nawet usiąść, jak do ognia podbiegła druga – wypadłszy z mroku dotarła do samego skraju rozżarzonych węgli, przypominających rozsypane na czarnym aksamicie rubiny i uniosła bosą nogę nad żarem. Simon wzdrygnął się nagle – wydało mu się, że kobieta lada moment wstąpi na węgle, ale ta też się cofnęła i usiadła na swoim miejscu. Zaraz potem poderwała się następna... Gwar przybierał na sile, pulsował w rytm krwi huczącej w uszach, dym gryzł patrzących w oczy i Simon nawet nie zauważył, która z kobiet jako pierwsza przekroczyła ognistą granicę i wbiegła na środek kręgu. Za nią pojawiła się druga – i obie zaczęły krążyć pośród żaru, w samym sercu ogniska. Simon sprężył się mimo woli, oczekując, że lada moment poczuje smród spalonego mięsa, ale wokół pachniało jedynie płonącym drewnem, a spod stóp bosonogich tancerek strzelały w niebo snopy iskier, które chwilami zupełnie zasłaniały sylwetki dziewczyn. Zaraz potem ku tancerkom kopnął się któryś z mężczyzn – biała koszula w odbłaskach płomieni wyglądała na skapaną we krwi.

Simon spojrział na Gedeona – jego towarzysz siedział cicho, patrząc na to wszystko z lekko zmrużonymi oczami.

– Nieprawdopodobne – stwierdził Simon.

– Iluzja – odezwał się Gedeon głosem człowieka, który nie zamierza poddawać się złudzeniu.

– Daj spokój, to niemożliwe!

Od ognistego kręgu bił żar – chwilami obaj obserwatorzy musieli osłaniać dłońmi twarze.

– Mówię ci, że to iluzja.

Simon pokręcił głową.

– Autohipnoza może sprawić, że człowiek nie odczuwa bólu. Ale czemu żaden z nich się nie poparzył? Szok termiczny, czy co?

– Ależ nie – upierał się przy swoim Gedeon. – Iluzja. Nie ma żadnych węgla – ot, masz hipnozę i autohipnozę. Sami widzą to, czego nie ma i nas do tego zmuszają.

Trawa obok Simona pożółkła, a niektóre źdźbła zatliły się nieśmiało. Gedeon, nie odrywając wzroku od tańczących, zaczął ściągać buty.

– Gedeonie... – mruknął ostrzegawczo Simon.

– Zostaw! Teraz ja! Sam zobaczysz!

Przez jakiś czas deptał trawę, jakby przyzwyczajając stopy do ukłuć szorstkich źdźbeł, a potem stanowczym krokiem wstąpił na węgle.

– Gedeonie!

Rytmiczne klaskanie nagle się urwało, zostawiając po sobie ogłuszającą ciszę. I w tej ciszy rozległ się bolesny wrzask Gedeona.

Wypadłszy z ognistego kręgu zwałił się w trawę. Runął na bok i podkulił kolana pod siebie. Simon rzucił się do towarzysza.

– Gedeonie!

– O kurwa... Ale boli!

Z mroku gapiły się na nich oświetlone płomieniami obojętne twarze.

Sam Gedeon miał białą twarz i leżał z zamkniętymi oczami. Simon ujął go za nadgarstek i zmacał puls – tętno było szybkie i nierówne.

– Ból spowodował u ciebie szok – stwierdził zmęczonym głosem. – Poczekaj, przyniosę apteczkę. Została w domu tej staruchy...

– Nie! – krzyknął Gedeon ze strachem w głosie. – Nie zostawiaj mnie tu samego! Pójdę z tobą...

Simon westchnął.

– Dobrze. Oprzyj się o mnie.

Otoczeni całkowitą ciszą wyszli z kręgu ludzi – i od razu znaleźli się w ciemnościach. Za ich plecami znów się rozległ rytmiczny gwar.

Dom starosty był pogrążony w ciemnościach – chyba wszyscy zdrowi i mogący chodzić mieszkańcy wioski poszli świętować z innymi. Simon pomyślał o staruszce, która leży sama jedna po ciemku – zawsze, nawet podczas jasnego dnia...

Na wszelki wypadek zastukał we framugę drzwi i oznajmił:

– To my.

Latarkę miał u pasa – zapalił ją przekroczywszy próg; białe, zimne światło oświetliło rozeschnięte deski podłogi. Apteczka leżała na stole, tam gdzie ją zostawił – nikt nie ośmielił się dotknąć przedmiotu obcych.

Pomógł Gedeonowi usiąść na ławce i wyjął z apteczki środek antyseptyczny i bandaże. Gdy opatrywał oparzenia, Gedeon syczał z bólu, ale milczał – nie uskarżał się, bo sam był sobie winien.

– Co mu jest? – zapytała starucha. Jej głos zabrzmiał tak nieoczekiwanie, że Gedeon aż podskoczył. Simon zauważył natychmiast, że głos starej kobiety brzmiał mocniej i wyraźniej – najwyraźniej zaczęły działać zaordynowane jej lekarstwa i preparaty.

– Wlazł w ognisko i się oparzył – stwierdził krótko.

– Chciał się stać takim, jak my? – zapytała starucha ze zwodniczą przymilnością w głosie.

– Po prostu byłem ciekaw – odparł Gedeon z urazą. – A bo co?

– Podejź do mnie – poleciła mu staruszka, a potem, widząc, że przybysz się waha, zwróciła się do Simona:

– Powiedz mu, żeby podszedł.

– Idź – mruknął Simon. – Ona ci nic nie zrobi...

Gedeon, mocno kulejąc, podszedł do posłania niewidomej.

– Daj mi rękę, cudzoziemcze – poleciła stara kobieta.

Przez chwilę milczała, a potem zadała pytanie:

– Ty też się boisz?

– Dlaczego miałbym się bać? – zirytował się Gedeon.

– Sam wiesz...

Ponownie umilkła.

– Chcesz, to zamówię ból?

– Nie wierzę w zamówienia – zachnął się Gedeon.

– W ognisko też nie wierzyłeś.

– Dobrze – poddał się Gedeon. – Róbcie, co chcecie. Simon, włącz magnetofon.

– Już włączyłem – odparł Simon.

Nie wypuszczając palców Gedeona ze swojej szorstkiej dłoni, stara kobieta zaczęła śpiewnie:

Zestarzał się mój wilk

*Opuścił góry i zszedł na pole
Cały poraniony.
Nie mogąc ran znosić
Zaczął ludzi prosić:
Dajcie wszystko, czego chcę
Bydło wasze zostawię...*

Palce jej drugiej, leżącej na pościeli ręki poruszały się szybko, jakby przędła niewidzialną nić. Gedeon poruszył się niespokojnie i powiedział zdziwionym głosem:

- W rzeczy samej, ulżyło mi.
- Milcz! – skarciła go ostro starucha.

*Gospodarzu mój drogi
Wilk oblega cię srogi
Pędź wilka precz do lasu
Bo konika ci zabije
Gospodarzu mój drogi
Gdy wejdiesz na nieba progi
Rzuć wilkowi mięsa kęs...*

– Nic nie rozumiem... – powiedział Gedeon, ostrożnie uwalniając rękę.

– I nie trzeba, żebyś rozumiał. Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby podszedł do mnie – poleciła władczo stara kobieta.

Simon usłuchał.

– Zamówienie pomaga temu, który wierzy – ale czasami pomaga i temu, co nie wierzy. Lepiej nie wierz, cudzoziemcze, nie poddawaj się. I powiedz swoim, niech się stąd zabierają precz...

– Dlaczego? – zapyta! Simon łagodnie. – Czyżbyśmy tu komuś szkodzili?

– Nie o nas tu chodzi. To wam grozi niebezpieczeństwo. – Głos staruchy nabrał takiej mocy i głębi, że Simon wzdrygnął się mimo woli. – Strzeżcie się! Błąkacie się w ciemnościach! Na razie one was tylko otaczają i dlatego jeszcze żyjecie. Ale wystarczy, że wpuscicie mrok do swoich serc, i on was pochłonie!

– Może i macie rację – odparł Simon ze znużeniem w głosie. – Ale co z tego? Nie ma przed nami innej drogi. Chodźmy, Gedeonie.

Wstał i ruszył ku drzwiom. Otoczyła go noc, wilgotna, pachnąca zbożem i przegrzaną ziemią. Płonące gdzieś na stokach gór ogniska przypominały nocne niebo, ale samych

gwiazd nie było widać; szczyty gór tonęły we mgle.

– Jak myślisz... – zapytał idący obok niego lekkim krokiem Gedeon. – Gdybym wtedy uwierzył w to, co widzę... no, gdy wlałem w ognisko... nie poparzyłbym się?

– Może i nie... Ale ona ma rację, ta staruszka. Jeżeli wszystko zaczniemy przyjmować na wiarę... bez namysłu i ślepo... będziemy musieli przyjąć i stosować się do wszystkich bez wyjątku praw rządzących tym światem.

– A czy mamy jakieś inne wyjście? – zapytał Gedeon z goryczą w głosie.

* * *

Usłyszawszy kroki w drzwiach laboratorium, Simon wyłączył dyktafon. Wyglądało na to, że tak czy owak nie uda się dziś popracować.

– Włącz, Wiener... Jak leci?

– A jak może lecieć? – odezwał się stojący za jego plecami Wiener. – Co to? Fotografie? Na co ci one?

– Ot... zabawnie...

Popatrzawszy na połyskujące zdjęcia Wiener pokręcił głową.

– Popatrz tylko na nich... Żalotne...

Usiadł naprzeciwko Simona robiwszy minę urażonego dziecka. „Przecież tak nie można” – pomyślał Simon, ale tylko lekko pokiwał głową.

– O co chodzi?

– Ty wciąż jeszcze to wszystko czytasz?

– O czym ty mówisz? – zdziwił się Simon, ale natychmiast zrozumiał. – A... nie to, żebym czytał... ot, przeglądam sobie.

– Zamek naprawdę należał do Drakuli?

– Przecież ci powiedziano, że nie.

– To skąd te wszystkie przesady? – Wiener przez chwilę milczał niezdecydowany, a potem wypalił: – Posłuchaj... czy on istniał naprawdę?

– Kto? Hrabia Dracula? – Simon mimo wszystko nie wytrzymał i zamknął księgę. – A któż to miałby dziś sprawdzić? Wszystko było tak dawno... Najpewniej to zwykły wymysł.

– A ty zawsze umiesz odróżnić prawdę od wymysłu, Simonie? Gedeon opowiedział mi jakąś dziwną historię...

– A... – mruknął niechętnie Simon. – No tak, to prawda.

– Ma na stopach oparzenia drugiego stopnia. Ale mówi, że go nie bołą...

– Bo mu je zamówiono – wyjaśnił Simon.

– Ach tak? Zamówiono...

Przez chwilę obaj milczeli.

– Wiesz – odezwał się wreszcie Wiener – nie mogę przestać o tym myśleć. Możliwe, że to była mutacja recesyjna. Tutejsze góry izolują mieszkańców od reszty świata... Jak zresztą wszystkie inne góry...

– Niby co, wampiry miałyby być mutacją recesywną? – Simon westchnął. – A wiesz, to jest myśl... Czemu nie opowiesz o tym Komenskiemu?

„Może się wtedy odczepisz ode mnie...” – pomyślał. Nie lubił Wienera, ale wstydził się do tego przyznać nawet przed samym sobą.

– Już mu opowiedziałem – natychmiast odparł Wiener. – Wiesz, to ciekawa hipoteza... W izolowanej grupie mutacje pojawiają się stopniowo, i wypierają pierwotną populację. Wszyscy miejscowi... Simon, to nie są ludzie.

– Zewnętrznie są ludźmi – stwierdził stanowczo Simon. – I o ile mi wiadomo, żaden z nich nie jest wampirem.

– To mutacja skryta – rzekł Wiener z uporem w głosie. – Żeby się ujawniła, potrzebne są określone warunki. Gdyby byli ludźmi... nie mielibyśmy takich trudności, jakie mamy.

– Tak mówisz, jakby Lagrange miał inne wyniki od naszych. – Simon wzruszył ramionami. – Oni wylądowali w strefie stepów. I poszło im, mój miły, tak samo po grudzie, jak nam... choć nie ma tam żadnej izolacji. Step otwarty, licznie zasiedlony, małżeństwa egzogamiczne... na dodatek najazdy koczowników z jednej strony i bardzo wysoka śmiertelność w ich wyniku, a z drugiej strony wcale nieliczny dopływ świeżej krwi...

– No to mutacja spontaniczna – nie ustępował Wiener – cała ludność się zmieniła.

Simon mimo woli się wzdrygnął: dzięki kopule pola ochronnego do strefy mieszkalnej wiatr nie docierał, a mimo to nie wiedzieć czemu po zamku hulały przeciągi.

– Dlaczego nie weźmiesz próbki tkanek – zapytał – i nie dokonasz analizy?

– Akurat mnie dopuszczają do siebie z analizatorem – mruknął ponuro Wiener. – Do tego...

Umilkł. Simonowi zrobiło się go żal. „Co ja się go czepiam? – pomyślał. – Przecież on chce jak najlepiej...”

– Jak potrzebujesz próbki krwi – powiedział – to chodź ze mną... Wziąłem trochę analizatorem...

– Jak ci się to udało? – zdziwił się Wiener.

– A nijak – wziąłem i tyle. Trzeba było postawić diagnozę – tam we wsi leżała jedna chora, no to ja...

– I co, nie sprzeciwiła się?

– Nawet nie zobaczyła, co robię – oślepla dwadzieścia lat temu. Nie w tym rzecz, Wiener. Wiesz przecież, że gdyby tam były jakieś odchyłki od normy, włącznie z genetycznymi, analizator natychmiast by je zarejestrował. Ale nic nie było. Dokładniej mówiąc – nie było

niczego, co wychodziłoby mocno poza normę.

– Żadnej mutacji?

– Żadnej. Fizycznie wcale się nie zmienili.

– A... psychicznie?

– Takie stwierdzenie przekracza już możliwości analizatora.

– Jeżeli są tacy, jak przedtem – mruknął Wiener z zadumą w głosie – to może...

– Co – może?

– Zmienił się ktoś inny...

– Pionowa ewolucja? Daj spokój...

– A w czym ta myśl ci się nie podoba?

– W tym, że... Znaczy co? Spora część społeczeństwa zmutowała i przekształciła się w niewiadomo co, a resztę zostawiono swojemu losowi?

– Wiesz, na czym polega twój problem, Simonie? Wychodzisz z pięknego w gruncie rzeczy założenia, że rozum na wyższym poziomie rozwoju z natury jest dobry...

– A ty sądzisz, że jest inaczej?

– Ty, na przykład, uważasz się za dobrego człowieka... Ale chyba byś się nie posunął do podkarmiania tutejszych mrówek?

– Aaa... rozumiem. Ale w takim razie chyba widzielibyśmy ślady działalności tych... przedstawicieli wyższych form rozwoju?

– Jeżeli oni zachowali swoją dawną naturę, to tak. Oczywiście, że widzielibyśmy.

– Ale oni, według ciebie, jej nie zachowali?

– A co, uważasz, że to niemożliwe?

– I kim mieliby się stać? Rozumnymi splotami pól siłowych, tak? I jak zamierzasz nawiązać sensowny kontakt z polem siłowym, choćby i było rozumne? Ale skoro to twój pomysł, to proszę, możesz go sobie realizować...

– To co, mogę wziąć wydruki? – zapytał wcale nie zbity z tropu Wiener.

– Tak – odpowiedział Simon. – Oczywiście.

* * *

W aparatowni było cicho. Gedeon był już tam co prawda, ale siedział milcząc i w skupieniu manipulował ostrożnie pokrętłami aparatury śledzącej. Simon nadał sygnał wywołania i też zaczął czekać. Odchylił się na oparcie masywnego krzesła, stwierdzając w duchu, że solidny muzealny mebel z giętymi nogami i lwimi głowami, zwieńczającymi podłokietniki, w otoczeniu migoczących ekranów wyglądał cokolwiek nie na miejscu.

Najbliższy ekran mignął kilkakrotnie i pojawiła się na nim twarz Ulissesa.

- A, cześć – powiedział. – To ty masz dzisiaj dyżur?
- Tak. Zamieniłem się z Wienerem – on się zajmuje dziś swoimi próbkami. Co tam u was?
- Ulisses wzruszył ramionami.
- Pomalutku i do przodu – mruknął.
- A ta wasza dziewczyna? Uważasz, że coś z tego będzie?
- Na razie nie wiadomo. W sumie niegłupia osoba. Ale co ona może sama jedna...
- Za słabe impulsy?
- Jakie tam impulsy... Gdyby oni wszyscy... Gdyby ich nieco popchnąć...
- Zbyt wiele zajmie to czasu. A sam wiesz, że go nie mamy.
- Ale mimo wszystko spróbuję. A co z twoimi?
- Strasznie przesądni. Wszystkiego się boją.
- Was też?
- Nas jakoś tolerują. Mamy siłę.
- Wszędzie to samo. Ci przynajmniej się niczego nie boją. Ale co z tego?
- Dobra – powiedział Simon. – Nie łam się. Co przekazać Komenskiemu?
- Że wszystko idzie zgodnie z planem – odpowiedział Ulisses. – Choć prawda, co to za plan?

Ot, improwizacja, i tyle.

- Więc improwizuj – Simon wzruszył ramionami.
- Przecież wiesz, że akurat w tym nie jestem najlepszy.
- Nie tylko ty.
- Oj, boję się, że narobimy głupot...
- Daj spokój – odparł Simon. – Po prostu nie zdążymy.

Przerwał łączność i rozejrzał się dookoła. Nieznani mu przodkowie władców zamku łypali nań ponuro z wiszących na ścianach portretów – wszyscy mieli ciemne, mroczne i pokryte patyną wieków twarze.

Oliwia dopędziła go w korytarzu. Simon się odwrócił, choć rozpoznałby ją i bez tego. Nikt poza nią nie stąpił tak lekko i niczyje poza nią dotknięcie w ramię nie poruszało nim tak głęboko.

– Dobrze że wróciliście – powiedziała. – Niepokoiłam się. – Przesadzasz z tymi obawami – uśmiechnął się. – To przecież planowe wyjście.

– Gedeon mi powiedział, że chodzisz bez broni.

– Tylko dlatego, że nie chcę jej użyć przypadkowo i bez namysłu, rozumiesz?

– Nie chcesz skrzywdzić kogoś z nich? Ale czy z nimi można się dogadać? Przecież to zupełnie dzikusy!

– I tu właśnie się mylisz. To zwykli ludzie. Pełno było takich i wtedy, gdy nasi przodkowie wybierali się do gwiazd. Uprzedzenia, przesady...

– A Gedeon chodzi taki dumny...

– Z tego, że wziął udział w jednym z dawnych obrzędów? Następnym razem pójdę chyba bez niego.

– Zdenerwowałaś się? – zapytała go.

Pokręcił głową.

– Czy się zdenerwowałem? Nie, chyba nie... Rozczarowałem się, to lepsze słowo.

– A ja myślałam – stwierdziła cicho i z przygnębieniem w głosie – że wszystko będzie inaczej.

– Wszyscy tak myśleliśmy – odpowiedział – A teraz wszyscy przeżywamy to rozczarowanie. Każdy po swojemu...

– Kiedy postanowiliśmy wracać – jej westchnienie bardzo przypominało żalosne chlipnięcie – myśleliśmy... że nas powitają...

– Tłumy ludzi, fanfary... – on też westchnął z rezygnacją. – Morze kwiatów, wspaniałe miasta... ludzkość...

– Tak – potwierdziła. – Ludzkość...

– Przez ten czas powinni byli nas znacznie wyprzedzić. Macierzysta cywilizacja zawsze się rozwija szybciej niż izolowane kolonie.

– Ale tak czy inaczej, wcześniej czy później wrócilibyśmy do domu, prawda? I możliwe, że nie sami... ktoś jeszcze pewnie zechciałby polecieć z nami...

– Tak – odpowiedział Simon. – Oczywiście. A teraz... Z czym mamy wracać? Z czym polecimy z powrotem?

Westchnął. Bał się o nią, bał się od samego początku. Oliwia była taka bezbronna. Tak łatwo poddawała się sugestiom innych i tak łatwo ulegała wpływom... „My tak wszyscy – pomyślał. – Upieramy się przy swoim i odrzucamy rzeczy oczywiste”. Niekiedy mu się wydawało, że ten osąd nie rozciąga się na niego samego. A jeżeli się rozciąga – to co jest takiego, czego nie chce zobaczyć?

– Oliwio – odezwał się – wiesz równie dobrze jak ja, że my nie wrócimy...

Spojrzała na niego z niedowierzaniem w oczach, jakby nie zrozumiała tego, co powiedział. W półmroku korytarza jej oczy wyglądały na zupełnie przejrzyste.

– Nie... nie wrócimy?

– Nie. A raczej nie wrócimy, jeżeli nie spotkamy tu przedstawicieli wysoko rozwiniętej cywilizacji. Przecież na wysłanie naszego statku poszły wszystkie zasoby kolonii. Cała moc i energia.

Chwyliła go za rękę – w innej chwili byłby zadrżał od tego dotyku, teraz jednak dotknięcie szczupłych palców, które rozpaczliwie wczepiły się w jego dłoń, było mu prawie niemiłe.

– Ależ to samobójstwo!

– Tak uważasz? – zapytał łagodnie.

Nie odpowiedziała, tylko zagryzła wargę.

– A przecież – ostrożnie i delikatnie uwolnił dłoń – wszystko dopiero się zaczyna, nieprawdaż? Tak mało jeszcze wiemy o tym, co się tu dzieje...

– Tak – odpowiedziała. – Na pewno. Ale wiesz... nie wiadomo, właśnie to mnie przeraża.

– Mnie też... – odpowiedział. – Mnie też.

* * *

– I co? – zapytał Simon. – Przekonałeś się?

Wiener westchnął.

– Żadnych znaczących odchyłek od normy...

Simon ledwo powstrzymał cisnące mu się na usta: „a nie mówiłem?” Byłoby to małostkowe.

Przez chwilę obaj milczeli, aż wreszcie odezwał się Wiener:

– Może tak jest tylko tutaj...

– Zapytaj Lagrange’a.

– Oczywiście zapytam...

– Sęk w tym – stwierdził Simon – że ludzie wszędzie są jednakowi.

– O ile to są ludzie – odpowiedział Wiener.

– Daj spokój – zgasił go Simon. – Oczywiście, że to ludzie. I zachowują się jak ludzie – mają swoje obrzędy, rytuały... przesady. Wszystko jak u Fräsera. [Fraser, Levi-Strauss, i Levy-Brühl – znani dziewiętnastowieczni i dwudziestowieczni antropologowie i badacze kultury.] Co z tego, że nie piszą książek?

– Nie masz boga oprócz Levi-Straussa, a Levy-Brühl jest jego prorokiem – zapytał Wiener sarkastycznie. – Tak, mój Simonie?

– Niech ci będzie...

– Ale po tak długim czasie oni powinni... – Wiener nie lubił rezygnować z raz powziętej idei.

– Ruszyć w gwiazdy? Owszem, ruszyli. Kiedyś.

– A potem? – zapytał Wiener. – Co stało się potem?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Simon. – Ty też tego nie wiesz. Nikt nie wie. Tylko że jeżeli oni wyglądają jak ludzie i zachowują się jak ludzie, to są ludźmi i basta!

– Tak myślisz?

– A ty nie? No dobrze, niech będzie. Załóżmy, że masz rację. Gdzie chcesz poszukać tych innych?

– Nad tym właśnie wciąż się zastanawiam.

– A jednak – upierał się Simon – ludzie są wszędzie tacy sami, Wiener. Popatrz – Ulisses mówi, że oni są otwarci na nowe idee... więc skoro Lagrange coś tam osiągnął, to i my możemy...

– Tam nie ma takich mocno zakorzenionych i starych przesądów – Lagrange mówi, że oni są

raczej pragmatykami.

– Znaczy, i on ma problemy...

Wiener umilkł na pewien czas, i tylko nerwowo przesuwając palcami leżące na stole papiery.

– Wiesz – odezwał się wreszcie – wciąż tak sobie myślę... Może wybraliśmy złą strategię... i dlatego nie widzimy rzeczy oczywistych. Jeżeli przyjmiemy jednak, że tubylcom dostępne jest coś, o czym nie wiemy... że oni wiedzą o czymś takim...

– O czym ty mówisz?

– O zdolności wyczuwania pewnych rzeczy nieuchwytnych...

– Więc według ciebie ich przesady mają realne podstawy?

– A czemużby nie? Weź choćby tę historię z Gedeonem...

Simon westchnął.

– Wygląda na to – powiedział – że ludzkość wróciła do stanu pierwotnego. Możliwe, że szczyt cywilizacji, na który się wspięła, okazał się punktem bardzo niestabilnym; albo posuwasz się naprzód dokonawszy jakiegoś skoku jakościowego, albo staczasz się z powrotem w mrok. Oni stoczyli się w mrok.

– Tak, ale my...

– My byliśmy od ludzkości oddzieleni, może zaprzeczysz? To my byliśmy w izolacji, nie oni. My jesteśmy wyjątkiem, a oni regułą.

– To tylko hipoteza – sprzeciwił się Wiener.

– A co jeszcze możemy zrobić oprócz piętrzenia hipotez? Ale wiesz, jeżeli hipoteza jest banalna, to najczęściej okazuje się prawdziwa...

– Mógłbym ci odpowiedzieć zupełnie innym skrzydlatym wyrażeniem... – burknął Wiener. – A, witaj Oliwio.

Oliwia kiwnęła mu zdawkowo głową.

– Simon – odezwała się cicho – chciałabym cię zapytać...

Wiener patrzył na nich ze swojego kąta i pod jego wzrokiem Simonowi zrobiło się nieswojo.

– Tak? – odpowiedział.

– Przeglądałam tutejsze archiwa – Oliwia nieświadomie rwała złotą tkaninę – no wiesz, te które znaleźliśmy w piwnicy. Simonie, tam są takie straszne rzeczy... Nie rozumiem... Jeżeli to wymysły...

– O czym ty mówisz?

– Protokoły przesłuchań... tam napisano... nie rozumiem... Jamy z niegaszonym wapnem...obóz... Jakiś Vogel...

– Nie powinnaś się tym zajmować – odpowiedział Simon pospiesznie. – Porozmawiam z Komenskim.

– Ale to wymysły? – jej szare oczy z czarną obwódką wokół tęczy wpatrywały się

z nadzieją w Simona. – Chcę powiedzieć – może i było coś w tym rodzaju, jakiś samotny maniak... Ale nie na taką skalę!

– No, no – powiedział uspokajająco – Wiesz przecież, że ówcześni autorzy skłonni byli do przesady. Szkoda, że nie zachowały się żadne nośniki magnetyczne. Z pewnością były na nich odpowiednie wyjaśnienia. Ale okazały się tak zawodne i nietrwałe...

– Ale po co wymyślać coś takiego?

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami. – Może dla amatorów mocnych wrażeń?

Kiwnęła główką i ruszyła ku drzwiom, odwróciwszy się z pożegnaniem w mroku korytarza. Jej blada, delikatna twarz przypominała rzeczną lilię.

– Piękne stworzenie – wymamrotał Wiener.

– Nie lubisz jej, prawda? – zapytał Simon wprost.

Wiener podniósł oczy znad wydruku.

– Nie. Nie podoba mi się natarczywość, z jaką eksploatuje swoją kobiecość... To nieuczciwe, Simonie.

Simon westchnął.

– To podświadoma strategia. Ona jest mocno przestraszona i to wszystko. Szuka... wsparcia.

– A ty oczywiście z chęcią odegrasz rolę męznego, doświadczonego odkrywcy i eksploratora.

– Zrobię wszystko, czego zechce. O ile w czymkolwiek jej to pomoże.

– I pójdziesz wstawić się za nią do Komeńskiego, żeby ją zwolnić z prac w archiwum?

– Tak – odparł Simon. – Pójde.

– A na kogo on zwali tę robotę?

– Sam się za nią wezmę – stwierdził Simon. – A co mi tam...

– I też będziesz myśleć, że jamy z wapnem to wymysł?

Simon wzruszył ramionami.

– Nie wiem. A ty?

– To jest całkowicie w ich duchu – mruknął sucho Wiener. – Nie dziwiłbym się, gdyby rzecz nie ograniczała się tylko do tych jam.. Oni nie tylko do tego byli zdolni... Trafiliśmy po prostu nie na tych... i tyle.

– Wiener? – zapytał Simon ze znużeniem w głosie. – To gdzie są „ci” właściwi?

* * *

Komeńskiego znalazł w aparatuwni. Usadowiwszy się wygodnie w krześle szef słuchał muzyki, ale ujrawszy Simona wstrzymał odtwarzanie i spojrzał pytająco na wchodzącego.

– Co nowego? – zapytał bez szczególnego zainteresowania w głosie; gdyby Simon odkrył

coś naprawdę godnego zainteresowania, wszyscy by już o tym wiedzieli, a szef ekspedycji przede wszystkim.

– Nic – odpowiedział Simon. – Choć powiem raczej, na razie nic.

– Jeżeli chciałbyś o czymś porozmawiać...

– W zasadzie tak – westchnął Simon. – Ale to nie dotyczy mnie. Chodzi o Oliwię.

– Tak?

– Wiesz, że pracuje nad dokumentacją archiwalną... A ona zawsze bardzo się angażuje w pracę...

– Powiedz od razu, o co ci chodzi?

– No dobrze. Jak szczerze, to szczerze. Trzeba ją zwolnić z tego zajęcia. Wydaje mi się, że dziewczyna jest bliska załamania.

– Wszyscy jesteśmy bliscy załamania. Ona nie jest wyjątkiem.

– Rozmawiałem z nią. Ona jest przerażona.

– Daj spokój, ta dziewczyna jest silniejsza, niż sądzisz.

– Nie jestem pewien. Przez cały czas musi się grzebać w dokumentacji dotyczącej zjawisk społecznego szaleństwa – a kto coś takiego wytrzyma? W naszych archiwach nie było o tym wszystkim najmniejszej wzmianki. A teraz natknęła się na opisy jakichś zbiorowych egzekucji. Jest wewnętrznie rozdarta. Ja, co prawda, powiedziałem jej, że to wszystko może być wymysłem... literacką fikcją...

– A ty sam, co o tym myślisz? – zapytał Komenski, nie odrywając spojrzenia od błyszczącej powierzchni stołu.

Simon najwyraźniej się zmieszał.

– Sam wiesz, w kolonii były podręczniki historii, prawda że skrócone – wszystko, co się odnosiło do epok poprzedzających Dalekie Loty przedstawiono bardzo pobieżnie... Ale coś w tym rodzaju mogło się zdarzyć. Czasami mi się wydaje, że w jakimś momencie ludzie zaczęli się wstydić swojej przeszłości. Chcieli zacząć wszystko od początku – z czystą kartą.

– Przykładów wzlotów ludzkiego ducha w bibliotece kolonii było ile zechcesz, ale niewiele o jego upadkach – czy tak?

– Tak... Ale teraz mamy do czynienia nie ze specjalnie dobranymi materiałami. Posłuchaj Amos, nawet gdyby taka literatura była tylko czymś w rodzaju fantastyki, to i tak w pewnym stopniu nie miałyby to znaczenia – prawda czy wymysły, ale w obu przypadkach ukazują nam to Ziemiom w bardzo niekorzystnym świetle.

– Okrucieństwo? Rozkoszowanie się czyimś cierpieniem?

– Nie inaczej.

– Nasza kolonia – stwierdził z zadumą Komenski – niczego podobnego nie знаła.

– To jeszcze nie dowód. Ale teraz niepokoi mnie coś innego, niż te skłonności Ziemiom.

Niepokoi mnie nasza naiwność i brak przygotowania... Mieliśmy nadzieję na to, że zespolimy się z oświeconym, humanitarnym społeczeństwem, a zamiast tego przyjdzie nam się zmierzyć z okropnościami, których się absolutnie nie spodziewaliśmy.

– Zakładałem, że te archiwa wyjaśnią nam choć po części, co tu się stało.

– Może nigdy się tego nie dowiemy. Archiwa mogą się okazać bezużyteczne – przed kataklizmem, jakkolwiek by był, większość literatury rozpowszechniana była na nośnikach magnetycznych. A informacja bieżąca – taka jak czasopisma i biuletyny – tym bardziej. Wszystkie książki w tutejszych zbiorach datowane są na czasy poprzedzające epokę Lotów.

– No dobrze – Komenski podniósł głowę, obrzucił go szybkim spojrzeniem i ponownie włączył muzykę. – Pomyślę o tym, co powiedziałaś.

Idąc korytarzem Simon wciąż słyszał tę muzykę.

„Stara miała rację – pomyślał. – Ogarnia nas mrok i problem wcale nie polega na archiwach o wątpliwej wiarygodności – rzecz w tym, co dzieje się wokół i już dzieje się w nas samych.

Niepotrzebnie wybraliśmy na obóz ten zamek – jest za wielki. Zwiodła nas chyba duma – no jakże, jesteśmy przecież spadkobiercami ludzkości, nosicielami niezwywalnych wartości duchowych... A tak naprawdę gubimy się w tych korytarzach i pustych salach, gdzie na każdy twój krok odzywa się echo. Lagrange ma dobrze, u niego jest piętnastu ludzi, bo wtedy, zaraz po wylądowaniu, wydawało się, że na równinie będzie trudniej i potrzebna mu będzie liczniejsza grupa. A to miejsce wydało się nam prawie bezpieczne...”

Z salonu dolatywały miarowe szelesty i pobrzękiwanie – zwykłe dźwięki towarzyszące pracy. Zajrzał w na pół uchylone drzwi: odziana w roboczy kombinezon Natasza mozoliła się nad powymgowanymi z ram ciemnymi płótnami. Simon zobaczył, jak pod dotknięciem jej palców oczyszczony z kurzu i sadzy skrawek materiału zajaśniał jakby, ujawniając fragment nieba pokryty wiosennymi nabrzmiętymi deszczem obłokami, zawisającymi nad szczytem drzewa i wierzchołkiem majaczącego we mgle wzgórza.

– Co to będzie? – zapytał.

– Pejzaż – odpowiedziała nie podnosząc głowy znad płótna. – Pejzaż z ludźmi. Tak przynajmniej napisano na tabliczce. Wszystkie stały tam, w skarbcu, licem do ściany. Całe i nietknięte.

– To dobrze – stwierdził.

– Poczekaj jeszcze chwilę, to zobaczysz, co znaczy dobrze – powiedziała. – To klasyka. Szkoła włoska.

Oczyszczony fragment jaśniał niczym zaczarowany świat, do którego nie da się już wejść.

– Powieszę go w galerii – oznajmiła. – Tam jest dobre, górne światło.

– Komu? – pytanie wyrwało się Simonowi i zaskoczyło jego samego.

Nareszcie się odwróciła.

– Co, komu?

– Pytam, komu oprócz nas będzie to potrzebne. Kto się tym będzie zachwycał?

Spojrzała na niego, jakby nie pojmując treści jego pytania.

– Nie rozumiem – powiedziała po chwili.

– No dobra – mruknął. – Zapomnij, że pytałem.

„Bałwan! – klął samego siebie idąc korytarzem. – Tępy, nadęty i pewien swego bałwan. Zostaw ich w spokoju – niczemu nie są winni. Nikt nie jest niczemu winien”. Z dziedzińca dolatywały głośne głosy: wyjrzał przez okno, żeby zobaczyć, co się tam działo – starosta w towarzystwie Gedeona pchał przed sobą taczki obciążone jakimiś skarbami.

– Ki diabeł? – wymamrotał Simon i wychyliwszy się z okna krzyknął:

– Gedeonie!

Gedeon uniósł głowę. Z góry wydawał się zupełnie maleńkim.

– Poczekaj, zaraz tam zejść.

Zbiegł po krętych schodach – powietrze było wilgotne, spływająca z gór mgła skropliła się w deszcz i starosta kręcił głową patrząc na drobinki iskier rozbłyskujące na powierzchni kopuły ochronnej.

– Co się tu wyrabia? – zapytał Simon.

– Przyszedł po lemiesz – wyjaśnił Gedeon. – Zaprowadziłem go do składu, żeby sam sobie wybrał. Skąd miałem wiedzieć, czego mu trzeba?

– Mogłeś wezwać mnie.

– Bogato życie, panie – zauważył starosta.

Simon rzucił okiem na taczki.

– Wygląda na to, że nie ograniczyłeś się tylko do lemiesza.

– Babka wstała – stwierdził starosta jakby z naganą w głosie. – Myśleliśmy, że umrze lada moment, a ona wstała. Wam wszystko jedno, zrobiliście dobry uczynek i zabraliście tyłki precz, a my ją karmić będziemy musieli...

– No tak – mruknął Simon. – Moja wina. Dobra, wyprowadź go, Porozmawiamy potem.

– O czym? – zdziwił się Gedeon.

– Już ja ci powiem, o czym...

Gedeon w towarzystwie ciężko posapującego i pchającego przed sobą taczki starosty zbliżał się już do bramy, kiedy dogonił ich okrzyk:

– Ejże, poczekajcie!

Przez dziedziniec biegł ku nim Wiener, wdziwający kurtkę.

– No proszę, ale mi się udało! – stwierdził z entuzjazmem w głosie. – Dawno już chciałem pogadać z kimś tutejszym. Czy on może mi poświęcić pół godziny?

– Oselkę by jeszcze – starosta w lot zorientował się w sytuacji. – Zapomniałem o oselce...

– Jak odpowiesz na jego pytania, osobiście przyniosę ci osełkę – przygwoździł go Simon. – W ciągu kilku najbliższych dni. Przyjđę, obejrżę staruszkę i przyniosę osełkę, jasne?

– Jasne, panie – zgodził się starosta.

– No dobrze. Poczekaj tutaj.

Pociągnąwszy Wienera za rękaw, odprowadził go kilka kroków w bok. Starosta, nie ukrywając ciekawości, gapił się na hangary.

– O co chcesz go pytać, Wiener?

– Ot tak... o te stare przesady.

– Czego jak czego, ale przesądów akurat im nie brakuje. O co właściwie chcesz pytać, Wiener?

– O wampiry – przyznał niechętnie zagadnięty.

– Na miłość boską, coś ty się na nie uparł? Przecież to ludzkie wymysły i nic więcej.

– A te jamy z wapnem też miały być wymysłem? – Wiener popatrzył mu w oczy z jawnym wyzwaniem we wzroku. – Skąd wiesz, co ostatecznie okaże się prawdą?

– W rzeczy samej, nie wiem. Ale w jakim celu chcesz go wypytać?

– Ponieważ jestem pewien – stwierdził Wiener cicho – że jest tu ktoś jeszcze. Ktoś, kogo do tej pory nie widzieliśmy i kto się nam nie ujawnił. Nie może to być, żeby oni stoczyli się w mroki barbarzyństwa z własnej woli... ni z tego, ni z owego...

– A co? – zapytał zaciekawiony Gedeon, który akurat zdążył podejść. – Ktoś miałby im pomóc?

– Nie wiem. Ale to właśnie chciałbym wyjaśnić.

– Niczego nie wyjaśnisz. On ci powie wszystko, co zechcesz usłyszeć, Wiener. Dlatego, że naprawdę jest mu potrzebna osełka.

– Jakoś się w tym połapię – mruknął gniewnie Wiener.

– Ej, przyjacielu! – zawołał w stronę starosty. – Jakże cię zwa?

– Micheasz.

– No to chodźmy, Micheaszu.

– Tylko niedługo, panie – starosta pogodził się widać ze swoim losem. – Owca lada moment będzie mi się kocić. Mogę tu rzeczy zostawić?

– Zostaw – odparł mu Simon. – Nikt ich nie ruszy.

Odprowadzając wzrokiem oddalających się dwóch ludzi, westchnął ciężko.

– Daj spokój – stwierdził pojednawczo Gedeon. – Wiener ma swoją robotę, a ty masz swoją. I w ogóle, wiesz... Może on ma rację? Żeby wszystkim, co zostało z ludzkości, okazała się ta gromadka przesądnych tubylców...

„Jeden w drugiego durnie jesteśmy – pomyślał Simon. – Zarozumiali, pyszałkowaci durnie”.
A potem powiedział:

– Lepiej byś milczał. I tak już dostatecznie nawywijałeś...

– A co zrobiłem nie tak? – najeżył się Gedeon.

– Nie trzeba mu było pokazywać składu. Dla nich to ogromna pokusa. Sam wiesz, że żyją niemal na granicy nędzy.

– Chyba nie myślisz, że nas okradną? Od czego mamy tę ochronną kopułę?

– Nie w tym rzecz... Dobra, chodźmy...

Odwróciwszy się, ruszył do zamku. Gedeon ruszył za nim, ale po przejściu kilku kroków machnął ręką i skierował się do hangaru – każdy wieczór spędzał na niekończących się przeglądach swojej awionetki. „Możliwe, że tylko to go trzyma – pomyślał Simon. – W przeciwnym razie, czemu miałby się aż tak interesować archaiczną maszyną...”

Cały pozostały do kolacji czas spędził w aparatowni systematyzując zapiski, a potem przeszedł do pomieszczenia, które przysposobił na archiwum – było całkowicie zastawione regałami pełnymi książek i dlatego wydawało się przytulne. Stos książek, które przygotowała dla niego Oliwia, był na miejscu, ale kiedy przypomniał sobie o podniszczonym tomiku i spróbował go odnaleźć, szuflada w stole okazała się pusta.

Natasza siedziała w głębokim fotelu, studiując katalog miejscowej galerii obrazów. „Widocznie próbowała zidentyfikować znalezione płótna” – pomyślał Simon. Dziewczyna tak się zagłębiła w swoje zapiski, że podniosła głowę dopiero wtedy, gdy dotknął jej ramienia.

– Dawno tu jesteś? – zapytał.

– Od dwóch godzin – rzuciła mu pytające spojrzenie znad zetkniętych stronic. – A co się stało?

– Nie widziałaś mojej książki?

– Też, co leżała w szufladzie? Wiener ją zabrał.

– A to po co?

– Boże, skąd mam wiedzieć po co? Powiedział, że jest mu potrzebna do pracy.

– Do jakiej pracy, Nataszo?

– Nie powiedział. A tobie do czego była potrzebna?

– Do niczego. Poczytać chciałem przed snem i tyle.

– Może i on chciał sobie poczytać.

Wzruszyła ramionami i wróciła do przeglądania katalogu.

Zatrzymał się w drzwiach niepewnie zagryzając wargę. Odszukać Wienera? I kto z nich wyjdzie na większego idiotę? Przypomniał sobie pełne ironii spojrzenie Wienera, westchnął i ruszył do obszernej, mrocznej komnaty, która służyła im jako sypialnia.

* * *

Zatrzymawszy się na środku podwórka krzyknął:

– Gospodarzu! Osełkę przyniosłem!

Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem, ale nikt nie wyszedł.

– Co tu się dzieje? – zapytał, rzucając pytanie w pustkę.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że w całej wiosce panuje cisza – cisza kompletnego, absolutnego bezruchu i braku jakiegokolwiek ludzkiej działalności, w której słyhać tylko trzepotanie się ptaków w gniazdach i beczenie owiec w zagrodach. Na ulicy nie było żywego ducha.

Zza drzwi wysunął głowę Micheasz i gwałtownie zamachał ręką, zapraszając do wejścia.

– Nie można! – wychrypiał, nerwowo krzywiąc twarz. – Nie można!

– Czego nie można? – zdziwił się Simon.

– Nie można wychodzić na dwór. Niebezpiecznie!

Simon wszedł na ganek, opuścił torbę z ciężką osełką i zapytał:

– A co się stało?

– Jak to – co? – zdziwił się starosta, znacząco wskazując podbródkiem podwórko. – Nie widzisz?

Na środku podwórka białą rozłożony starannie obrus, a na nim, na rozrzuconym sianie, leżały praśne placki i ugotowane na twardo jaja.

– I co z tego? – zapytał.

– To z tego, że idzie Chromy Tydzień!

– On nic nie wie – rozległ się głos z mroku. – On jest obcy.

– Urszulo, powiedz mu!

Starucha siedziała na ławce – plecy miała zgarbione, a jej dłonie nerwowo błędziły po podółku, ale Simon byłby przysięgł, że ślepe oczy spojrzały prosto i bystro na niego.

– Dziś mamy pierwszy wiosenny nów księżycy – powiedziała swoim zwykłym, władcym głosem. – W ten dzień po uliczkach naszych wiosek hulają karę konie! Karę konie, których dosiadają jeźdźcy w czerni! Biada temu, kto się wtedy znajdzie na ulicy i biada tym, co rozpalą ogień – zostaną stratowani...

„Jasne – pomyślał Simon. – Kolejna legenda. Że też nie mają ich dość!”

– Skąd wiesz, że konie są karę, skoro nikt ich nie widział? – zapytał.

– Ty ich nie widzisz – odpowiedziała spokojnie stara kobieta. – Ale ja tak. Widzę czarnych jeźdźców. Ziemia drży od tętentu końskich kopyt. Oni nie lubią dymu – i dlatego nie wolno palić ognia.

– Rozumiem – powiedział.

– Nic nie rozumiesz. Po co przyszedłeś?

– Chciałem cię odwiedzić – stwierdził po prostu. – Chciałem sprawdzić, jak się czujesz.

Pokręciła głową.

– Mogę chodzić, mogę siedzieć... I co z tego? Co to zmieni? A ty, cudzoziemcze... Co tobą kieruje? Miłosierdzie? O nie, wy nie macie pojęcia, czym jest prawdziwe miłosierdzie. Przyszedłeś tu dlatego, że usiłujesz pokonać swój strach.

– Może i tak – przyznał niechętnie Simon.

– Wszystko to na nic. Nie powinniście tu bywać... Nigdzie nie powinniście bywać. I powiedz to temu twojemu – nie ma dla niego nadziei. W Chromy Tydzień wpuszczają nieboszczyków na tamten świat – i dlatego chodzą po ziemi. On ich szuka... a co, jak ich znajdzie?

– Kto? – zapytał ze zdziwieniem.

– Obcy, który nie jest ci przyjacielem. I ty też nie jesteś mu przyjacielem – wy się z nikim nie przyjaźnicie. On poszedł na siano z Jadwigą...

„Gedeon! – pomyślał Simon. – Tego tylko brakowało!”

– Ten, co przychodził wczoraj?

Stara kobieta pokręciła głową.

– Nie. Drugi. Chodzi, we wszystko nos wtyka i wszystkich wypytuje. Za Jadzię zapłacił Micheaszowi sztuką płótna, które nie moknie w wodzie. Po co to zrobił? Dziewka i tak by z nim poszła. Ona ma tylko głupoty w głowie.

Wyskoczył na ulicę, i trzasnąwszy drzwiami tak, że tynk się sypnął spod okapu ryknął:

– Wiener!!!

W górze na stryszku rozległy się szelesty i chichoty, a potem zobaczył wierzgającą w powietrzu w poszukiwaniu szczebla drabiny bosą, różową piętę – i niczym wypłoszony z kurnika lis na ziemię spuściła się i zaraz śmignęła gdzieś w bok Jadwiga.

Potem zjawił się Wiener, który pospiesznie zaciągał błyskawiczny zamek swojego kombinezonu.

– To nie twoja sprawa! – rzucił pospiesznie, zobaczywszy Simona.

Simon westchnął. Nie wiedzieć czemu poczuł nagle ogromne zmęczenie.

– Nie odpowiadam za ciebie – stwierdził – ani ty za mnie. Twoją rzeczą jest rozliczać się z Komenskim. Ale posłuchaj, Wiener – prowadzisz niebezpieczną grę. Mógłbym cię jeszcze zrozumieć, gdyby ta dziewczyna wzbudziła w tobie zainteresowanie. Ale ty przecież nimi gardzisz...

– Usiłuję ich zrozumieć – stwierdził Wiener.

– I coś ty takiego rozumiał?

Wiener prychnął gniewnie, obrócił się na pięcie i ruszył ku wrotom. Simon kręcąc głową patrzył za nim przez chwilę, a potem ponownie wszedł do chaty.

– I jakże on się nie boi! – westchnęła Jadwiga z zachwytem w głosie. – Przecież stratują go karę konie...

– Nikt go nie stratuje – zaprotestował znużony tym wszystkim Simon. – Bezpiecznie wróci

na zamek.

– Dobrze mówisz, cudzoziemcze – zakrakała ponuro Urszula. – On się nie musi niczego bać, bo nie ma się już czego bać.

– Nie rozumiem cię – Simon wyciągnął z torby analizator i nadział go nowymi ampułkami leków. – Może skoro już się za ciebie wzięłem, doprowadźmy lepiej sprawę do końca

– A co, liczysz na to, że ponownie stanę się młoda i piękna – zapytała zjadliwie starucha.

– Nie – odpowiedział. – Co niemożliwe, to niemożliwe.

Szedł po wydeptanej, zakurzonej uliczce, kiedy zza sąsiedniego plecionego płotu ktoś go zawołał. Zajrzawszy na podwórze ujrzał Gedeona – towarzysz siedział na ławeczce otoczony kręgiem posapujących z entuzjazmu miejscowych chłopaczków i coś tam majstrował.

– Czemu Wiener poszedł precz z taką skwaszoną gębą? – zapytał ujrawszy Simona.

– On ma zawsze skwaszoną gębę – mruknął Simon z roztargnieniem i natychmiast zorientował się, że popełnił nietakt. – Posłuchaj, co ty tu kombinujesz?

– Robię wiatraczek – odezwał się podniecony Gedeon. – No wiesz, taki mały... Wyobraź sobie, że oni nie potrafią...

– Skoro nie potrafią, to znaczy, że nie potrzebują wiatraczków. – Simon z zadumą popatrzył na prostą zabawkę, którą zrobił Gedeon. – I w ogóle przestań.

– Dlaczego?

– Bo dzisiaj nie wolno pracować poza domem. Przestań, zanim cię nie wygnają, a chłopcy dostaną po karkach.

– Przesąd? – zapytał ostrożnie Gedeon.

– Jeszcze jaki! Oddaj im zabawkę i chodźmy stąd.

Gedeon niechętnie oddał wiatraczek chłopakom – po krótkiej przepychance zabawkę zatrzymał sobie najstarszy z nich – i wstał.

Simon przechylił się ponad płotem i groźnie krzyknął na podnieconych smarkaczy:

– Ej, wy! Jazda mi do domów, bo rodzice natrą wam uszu!

– Dobra – odpowiedział ponuro przywódca, ocierając nos rękawem. – A jak postawić toto na dachu, też będzie się kręciło?

– Będzie, nawet przy słabym wietrze – odparł Gedeon. – A jakby go zrobić nieco inaczej, pokazywałby skąd wieje wiatr.

– Akurat! – chłopak krytycznie pokręcił głową. – Skąd wieje wiatr to sam wiem.

Ale mimo wszystko powiódł pieszczotliwie palcem po wygiętych łopatkach wiatraczka i schował zabawkę za pazuchę.

– Zdenko! – rozległ się przenikliwy okrzyk z ganku. – Zdenko! Natychmiast do domu, zaraz! jedna!

– Dobra – malec siąknął nosem. – To ja pójdę... Mama woła.

I patrząc z zachwytem na Gedeona dodał:

– A zrobisz coś jeszcze?

– Zrobi – potwierdził Simon. – Tylko nie dziś. Idziemy, Gedeonie.

Gedeon powlókł się za nim równie niechętnie, jak malec ruszył w stronę domu.

* * *

Musiał wygonić z archiwum słabo protestującą Oliwię, ale gdy tylko zabrał się do pracy, zahuczał selektor, z którego rozległ się głos Komeńskiego:

– Wróciłeś? To dobrze. Czekamy w Sali Dębowej. Chodź tu jak najszybciej. Wiener czeka.

– On też wrócił? – zapytał zimno Simon.

– Owszem – odparł Komenski. – Już dawno. A bo co?

– Nie, nic – mruknął lekko zbity z tropu Simon.

Co w końcu mógłby rzec Komenskiemu i co tamten mógłby mu odpowiedzieć? Że każdy z nich może robić, co zechce – dopóki nie przeszkadza innym? Albo że oni wszyscy usiłują – każdy na swój sposób – znaleźć wyjście z tego ślepego zaułka? I dlaczego, jeżeli wolno zapytać, Wiener nie miałby zachodzić do wioski? Przecież nie zaciągnął tej Jadwigi na siano siłą... Na głos powiedział więc tylko:

– Czeka? Z czym?

– Chce nam coś oznajmić.

– Ale dlaczego w Sali Dębowej? Czemu nie w aparatowni? Co, niepotrzebna mu do tego aparatura?

– Powiedział, że nie. No, dość, Simonie, nie będziesz przecież zatrzymywać Wienera i innych dłużej, niż to konieczne.

W Sali Dębowej było prawie ciemno – za oknami stygło wieczorne niebo, przechodząc poprzez ciemną zieleń w głęboki granat. Na jego tle szczyty odległych gór wydawały się prawie czarne. Rozgorzał już kominek, na ciepłej powierzchni drewna tańczyły odblaski płomieni, ale wszędzie wokół czaił się mrok – w kątach, na galerjyce dla chóru i w cieniach belek pułapu.

Oświetlony z dwóch stron płomieniami świec Wiener wyglądał bardzo malowniczo. Nie miał przy sobie przenośnego projektora, którym zwykle posługiwano się podczas składania ustnych oświadczeń, ale na stole, obok jego łokcia, leżało coś ciemnego, ciężkiego, od czego bił ledwo uchwytny zapach pleśni. Simon wzdrygnął się lekko, zobaczywszy leżącą niczym ogromny nietoperz obok Wienera czytaną niedawno księgę „Nosferatu, postrach nocy”.

Wszyscy już siedzieli i z ciekawością spoglądali na szykującego się do wygłoszenia swoich rewelacji Wienera. Simon też usiadł, a Komenski kiwnął dobrodusznie głową:

– Słuchamy.

Wiener nabrał tchu i zaczął z emfazą:

– Chciałbym oświadczyć, że do problemu, który nas wszystkich tak porusza, podszedłem z nieco innej strony. Wiecie, nowe spojrzenie...

– Wiemy, wiemy... – przerwał mu Komenski. – To bardzo ciekawe.

– Więc tak... Sami wiecie, jak bardzo to, co tu zobaczyliśmy, nie zgadzało się z naszymi oczekiwaniami... Co więcej – zetknąwszy się z aktualną sytuacją na Ziemi doznaliśmy swoistego szoku kulturowego, w wyniku czego pytanie, co powinniśmy z tym począć przesłoniło inne, nie mniej ważne – a mianowicie, co tu właściwie się stało?

– Regres – stwierdziła smutno Natasza. – Upadek.

– Nie inaczej. Ale z jakiego powodu? Wszyscy dobrze wiemy, czym była ludzkość w epoce gwiazdnych lotów – wysoko rozwiniętym społeczeństwem, posiadającym wielki potencjał intelektualny i techniczny.

– Społeczeństwo – zauważył ze swego miejsca Gedeon – jakkolwiek wysoce rozwinięte by było, nigdy nie jest jednorodnym konglomeratem. Z pewnością i wtedy istniały zapomniane przez Boga zafajdane dziury i zakątki.

– Nie w tym rzecz, że były – odpowiedział Wiener. – Sęk w tym, że tylko one zostały. A gdzie przepadła cała reszta?

Gedeon chrząknął niewyraźnie i umilkł.

– I oto, jak to się mówi, jest główne pytanie – ciągnął Wiener. – Osobiście jestem przekonany, że rozwiązania zagadki powinniśmy szukać w tym, co do tej pory odrzucaliśmy jako bezużyteczne – krótko mówiąc w legendach i podaniach. Wszyscy wiemy, że właśnie legendy tworzą osnowę miejscowej kultury – a przecież nie powstały z niczego...

– Niech ci będzie – wtrącił się Simon. – Ale raczysz zapominać, że te legendy powstały jeszcze w epoce poprzedzającej gwiazdne wyprawy. I nawet za bardzo się nie zmieniły.

– To właśnie – stwierdził Wiener z naciskiem – wydało mi się szczególnie ważne. Te legendy są zbyt trwale, zbyt głęboko wryły się miejscowym w pamięć, żeby można je uznać wyłącznie za wymysły. Wystarczy tylko założyć, że mają realne podstawy, a wszystko zaczyna się układać w logiczną całość. Rozumiem, że w pierwszej chwili może się to komuś wydać bredniami...

– No, no... – mruknął zachęcająco Gedeon. – Wał, nie krępuj się.

– ...ale chciałbym zwrócić waszą uwagę na to, że według legend ludzkość zawsze była niejednorodna – wśród zwykłej populacji od czasu do czasu pojawiały się inne istoty. Nieśmiertelne, nie do pokonania...

– Boże wielki! – wyrwało się Simonowi. – Ty mówisz o...

– Poczekaj, Simon – przerwał mu Komenski. – Mów dalej, Wiener. Twoje wywody brzmią bardzo interesująco.

– Dziękuję. Więc tak... istoty posiadające wiedzę o rzeczach i zjawiskach wyższego rzędu, nie poddające się niskim żądzom... w takim stopniu władające siłami przyrody, że pozostała część ludzkości uznawała je za istoty magiczne, a co za tym idzie były znienawidzone... i bano się ich. Ten strach przetransformował się w legendy, których echa dotarły i do nas.

Z lubością poklepał otwarty tomik „Nosferatu”.

– Dzięki uprzejmości Simona wszedłem w posiadanie próbek krwi przedstawicielki ludności miejscowej. W porównaniu z danymi archiwalnymi żadnych odchyłek od normy nie stwierdzono, z czego wnoszę, że ludność miejscowa się nie zmieniła. Wciąż jednak uważam, że nastąpiła jedna z tych spontanicznych mutacji, które obserwowano periodycznie podczas całej historii ludzkości, ale ostatnio skok jakościowy przeszedł w skok ilościowy – teraz podobne istoty stanowią sporą część ludności Ziemi. Inna rzecz, że akurat nie z nimi mamy do czynienia.

– A czemu niby ich nie widzimy? – zapytała zaciekawiona Oliwia, która chyba gotowa była ulec głębokiemu przekonaniu dźwięczącemu w głosie Wienera.

– O ile wierzyć legendom, oni potrafią pozostawać niewidzialnymi, jeżeli tylko tego zapragną. Przypominam wam – teraz, zgodnie z miejscowymi podaniami, zaczął się Chromy Tydzień. Właśnie w tym czasie istoty nadprzyrodzone przejawiają wzmożoną aktywność – miejscowi boją się wchodzić z nimi w jakiegokolwiek kontakty. A to dlatego, że tamci są niebezpieczni nawet wtedy, gdy pozostają niewidzialni – śmiertelnie niebezpieczni...

– Poczekaj, Wiener – ponownie wtrącił Gedeon. – Nawet jeżeli założymy, że masz rację... chyba nie proponujesz nam, żebyśmy nawiązali z nimi kontakt? O ile pamiętam, podania przypisują im niezwykłą złośliwość i skłonność do podstępów... a skoro tak, to co w końcu zyskamy?

– No, przynajmniej dowiemy się, na czym stoimy – odpowiedział Wiener. – A co się tyczy złośliwości... Ludzie są skłonni oczerniać to, czego nie pojmują. W rzeczy samej działania tych przedstawicieli nowego rodzaju mogą być bardzo logiczne i zrozumiałe.

– I to, że oni zgodnie z tymiż legendami żywią się ludzką krwią? – zapytał Simon.

– A racja, Wiener – ożywiła się Natasza. – Właśnie to im się przypisuje. Zwykle świństwo...

– „Trzeba wam wiedzieć, że krew to płyn szczególny...” – zacytował Gedeon.

– A czymże jest krew? – odparował spokojnie Wiener. – W końcu to tylko płyn biologiczny. Być może specyfika przemiany materii przeszkadza im w zdobywaniu substancji organicznych zwykłą drogą. W końcu miejscowi zabijają zwierzęta dla mięsa – a nie będziesz przecież zarzucał im przesadnego okrucieństwa. To absurd.

– Ale ty nie rąbiesz łba kogutowi, żeby sobie przygotować obiad? – zapytał Gedeon. – Na pewnym etapie rozwoju nawet takie okrucieństwo uważa się za nie do przyjęcia.

– Owszem, ale może krew jest tylko pewnym symbolem, artystyczną interpretacją. Być może oni czerpią czystą, przetransformowaną energię – powiedzmy ATP, kwas

adenozynotrójfosforowy. Trzeba to jeszcze wyjaśnić. Tak czy inaczej, tutejsza ludność to tylko substrat, na którym żeruje coś zupełnie innego.

– Proszę! – odezwała się Oliwia. – Ja bardzo proszę... Nie mogę tego słuchać! Jeżeli to prawda...

Simon zobaczył, że dziewczyna drży.

– Jeżeli to prawda, to pojawia się przed nami choć nikła nadzieja – odpowiedział Wiener.

– Taka nadzieja mi niepotrzebna... nie chcę takiej nadziei...

– No, na dziś wystarczy – wtrącił się Komenski. – Nataszo, wyprowadź ją...

Natasza wstała od stołu i ujęła Oliwię za ramiona:

– Chodźmy...

Wyszły bez słowa. Wiener popatrzył znacząco na Simona, ten jednak tylko wzruszył ramionami odprowadzając wzrokiem dwie oddalające się kobiety. Komenski westchnął:

– Wiener, wszystko co mówisz, jest bardzo interesujące. Ale na razie absolutnie nie da się tego sprawdzić. Na czym opierasz swoje wywody? Na tej fikcji?

– To nie fikcja – upierał się Wiener. – Daj mi kilka dni, Komenski. Udowodnię, że to nie fikcja.

Komenski wzruszył ramionami.

– A kto ci przeszkadza? Jeżeli ktoś ma niesprzeczną wewnętrzną hipotezę, to powinien ją sprawdzić.

– Zanim ją się wyrzuci na śmietnik – mruknął cicho Gedeon.

– Dobrze – Wiener uniósł dumnie głowę. – Zobaczymy. Wezmę tę książkę, Simonie.

– A bierz ją sobie – zgodził się Simon. – Na miłość boską... Przecież w archiwach znajdzie się jeszcze pewnie tuzin podobnych.

Wiener, nie zniżając się do sprzeciwu, odszedł w milczeniu z książką pod pachą.

– A wiesz – mruknął Gedeon tak samo cicho jak przedtem – w tym coś jest...

– Guzik prawda – sprzeciwił się ostro Simon. – To wszystko jedna wielka brednia...

– A dlaczego nie chcesz dopuścić do siebie myśli, że...

– Gdyby coś takiego było choć zbliżone do prawdy, to te przesady byłyby rozpowszechnione. A one znajdują wiarę tylko tu, w tych górach. A i to, być może dlatego, że kiedyś karmiono tymi bajkami turystów. Jeżeli wierzyć Lagrange'owi, na równinach kwitną zupełnie inne mity i przesady. A tu... To po prostu już takie miejsce... Pieśni zachodnich Słowian i tak dalej...

– *Spójrz na jego białą szyję, widzisz na niej krwawą ranę? Uwierz mi, to ząb wampira...* – odezwał się Gedeon z teatralną zgrozą w głosie. A potem dodał pojednawczo: – A mimo wszystko, czemu nie porozmawiać o tym z Lagrange'em? Może po prostu niezbyt dokładnie go wypytaliśmy? Dlatego, że nie wiedzieliśmy, o co pytać?

– Gedeonie, ty naprawdę wierzysz w te bzdury? Wiener słomki się chwytają... A i ta słomka jest iluzoryczna.

– Toteż ja bym w to nie uwierzył – Gedeon zerknął na niego nieco zawstydzony. – Ale... – jego głos zniżył się do szeptu. – Mam takie wrażenie, jakby nas ktoś obserwował.

– Wszyscy jesteśmy spięci i wyczerpani. To zwykła paranoja.

– Było takie stare powiedzenie – sprzeciwił się Gedeon. – „Jeżeli jesteś paranoikiem, to jeszcze nie oznacza, że nikt cię nie śledzi”. No, ale niech on się trochę rozerwie. Będzie miał jakiś cel, choćby i błędny. Wiesz, jak to jest...

– Maniakalna idea, to jeszcze nie cel...

„Każdy z nas czepia się jakiejś słomki” – pomyślał.

– On mówi, że to tylko kilka dni – uspokoił go Gedeon.

– Znaczący co, mamy może przed sobą wieczność? – uśmiechnął się kwaśno Simon.

„Mrok – pomyślał. – Ten sam mrok, który patrzył na nas, gdy byliśmy na orbicie – czarna, leżąca za terminatorem powierzchnia planety, na której nie płonął ani jeden jasny punkt tam, gdzie powinno rozpościerać się morze światła – fajerwerki wielkich miast, różnobarwne ogniki pojazdów, lśniące gaśnice przemierzających ocean statków... Zgadywaliśmy, co tam się mogło stać, co pogasiło wszystkie te światła, a potem sami pograżyliśmy się w tym mroku – przed którym nie ma ucieczki... teraz z orbity można chyba zobaczyć ich bazę – jeden jedyny kruchy kokon światła, drżący pod naporem pierwotnych ciemności, ale to światło przygasa, czasu jest coraz mniej... i wkrótce zgaśnie ostatecznie”.

* * *

– Jak się czujecie? – zapytał Simon.

Stara Urszula wzruszyła ramionami.

– A jak ja się mogę czuć? W moim wieku człowiek prawie w ogóle się nie czuje...

Siedziała na ławeczce i pomarszczonymi dłońmi pieczołowicie nawijała przedzę na wrzeciono. Jej ruchy były mechaniczne z nawyku, a Simon poczuł się nieswojo – niewidzące spojrzenie staruchy skierowane było na niego i w głąb – w milczącą, bezimienną dal.

– Przyszedłeś mnie ciągnąć za język? – było to raczej stwierdzenie, niż zapytanie.

– Ogólnie rzecz biorąc tak – odpowiedział.

– No to ciągnij. Ten, co przychodził wczoraj, też mnie wypytywał. Ale on usłyszał jedną odpowiedź, a ty usłyszysz drugą.

– On – zaczął Simon – ten, co przychodził wczoraj, natknął się na starą legendę. O wampirach. Według mnie ona żyje wśród was od bardzo dawna...

– A tyś w nią nie uwierzył.

– Nie lubię wierzyć na słowo.

– Niekiedy prościej jest uwierzyć na słowo, niż sprawdzać samemu – stwierdziła stara kobieta.

– Ale mimo wszystko – ciągnął zniecierpliwiony Simon – chcę to usłyszeć od was. Siła nieczysta to wampiry, upiory, zmory i strzygonie... Mieliście z nimi sprawę?

– Może tak, może nie... – odpowiedziała starucha. – Któż to wie? Pamiętam to, co było za moich czasów i może jeszcze to, co będzie po mnie. Ale on ma rację, ten twój cudzoziemiec. Wampiry istnieją naprawdę.

– I kimże są?

– Ludźmi. Ludźmi, którzy wpuścili w siebie mrok.

– Piją krew?

– Niekoniecznie. Żywią się ludzkimi uczuciami.

– Te wampiry?

– My ich nazywamy – andry. Czymże jest nazwa?

– Ale mimo wszystko są ludźmi? – pytał niezmożony Simon.

– Kiedyś byli. Bardzo dawno temu. Są nieśmiertelni – i może sami już nie pamiętają, kim byli.

– I nikt ich, rozumie się, nie widzi... – ciągnął z niedowierzaniem.

– Ja ich widzę cały czas. Prawie zawsze tu są.

– Na czarnych koniach?

Stara kobieta pokręciła głową.

– Och, nie. Ci na koniach to po prostu demony przeszłości. Nasze demony. Niegdysiejsze strachy i nieszczęścia. Są jeszcze zdolne odczuwać wrogość, czy ból. I dlatego przed nimi można się bronić.

– Znaczą ludzkość zawsze otaczały strachy i mrok? – zapytał.

– Och, tak! – stwierdziła Urszula. – Ale człowiek dlatego pozostaje człowiekiem, cudzoziemcze, że może się im przeciwstawić. Jest słaby i śmiertelny – i w tym jego siła. Bo nie ma niczego do stracenia. Jesteś śmiertelny, cudzoziemcze?

– Z pewnością tak.

– Więc czego się boisz?

– Mroku – odpowiedział cicho.

Wstała. Wrzeczono spadło z jej podołka i potoczyło się po podłodze.

– Bój się więc! – powiedziała. – Trzymaj się swojego strachu i nie przestawaj się bać, bo w nim jest twój ratunek!

– Nie rozumiem – stwierdził. – Ale mimo wszystko – dziękuję.

– Nie chodź dziś po ulicy, cudzoziemcze... mój synu. Dziś galopują najstraszniejsze konie,

chrome... te, co odbiły od reszty. I powiedz swojemu przyjacielowi, żeby zlął z dachu. Siedzi tam od rana. Powiedz mu, że patrzy nie tymi oczami, co trzeba.

Simon wyszedł na podwórko, płosząc jakąś kure. Z daszku przybudówki sypnęły się jakieś słomiane paprochy, a potem zwiesiła się w dół głowa Gedeona. Na przewieszonym przez kark rzemieniu dyndał mu noktowizor.

– Cześć! – wypalił radośnie.

– Gedeonie! – rzekł z pasją Simon. – Jesteś bałwan! Powiedz mi, na miłość boską, co ty tam wyprawiasz?

– Prowadzę obserwacje – oznajmił Gedeon. – Od samego świtu. Ale... – dodał po namyśle – na dziś chyba wystarczy.

Zręcznie zeskoczył z daszku.

– Co znowu za obserwacje? – zdziwił się Simon. – Co chcesz obserwować?

– Pomyślałem sobie – odpowiedział Gedeon, poklepując dłonią noktowizor – że skoro tych koni nie da się zobaczyć gołym okiem, to może noktowizor... No i...

– Nieźle wam wszystkim ten Wiener w głowach namieszał – mruknął Simon. – Nie ma tu żadnych koni. Ani chromych, ani zdrowych. Ani czarnych, ani podczerwonych. I jeźdźców też nie ma. To tylko przesąd, Gedeonie. Nic więcej. Są po swojemu realni – dla tych ludzi, którzy w nich wierzą. Boją się zapalać ogień poza domem, nosić wodę... Wiesz, jak to się mówi – jeżeli przyjmujesz sytuację za realną, staje się realna ze wszystkimi tego konsekwencjami.

– Może nie dysponujemy dostatecznie czułymi przyrządami. Co powiedziałaś? Nie wolno palić ognisk?

– Nie wolno. Oni nie znoszą dymu. Nie mam pojęcia, dlaczego.

– Nie cierpią dymu... – stwierdził Gedeon z zadumą w głosie.

– Owszem. Coś ty znowu wymyślił? – Simon miał ochotę ugryźć się w język.

– Nic.

– Źle ci z oczu patrzy...

– Nie – zaprzeczył Gedeon. – Nic takiego. Gdzie teraz idziesz – do bazy?

– Tak – westchnął Simon. – Wygląda na to, że tu nie mam już nic do roboty. W każdym razie dzisiaj. Idziesz ze mną?

Gedeon ponownie z lubością pogłaskał lornetkę.

– Jeszcze trochę sobie tu posiedzę i pooglądam...

– Strata czasu.

– Ale coś trzeba w końcu robić, prawda?

Chwycił za okap, podciągnął się i ponownie ułożył na dachu.

– Widzę cię – stwierdził, patrząc na Simona przez lornetkę.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął chłodno Simon.

– Okrażyli cię czarni jeźdźcy. Na chromych koniach. Strzeż się, Simonie, zważono już twój los i odkryto, że jest bardzo lekki.

– Idź ty do diabła – warknął z pasją Simon. Otworzył furtkę jednym kopnięciem, wyszedł, wetknąwszy ręce w kieszenie ruszył drogą ku zamkowi.

* * *

– Gedeon się z tobą nie łączył?

– Nie – stwierdził Ulisses zmęczonym głosem. – A powinien był?

„U nich też sprawy nie idą za dobrze” – pomyślał Simon.

– Tak. Prawdę mówiąc, chcieliśmy się was poradzić. Wiener wpadł na nowy pomysł. Chodzi mu o wampiry. Uważa, że one wszędzie się tu kręcą, ale my ich nie widzimy. Nie słyszałeś tam u was czegoś podobnego?

– Jakie znów wampiry? – westchnął Ulisses. – I bez nich mamy dość problemów.

– Miejscowi?

– Owszem... Usiłujemy ich stymulować... Coś mi się to nie podoba, Simonie.

– A co konkretnie?

– Gdybym to ja wiedział...

– Co, kiepsko się uczą?

– Uczą się doskonale... nie w tym rzecz...

– Żadnych wiadomości od Chlebnikowa?

– Żadnych. Daj spokój, minęło już tyle czasu...

– Posłuchaj, może my też powinniśmy wysłać grupą poszukiwawczą?

– Nie – stwierdził stanowczo Ulisses. – Komenski rozmawiał z Lagrange'em – żadnych więcej dalekich wylotów. Wyłącznie prace w niewielkim promieniu.

– Znaczą, sprawy zaszły aż tak daleko?

– Stary, jeżeli poczujesz się od tego lepiej, możesz to uznać za przesadną ostrożność. To ich zadanie – są szefami. Dobra, zajmij się swoimi wampirami. To mimo wszystko lepsze, niż uczenie dwóch rzeźników alfabetu...

– Myślałby kto, że tylko wampiry nam jeszcze potrzebne do kompletu – westchnął Simon, ale Ulisses już przerwał łączność.

* * *

– Dobrze, że choć ty wróciłeś – mruknął Komenski. – Trzeba zachować większą ostrożność. Mało nam grupy Chlebnikowa?

– Jestem ostrożny – stwierdził Simon.

– Odchodzisz zbyt daleko od obozu. Na dodatek chodzisz w pojedynkę. A to jest niebezpieczne – znasz regulamin. Najpierw ty, potem Wiener, teraz Gedeon – zaraza jakaś, czy co?

– Gedeon akurat był ze mną – zastrzegł się Simon. – A teraz szuka niewidzialnych istot.

– Zaraźliwa pewność swoich racji – zgodził się Komenski.

– I mnie to niepokoi. Nadaremnie tracimy czas. Czemu im nie zabronisz?

– A jak mogę zabronić? – Komenski wzruszył ramionami. – Ja mam tylko dawać baczenie, żebyście sobie wzajemnie nie przeszkadzali. I żebyście nie narobili głupstw, o ile to możliwe.

– Ale na to się właśnie zanosi. Gdyby to jeszcze było coś sensownego, ale... Co, może sam w to wierzysz?

– Wierzę, czy nie, jaka różnica? Przecież nie możemy pogрузić się w beczynności. A nie wiadomo, do czego się wziąć. Drepczemy w miejscu jak ślepe kocięta...

„Tak – pomyślał Simon – niełatwą ma sytuację. Wziąć na swe barki odpowiedzialność za kilku przestraszonych dyletantów, którzy niespodziewanie dla samych siebie znaleźli się we wrogim i nieznanym świecie...”

Komenski jakby czytał w jego myślach:

– Nie można przecież od nich żądać, żeby grzebali się w archiwach i nie wytykali nosa na zewnątrz...

– Sam mówiłeś, że mając na uwadze los grupy Chlebnikowa...

– Mówiłem tylko, że trzeba nam zachować ostrożność. Nic więcej.

– Amosie, ja to rozumiem – westchnął Simon. – Oni potrzebują kontaktu z innymi ludźmi. Przecież tak dawno ich nie widzieliśmy... Ale takie kontakty...

Przerwał. Komenski z napięciem patrzył ku wiodącej do bazy drodze, która wila się dnem wąwozu.

– Ktoś tu idzie...

– O Boże! – wymamrotał Simon. – To przecież Gedeon!

Gedeon szedł utykając i opierając się na ramieniu tutejszego chłopaczka. Widać było, że ma ranę na głowie, a po szyi cieknie mu strużka krwi.

– Proszę! – powiedział chłopak, popychając towarzysza ku Simonowi. – Zabierzcie go sobie...

– Powiedz Komenskiemu, że nie chciałem... – wysiekał niezbyt wyraźnie Gedeon.

– Sam mu powiesz.

– Paskudna historia wyszła, Simonie. Gdyby nie ten chłopak...

– Krzychałem im, żeby go nie ruszali – wyjaśnił chłopiec. – Krzychałem i krzychałem. On przecież nieumyślnie, z głupoty... A bić głuptaka, to grzech...

– A – Simon poklepał malca po ramieniu. – Ty jesteś Zdenko, prawda?

– Prawda – zgodził się chłopak ponurym głosem. A potem dodał beznamyślnie: – Jeżeli wasz przyjaciel jest przygłupem, to czemu go samego puszczacie między ludzi? Może wywinąć coś takiego, że...

– I co on takiego zrobił? – zapytał Simon. Pytał głównie na użytek Komeńskiego, który akurat zszedł na dziedziniec. Sam się zdążył domyślić.

– Rozpalili ognisko na uboczu – wyjaśnił chłopak. – Ukrył się w trawie i podpalił. Jak zaciągnęło dymem, nasi powyskakiwali z domów. Ja mówiłem, że on ma nie po kolei w głowie, ale co im za różnica... Wszyscy mieli wielkiego stracha.

– Jasne – stwierdził Simon. – Dziękujemy ci, chłopcze. Posłuchaj, może zajdziesz i zjesz z nami obiad... Głodny nie jesteś?

– Nie – chłopak wyraźnie się spłoszył. – Już sobie pójdę. Matka i tak mnie zabije...

Odwróciwszy się pobiegł drogą w dół.

– I co? – Simon zwrócił się do przyjaciela. – Zadowolony jesteś? Po coś ty to... Naprawdę uwierzyłeś w te bajki?

– Pomyślałem... pamiętasz, jak to było z tym chodzeniem po ogniu? – Gedeon otarł dłonią rozbitą wargę.

– I co osiągnąłeś? Wtedy się tylko lekko poparzyłeś...

– Jak to, lekko? – oburzył się Gedeon.

– No dobra... Oparzyłeś się i koniec. A jak oni po prostu odmówią nam prawa do schodzenia na dół, po tym jak omal nie wywołałeś gniewu sił nadprzyrodzonych?

– Może jakoś to uładzimy... Małego mi szkoda. – Gedeon odprowadził znikającego już w dole chłopca zamyślonym spojrzeniem. – Dostanie mu się...

– Sam jesteś temu winien. Na drugi raz będziesz uważał.

Gedeon nie odpowiedział.

– Dobrze – odezwał się Komenski zmęczonym głosem. – Co się stało, to się nie odstanie. Simon, odprowadź go, trzeba mu opatrzyć rany. I zajdź do aparatuwni – Natasza pyta o ciebie.

– A co się stało? – zdziwił się Simon.

– Nie wiem. Może potrzebuje konsultacji? Dyżuruje przy Obserwatorze – standardowy monitoring...

– Dobra – zgodził się Simon. – Tylko opatrzę tego zapaleńca.

– Ależ nic mi nie jest – usiłował zaprotestować Gedeon.

– Nie gadaj, tylko idź – uciał Simon popychając go ku gankowi.

W laboratorium było cicho i pusto – halogenowe, nie rzucające cienia lampy zalewały pomieszczenie zimnym światłem. Simon wziął apteczkę i zaczął wypakowywać bandaż.

– Na razie się umyj – polecił towarzyszowi.

Bardziej poczuł niż usłyszał, jak otworzyły się drzwi – i odwrócił się w ich stronę. Wchodzący Wiener natknął się na jego spojrzenie, zamarł na progu, jakby zamierzał się rozmyślić, ale mimo wszystko wszedł do laboratorium.

„Z nim też coś jest nie tak – pomyślał Simon. – Dobrze, że łeb ma cały, ale kombinezon upačkany sadzą, a w jednym miejscu przepalony – czym on zdołał przepalić żaroodporną tkaninę?”

Wiener miał też jakąś osobliwą minę i unikał wzroku Simona.

– Co się stało? – zapytał jakimś niezbyt wyraźnym głosem.

– Kolejna awantura. Ale chyba się rozejdzie po kościach – odpowiedział beznamiętnie Simon. – Zresztą sam jest sobie winien. A z tobą, mam nadzieję, wszystko w porządku?

– Tak. – Dopiero teraz Wiener spojrzał mu prosto w oczy. – A co miałoby być?

Simon wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Łaziłeś gdzieś?

– A bo co?

– Nic, tak tylko pytam. Lepiej, żebyś na siebie uważał...

– Za wszystko co robię, odpowiem przed Komenskim – odparł zimno Wiener.

– No coś ty? Ja tylko...

W tej chwili opatrywany przez Simona Gedeon syknął z bólu, odwracając uwagę pielęgniarki. Kiedy Simon ponownie podniósł wzrok, Wienera w sali już nie było.

* * *

– Chciałaś się ze mną widzieć?

Natasza podniosła oczy znad monitora:

– W zasadzie, nie... pomyślałam tylko...

– Znalazłaś coś interesującego?

Dziewczyna westchnęła i odsunęła się od ekranu.

– Chyba nie... wygląda na to, że wszędzie jest tak samo – dzicz i rzezie. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła wrócić do swoich obrazów.

„Jakby to były jej obrazy” – pomyślał Simon.

– A tak w ogóle to nam się udało – u nas jest względnie spokojnie.

– Owszem – powiedział – udało się...

„O co jej chodzi? – zastanawiał się. Żeby ukryć niezręczność sytuacji wziął stos błyszczących fotografii i zaczął je przeglądać machinalnie. Natasza wstała i spojrzała mu przez ramię.

– To Praga – stwierdziła. – Widzisz?

– Owszem – kiwnął głową. – Katedra świętego Wita. Popatrz, obie iglice prawie są nietknięte.

– To... nieprawdopodobne. Wydaje się niemożliwe, żeby ci sami ludzie, którzy zdołali wznieść coś tak wspaniałego...

– No – stwierdził – niezupełnie ci sami. Ale niewątpliwie ich przodkowie.

– Nie, ja mam na myśli tożsamość biologiczną.

– Biologicznie? No tak, to ci sami.

– Nie chce się wierzyć... Chciałabym odwiedzić Pragę...

– Jeszcze odwiedzisz...

– Nie, ja bym chciała zobaczyć tę dawną... Most Karola, ławeczki i malarzy ze sztalugami...

– Natasza, w dużej mierze to wszystko było na pokaz, dla turystów – te ławeczki i ci malarze. I z pewnością oni znikli jako pierwsi...

– Ale nie architektura...

– Nie. Nie architektura.

– I muzyka w katedrach...

– Tak – westchnął. – Pięknie by było...

– Może niepotrzebnie się tu osiedliliśmy? Mogliśmy założyć bazę w jakimś wielkim mieście.

– Tak właśnie zrobiła grupa Chlebnikowa.

– No... tak. – Spojrzawszy na niego zagryzła wargi. – Jak myślisz, co się z nimi stało?

– Nie wiem.

„Czego ona ode mnie chce?” – usiłował odgadnąć.

– Myślisz, że Amos ma rację?

– Nie wiem. Założenie bazy w wielkim mieście od samego początku było ryzykowne – tam jest niebezpiecznie, bo miasta pierwsze poddały się zapaści cywilizacyjnej. I pełno tam wszelkiego świństwa – katakumby albo wieżowce, z których przy lada podmuchu wiatru na dół lecą szklane płyty... zawężone pole widzenia... w takich warunkach bardzo trudno zacząć normalne prace. A w tych rozwalinach z pewnością czają się jakieś bandy. Zboża tam nie posiejesz – wszyscy żyją z grabieży.

– Tak... – stwierdziła. – Z pewnością masz rację. Ale mimo wszystko, tak bardzo bym chciała zobaczyć Pragę!

– Może jeszcze tam polecimy – rzekł pojednawczo. – Skończymy tutaj i polecimy. To niedaleko. Posłuchaj... po co mnie tu wezwałaś? Uczciwie mówiąc, ja też mam mnóstwo roboty...

– Simon... – spojrzała na niego z rozterką w oczach. – Chciałam zapytać...

– Tak?

– Co jest z Wienerem?

– A co miałyby być?

– Jest taki jakiś... obojętny. Nie patrzy w oczy, jak do mnie mówi...

– Wszystkim nam jest ciężko. On stara się trzymać – tak, jak potrafi.

Przez chwilę jakby nie mogła się zdecydować, a potem zadała pytanie:

– Jak myślisz? Ładna jestem?

„O Boże!” – pomyślał. Cofnął się jednak o krok, spojrział na nią uważnie, a potem powiedział stanowczo:

– Tak. Jesteś... bardzo pociągająca.

– A te miejscowe... są piękne?

„Ot i masz!” – pomyślał.

– Różne. Są i piękne... Ale ty się tak tym nie przejmuj... Te miejscowe... wiesz, to tylko egzotyka...

– Na obrazach są takie piękne – stwierdziła smutnym głosem.

Poklepał ją po ramieniu.

– Zostaw ty te obrazy. Przejrzyj to jeszcze raz. Może coś przegapiliśmy. A ty to odkryjesz...

Dobrze?

– Dobrze – mruknęła markotnie.

* * *

Przyśnił mu się koszmar. Doskonale wiedział, że to zły sen, ale absolutnie nie umiałby powiedzieć, dlaczego ów sen tak go przeraża. Z kłębiącej się wokół niego mgły wypełzło coś nieokreślonego i nieforemnego i uśmiechając się pożerało jego jaźń. Usiłując się targnąć wstecz w ostatniej próbie uwolnienia się, zrozumiał nagle ze zgrozą, że nie czuje swojego ciała. Przepadło, rozpuściło się w tej lepkiej, szarej mgle. Podejmując krańcowy wysiłek woli spróbował przypomnieć sobie przynajmniej, kim jest – i też nie zdołał. Jego jaźń odmówiła mu posłuszeństwa dokładnie tak samo, jak przestało go słuchać ciało, które przekształciło się w pozbawioną kształtu obrzydliwą masę. Wiedział, że aby odzyskać wolność, musi się koniecznie obudzić – ale akurat tego też nie mógł zrobić...

Z ciężkiego, dusznego snu wyrwały go głosy. Zlany potem wyskoczył z łóżka i narzuciwszy na ramiona kurtkę wyrzwał przez okno – zebrała się tam gromada ludzi na poły zasłoniętych mgłą. Poznał tylko starostę – a i to tylko dlatego, że górował nad pozostałymi, dosiadając swego kudłatego kucyka. Reszta, uzbrojona w pałki i widły, stała w miejscu. Ujrawszy ich Simon pomyślał nagle, że ni z tego ni z owego na zewnątrz wyrósł niewielki, ale bardzo wrogo nastawiony gaj.

– Nieźle! – wymamrotał.

Pospiesznie wciągnął na siebie kombinezon i wyskoczył do przedsiönka. Stał już tam

Komenski, który z dość głupim wyrazem twarzy gapił się w niskie okno. Tarcza siłowego pola nie pozwalała przybyszom na wniknięcie do środka i dlatego tłoczyli się u bariery, przerzucając się niezbyt pochlebnymi dla mieszkańców zamku uwagami.

„Czyżby naprawdę poczuli aż tak wielką urazę, że wysłali tu delegację? – zapytał sam siebie w duchu Simon. – I co mamy teraz zrobić?”

– Widziałeś? – zapytał Komenski.

– Owszem. Głupia sprawa.

– Może z nimi pomówisz? Ty jeden chyba umiesz się z nimi dogadać...

– Dobrze – odpowiedział Simon. Zapiawszy kurtkę wyszedł na zewnątrz i natychmiast poczuł, że powietrze jest zimne i wilgotne.

Milcząca grupa przysunęła się bliżej. Byli w niej prawie wszyscy zdolni do pracy mężczyźni z wioski i kilku smarków, którzy kręcili się pod nogami dorosłych w towarzystwie wiejskich kundli.

Simon poczuł się nieswojo.

– Jeżeli macie jakieś pretensje... – zaczął.

– O czym wy mówicie? – zapytał ponuro starosta. – Jeżeli mówicie o tym waszym głuptaku, to niech wypłaci baserunek i będzie po sprawie. Nie mam pojęcia, kto jest winien, ale wszystko się jakoś pomataczyło... Jadwiga gdzieś przepadła.

Tego się Simon nie spodziewał. Wybałuszył oczy na starostę i zapytał z głupią miną:

– Jadwiga?

– A co ja mówię? Wyszła wczoraj wieczorem i do tej pory jej nie ma. Gdzie zresztą miałyby pójść – po dworze teraz chodzić niebezpiecznie... stratuja.

„Ten znowu swoje...” – pomyślał Simon.

– Więc tak... według mnie, lepiej byłoby się wam w ogóle we wiosce nie pokazywać, ale babka kazała... Niech, mówi, cudzoziemcy też jej szukają. Miała jakieś widzenie, czy co... Kto ją tam zrozumie, tę babkę...

– My byśmy z ochotą... – odezwał się Simon. – Tylko co my możemy? A zresztą... Poczekajcie chwilę. Ja zaraz...

– No co tam? – zapytał Komenski, kiedy Simon wrócił do przedsionka. – To przez wczorajsze?

– Chyba nie. Dziewczyna gdzieś przepadła. Córka starosty. Poprosił, żebyśmy się przyłączyli do poszukiwań.

– Jasne – odpowiedział krótko Komenski. – Kto pójdzie? Ty?

– Tak – stwierdził Simon.

– Kto jeszcze? – zwrócił się do niezbyt licznej grupki ludzi zebranych w przedsionku.

– Ja – odezwał się szybko Gedeon.

– Oliwio, naprowadź Obserwatora. Nataszo, przyszykuj mobil. Być może przyda się transport.

– Boję się, że Obserwator nie na wiele się przyda, Amosie – mruknął Simon. – To przecież las. Co on zobaczy – tylko korony drzew...

– No, na wszelki wypadek. Czy ktoś widział Wienera?

– Ja – rzekł Gedeon. – Jest u góry, na galerii.

– Dobrze. Simon, ty dokąd? Do laboratorium?

– Zaraz wracam...

Simon pospiesznie ruszył do prawego skrzydła – w laboratorium obok pozostałego połowego osprzętu spoczywała lornetka na podczerwień i apteczka. Pospiesznie ładował wszystko do torby, kiedy drzwi wejściowe się uchyliły.

– Co ty tu robisz? – zapytał Wiener.

Wyglądał kiepsko – miał płonące gorączką oczy, a dłońmi machinalnie wygładzał pomięty kombinezon.

– Ty co? – zdziwił się Simon. – Nie spałeś nawet?

– Wolę pracować po nocach – odpowiedział zagadnięty. – Przynajmniej koszmary mnie nie dręczą. A tobie się nie śnią, Simonie?

– Tak – przyznał niechętnie zapytany. I dodał roztargnionym głosem, zapinając jednocześnie torbę: – Nic na to nie poradzisz.

– Dokąd się wybierasz?

– Nie wiesz? U wrót stoi cała delegacja.

– Jeszcze nie wychodziłem – przyznał się Wiener. – Nie miałem do tego głowy. A czego chcą?

– Dziewczyna im zginęła – wyjaśnił Simon i spojrzawszy Wienerowi w oczy, dodał: – No, ta... Jadwiga...

– A co my mamy do tego? – zdziwił się Wiener.

– Niby nic. Ale oni poprosili, żebyśmy się przyłączyli do grupy poszukiwawczej.

Wiener wzruszył ramionami.

– A wy co możecie pomóc?

– Wy? – teraz z kolei zdziwił się Simon. – Nie pójdziesz z nami?

Wiener westchnął ciężko.

– Simonie, posłuchaj... Pracowałem całą noc. Pozwól, że sobie daruję wątliwą przyjemność łażenia po górach...

– Ale czy ty nie...

– Co?

– Przecież byłeś z nią blisko!

– I co z tego? Ta dziewczyna śpi ze wszystkimi, którzy tego zechcą. One wszystkie tak robią. Na pewno z kimś uciekła – a ja co, mam teraz rzucać wszystko i biec jej szukać?

– Dobra – Simon chwycił torbę i skierował się ku drzwiom. – Jak sobie chcesz... Myślałem tylko...

Wiener nie odpowiedział. Odwróciwszy się, przebiegał palcami po klawiaturze głównego analizatora.

Gedeon już krążył niecierpliwie po przedsionku.

– A ja już myślałem, że to po moją duszę – powiedział.

– Nie – pokręcił głową Simon. – Oni teraz mają co innego na głowie. Przy okazji... wziąłem twoją lornetę.

– To nie moja lorneta – sprzeciwił się Gedeon. – Należy do wszystkich.

– No, ale to ty się wczoraj przez cały dzień z nią obnosiłeś, prawda? Dobrze choć, że jej nie rozbiłeś.

– Z tej lornetki będzie mało pożytku – zauważył Gedeon. – A szkoda. Gdyby dziewczyna była jedną z nas, byłoby łatwiej...

„No tak – pomyślał Simon. – Żaden z nas nie może się zgubić. Wszczepiony każdemu nadajnik sam się włącza po wyjściu poza barierę ochronnego pola...”

...Porastający obie strony wiodącej do zamku drogi gaj niepostrzeżenie przechodził w gęsty, mroczny las. Dolne gałęzie ogromnych świerków, do których nie docierały promienie słoneczne, pousychały i sterczały teraz najeżone sęczkami, a z górnych zwisały sznury porostów.

– Bardzo tu nieprzyjemnie – zjeżył się Gedeon.

– Tak – stwierdził Simon. – Wilgotno.

– Simonie, gdzie twój romantyzm i subtelne uczucia?

Brodzący po lesie ludzie nawoływali się, płosząc ptaki z gniazd.

– Co się z nią stało, jak myślisz? – Gedeon deptał butami delikatne, pozawijane ślimakowato pędy paproci.

– Najbliższa wieś jest oddalona o sześć godzin marszu. Może Wiener ma rację – dziewczyna z kimś uciekła. Zapatrzyła się na jakiegoś urodziwego parobczaka...

– To czemu jej szukają w lesie?

– Babka powiedziała, żeby szukać tutaj.

– Aaa... Babka!

– Oni jej wierzą. Jest dla nich kimś w rodzaju kapłanki.

– No widzisz!

– Co właściwie powinienem widzieć?

– Oprócz naszego istnieje tu świat wyższy. Eteryczne materie i takie tam... Ejże, a to kto?

Mimo woli sięgnął po wiszący u pasa promiennik. Simon chwycił go za łokieć. Krzaki się

rozchyliły i drogę zastąpiła im drobna figurka w połatanym kaftanie.

– Może pójdę z wami? – zapytał Zdenko.

– Proszę bardzo! – ochoczo zgodził się Gedeon.

– Nie, poczekaj! – Simon spojrział na chłopaka surowym wzrokiem. – Dorośli wiedzą, że jesteś tutaj?

– Jeszcze by nie mieli wiedzieć! Kto konia oporządzał? Micheasz kazał mu ogon podwiązać, żeby rzepy się go nie czepiały, a ten koń, drań jeden, omal mi kopytem gęby nie rozkwaślił!

– No dobrze – zgodził się Simon. – Tylko trzymaj się przy nas. Jeszcze by tego brakowało, żebyś i ty gdzieś przepadł...

– Nie przepadnę...

– Jak myślisz, co się stało z Jadwigą? – zapytał Gedeon.

– A kto ją tam wie? Głupia dziewczka, ta Jadwiga. I po co stara Urszula szumu narobiła? A czy to prawda, że jej życie przywróciliście?

– Życia – stwierdził ostro Simon – nikomu wrócić nie można. Można tylko trochę podleczyć.

– Nie mogę skumać, czy ona jest wam wdzięczna, czy nie. Dziwna ona jest, ta babka. Może myśli, że Jadwiga zadała się z nieczystą siłą? U nas tu pełno rozmaitych nieczystości.

– Oczywiście – wymamrotał Gedeon, strzepując z rękawa ptasie łajno. – Same z góry lecą...

– Nie ma się co śmiać – obraził się chłopak. – Każdy wam to powie – o, na przykład utopiec, ten żyje w topieli, wodnice też, na polu szyszymora, w domu bolszak, pod przypieckiem, w łaźni bannik.

– Bannik też? – stęknął Gedeon z udanym przerażeniem w głosie.

– No tak. Jak pięciu się myje, szósty zawsze bannik się przypęta. Szósta para do niego należy. A jak ktoś zamiast niego do łaźni wlezie, bannik może na niego duchotę sprowadzić, albo i całkiem go zamorzy. Baby za cycki łapie, bannik znaczy, albo za inne miejsca. Jak ciepłą ręką chwyci, to dobrze, a jak zimną – nie będzie szczęścia dla takiej baby...

– Sam go widziałeś?

– A kto go tam widział... Baby łapie.

Gedeon otworzył już usta, ale Simon chwycił go za ramię.

– Na tamtym zboczcu... – powiedział. – Albo mi się wydaje, albo coś się poruszyło.

Gedeon podniósł do oczu lornetkę.

– Owszem, coś tam jest. Popatrz.

Simon wziął od niego lornetkę.

Świat ogarnął zmierzch – pnie drzew stały jak widma, kontury gałęzi się porozmywały, ale tam, w krzakach, leżało coś jednocześnie mętnego i jaskrawego.

– Człowiek? – zapytał niepewnie Simon.

– Kto wie? – westchnął Gedeon. – Chodźmy popatrzeć. Mały, trzymaj się z tyłu.

Poruszali się ostrożnie, bo mocne, grube korzenie świerków były śliskie, wypolerowane przez niezliczone deszcze i topniejące wody setek wiosen.

Simon trzymał w dłoni promiennik – niby nie zamierzał go używać, ale ciężar broni dodawał mu pewności siebie.

Teraz już nie musieli patrzeć przez lornetkę, żeby zobaczyć, że krzewy się poruszały – w ich gęstwinie kryło się coś dużego i na razie niezbyt dobrze widocznego.

– O Boże! – stęknął nagle Gedeon.

Krzaki się rozchyliły i wysunęło się z nich gibkie, szare cielsko. Ogromny wilk przypadły do ziemi spoglądał na nich beznamiętnie żółtymi ślepiami. Nozdrza bestii zadrgały łowiąc powietrze, potem zwierz uniósł głowę, zawył krótko i cofnąwszy się przepadł wśród nisko się płózających gałęzi krzewów.

– Samotnik! – wymamrotał chłopak.

– O czym ty mówisz?

Chłopak zrobił ochronny gest.

– A kto go tam wie, zwierz to, czy przemieniec? O, prosto w oczy nam patrzył, przeklętnik jeden!

– Tam jest coś jeszcze – stwierdził Gedeon cichym głosem.

Teraz zobaczył i Simon – przez gęstwinę gałęzi prześwitywało coś białego i nieruchomego.

– Zdenko – zwrócił się do chłopaka. – Poczekaj tu, dobrze?

– Sam nie zostanę – stwierdził ponuro chłopak. – Strach...

– Zostań z nim, Gedeonie.

Trzymając w ręku promiennik Simon zaczął przedzierać się naprzód. Dopiero kiedy podszedł całkiem blisko zobaczył, że broń była mu niepotrzebna.

Dziewczyna leżała na plecach, patrząc w szare niebo, z rozrzuconymi rękoma i nienaturalnie wygiętą szyją. Zadarta w górę suknia odsłaniała szczupłe nogi. Simon się pochylił, zamknął jej łagodnie powieki, a potem wziął ją na ręce i poniósł ku pozostałym. Bezwładnie zwisające nogi dziewczyny kołysały się w takt jego kroków.

– Jadzia! – wykrztusił Zdenko.

– Nie patrz na to, chłopcze – odsunął go Gedeon.

Zdenko jednak nie odrywał wytrzeszczonych oczu od bezwładnego ciała.

– Czemu ona jakaś taka... biała? – wyszeptał.

– Nie rozumiem – Gedeon był wstrząśnięty nie mniej od chłopaka. – Dlaczego? Za co?

– To wilkołak – jak przedtem szeptem stwierdził Zdenko. – Ten basior. Wypił z niej całą krew. Zobaczcie sami...

Na białej gładkiej dziewczęcej szyi widać było dwa wyraźne punkty – drobne, bezkrwawe rany.

– To nie wilcze zęby... To on... Ojoj... babka miała rację... oj, źle się tu dzieje...

– Zamknij się na chwilę, dobrze? – poprosił Simon. – Idź do swoich i powiedz, że ją znaleźliśmy. Zresztą nie... Idźcie we dwóch, ja tu zostanę.

Ułożył dziewczynę na ziemi, pomiędzy korzeniami ogromnego świerku – można by pomyśleć, że dziewczyna śpi, przechyliwszy jasną główkę na bok.

– Weź promiennik, Gedeonie. Strzeżonego pan Bóg strzeże...

Sam usiadł obok, objąwszy rękoma kolana.

„Przecież gdyby nie tradycja, moglibyśmy w ogóle nie zabrać broni – pomyślał. – A teraz chyba bez niej się nie obejdzie. Trzeba będzie pomyśleć – może Wienerowi uda się nieco zmodyfikować iniektory, tak żeby mogły strzelać ampułkami usypiającymi. Mizerna obrona, ale zawsze... Paskudnie wyszło – wsiowi i tak są przestraszeni, a tu jeszcze to... Ale co się mogło stać? Cokolwiek by gadał przerażony Zdenko, dziewczynę w pewnością zadusił wilk – ale w takim razie czemu ona ma tylko dwie ranki? I jeszcze takie regularne... Krwi też nie widać, to prawda. A poza tym – co mogło skłonić dziewczynę, choćby i głupią, żeby nocą wyjść do lasu, a jeszcze w tym ich Chromym Tygodniu, kiedy wszyscy boją się nos za próg wysunąć?”

Słyszał jak gdzieś w głębi lasu przedziera się przez poszycie podniecony Zdenko, potem rozległy się okrzyki starosty, który wzywał ludzi, trzask łamanych gałęzi...

Westchnąwszy, znów popatrzył na dziewczynę – na poły przezroczyste powieki, podobne do płatków lilii, teraz zamknięte, sine wargi wygięte, jakby uśmiechała się do kogoś, sobie tylko znanego. Małe dłonie były mocno zaciśnięte – przez chwilę się wahał, ale potem ostrożnie rozginając zwarte palce rozchylił kiść; wewnątrz błysnęło coś szkarłatem, niby krople krwi. Ostrożnie dotknął dziewczęcego skarbu – był to sznur zimnych już w dotyku sztucznych czerwonych koralików, tak jaskrawych i zupełnie bezwartościowych... syntetycznych rubinów.

Przez chwilę jeszcze zwlekał, ale podjąwszy decyzję wziął sznur i ukrył go w kieszeni kombinezonu na piersi.

* * *

Głosy się zbliżały – na przedzie, prowadząc za sobą konia, biegł Micheasz. Ujrawszy skulone nieruchomo pomiędzy korzeniami świerku ciało najpierw rzucił się przed siebie, potem zatrzymał się nagle, spojrzał uważniej i wyszeptał:

– Jadzia...

– Bardzo mi przykro... – zaczął Simon, ale Micheasz już nie zwracając na niego uwagi odsunął go na bok i wzięwszy dziewczynę na ręce poniósł ją ku swoim. Kiedy kładł ją w poprzek siodła, koń zachnął się tak, że Zdenko musiał przytrzymać wodze. Zwierzę ruszyło z miejsca, białe dziewczęce ręce, na poły skryte w gęstej końskiej sierści kołysały się łagodnie w takt kroku.

Pozostali bez słowa ruszyli za koniem – przez całą drogę nie padło ani jedno słowo.

Na skrzyżowaniu dróg Simon przystanął.

– Posłuchaj – zwrócił się do Gedeona – ja pójdę z nimi. A ty pogadaj z Komenskim, dobrze?

– Przecież on wszystko widział.

– Myślę, że nie wszystko. Tak czy owak, trzeba mu o tym opowiedzieć. A w wiosce na razie się nie pokazuj – bo może być różnie.

Gedeon wzruszył ramionami i skierował się w górę – a koń, wyraźnie przyspieszywszy kroku, poszedł truchtem w dół, otoczony gromadą milczących ludzi.

Gdy zza wzgórze pojawiły się kryte słomą dachy, Zdenko zerwał się i co sił w nogach pobiegł naprzód, dlatego Simona wcale nie zdziwił witający ich milczący tłum – wzdłuż drogi stały kobiety w narzuconych na głowy białych chustach, staruchy i dzieci. Wszyscy się rozstąpili ujrawszy burego, kudłatego konika i jego straszne brzemie.

Koń miękko stukając podkownikami o ziemię wszedł na podwórko obejścia Micheasza. Na progu stała już Urszula – milcząca, mrużąca powieki figura w bieli. Usłyszawszy dźwięk kopyt odwróciła głowę z tą bezbłędną dokładnością, jakiej nabierają ludzie żyjący od wielu lat w mroku ślepoty – albo ci, co posiadli wewnętrzny wzrok.

– To Jadzia? – zapytała spokojnie.

Micheasz skinął głową. Urszula nie mogła tego zobaczyć, ale mimo wszystko powiedziała:

– Wnieście ją do domu.

Sama usunęła się na bok przepuszczając Micheasza, który wchodził już na ganek ze swoim bezwładnym brzemieniem.

– Trzeba ją przebrać – odezwała się stara. – Micheaszu, zapal gromnicę.

Micheasz wniósł martwą dziewczynę do chaty, a pozostali milcząc zgromadzili się przed progiem. Starucha już miała cofnąć się do izby, ale nagle się zatrzymała i spojrzała swoimi ślepych oczami na Simona.

– To ty, cudzoziemcze? – zapytała.

– Tak.

– Ty znalazłeś Jadzię?

– Ja.

– Wiesz, co się z nią stało?

– Nie... – odpowiedział Simon niepewnym głosem. – Myślę, że padła ofiarą wilka, choć...

– Wilka? – zapytała stara kobieta surowym głosem. – Nie ma co zrzucać winy na zwierzę. Wilk przyszedł ją oplakiwać. Jadzię zabił nie wilk, ale upiór. Przecież szukałeś upiórów, cudzoziemcze? No to masz – popatrz, co on z nią zrobił.

– Nie wierzę w upiory – stwierdził Simon z rezygnacją w głosie.

– A powinieneś. Nie wierzysz w mrok? Człowiek staje się upiorem, kiedy nie jest w stanie

znosić brzemienia człowieczeństwa. Wybiera więc sobie lżejszy los.

– Lżejszy? – zapytał Simon, nie wierząc własnym uszom.

– Upiór czyni zło, bo inaczej nie może – tak jak wiatr nie może nie dąć. Nie żywi żadnych wątpliwości, nie czuje wyrzutów sumienia.

– W tym, co mówicie, można znaleźć pewien sens – zgodził się Simon. – A jak on wygląda?

– Wygląda przerażająco – odpowiedziała stara kobieta.

– Więc czemu ona za nim poszła?

– Poszła, bo ją wezwał. Nikt nie zdoła się oprzeć jego wezwaniu. A teraz odejść, cudzoziemcze. Musimy ubrać biedną dziewczynę... Jeżeli chcesz ją odprowadzić, przyjdź jutro w południe.

– Dobrze – odpowiedział Simon.

Odwrócił się i odszedł, czując na sobie ciężkie, niewidzące spojrzenie starej Urszuli.

* * *

Podszedł do zamkowej bramy. Z gór zeszła mgła i ochronne pole atakowane mikroskopijnymi kropelkami wody świeciło łagodnym blaskiem. Otworzył przejście kieszonkowym anihilatorem i wstąpił na ganek – od środka niósł się zapach ciepłego, przytulnego pomieszczenia mieszkalnego i nieuchwytna woń pleśni i rozkładu, której nie mogły unicestwić nawet aromatyzatory.

„Teraz to już nasz dom – pomyślał Simon. – Innego nie będzie”.

Zdjął z ramienia torbę z bezużyteczną apteczką, rozładował promiennik i skierował się do laboratorium. Był tam już Wiener, który usłyszawszy odgłos kroków podniósł głowę i zapytał:

– I co?

– Nie widziałeś? – zdziwił się Simon, układając apteczkę w jej gnieździe. – Myślałem, że powiesiliście Obserwatora nad lasem.

– Widziałem – potwierdził Wiener. – Ale nie znam szczegółów. Co się z nią stało?

– Umarła.

– To wiem i bez ciebie. Pytam – od czego?

– Pojęcia nie mam.

– A co mówią we wsi?

– We wsi – jak przedtem niechętnie odpowiedział Simon – mówią, że to wampir.

– Więc miałem rację – w głosie Wienera zabrzmiał niemal zachwyt dla własnej przenikliwości.

– Jeszcze nie wiadomo. Zrozum, to tylko takie gadki.

– Gdyby można ją było zbadać... sprawdzić, czy rzeczywiście wysmano z niej krew...

– Zanim zdążysz do niej podejść z analizatorem, wszystkich nas pozabijają.

– Szkoda.

– Owszem – potwierdził Simon. – Szkoda.

Przez chwilę milczał, potem rozpiął kieszeń na piersi i wyjął z niej sznur koralików.

– Wiener, skąd ona wzięła te paciorki?

Na twarz Wienera padły czerwone odblaski i młody człowiek mimo woli zmrużył oczy, ale odpowiedział ze spokojem w głosie:

– To moje. Podarowałem jej. Poprosiłem Nataszę i ona je zrobiła... zadała program syntezeatorowi...

– Aaa... – stwierdził cicho Simon.

– Przecież to tylko skryształizowany węgiel – Wiener źle zrozumiał westchnienie Simona. – Pięć minut roboty. A ona lubiła ozdoby, ta Jadwiga...

– Miała to w ręku...

– No popatrz...

Simon westchnął raz jeszcze.

– Dobra... Pójdę się położyć. Co mówi Komenski?

– Mówi, że wolałby się przenieść na równinę do Lagrange'a. Nie podoba mu się to wszystko...

– A komu się podoba? – mruknął Simon z goryczą w głosie.

...Na Oliwię natknął się na korytarzu. Wydawało się, że stoi tu już całą wieczność, nieruchoma niczym posąg ze splecionymi na piersiach szczupłymi, białymi rękami.

„Przecież ona na mnie czekała!” – zrozumiał nagle Simon.

– Miałam dyżur przy Obserwatorze – powiedziała. – Ta dziewczyna...

– Tak? – odezwał się niechętnie Simon.

– Tak mi przykro, Simonie...

– Mnie też.

– I co teraz zrobisz?

– Nic. Jutro pójdę na jej pogrzeb – uśmiechnął się z goryczą. – Jestem przecież kimś w rodzaju etnografa, prawda? A tego obrzędu jeszcze nie widzieliśmy...

Korytarz tonął w mroku – stojące w niszach milczące posągi patrzyły na nich wyciętymi w kamieniu dziurami oczu.

– A przecież kiedyś w tym zamku było muzeum – stwierdził Simon. – Zabawne, prawda?

Spojrzała na niego, nie pojmując ironii.

– Czemu zabawne?

– No... Pierwotnie była to siedziba jakiegoś zubożałego hrabiego, potem oprowadzano tu turystów – mogli zachwycać się widokami z galerii i nawdychać się atmosfery epoki. Pamiętasz,

Natasza opowiadała, że przewodnicy karmili ich bajkami o widmie starego hrabiego, który zgrzytając zębami i skrzypiąc kośćmi szkieletu obchodzi pomieszczenia w zetlełej opończy... A teraz my tu się osiedliliśmy. I też jesteśmy swojego rodzaju widmami...

– Nie widzę w tym niczego zabawnego – stwierdziła Oliwia sucho. – Posłuchaj, Simonie...

Ta dziewczyna – naprawdę padła ofiarą wilka?

– Nie.

– No to co ją zabiło?

– Nie wiem.

Przenikał go chłód kamiennych posągów.

– To coś, co przewyższa moją zdolność rozumienia... Coś strasznego... Przecież oni kiedyś wymyślili to wszystko na użytek turystów... a teraz...

Nagle objął ją i przyciągnął ku sobie z namiętnością, o którą wcześniej by się nie podejrzewał. Ukrywszy twarz w jej delikatnych, puszystych włosach, musnął dłonią ciepłe, żywe ciało i wyszeptał:

– Pomóż mi! Och, pomóż mi, proszę!

* * *

– Idziesz na pogrzeb? – zapytał Gedeon.

Simon bez słowa kiwnął głową.

– Nie wyglądasz najlepiej. Czym ty się tak przejmujesz, na miłość boską? Boisz się, że Wiener miał rację?

– Tak – przyznał Simon. – Boję się...

– Możesz się bać, albo nie – istoty rzeczy to nie zmieni. Jeżeli Wiener naprawdę coś odkrył...

– I zwabił tutaj, choć nie mam pojęcia jak...

– Owszem. Obiecał, że znajdzie dowód na prawdziwość swojej hipotezy... No i...

– Znalazł? Posłuchaj, Gedeonie, ja nie wierzę w żadne tam niewidzialne istoty. Po prostu byliśmy skłonni do idealizowania wizerunku ludzkości. Siebie też widzieliśmy jako ideały...

– Ach tak?

– Jeżeli istnieje zło, to jest ono częścią nas samych, a nie kryje się w nieuchwytnych, nieśmiertelnych potworach.

Gedeon przez chwilę milczał, jakby nie mogąc się zdecydować na wyjawienie nurtujących go myśli, a potem powiedział:

– Posłuchaj... A jeżeli to nie jest zło?

– A co? – zapytał znużony Simon.

– Siła... moc...

Simon chwycił go za ramiona, odwrócił do siebie i spojrzał w zdziwione oczy przyjaciela.

– Pomyśl tylko, Gedeonie! Dobrze pomyśl... Przypomnij sobie tę nieszczęsną dziewczynę... Nawet jeżeli tak jest, nawet jeżeli Wiener ma rację... Popęlnić potworną pomyłkę, której nie da się już naprawić tylko dlatego, że wszyscy jesteśmy zbici z tropu i nie wiemy, co robić?

– Zbici z tropu? – uśmiechnął się Gedeon. – Łagodnie powiedziane. My nie jesteśmy zbici z tropu. Jesteśmy skazańcami czekającymi na egzekucję.

– To, o czym teraz myślisz, także będzie naszą zgubą.

– Udowodnij!

– Chodź ze mną? Czy ich rozpacz nie jest dowodem?

– Jeżeli założyć, że oni są tymi, których szukamy, to owszem... być może.

– Oni są tymi, których szukamy.

Gedeon pokręcił głową.

– No nie wiem – powiedział cicho. – Naprawdę nie wiem.

* * *

Mgły się rozeszły, a południowe słońce tak mocno biło po oczach, że mimo woli zmrużył powieki – boleśnie było patrzeć na białe koszule procesji ludzi ciągnących ku cmentarzowi. Na czele szła starucha, którą prowadził Micheasz. Pod pachą trzymała czarną kure, która zachowywała się tak spokojnie, że Simon w pierwszej chwili pomyślał, iż ptak nie żyje, ale idący obok Zdenko szybko mu rzecz wyjaśnił:

– Ona śpi, ta kura znaczy... Starucha położyła ją na stole, coś nad nią poszeptala i ptaszysko zasnęło. Teraz już będzie spać, dopóki jej nie zaczną przekazywać...

– Jak to, przekazywać?

– No, jeżeli Jadzię naprawdę wampir naznaczył... trzeba ją biedaczkę uspokoić jak należy, żeby się nie błąkała po tym świecie. Bo jeszcze chodzić zacznie...

– I co?

– A to, że pojawi się jeszcze jeden wampir – stwierdził ponuro chłopak.

Tłum zgromadził się wokół niedawno wykopanego grobu, a zapach rozrytej ziemi wydał się Simonowi ostry jak nóż. Czarna kura, którą starucha wreszcie opuściła na ziemię, ocknęła się i wściekle trzepotała skrzydłami.

– Zły znak – stwierdził Zdenko równie ponurym, jak przedtem, głosem.

– A teraz co oni robią?

– Mak sypią. Znaczy, żeby zasnęła.

– Kto, kura? – zdziwił się Simon.

– Nie, Jadzia... No, teraz to już wszystko. Wieczorem tylko pójda i spuszcza na wodę

świeczkę – niech płynie i wskaże Jadzi drogę na tamten świat. A wy dokąd?

– No... ze starą Urszulą pomówić chciałem.

– Teraz nie wolno. Ona będzie milczeć aż do progu domu, a potem dopiero wyć zacznie... taki zwyczaj.

– Posłuchaj – odezwał się Simon. – A ludzie co mówią?

– Wiadomo co. Zła to sprawa, mówią. I Micheaszowi współczują – jakby nie było, córkę stracił...

Umilkł i przez chwilę stał bez słowa, grzebiąc bosą stopą w piasku.

– A ten wasz przyjaciel, co zrobił wiatraczek, przyjdzie tu jeszcze?

– Przyjdzie – zapewnił go Simon.

– Obiecał zrobić jeszcze jeden, taki co będzie pokazywał, skąd wiatr wieje.

– Ty i tak wiesz, skąd wieje – przypomniał mu Simon.

– No to co? Wszystko jedno, to ciekawe... Pomyślałem, czy nie można zrobić tak, żeby na przykład, był podobny do koguta... albo do kota...

– Możesz być pewny, że mu o tym przypomnę – obiecał Simon.

* * *

– Chciałeś ze mną porozmawiać? – zapytał Komenski.

– Tak – odpowiedział Simon. – Wiener już chyba z tobą mówił?

Komenski wzruszył ramionami.

– Możliwe...

– I co myślisz o tym wszystkim?

– Simonie... – westchnął Komenski. – A co ja mogę o tym myśleć? To tylko teoria... Jeżeli potwierdzi się w praktyce, trzeba będzie jakoś nawiązać kontakt. Powiedziałem Wienerowi, niech próbuje – w końcu to od początku był jego pomysł.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co to oznacza?

– Zdaję sobie sprawę z tego, że szanse są znikome – stwierdził Komenski ze znużeniem. – Ale tak czy owak, jest to jakaś perspektywa.

– I co on będzie robił? Zajmie się czarną magią, żeby poprzez jakiś odrażający rytuał wezwać nieczystą siłę? Tak? A może już to zrobił?

– Ale ty przecież doskonale wiesz, że to przesady! – wytknął mu Komenski z naganą w głosie.

– Właśnie. Posłuchaj Amosie... A co byłoby, gdyby Wienerowi nie wpadła w ręce ta przeklęta książka? Gdyby nie wiedział niczego o tym Nosferatu? Co wtedy? Zająłby się czymś innym? I może Jadzia jeszcze by żyła?

– Przeczyśz samemu sobie. Przed chwilą zapewniałeś mnie, że nie wierzysz w jego teorię – zauważył Komenski. – A przecież ona wiele by wyjaśniła. W szczególności, dlaczego zastaliśmy tu to, cośmy zastali. No i wszystko pozostałe... I zniknięcie grupy Chlebnikowa, skoro już o tym mówimy...

– Bzdura! To przeciwne nauce!

– Nie wierzysz w metamorfozy, tak?

– No...

– To przedstaw swoją własną teorię – zaproponował Komenski. – Z przyjemnością się z nią zapoznam. A teraz wybacz... mam sporo do zrobienia.

– Kolejna narada z Wienerem?

– Ależ nie. Lagrange chce się ze mną naradzić... Oni chyba też utknęli w martwym punkcie. Ta droga też prowadzi donikąd, Simonie. Nie mamy wyboru... co oznacza, że powinniśmy okazać nieco więcej... elastyczności.

– Do jakiego stopnia? – zapytał Simon z goryczą.

* * *

„Elastyczność – myślał idąc korytarzem. – Komeńskiego można zrozumieć – spoczywa na nim odpowiedzialność za całą misję; przynajmniej tu, w tym obozie. Wzięliśmy bilet w jedną stronę i liczyliśmy na to, że z powrotnym problemów nie będzie. Jeżeli ludzkość posunęła się ku przodowi, czemu nie miałyby z łatwością i bez wysiłku wyposażyć choć jedną jedyną gwiazdą ekspedycję? Bez nowoczesnych technologii jesteśmy skazani na zagładę. Ale może zdarzyć się i tak, że nie wystarczy zwyczajnie wrócić...

Sęk w tym, że kogokolwiek byśmy szukali i kogokolwiek byśmy znaleźli, to nie są ludzie. Ludzie do czegoś takiego nie są zdolni... A skoro to nie są ludzie...”

„Wtedy – pomyślał – wszystko jedno... mrok i zagłada...”

W bibliotece płonęło światło – jedna jedyna lampa na wygiętej nóżce. Ktoś siedział w krześle; Simon pomyślał, że to Wiener, okazało się jednak, że późnym gościem był Gedeon, obok którego na podłodze piętrzył się stos książek. Gedeon przeglądał je niecierpliwie i odkładał jedną po drugiej na bok.

– Ostrożnie – odezwał się Simon. – Jeszcze nie są opracowane, mogą się rozpaść...

I dodał:

– Myślałem, że się zajmujesz swoją awionetką.

Gedeon podniósł głowę. Jego oczy, ocienione abażurem lampy, wyglądały na smoliście czarne.

– Awionetką? – powtórzył z roztargnieniem. – Nie... Jak minął pogrzeb?

– Pogrzeb, jak pogrzeb... Pytał o ciebie Zdenko – obiecałeś mu wiatrowskaz.

– Aaa... Tracisz na nich czas, Simonie.

– Ja tak nie uważam.

– Powinniśmy szukać cywilizacji. Wysoko rozwiniętej cywilizacji... Ci tutaj na nic się nam nie zdadzą.

– Przedtem tak nie myślałeś.

– Przedtem nie mieliśmy wyboru.

– A teraz mamy?

Gedeon milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Wiesz, coraz bardziej skłaniam się ku sądowi, że Wiener ma rację. Posłuchaj tego...

Otworzył książkę na założonej stronie:

– „...Przytaczamy znane fakty. Ja, jak i pozostali szejtanowie, stworzony jestem z ognia – a ty z gliny. Nie mam innej siły oprócz tej, którą wlałem w ciebie i którą od ciebie czerpię... Wy, ludzie, podczas całego swojego ziemskiego życia jesteście zamknięci w jednym kształcie – tym, który stworzyliście swoimi narodzinami. My przeciwnie, przybieramy na ziemi dowolny kształt, w zależności od życzenia i możemy go zmieniać, jeśli tego zapagniemy... i choć pospołu cierpimy...” Dalej nie da się odczytać. Aha, mam! „...A po was, ludziach, zjawi się tu nowy, trzeci rodzaj...” Wciąż to samo, Simonie. Rozumiesz, o kim mowa? Istoty zdolne do przyjmowania dowolnego wyglądu, czerpiące swoją energię z surowca ludzkiego... Wszystko jest tak, jak on mówił. Ktoś zdołał się z nimi skontaktować!

– A mnie się to mocno z czymś kojarzy – stwierdził Simon. – Tobie nie?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– O tym, że to może być przypadkowa zbieżność... W historii ludzkości było takich wiele.

Mistyfikacja. Tak to się nazywa?

– Jakiś słownik chazarski...

– Z pewnością to mistyfikacja. Wiesz, że oni za tym przepadali.

– Ale spróbuj dopuścić do siebie myśl, że to mimo wszystko prawda. I co wtedy? Potężne istoty, Simonie! Potężne!

– Posłuchaj, Gedeonie... Jaka potężna istota będzie goniła po lesie biedną dziewczynę? Energię z niej wysysała? Bzdury! Potęga to coś zupełnie innego. Jeżeli to naprawdę był wampir, w co osobiście mocno wątpię, to działał raczej jak ślepa siła... automat...

– Ślepa siła? To powiedz mi, dlaczego nie ocalał ani jeden nośnik magnetyczny? Czemu zostały tylko książki i obrazy? Czemu praktycznie zanikła sztuka pisania? Dlaczego kultura została zredukowana do pierwotnych rytuałów? Stali się po prostu zbyt liczni, zbyt silni... wygodnie im było zahamować postęp – dla swoich własnych potrzeb.

– Nasze przyrządy pracują poza zasięgiem pola.

– Na razie pracują.

– Gedeonie, budujesz swoją teorię na przesądach. A przecież pierwsi osiedleńcy nie byli ani religijni, ani przesądni. Czyżby w archiwach ekspedycji nie znalazło się nic świadczącego o istnieniu tej innej, wyższej rasy, jeżeli było to dla nich tak ważne? A przecież nic nie zostało!

– To oni... – stwierdził szeptem Gedeon. – Oni ich zmusili do zapomnienia.

– Przemylili wszystkim mózgi? Przed samym odlotem?

– Tak. Wypuścili ich, pozwolili im odlecieć, ale zmusili do zapomnienia.

– To tylko hipoteza.

– Miejscowi w nich wierzą. Wierzą i boją się. Dla nich ten świat jest zamieszkały.

Simon otworzył już usta, żeby zaprzeczyć, ale zmilczał. „Miejscowi wierzą – pomyślał. – Nieustannie, w każdej chwili, w każdej minucie. Oto w czym rzecz! To ich wiara jest motorem naszych czynów, ich strach nami kieruje... strach, który zyskuje twarz i nabiera ciała...”

– Poczekaj tu – odezwał się nagle. – Proszę...

– A...

– Pójdę i pogadam z Wienerem. To nie potrwa długo.

Szedł spiesznie korytarzem wiodącym do laboratorium, a cienie umykały przed nim jak nietoperze.

W laboratorium był mrok. Dotknął wyłącznika i puste pomieszczenie zalało światło, wydobywające z ciemności stół ze statywami i błyszczącą tablicę analizatora. Podeszedł do stołu i zaczął po kolei wysuwać szuflady, wyrzucając na podłogę informacyjne kryształki i zapiski... nie, to nie to... Ostatnia szuflada była niemal pusta, leżała w niej jedna jedyna strona wydarta z jakiejś książki, nie wiadomo dlaczego osmalona i z poczerniałymi brzegami. Fragment starego pisma był obwiedziony czerwienią, niby krwią...

„...A w północ o nowiu przyjdź na rozstaje czterech dróg i weź ze sobą czarną kurę i ofiarny nóż, a nakreśliwszy pentagram stań w nim, a na rogach jego zapal świece, i złoż kurę w ofierze... Wylej jej krew na ziemię i wezwij, a zostaniesz wysłuchany... i przyjdzie Książę Ciemności, a ty mu się pokłonisz i zyskasz moc, jakiej nie posiadzie żaden człowiek. Obok leżało pięć stearynowych ogarków... Zamówił je chyba w synteźniku, pomyślał Simon... Do jednego z ogarków przyłgnęło czarne piórko...

Z powrotem już biegł...

* * *

Gedeon wyglądał, jakby się zdrzemnął w krześle – założywszy palcem stronicę zwiesił w dół dłoń z książką. Simon musiał kilkakrotnie nim potrząsnąć, zanim towarzysz otworzył przestraszone oczy.

– Co jest?

– Wstawaj! – rozkazał Simon. – Idziemy.

– W nocy? Dokąd? Odbiło ci?

– Weź promiennik – Simon wdziewał już kurtkę i wieszał latarkę na pasie.

– Ale czemu w nocy? – dziwił się Gedeon. – I czemu idziemy sami? Jak już ci się tak spieszy, to przynajmniej powiadom Komeńskiego.

– Nie mamy czasu. Chodźmy, wyjaśnię ci po drodze.

...Spływająca z gór mgła sprawiła, że droga stała się niemal niewidoczna; w świetle latarki każdy wybój wyglądał na przepaścistą jamę, rosnące po obu stronach krzewy najeżyły się kolcami... nad ich głowami bezgłośnie przemknęła wyprawiająca się na nocne łowy sowa...

– Czemu nie wzięliśmy mobilu? – mamrotał idący za Simonem Gedeon. – Ty go nigdy nie używasz, ale...

– Mobil za bardzo rzuca się w oczy – stwierdził Simon. – Zobacz go z daleka...

– Kto?

– Sza!

Z mgły wyłoniła się palisada – wymierzone w niebo solidne belki o zastrzonych końcach, za którymi niby przestraszone owce stłoczyły się chaty.

Simon kręcił głową, usiłując spozrzeć najmniejszy choćby ruch czy usłyszeć szelest, odgłos kroków... cokolwiek...

Za ogrodzeniem jednak panowała kompletna, nocna cisza – cisza drzemiącej w mroku wsi, pachnącej mlekiem i ciepłem. Na chwilę zmrużył powieki – było mu wstyd. Gedeon szedł z tyłu bez słowa, ale Simon wyczuwał jakoś jego dezaprobatę.

I nagle usłyszał.

Gdzieś niedaleko zawył pies.

Pośród nocy, w nasyconej koszmarami śpiących chłopów wsi, pod obojętnym, bezksiężycowym niebem przenikliwie zawył pies. Zaraz potem wycie nagle się urwało. Simon targnął Gedeona za rękaw.

– Chodźmy! – odezwał się szeptem.

Ostrożnie ruszyli wzdłuż palisady. Tuż obok była furtka i przesunąwszy dłoń pomiędzy palami można było odsunąć masywny drewniany rygiel, Simon jednak przeszedł dalej do miejsca, gdzie wkopane w ziemię pnie nieco się rozeszły, otwierając niskie przejście. Żeby wejść, musiał się mocno schylić, ostatecznie jednak znalazł się z tyłu za chatami, na małym placu obok zrębu studni.

Gedeon poruszył się niespokojnie i Simon ostrzegawczo położył mu dłoń na ramieniu. W dolinie znów zaległa cisza i obaj czatownicy zamarli w pełnym napięcia oczekiwaniu. I nagle usłyszeli gwizd.

W tym dźwięku nie było nic ludzkiego, ani zwierzęcego – był to jakby cichy tryl, delikatny i tak wabiący, że Simon mimo woli zrobił krok naprzód.

Wzdłuż zbitej z potężnych belek ściany najbliższego domu skradała się biała figura – niby ludzka, ale idąca nieludzkim krokiem: szła płynnie, jakby ślizgała się nad trawą z wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami i zgarbiwszy plecy. Poruszała się bezgłośnie, ale jakby na oślepie i mechanicznie; niewiele brakło, a wpadłaby na róg chaty, ominęła go w ostatniej chwili, wsunęła się na ganek, natknęła się na zamknięte drzwi, przez chwilę stała jakby nie rozumiejąc, co ją zatrzymało, a potem znów wydała ten śpiewny, przeciągły i tęskny zew. Simon ponownie stłumił w sobie pragnienie odpowiedzi na wezwanie i usłyszał, jak za jego plecami ciężko westchnął Gedeon.

Biała istota skuliła się na ganku w pełnym napięcia oczekiwaniu, a po chwili drzwi się otworzyły i na progu pojawiła się druga, drobniejsza figurka. Pierwsza się cofnęła, zeszła z ganku i ponownie wydała ten tęskny gwizd. Maleńkie, bosc stopy na progu poruszyły się niespokojnie, a potem po omacku poszukały stopni.

Biała istota była już za furtką. Nieco pochylona oddalała się od domu idąc ulicą, od czasu do czasu się odwracała gwizdząc cicho i melodyjnie, a chłopiec w białej płóciennej koszulinie szedł za tym wezwaniem nie otwierając oczu.

Simon spróbował się poruszyć i nagle zrozumiał z przerażeniem, że nie może zrobić kroku – jakby mu mięśnie zeszytwniały z napięcia. Tymczasem biały znikł już za palisadą, a za nim brnęła jego nowa ofiara, potykając się niepewnym krokiem pogrążonego w głębokim śnie człowieka.

Simon odzyskał zdolność ruchu dopiero, gdy łowca i jego ofiara znikli mu z oczu. Przez jakiś czas stał po prostu, chwytając ustami zimne powietrze i oddychając głęboko, a potem zwrócił się do Gedeona:

– Widziałeś?

– Chyba tak... – odparł zagadnięty niezbyt pewnym głosem. – Tylko...

– On go wywabił. Po prostu wziął i wywabił. Trzeba...

I w tej chwili, jakby w odpowiedzi na jego słowa, po placu przetoczył się głuchy jęk dzwonu. W najbliższym domu rozbłysnął ogień, a na szybach maleńkiego okienka zatańczyły szybkie cienie.

– Nagła zaraza! – Simon wreszcie się opamiętał i odzyskał władzę nad swoim ciałem. – A ja liczyłem na to, że weźmiemy go po cichu!

– Kto podniósł alarm?

– Ani chybi staruszka. No dobrze, na to już nic nie poradzimy. Szybciej stary, może zdążymy przed nimi.

– Nie rozumiem – przyznał cicho Gedeon.

– Wciąż jeszcze nie rozumiesz?

Nie kryjąc się już zupełnie otworzył z rozmachem furtkę i wypadł za palisadę, zostawiając za sobą trzaskanie drzwi, wrzawę pełnych trwogi okrzyków i wrzask jakiejś kobiety, która aż się dławiała krzykiem.

Niewyraźna, biała figura, majacząca pośród krzaków, przemykała się ku lasowi. Za nią sunęła druga – jakby związana z pierwszą niewidzialną nicią.

– Promiennik! – krzyknął Simon. – Postaraj się go trafić, Gedeonie! Mierz w nogi!

Gedeon stał i starannie naprowadzał na pierwszą figurę podczerwony promień znacznika celu.

Światło pochodni z tyłu szybko się przybliżało, po ziemi przebiegły cienie. I oto Simon usłyszał koło ucha świst strzały, która ugodziła nocnego gościa. Ten jakby się potknął, padł na kolana, a potem na czworaki. I nagle, jakby ktoś przeciął niewidzialną nić łączącą zbiega i prześladowcę, chłopak wrzasnął przeraźliwie i rzucił się w bok.

Ranny tymczasem z niedowierzaniem obmacał sobie pierś, jednym ruchem wyrwał sterczącą z niej strzałę i nie wstając z czworaków z niewiarygodną szybkością i zwinnością rzucił się w ślad za umykającą ofiarą.

– Zaprawdę, wampir! – stęknął ze zgrozą ktoś za plecami Simona.

– Gedeonie!

Wezwany podniósł promiennik, wymierzył... – i nagle opuścił broń z okrzykiem zdumienia.

– Przecież to...

Niewiadomy stwór dopadł wreszcie drobnego zbiega i powalił go na ziemię.

– Gedeonie!

Nikt inny nie odważył się wystrzelić – chłopak i napastnik zlali się niemal w jedno.

Gedeon chlipnął cichutko, wymierzył ponownie i nacisnął spust. Promień był niemal niewidoczny, ale trafiony nim napastnik zachwiał się jakby dostał ciężkim młotem i wypuścił ofiarę. Jego ubranie natychmiast zajęło się ogniem i niewidoczną do tej pory twarz rozjaśniło purpurowe światło.

Ogarnięty językami płomieni człowiek potoczył się po ziemi, usiłując zedrzeć z siebie płonące szmaty. „Gdyby to był dawny kombinezon – pomyślał Simon – nic by mu się nie stało, ale materiał uległ strukturalnej deformacji...”

Chłopak odczołgał się na bok i zwinął w kłębek, płacząc i dygocząc ze zgrozy.

Gedeon, nie wypuszczając promiennika z dłoni, podbiegł do miotającego się w ostatnich drgawkach ciała napastnika.

Simon ruszył za nim.

„Będziemy sami musieli zanieść go do obozu – pomyślał. – Nikt inny nie zechce go dotknąć palcem”.

Gedeon przez chwilę dreptał niepewnie obok, a potem opadł na kolana.

– Nie chciałem... – wymamrotał. – A raczej... Nie miałem innego wyjścia.

– Tak – potwierdził Simon.

Leżące na ziemi ciało drgnęło po raz ostatni i znieruchomiało. Simon nachylił się i spojrzał leżącemu w twarz.

– Dlaczego, Wiener? – zapytał cicho. – No, powiedz mi, dlaczego?

Twarz Wienera wygładziła się i powoli przybrała nieco urażony i pełen zaskoczenia wyraz. W oczach o pionowych szczelinach źrenic odbijały się płomienie pochodni.

– To... – stojący obok Simona Gedeon zgrzytnął zębami, usiłując opanować drżenie. – Nie!

– Przyjrzyj mu się, Gedeonie – powiedział Simon. – Przyjrzyj mu się bardzo uważnie.

Gedeon chlipnął jednak tylko i się odwrócił.

– Odejdź chłopcze – odezwał się ponuro starosta, podchodząc bliżej. Stęknął, zamachnął się i wbił w pierś Wienera zaostrzony kolek. Simon wyraźnie usłyszał chrzęst łamiących się żeber. Leżące na ziemi ciało drgnęło jeszcze raz, ale był to już czysto mechaniczny odruch.

Gedeon chciał chyba zaprotestować, ale Simon go powstrzymał.

– Zakopcie go tu, za palisadą – zwrócił się starosta do ponurych, stojących wokół ludzi. Potem splunął sążnięcie na ziemię, odwrócił się i poszedł precz.

Gedeon rzucił Simonowi wrogie spojrzenie spode łba.

– Posłuchaj, Simonie, tak nie można... To nie po ludzku...

– Akurat to jest po ludzku – stwierdził Simon ze zmęczeniem w głosie. – Jemu jest już wszystko jedno. A my będziemy musieli z nimi żyć. Sam widzisz... Nie mamy gdzie się podziać. Hej, chłopcze, z tobą wszystko dobrze?

Zdenko kiwnął głową bez słowa i otarł nos rękawem.

– Biegnij do matki. Nie masz tu nic do roboty.

– Wujku, ale co mu odbiło? Naprawdę był wampirem?

– Nie na twoją głowę to sprawa – stwierdził sucho Simon. – No, leć...

Chłopak odwrócił się i pobiegł ku domowi. Simon patrzył bez słowa, jak ludzie z pochodniami otoczyli leżące na ziemi ciało.

– Mam nadzieję, że Komenski wszystko widział – odezwał się po chwili. – Nie mam ochoty jeszcze raz tego wszystkiego od początku... Hej, ty co?

Gedeon chwycił go za ramię tak mocno i niespodziewanie, że Simon zachwiał się i cofnął o krok.

– Weź się w garść, na miłość boską! – syknął przez zęby. – Dość nam...

– Popatrz tam... – wyszeptał Gedeon.

Simon odwrócił się i spojrzał.

* * *

– Mów dalej – ponaglił go Komenski. – Przypuszczasz, że to było jakoś związane ze... śmiercią Wienera?

– Nie wiem – Simon pokręcił głową. – A ty sam niczego nie widziałeś?

– Widziałem – odparł beznamiętnie Komenski – świetlistą plamę, o niezbyt wyraźnych zarysach. Ale miałem co innego na głowie. A kiedy przyjechałem na miejsce, ona już znikła. Dlaczego się upierałeś, żeby go tam zostawić?

– Wienera? Nie można było inaczej. Gdybym go zabrał, tubylcy by pomyśleli... Nie wiem, jak to powiedzieć... że wszyscy jesteśmy tacy sami i że...

– W pewnym sensie tak przecież jest.

– Tak, nie będę się spierał. Ale oni by pomyśleli, że my zechcemy go ożywić... Albo zrobić z nim coś w podobnym guście.

– A nie można go było reanimować?

– Nie. Całą klatkę piersiową rozwalił mu starosta tym swoim osinowym kołkiem.

– A zanim tamten to zrobił?

– Nie wiem. Myślę, że nie. Zresztą, po co? Niczego by to nie dało. Co pokazały przyrządy, Amosie?

– Nic. Nie zarejestrowały obecności żadnych osób postronnych. Natasza twierdzi, że też widziała to „coś” i nawet złapała to kamerą, ale kryształ niczego nie zapisał.

– Naruszenie pola magnetycznego?

– Możliwe. Jakies zakłócenia w każdym razie zarejestrowaliśmy. A ty co widziałeś?

– Trudno opisać. Coś w rodzaju soczewki z rozmytymi brzegami, albo... Niełatwo było ocenić odległość, ale odniosłem wrażenie, że była wielka.

– Jak wielka? Jak mobil?

– Nie. Jak ten zamek.

– Jakiś efekt optyczny? Mimo wszystko są tu góry i soczewki powietrzne mogą się w nich tworzyć.

– Nie wiem. Być może, ale mam wrażenie, że to coś innego. Tam, wewnątrz, coś się poruszało. Na pewno widziałem jakiś ruch. Może to jest to, czego szukamy, Amosie?

– Więc dlaczego do tej pory się nie pokazywało?

– A powinno było?

Komenski przetarł twarz dłonią.

– Nie wiem. Zapytam Lagrange’a, może oni słyszeli o czymś w tym guście?

– W ogóle to przypominało mi zjawisko, o którym mówiła ta dziewczynka, wychowanka Diany. Pamiętasz, Ulisses nam opowiadał. My mu wtedy odpowiedzieliśmy, że tu o niczym

podobnym nie słyszano. Powiedz... Nie sądzisz, że to może mieć jakiś związek z zaginioną grupą?

– Kto wie? Niepokoi mnie, że wskazania przyrządów są takie nieokreślone. Co prawda ten rozbłysk... Zarejestrowano go krótko przed pojawieniem się tego waszego fenomenu. Ale ty wiesz, że już je obserwowano. Sporadycznie.

– Czemu nie wypytasz Gedeona? On też to widział. Potwierdzi.

– Gedeon jest wstrząśnięty. Przeżył silny szok. Oliwia dała mu środki uspokajające – przez kilka najbliższych godzin nie należy go niepokoić.

– Mówił, że ma takie uczucie, jakby nas ktoś obserwował. A ja mu nie uwierzyłem...

„Może znaleźliśmy – pomyślał Simon. – W końcu znaleźliśmy”. Nie czuł jednak radości, ani dumy. – „Komenski też chyba nie za bardzo się cieszy”.

– A co z Nataszą? – zapytał.

– Jakoś się trzyma.

– Musimy się pospieszyć.

– Owszem. Może byś z nią porozmawiał? Ot, tak po prostu... – Komenski umilkł na chwilę, a potem dodał: – Zamierzam zwinąć obóz i przyłączyć się do Lagrange’a. Tu się robi niebezpiecznie. Sam widzisz...

– Ale...

– To mimo wszystko był miraż.

– Amosie, nie można tak od razu... Posłuchaj, przecież te wszystkie legendy – myje po prostu źle zinterpretowaliśmy...

– Wystarczy jeden Wiener. On też próbował je jakoś zinterpretować. Pamiętasz, co się z nim stało?

– Wszyscy pamiętamy. Ale nie mamy innego wyjścia. Liczysz na to, że grupa Lagrange’a natknęła się na coś rokującego nadzieję?

Komenski wzruszył ramionami.

– Nie. Ale im nas zostaje mniej... sam wiesz. No, dobrze. Daję ci trzy dni, Simonie. Potem się stąd zwijamy.

– Tydzień.

– Trzy dni – uciął Komenski.

– Dobrze, niech cię diabli – zgodził się Simon. – Trzy dni.

– Tak. A przy okazji... jak Gedeon się ocknie, zejdźcie tutaj.

– Po co?

– Weźcie ze sobą analizator. I w ogóle... popatrzcie.

– Na co mamy patrzeć, Amosie? I tak wiemy...

– Nie wiemy. Przypuszczamy tylko. A jak tym się będziecie zajmowali, postarajcie się nie

pokazywać miejscowym, dobrze?

– Żaden z nich tu się teraz nie pojawi.

– To dobrze.

– I za bardzo się w to nie angażuj. Nie chciałbym stracić jeszcze i ciebie.

– No jasne – zapewnił go Simon. – Wszystko będzie w porządku.

* * *

– Czemu on to zrobił? – zapytała Natasza. Oczy miała suche i błyszczące, a dłońmi przekładała niespokojnie leżące na stole wydruki.

– Nie wiem – odpowiedział Simon. – Naprawdę nie wiem.

– On był taki łatwowierny... – powiedziała cicho, zwracając się jakby do samej siebie.

„Tak – pomyślał. – Tak, to właściwe słowo”.

– To wszystko przez nich – popatrzyła na niego spode łba. – Przez tych...

– Wcale nie – sprzeciwił się. – Żeby wpaść na taki pomysł, wcale nie trzeba było łązić do wioski. Wystarczyło trochę pogrzebać w archiwach...

Wydało mu się, że dziewczyna go nie słucha.

– Nienawidzę ich – stwierdziła zawzięcie. – Oni... oni nas zniszczą. Nie czujesz tego?

– Myślę, że jest inaczej – to my stanowimy niebezpieczeństwo dla nich. Musimy być bardziej ostrożni, Nataszo.

– Wszystko przez nią – dziewczynie zadrgał podbródek. – Przez tę dziwkę!

– Przez Jadzię? – zdziwił się. – Natasza, ocknijże się! Ona przecież była pierwszą ofiarą!

– Wszystko jedno – stwierdziła z uporem w głosie. – Wszystko jedno. To... nie są ludzie... nie tacy, jakich my uważamy za ludzi. Wiener miał rację.

Simon pokręcił głową.

– Nie miał – zaprzeczył i wyszedł, zostawiając dziewczynę pośrodku pustej komnaty.

* * *

Ścieżkę do wsi przecinał pas świeżo rozkopanej ziemi – żeby podejść do wrót trzeba było przejść po nim. Pas ciągnął się w obie strony daleko, jak okiem sięgnąć, otaczając wioskę na zewnątrz palisady; ziemię rozkopano na sporą szerokość i gdy Simon podszedł do furtki, miał nogi umazane po kostki. Pomiędzy splątanymi korzeniami świeżo zaoranej murawy wily się tłuste dżdżownice.

Ulica była pusta – jedyna spotkana przezeń kobieta, niosąca koromysło z wiadrami, na jego widok tak żwawo odskoczyła w bok, że woda z wiader chlusnęła na ziemię.

Starucha jak przedtem stała na ganku – wyglądało to tak, jakby nie ruszała się z miejsca od chwili, kiedy przeszedł po wiodącej do domu ścieżce z Micheaszem i jego żalobnym brzemieniem.

Jej niewidzące spojrzenie utkwione było gdzieś w dal, ale na odgłos kroków powoli odwróciła głowę.

– To ty, cudzoziemcze?

Opuścił ciężko obciążony worek na deski ganku.

– Przyniosłem tu wam...

– Lepiej tu nie przychodź – stwierdziła surowym głosem. – Lepiej, żeby żaden z was się tu nie pokazywał...

– Niedługo się stąd wyniesiemy – zapewnił ją. – Wszyscy, co do jednego.

– To dobrze.

– Mogę wejść do domu?

– Nie.

– Zanim odejdziemy – powiedział – chciałbym zapytać... Wtedy, w nocy, coś zobaczyłem. Tam, na niebie, nad lasem...

– A! – stara kobieta zacisnęła gniewnie wargi. – Tobie też się pokazali!

– Kto to?

– Mówiłam, andry.

– To ludzie? A może... nie ludzie?

– Po prostu andry. Gapiący się. Chcieli popatrzeć, co się dzieje. Oni zawsze się pojawiają, gdy coś się stanie.

– Wtrącają się, robią coś?

– Nie! Po co? Oni tylko patrzą.

Z głębi domu doleciał odgłos ciężkich kroków i na progu chaty pojawił się starosta. Postawiwszy na ziemi wiadro z karmą dla świń, wbił w Simona ciężkie spojrzenie.

Nie podszedł bliżej. Simon, nie umiałby rzec, czy tamtym kierował strach, czy pogarda i niechęć.

– Chciałem... – zaczął, ale Micheasz nie dał mu dokończyć zdania:

– Idź ty lepiej stąd, chłopcze. Nie masz tu nic do roboty. To wszystko przez was, to wasza robota – dopóki się nie zjawiliście, było tu spokojnie. Myśmy nikogo nie ruszali i nas nikt nie ruszał...

„Kiepska sprawa – pomyślał Simon. – Chłop w zasadzie ma rację. A jeszcze gorsze jest to, że my nie możemy stąd odejść. No, przynajmniej niczego się nie dowiedziawszy. Teraz on się mnie boi i trzeba to jakoś wykorzystać. Ale wszystko jedno... parszywie”.

Starając się, żeby jego głos brzmiał zdecydowaniem i stanowczością, odpowiedział:

- Niedługo stąd odejdziemy.
- Przyszlście i odejdziecie... A kto mi wróci Jadzię?
- On szuka andrów – odezwała się starucha.

Starosta splunął przez lewe ramię.

– Komu są potrzebni nieludzie? – mruknął z pogardą w głosie. – Tylko nieludziom... No cóż, może się jakoś zgadacie.

– O, nie! – stara pokręciła głową. – Oni się nie zgadają. Lepiej stąd odejdz, cudzoziemcze, odejdz jak najprędzej!

– Proszę was... – westchnął Simon błagalnie. – Pomóżcie mi. To sprawa życia i śmierci...

I dodał innym już tonem:

– Nie chcę ściągać na was dodatkowych nieszczęść. Pomóżcie nam, i odejdziemy.

Starosta przestąpił z nogi na nogę. W jego oczach zapłonął mroczny ogień.

– Ich można zwabić – odezwał się wreszcie. – Wiedziałeś o tym?

– Micheaszu! – ostrzegła go starucha.

– Zwabić? – zapytał Simon. – Jak?

– To już nasza sprawa. Co mi za to dacie?

– Co zechcecie.

Starosta się wyraźnie ożywił:

– Jak byłem u was po lemiesz, widziałem jeszcze mnóstwo innego dobra.

– Owszem.

– Chcę wszystko. W przeciwnym razie nie warto mi nawet gęby otwierać...

„Kiedy będziemy się stąd wynosić, te wszystkie śmiecie na nic się nam nie zdadzą – pomyślał Simon. – I mało jest prawdopodobne, żeby coś z tego przydało się androm, kimkolwiek by byli. Oczywiście, trzeba będzie jeszcze uzyskać zgodę Komeńskiego, ale on nie będzie miał wyjścia. Nikt z nas nie ma innego wyjścia...”

– Dobrze – zgodził się. – Kiedy?

– Jutro – stwierdził starosta. – I przynieście ze sobą to, co mi dacie za Jadzię. Potrzebny wam będzie wóz?

– Nie, mamy swój.

– To dobrze. Bo moi ludzie boją się do was zachodzić.

– Przyjdę jutro – potwierdził Simon.

– Przyjdźcie wszyscy. Oni pokażą się tylko wszystkim.

„Trzeba będzie przygotować kamerę – pomyślał Simon. – I nawiązać łączność z Lagrange’em, niech wypuści swojego Obserwatora”.

– Nie rób tego, cudzoziemcze – ostrzegła go starucha.

– Więc jak? – zapytał Micheasz za jej pleców.

– Zgoda – odpowiedział Simon. – Zgoda.

* * *

– Słyszałeś? – Simon podkreślił strojnik, ale to nie pomogło. Po ekranie nadal pełzały zakłócenia.

– Tak – przyznał niechętnie Ulisses. – Już słyszałem. Zrobimy wszystko, co się da. Co jeszcze?

– Jest Diana?

– Zajmuje się tymi nowymi.

– To ci wasi synowie prerii?

– Tak. Rozszerzyliśmy program. Może zdążymy.

– Posłuchaj Ulissesie, chciałbym porozmawiać z tą dziewczynką. Pamiętasz, opowiadałeś mi... Da się to jakoś urządzić?

Ulisses pokręcił głową.

– Ona już tu nie przychodzi.

– A co się stało?

– Konflikt wewnętrzny. Rozumiesz... spieszmy się. Ci stepowi wszystko sobie przyswajają szybciej, a nasi sąsiedzi puszczali do nas tylko ją... a i to niechętnie. No i postanowiliśmy przyspieszyć bieg wydarzeń. Sprowokowaliśmy bijatykę. Tamci ją zabrali i ona się tu teraz nie pokazuje.

– Szkoda.

– Owszem. I dziewczyny żal. Diana bardzo to przeżywa. Bardzo. Mocno się z nią zżyła.

– Nigdy bym nie pomyślał, że Diana może się do kogokolwiek przywiązać.

– Ja też.

– Mimo wszystko spróbuj to jakoś urządzić. A może ci nowi coś wiedzą?

– O tym twoim fenomenie? Tym ze światłami na niebie?

– Tak. On przypomina świecącą soczewkę – a wewnątrz coś się jakby porusza...

– No dobrze – stwierdził Ulisses dość obojętnym tonem.

– W razie czego dasz znać od razu?

– Tak. Oczywiście. Trzymajcie się tam jakoś, dobrze?

– To już niedługo. Wkrótce się zobaczymy – powiedział Simon i przerwał seans łączności.

Skrzywił się mimo woli – zbyt wielką wydała mu się pewność brzmiąca w jego własnym głosie.

* * *

Gedeon zamknawszy oczy leżał na koi w laboratorium. Monitor był już wyłączony, czujniki zdjęto – teoretycznie pacjent dawno już mógłby wstać, ale Gedeon niczego nie robił, nawet nie czytał, choć osłonięta lampa świeciła z całą mocą. Młody człowiek po prostu leżał bez ruchu.

– Jak się czujesz? – zapytał Simon czując się dość głupio.

– Nieźle – odpowiedział Gedeon nie otwierając oczu.

– Posłuchaj... potrzebuję twojej pomocy.

– Tak? – odpowiedź była pozbawiona wszelkiej intonacji.

– Komenski poprosił, żeby zobaczyć... znaczy, chcę powiedzieć...

– Tak?

– Trzeba ekshumować ciało.

– I co, oprócz mnie nie masz nikogo innego?

– Stary, znasz reguły równie dobrze, jak ja – szef wychodzi spod ochronnej kopuły tylko w wyjątkowych wypadkach. Kogo mam poprosić o pomoc? Oliwię? Nataszę?

– Czemu by nie? Nic im nie ubędzie.

– Ubędzie. Oliwia ciągnie resztkami sił. Natasza zresztą też. Kiedyś ty ją widział ostatnio?

– Nie pamiętam...

– Gedeonie, proszę... weź się w garść.

– Dość mi, że go zabiłem. A teraz jeszcze i to...

– Zabiłeś nie jego. Dobrze o tym wiesz.

Simon westchnął i przysiadł na brzegu koi.

– Posłuchaj, Gedeonie. Pamiętasz to zjawisko, które razem widzieliśmy? A co, jeżeli właśnie tego szukaliśmy? Przecież to niewątpliwie obiekt sztuczny.

Gedeon uchylił nieco powieki, spod których wymknął się błysk zainteresowania.

– Tak uważasz?

– Tak uważam. Możliwe, że w najbliższym czasie uda nam się nawiązać z nimi łączność... kimkolwiek by byli.

– Przybysze?

– Boże, a co to za różnica? Przybysze z innych światów, czy ludzie – sam chyba rozumiesz, czym dla nas byłoby takie spotkanie... Być może jeszcze nie wszystko stracone...

– Nie rozumiem, po co do tego rozkopywać mogiły... – mruknął Gedeon.

– Przecież sami nie wiemy, jak to jest.

– Naprawdę?

– Przyda się nam każda wiedza... każda.

– Nic nam już się nie przyda. No dobra – Gedeon usiał na koi. – Tylko... zabierzmy go stamtąd, dobrze?

– Dobrze – zgodził się Simon. – Zabierzemy go.

„W takim razie – pomyślał – trzeba nam przygotować hermetyczny pojemnik. Zabawne, Wienera by to chyba nie ucieszyło. W zasadzie pochowano go tak, jak tego chciał”. I dodał na głos:

– Zajdę po ciebie za pół godziny. Pozbieraj się do tego czasu, dobrze?

– Tak – głos Gedeona zauważalnie okrzepł. – Wziąłem się już w garść.

* * *

Nad lasem unosił się cienki, niebieskawy sierp młodego miesiąca, wspierający się na wierzchołkach świerków. Polana była pusta, na jej środku wznosił się świeżo usypany pagórek, poprzecinany ostrymi cieniami. Zaorany pas otaczający wioskę wił się niby czarna rzeka.

– Po co im to było? – zdziwił się Gedeon.

– Myślę, że uważają to za ochronę przed nieczystą siłą.

– Coś w rodzaju pasa neutralizującego?

– Metafizycznie – tak.

Gedeon westchnął.

– Napędziliśmy im nielicznego stracha...

Wygasiwszy światła niemal bezgłośnie pomrukującego mobilu Simon wyjął ze schowka na narzędzia plastikowy pojemnik i instrumenty.

– Owszem – stwierdził – a teraz ten strach będą podsycali ostatnie wydarzenia. Komenski ma rację – trzeba nam się stąd wynieść i to jak najszybciej – nie wytrzymamy tego napięcia i naporu wrogości.

– Być może Wiener okazał się po prostu najslabszy?

– Nie sądzę – odpowiedział Simon. – Ale był chyba najbardziej podatny na wpływy.

Z rozmachem wbił w pagórek ostrze łopaty. Czarna tłusta ziemia odchodziła całymi płatami.

– Wiesz, on wszystko przyjmował za bardzo poważnie.

– Za bardzo się przejmował.

– Tak – odparł Simon. – Za bardzo się przejmował.

Miesiąc wznosił się wyżej; na polanie czerniała już górka wykopanej ziemi.

– Otwórz pojemnik – powiedział Simon. – Nie dotykaj tego rękami. Tam, w bagażniku są manipulatory.

– W takim razie – stwierdził po namyśle Gedeon, otwierając pokrywę bagażnika – lepiej w ogóle nie wychodzić z obozu. Sam wiesz, kopuła ochronna działa jak ekran. Dłużej się utrzymamy.

– O ile dłużej? Pozostawieni samym sobie? A kiedy wyczerpie się energia? Wtedy i kopuła

przestanie istnieć. Wszystko pozostałe też diabli wezmą. No dobrze, nie ma co rozprawiać – tak czy owak jutro wszystko się wyjaśni.

– Ty w nich wierzysz? Znaczy... w tych na powietrznych poduszkach?

– Nie – odpowiedział szczerze Simon. – I to właśnie napawa mnie nadzieją. Otworzyłeś?

– Tak.

– Dobra. Podsuń go tutaj.

Nocna wilgoć przeniknęła Gedeonowi za kołnierz i młody człowiek poczuł dreszcz.

– Długo jeszcze?

– Nie. Co za cholera!

Simon odpiął latarkę i skierował snop światła na czerniejącą pośrodku polany jamę.

– Co tam? – zapytał niespokojnie Gedeon.

– Zobacz sam.

– Nie. Nie chcę.

– A jednak zobacz.

Gedeon niechętnie pochylił się nad jamą.

– Tu nic nie ma! – szepnął cicho.

– Tak.

– Co to ma znaczyć, Simonie?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Simon odrzucił na bok bezużyteczną już łopatę i rozejrzał się dookoła. Zebrane w milczący czarny mur wokół polany świerki, kpiąco kołysały kosmatymi wierzchołkami, a miesiąc, który zdążył tymczasem wspiąć się do zenitu krzywił głowę i mrugał znacząco... Pomiędzy gałęziami rozległ się szelest, Simon sprężył się odruchowo, ale natychmiast się rozluźnił – polana jak dawniej była pusta i tylko tuż nad ziemią na swoich ogromnych skrzydłach bezgłośnie śmignęła wielka sowa. Musnąwszy niemal szponami jego włosy przemknęła cicho nad jamą i przepadła w mroku nocy...

* * *

– Nic? – zapytał po raz drugi Komenski.

– Nic – odpowiedział Simon. – Pusto.

– Ale przecież...

– Wiem, nie tego się spodziewaliśmy. Ale Ziemia to nie Syriusz. W grę mogą wchodzić jakieś nieznanne nam czynniki.

– Czas, czas... – mruknął Komenski. – Czas nas pogania. Wiesz, że kończy się nam energia? Wkrótce już nie będziemy mogli zaufać stabilności ochronnej kopuły. Syntezator też przestanie

funkcjonować.

– Au Lagrange’a?

– Jak nie jutro, to pojutrze staną przed tym samym problemem.

– Jeżeli się do nich przyłączymy, to zwiększy się obciążenie generatora.

– Tak, ale czasu będziemy mieli więcej. Wciąż jeszcze nalegasz na przeprowadzenie tego twojego *experimentum cruris*? [(lac.) – eksperyment rozstrzygający o dalszym losie i kierunku badań.]

– To nie jest bardziej szalone od poszukiwań wampirów. W każdym zaś razie jest bezpieczniejsze.

– Jesteś pewien?

– Starucha mówiła, że oni nic nie robią. Kimkolwiek by byli, Amosie, są zupełnie nieszkodliwi.

– Sonda z innej planety? Jeszcze jedni badacze?

– Możliwe...

– Ale w takim razie... to byłby ratunek.

– Zupełnie możliwe.

– Tak czy owak, trzeba powiadomić grupę Lagrange’a. Jeżeli pójdziemy wszyscy, to oni niech wywieszą Obserwatora. Przygotujcie wszelką broń, i załadujcie iniektor ampułkami usypiającymi, tak na wszelki wypadek. Podładujcie też akumulatory mobilu – nie chcę, żeby w decydującym momencie cokolwiek zawiodło. Ale, ale... Simonie, czy jesteś pewien, że powinniśmy się zgodzić na ich warunki?

– O czym ty mówisz? O tych naszych rupieciach?

– Tak.

– Więcej nam nie będą potrzebne. Jeżeli przeniesiemy się na równinę, to będziemy mogli zabrać ze sobą tylko rzeczy niezbędne.

– Tak. Co prawda, to prawda. Nawet archiwum trzeba będzie zostawić. I te obrazy Nataszy.

– Biedna Natasza!

– Owszem, na pewno ją to zasmuci. Powiedz jej jednak, żeby na wszelki wypadek przygotowała kontenery – a nuż się uda...

– Dobrze. Posłuchaj, Amos...

– Co?

– Dręczy mnie niepokój. Coś tu nie gra.

– Sam tego chciałeś.

– No tak, chciałem. Rozumiem, że nie mamy innego wyjścia, ale...

– W takim razie podczas porannego seansu łączności trzeba będzie powiedzieć Lagrange’owi, żeby przygotował kopter. Na wszelki wypadek.

– Dobrze – stwierdził Simon. – Dobrze.

* * *

Galeria była zalana sztucznym światłem, które sprawiało, że okna wydawały się czarnymi dziurami w ścianach, a porozwieszane na niej obrazy wyglądały na prawdziwe okna do innego, radosnego i pełnego harmonii świata, w którym weseli, odświeżeni odziani ludzie spacerowali po alejkach zadbanych parków, albo zasiadali w spowitych bluszczem i pełnych róż altankach. Simon szedł wolno wzdłuż ściany, sycąc się złotem i lazurem obrazów i doskonałością ich form. Niekiedy wydawało mu się nawet, że słyszy śmiech i głosy dolatujące ze starannie przyszytych alejek, czemu towarzyszyła cicha, łagodna muzyka i szmer fontann; a jednocześnie czuje aromat złocistych, dojrzałych owoców, porozkładanych na srebrnych i porcelanowych tacach.

Tak go to wciągnęło, że nie od razu spostrzegł Nataszę. Dziewczyna ulokowała się na przeciwległym krańcu galerii przy ogromnych sztalugach i zaciekle coś chyba kopiowała. Od czasu do czasu mrużyła oczy, i odmierzając palcem odległość na pędzlu usiłowała ocenić rozmiar wedle znanej metody malarskiej. Po wydarzeniach ostatnich dwóch dni widok ów wydał się Simonowi tak niezwykłym, że przez pewien czas stał tylko za plecami dziewczyny, niezdolny do wymówienia choć jednego słowa.

– Co ty robisz?

Natasza odwróciła się ku niemu z ożywieniem. Lewy policzek miała umazany farbą.

– Wiesz, okazuje się, że to jest bardzo proste. Syntezator tworzy farby, które w niczym nie są gorsze...

– Ależ ja nie o tym. Po co kopiujesz obraz?

Natasza spojrzała na niego ze zdziwieniem:

– Żeby rysować, trzeba się najpierw uczyć, prawda? Tak robili wszyscy starzy mistrzowie...

Simon pokręcił głową:

– Nie mam pojęcia. Według mnie zaczynali od malarskiego alfabetu. Perspektywa, światłocien... Posłuchaj, teraz nie ma czasu na to, żeby się tym zajmować. Komenski kazał się zbierać – lepiej poukładaj te wszystkie dobra w kontenerach... a potem... trzeba nawiązać stałą łączność z grupą Lagrange'a.

– Ale widzisz przecież – stwierdziła Natasza z roztargnieniem – że jestem zajęta. Pracuję.

Simon poczuł, że po karku pełnie mu żmijka chłodu.

– A czy ty choć zdajesz sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje?

– A co miałyby się dziać? – odpowiedziała Natasza pytaniem na pytanie. – Wszystko jest w najlepszym porządku. Simonie, zostaw mnie samą... Przeszkadzasz mi.

– Przestań! – rzucił ostro, chwyciwszy ją bezceremonialnie za ramię. – To nie praca! To

imitacja! Robisz nieudolne kopie, które do niczego się nie nadadzą! Ocknijże się wreszcie!

Natasza odrzuciła pędzel i spojrzała na Simona oczami pełnymi łez:

– Odejdź! Wszystko psujesz i niszczysz!

Odwrócił się i odszedł, ścigany okrzykami Nataszy:

– To nieprawda! Ja też potrafię! Jestem artystką! Nie jestem gorsza od nich!

Dobiegł do selektora i wcisnąwszy guzik, zawołał na cały zamek:

– Gedeonie! Oliwio! Amosie! Chodźcie tutaj!

* * *

– I co? – zapytał Gedeon.

– Dałem jej środki uspokajające. Zostanie przy niej Oliwia. Teraz usnie, ale potem, kiedy się obudzi, być może przez jakiś czas będzie... niezbyt kontaktowa.

– Jak długo?

– Mam nadzieję, że niedługo. – Komenski zerknął na zegarek. – Simonie, połącz się z Lagrange'em. Natychmiast. Wyjaśnij mu sytuację i powiedz, że w każdym wypadku, czymkolwiek by się skończyła próba kontaktu, przyłączamy się do jego grupy. A oni niech prowadzą obserwację zewnętrzną i w razie konieczności niech wyślą kopter. Ja też przygotuję maszynę do lotu – w razie dodatniego rezultatu sami do nich dotrzemy.

– Zrozumiałem.

– Znaczy, Oliwia zostanie z Nataszą... Gedeonie, chodź ze mną. Ty, Simonie, przyłączysz się do nas po seansie łączności z Lagrange'em. Nikt więcej nie zostanie już dłużej sam. Jasne?

– Tak. Oczywiście.

– To nawiązuj łączność. Leć, Simonie!

Simon odwrócił się i pobiegł korytarzem. Jego powiększony cień gnał za nim niczym prześladowca. Dobiegłszy do aparatuwni pośpiesznie wcisnął sygnał wezwania zewnętrznego i dopiero potem przekręcił wyłącznik, zalewając niewielkie pomieszczenie światłem.

Czekał długo. Ironicznie przelewające się i równe migotanie pustego ekranu raziło go w oczy – a potem monitor rozkwitł jaskrawymi barwami i pojawiła się na nim czyjaś smągła, tatuowana gęba.

– Stacja na nasłuchu – odezwał się nieznajomy oficjalnym tonem.

„Bywał chyba obecny na seansach łączności” – pomyślał Simon. Ale nawet widok tej obcej, obojętnej twarzy sprawił, że serce zaczęło mu bić równiej i zdołał opanować oddech.

– Przyjacielu, wezwij Lagrange'a.

– Mój przyjaciel Lagranż jest na naradzie – odparł tubylec z satysfakcją wymawiając dźwięczne słowo „narada”.

– Jaka może być narada pośrodku nocy?

– Bardzo ważna. A czemu ty go niepokoisz pośrodku nocy?

– Nie twoja rzecz – odpowiedział sucho Simon. – Jak Lagrange nie może się zgłosić, poproś Ulissesa.

– Mój przyjaciel Ulisses też jest na naradzie. Wszyscy moi przyjaciele są na naradzie.

– Do diabła! Muszę natychmiast porozmawiać z jednym z nich! Natychmiast, słyszysz ty...

„Malowana małpo!” – tak miało zabrzmieć zakończenie zdania, Simon w porę jednak ugryzł się w język.

– Tu nikogo nie ma – odpowiedział tubylec podsuwając twarz do ekranu. – Jestem tylko ja. Mroczek.

– Co się tam u was dzieje?!

– Wszystko w porządku... – odpowiedział niewzruszony plemieniec – wszystko idzie zgodnie z planem. Być może mój przyjaciel Lagranż porozmawia z tobą rano...

– Rano?! Ale rano będzie za późno... Posłuchaj, przekaż mu chociaż, że...

Ekran rozbłysnął osobiwie i ponownie zalała go mleczna poświata. Simon naciskał sygnał wywołania, ale ekran nadal pozostawał pusty.

* * *

Komeńskiego i Gedeona znalazł na zamkowym dziedzińcu. Pod migotliwą kopułą ochronną wydali mu się dwoma poruszającymi się w półmroku cieniami. Obok nich przesuwały się jeszcze jakieś inne cienie – niższe i bardziej przysadziste – automatyczni tragarze wywozili ze składziku rzeczy i składali je na otwartej przyczepie mobilu. Oparty o ścianę hangaru Gedeon manipulował automatami za pomocą przenośnego pulpitu.

Komenski stał pośrodku dziedzińca i wetknąwszy dłonie w kieszenie kombinezonu patrzył w niebo: kopuła sprawiała, że wyglądało jak zalane jednolitym, niezbyt jasnym światłem, w którym zupełnie rozmyły się gwiazdy, tworząc roziskrzoną feerię migotliwych punkcików.

– Uprzedziłeś Lagrange’a? – zapytał Simona nie odwracając głowy.

Simon rozluźnił kołnierz kombinezonu.

– Nie.

Komenski odwrócił się szybko i spojrzał na rozmówcę. Jego oczy wyglądały jak dwie dziury pełne mroku.

– Jak to – nie! Dlaczego?

– Na wezwanie odpowiedział tubylec. Jeden z tych Mohikanów. Powiedział, że nasi są na naradzie. Amosie, o czym oni tam mogą radzić pośrodku nocy?

– A u nas, co?

– Może tam też wydarzyło się coś złego? Może plunąć na wszystko i polecieć do nich – natychmiast i bez zwłoki?

– I stracić być może ostatnią szansę? Jak tamten tubylec się zachowywał?

– Spokojnie.

– To może tam też odbywa się analogiczna próba kontaktu?

– Spontanicznego?

– No tak, bo w przeciwnym razie by nas powiadomili. Tak czy inaczej, będziemy działać zgodnie z planem. Spróbujemy nawiązać kontakt, a potem niezależnie od wyniku, ewakuujemy się stąd. Jeżeli będą nami zainteresowani, to sami nawiążą z nami łączność – z taką technologią zrobią to bez wysiłku. Gedeonie, wyślij serwy do zamku. Niech wszystko popakują do hermetycznych pojemników – i na dół. Do bunkra. Jak wszystko pójdzie dobrze, wrócimy po oprzyrządowanie i eksponaty. Simonie...

– Tak?

– Uruchom system poszukiwań według indykatorów. Na wszelki wypadek. Kto wie, może trzeba będzie odejść daleko od obozu? I weź ze sobą pelengator.

– Ja...

– Pospiesz się, Simonie. I proszę cię, weź się w garść. To już niedługo...

Simon ostrożnie wyrównał oddech. Rozpływające się zarysy przedmiotów nabrały ostrości, serce waliło nierówno, głucho, ale biło.

– Nie przejmuj się – odpowiedział. – Nie zawiodę...

* * *

Woda była jaśniejsza od nieba, a porozrzucane na niej wysepki wydawały się czarnymi. Dzika kaczka zatrzepotała skrzydłami i poleciała, zostawiając za sobą długi, ciemny pas piany, wyglądający jak cięta rana na powierzchni rzeki. Ślad szybko jednak się zaciągnął.

Niebo na wschodzie było nieznośnie białe – i mętne, świecąca plama łatwo się w nim rozpuściła.

– Szczerze mówiąc – odezwałam się – ja nie bardzo wierzę w to, że oni przylecieli z gwiazd, Ulissiesie. Oni tu byli od wieków.

– A skąd mielibyście to wiedzieć – odparł ze złością w głosie. – Nie prowadzicie przecież żadnych Kronik! A w archiwach nie znaleźliśmy nawet wzmianki o podobnych zjawiskach.

– A gdyby ktoś zrobił taką kronikę teraz? Dałoby się ją przeczytać za sto lat?

– Nawet za dwieście – odparł z roztargnieniem.

– I wszyscy się dowiedzą, że kiedyś dawno temu ktoś coś zobaczył?

– O ile wtedy jeszcze ktoś będzie umiał czytać. Wygląda na to, że ta szacowna sztuka nie

cieszysz się tu zbyt wielkim powodzeniem.

– Myślisz, że tak być nie powinno? – zapytałam.

– Tak – odpowiedział. – Myślę, że tak być nie powinno. Wiesz, co jest najzabawniejsze? Te obiekty... Być może tam, na drugiej stacji, niedawno zaobserwowano coś podobnego. Ale my im nie uwierzyliśmy – uznaliśmy, że to halucynacja. Tam akurat się zdarzył WN...

– Co się zdarzyło?

– Wypadek nadzwyczajny. Nieszczęście – stwierdził ze złością. – A ja doszedłem do wniosku, że im coś się wydało...

– Nieszczęście? Jakie?

– Nie twoja sprawa – uciął.

– I dlatego nie zaczęli was szukać?

– Nie wiem – odpowiedział. – Nie wiem. W zasadzie... mogło się tam wydarzyć to, co u nas... Choć to jeszcze nie byłoby najgorsze.

– A... – Ulisses rzucił mi tak mroczne spojrzenie, że ugryzłam się w język i zapytałam o coś innego. – Czy twoi ludzie mogliby nas odszukać nawet tutaj?

– Gdziekolwiek – odpowiedział. – Tutaj – poklepał się po piersi – jest wmontowany miniaturowy nadajnik, który przekazuje biorytmy serca.

– Dopóki ono bije?

– Tak.

– I ktoś tam, daleko, widzi je i słyszy?

– Tak. I może określić miejsce, skąd dochodzą sygnały.

– Ale skoro nikt nas nie odnalazł, to może oni wszyscy nie żyją, Ulissesie? A ty zostałeś sam jeden, jak palec?

– Nie mogę zostać sam jeden – odpowiedział sucho. – To w praktyce niemożliwe. Do diabła, gdybyśmy mieli choć jeden nadajnik! Żeby była jakakolwiek łączność...

Poczułam, że w kark wpiera mi się zimne, uważne spojrzenie. Odwróciłam się i zobaczyłam, iż na wodzie tańczy jasna plama, ale tym razem była daleko od nas.

– Popatrz, jeszcze jeden! – powiedziałam. – Roją się, jak muchy.

Ulisses znieruchomiał, chłonąc nikły blask szeroko otwartymi oczami. Po chwili zapytał:

– Dawniej też tak było?

Wzruszyłam ramionami:

– Nie wiem... ale chyba nie.

– Może... – odezwał się niepewnie – może oni chcą nas obserwować?

– A do czego bylibyśmy im potrzebni?

– Może przedtem nie zrozumieli... pomyśleli, że my...ogólnie rzecz biorąc zrobiło się ciekawie, więc nas śledzą.

- Co oznacza, że wkrótce będziemy mieli kłopoty.
- To po prostu przesąd – powiedział łagodnie, jakby zwracał się do idiotki.
- No tak – odpowiedziałam. – A jakże... A ta wasza stacja, daleko jest?
- Północny zachód ku zachodowi – powiedział. – Do źródeł rzeki i przez góry.
- Tu nie ma gór.
- Pewnie, że nie ma – odparł. – Do nich jest jeszcze co najmniej dziesięć dni forsownego marszu.

– I ty naprawdę myślisz, że do nich dotrzemy?

– Bardzo liczę na to, że oni nam pomogą – przyznał. – W przeciwnym razie...

– Ty znowu swoje! Mówię ci, że jeżeli ktoś tam jest, to tylko martwiaki. A ci za nic nam nie pomogą!

Umilkł, a ja dodałam:

– Może ty myślisz, że oni się tu kręcą akurat z twojego powodu? My dla nich jesteśmy niczym bioto pod nogami, a tu proszę, zebrali się wszyscy, żeby na ciebie popatrzeć?

Znów nie odpowiedział i zrozumiałam, że trafiłam w sedno.

– W takim razie nie jesteś wcale lepszy od nich.

– No to co? – zachnął się. – Czemu się wściekasz? Może naprawdę mają swoje przyczyny, dla których zwrócili uwagę na mnie? I co z tego? Nie zostawię cię przecież.

– Ale ja tam nie pójdę. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego, choćbyś mnie zabił.

– Dobra – powiedział. – Po co się spierać... Zobaczmy, jak będzie. Trzeba przynajmniej postarać się podejść do nich bliżej.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, to oni sami do nas przyjdą.

Wyobraziłam sobie, jak wiszą nad obozem koczowników i nad maleńkimi wysepkami, na których się zatrzymywaliśmy – łańcuch bezgłośnych, świecących płam odbijających się w wodzie. Koczownicy szybko się do nich przyzwyczajają.

Łęgi były tu tak zarośnięte trzcinią i tatarakiem, że wyglądały jak jedna wielka płycizna – co z pewnością było zwodnicze, bo w takich miejscach trafiają się najbardziej niebezpieczne topiele. Przydałaby nam się łódka – jedna z tych małych, chwiejnych ale zwinnych łódeczek, których od wieków używali rybacy na brzegu; gdybyśmy trafili na jakąś przyzwoitą społeczność, dostalibyśmy taką w zamian za jeden z noży – rybacy bardzo sobie cenią żelazo – w ostateczności moglibyśmy ją ukraść.

Pocieszało nas to, że koczownikom było jeszcze gorzej – żaden z nich nie umie pływać.

Inna sprawa, że jak oni sobie coś wbijają do głów, to nie zrezygnują. Powinna być o tym pamiętać – ale dałam się zwieść myślom o tych rozmaitych bzdurach na temat tych latających draństw – z których nie mielibyśmy żadnego pożytku i nie doczekalibyśmy się pomocy...

Zobaczyłam ich, kiedy przedostawali się przez bystrzyny – wody tam było ponad wzrost

człowieka, ale ich głowy unosiły się nad powierzchnią. W pierwszej chwili pomyślałam, że płyną trójkami – przy każdej ciemnej plamie były jeszcze dwie inne – ale potem zrozumiałam, że oni po prostu nadmuchali powietrzem skórzane bukłaki na wodę, które utrzymywały ich na powierzchni, choć jednocześnie przeszkadzały w poruszaniu się, bo prąd je znosił na kępy trzcin, oni jednak uparcie przedzierali się na drugą stronę rzeki.

Zbliżyli się już na odległość pewnego strzału z łuku i pomyślałam ze strachem, że nic im nie przeszkodzi w podziurawieniu nas strzałami, ale zaraz potem zrozumiałam, że strzelać nie będą – jeżeli nawet któryś dureń ogarnięty zapałem zabrał ze sobą łuk do wody, to po takiej kąpieli cięciwa nieprędko wyschnie.

– Widziałeś? – zapytałam szeptem Ulissesa.

Wciąż jeszcze nie mógł oderwać wzroku od świetlistej, widocznej w dali plamy, która wisiała nad wodą jak przedtem, nie ruszając się z miejsca.

– Co? – zapytał i zaraz dodał zupełnie innym tonem: – O do diabła!

– Nieżle się na nas uwzięli. I to wszystko z powodu kilku parszywych trupów?

– Ja myślałem, że zatrzyma ich to, co się tam stało – mruknął mój towarzysz. – Ale widać wyszło na odwrót. Mszczą się na nas za swój strach.

Nie było sensu pytać, co mogło przestraszyć koczowników, którzy według mnie w ogóle niczego się nie boją, ale zdażyłam już zrozumieć, że on mi niczego nie powie. Koczownicy nas widzieli, ale zbliżali się w całkowitym milczeniu – co było chyba jeszcze gorsze, niż gdyby ryczeli i wyli.

Ulisses też milczał, patrząc w dal z jakąś rozpaczliwą nadzieją – najwyraźniej spodziewał się pomocy, której być nie mogło – i nagle zapragnęłam skrócić mu kark.

– Ty co, zamierzasz czekać aż powyłażą na brzeg? – zapytałam. – Wtedy już w ogóle nie damy sobie z nimi rady.

– A co mam robić? – zapytał smętnie. – Strzelać?

– Nie, stój sobie jak słup.

– Myślę, że to by się im nie spodobało.

– Komu? – zdziwiłam się i natychmiast zrozumiałam. – Tfu! A co to za różnica? A kiedy was tam rznąli, w waszym obozie, to ci świetliści wyrazili sprzeciw? A ja widziałam ich w tamtą noc, byli niedaleko... I co, woleli się nie wtrącać?

Ulisses wzruszył ramionami, niepewny co odpowiedzieć.

– Nie wiem.

– Chcesz im się przypodobać? Jakby komukolwiek był potrzebny przyglup, który nawet obronić się nie umie!

Podczas tego sporu naliczyłam przynajmniej dwudziestu pływaków – choć nie wszyscy zdołali sprostać prądowi i niektórych zniosło na inne wysepki, a kilku wciąż miotało się w nurcie.

– Czemu oni nic nie robią? Mogliby ich jakoś bezboleśnie odstraszyć – odezwał się Ulisses z zadumą w głosie. – Nawet my w sytuacjach ekstremalnych umiemy zastosować gaz łzawiący.

– A jakże! – stwierdziłam. – Pamiętam. Dla wszystkich byłoby lepiej, gdybyście ich wtedy pozabijali... wy też wyszlibyście na tym nienajgorzej.

– Nie w tym rzecz, lepiej czy gorzej – odpowiedział. – Problem w tym...

– Tak, tak... wiem. Dobrze wychowany człowiek nie zabija innych bez powodu.

– Nie tak mówiłem – zaczął kolejny sprzeciw. – Ja...

Najszybszy z koczowników wydostał się już na brzeg. Stał i wyjął zza pleców krótki dzirynt, którymi ci dranie potrafią bardzo celnie rzucać.

Schwyciłam Ulissesa za ramię:

– Strzelaj, o ile jeszcze pamiętasz, jak to się robi!

– Weź ręce! – syknął tylko.

I wymierzył w koczownika swoją dziwną broń. Nie wiem, jak ona działała, ale koczownik wrzasnął nagle i runął na wznak – na jego piersi pojawiła się czarna plama, a wokół zapachniało spalonym mięsem.

– Nieźle! – powiedziałam.

– Bardzo cię proszę, przynajmniej zamilcz! – warknął Ulisses.

Zmienił zamiar i zaczął strzelać w te skórzane worki – wiedziałam, czym to się skończy, on jednak myślał widocznie, że w ten sposób ich nie potopi, a tylko zatrzyma – i bardzo się zdziwił, kiedy trafiony wór wypuścił z sykiem obłok pary, a ciemnowłosa głowa obok podskoczyła kilkakrotnie jak sęp i skryła się pod wodą.

– Załatwiony! – stwierdziłam.

– Utonął? – zdumiał się Ulisses opuszczając swoją broń.

– Przecież mówiłam, że oni nie potrafią pływać!

Wyglądało na to, że łatwiej mu strzelać do skórzanych worków niż do żywych ludzi, choć ja zbyt wielkiej różnicy nie widziałam – tak czy siak, dranie szli na dno. Teraz zobaczyłam, jak działa ta jego broń – wyrzucała z siebie strumień ognia, ale tak cienki, że widać go było tylko wtedy, gdy trafiając w wodę zamieniał ją w obłoczek pary. Wkrótce zresztą ujawnił się całkowicie – nad wodą zebrało się tyle pary, że ścieliła się wokół niczym mgła, a zagubieni w niej tonący ludzie zaczęli krzyżeć gardłowymi, ptasimi głosami.

– To zwykła rzeź! – stwierdził lekko przerażony Ulisses.

Pocieszyłam go tak, jak umiałam:

– Gdyby wydostali się na brzeg, moglibyśmy mówić o szczęściu, jak załatwiliby nas od razu i na miejscu. Tak się zawzięli, że wolę nie mówić, co by nam zrobili, gdyby dostali nas w swoje łapy.

– Coś gorszego, niż tamtym jeńcom?

– Znacznie gorszego, Ulissesie.

– Nie sądziłem, że do tego dojdzie – powiedział.

I ponownie wziął się do roboty. Zrozumiałam już, że on jednak robi wszystko, jak trzeba – najpierw się łamie, ale w końcu nie pęka. Trzeba go tylko przekonać.

Po prostu lubi się trochę pomęczyć i powymądrzać.

Mgła nad wodą trochę się rozwiła i widać już było, że niektórzy z naszych prześladowców ocaleli – ale porzrzucano ich po mniejszych wysepkach albo rozciągnęło w łańcuch z prądem; i teraz wyłazili na brzeg otrząsając się niczym psy. Ale niepowodzenie nie ujęło im zajadłości – gdyby można było zabijać wzrokiem, nie zostałyby z nas nawet kupka popiołów.

Z drugiej strony pasmo wody pomiędzy naszą wyspą i brzegiem było zupełnie puste, widzieliśmy też, że ciągnie się tam język płycizny; doszłam do wniosku, że chyba nawet nie będziemy musieli pływać. Ulisses przez chwilę jeszcze dreptał w miejscu, wlepiając pełne nadziei spojrzenie w migoczący nad wodą świetlisty punkt, a potem westchnął i ruszył za mną. Brzeg był tu porośnięty wikliną i nawet z wody wystawały krzaki wyższe ode mnie, Ulisses wciąż się oglądał i to chyba było przyczyną tego, co stało się potem.

W tych zaroślach coś chlupnęło i w pierwszej chwili pomyślałam, że spłoszyliśmy jakiegoś ptaka albo wydrę, których tu nie brakowało, ale natychmiast pojęłam, że popełniłam błąd. Nad brzegiem wody stał Mroczek, z krzaków wyskoczyło zaś dwóch koczowników, którzy teraz zajęli nam tyły.

– Wiedziałem, że jeszcze się spotkamy, moje gołąbeczki – powiedział.

Ulisses znieruchomiał. Patrząc na koczownika raz po raz naciskał występ na rękojeści broni, ale ta nie wiadomo dlaczego, nie strzelała. Na przymocowanej z góry płaskiej tabliczce zamiast zielonego, migało czerwone światełko.

Mroczek krzyknął coś do jednego ze swoich i ten natychmiast rzucił się na mnie; usiłowałam pobiec ku wodzie, ale drań dopadł mnie w dwóch skokach, capnął za włosy i rzucił na ziemię. Potem, choć gryzłam i drapałam, podniósł mnie ponownie jednym szarpnięciem i lewą ręką przystawił mi do gardła mój własny nóż.

Ulisses wściekle tłukł dłonią w rękojeść swojej broni i w końcu udało mu się osiągnąć to, że czerwony ognik znów stał się zielonym. Mroczek tymczasem nawet się nie odezwał i nie poruszył – patrzył tylko nieco zmrużonymi w drwiącym uśmiešku oczami.

Ulisses wziął się chyba w garść – wyprostował się i bez słowa z nieprzeniknioną miną skierował niewidoczny promień na najbliższą kępę wikliny. Krzaki zasyczały, potem liście zwinęły się w rurki, poczerniały i buchnęły ogniem. Lekki wietrzyk podsycał płomienie i tchnął ku nam żarem.

Ulisses skierował broń na Mrocza.

– Każ ją puścić – powiedział.

Mroczek nawet nie ruszył powieką.

– Ani myślę, mój przyjacielu Ulissiesie – odpowiedział. – Zdążyłem już cię trochę poznać. Nie wystrzelisz. Bo jeżeli mnie zabijesz, dziewczynie poderżną gardło. Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, zabiłbyś mnie – ja na twoim miejscu tak właśnie bym zrobił. I to byłoby rozumne – w takim wypadku zabito by ją od razu. Przecież wiesz doskonale, że i tak ją zabiją – a jednak nie strzelisz. Co prawda wy zawsze postępowaliście dziwnie.

Trzeba powiedzieć, że miał absolutną rację.

– Zabij go! – krzyknęłam.

Ale koczownik, który mnie trzymał, tak zgniótł mi krtań, że zdołałam jedynie zacharceć.

Ulisses nie opuścił broni, ale i nie wystrzelił. Stał błądy jak trup i rozglądał się na boki z jakimś osobliwym wyrazem oczekiwania w oczach.

– Zawsze byliście słabi – powiedział Mroczek. – Od razu to zrozumiałem. Dlatego, że wierzyliście w to, w co chcieliście wierzyć. I dlatego bardzo brzydko umieraliście. Nie umiecie umierać. Gdzie twoja godność, mój przyjacielu Ulissiesie? Gdzie godność was wszystkich?

– Ty skurwysynu... – odpowiedział Ulisses z bezsilną wściekłością.

„Czego się po nim spodziewać? – pomyślałam. – Przecież to przygłup”.

Mroczek nawet nie ruszył powieką.

– A teraz odłóżysz tę swoją broń, która nie jest w stanie uczynić cię mężczyzną – powiedział – i dasz się związać. Jak nie, to na twoich oczach poderżną jej gardło. Odłóż tę sztuczkę na piasek i odejdz kilka kroków.

Ulisses się wahał. Zastanawiał się widać, czy nie zdoła strzelić tak, żeby mnie nie zranić. Oczywiście nic by z tego nie wyszło – koczownicy nie byli aż takimi durniami. Liczyłam na to, że jednak wystarczy mu męstwa a ja nie będę musiała się już poniżyć i cierpieć tego, co miało nieuchronnie nastąpić – ale powinnam była pamiętać, z kim mam do czynienia. Mój towarzysz pochylił się powoli i położył tę swoją strzelawkę.

– Nóż! – powiedział Mroczek. Ulisses odczepił nóż od pasa i rzucił go na ziemię.

Mroczek skinął jednemu ze swoich rzeźników, który podszedł do Ulissesa nie bez obawy, ale Gwiezdnik pozwolił się związać bez oporu.

– Dlaczego? – zapytał, podchodząc do Mroczka.

– Bo każdą sprawę należy doprowadzać do końca, przyjacielu! – odpowiedział uprzejmie koczownik.

– Przecież nie chcieliśmy niczego złego! Mieliśmy jak najlepsze zamiary!

Mroczek wzruszył ramionami i nie odpowiedział.

– No to chociaż ją puście wolno! Czyżbyście nie mieli w sercach nawet kropli miłosierdzia?

– Nie poniżaj się – powiedziałam.

Wojownik, który mnie trzymał, był teraz zajęty wiązaniem mi rąk za plecami, do czego użył

surowego rzemienia. Puścił moje gardło i dlatego mogłam się odezwać – ale co z tego?

– Prowadźcie ich za mną – polecił Mroczek i ruszył przodem.

Jego człowiek pchnął mnie w plecy, ale poszłam sama – opór był już bezcelowy. Gdyby Ulisses zachował się jak należy, wlekliby teraz po piasku trupy. Wciąż jednak mogłam trzymać się godnie – i nic więcej. I dopiero teraz zobaczyłam, że w kępie sterczącej z wody wikliny ukryta była spora tratwa – związana pospiesznie, lecz dość mocno i zaopatrzona w długie drągi do odpychania jej od dna.

– Nigdy nie należy gardzić wiedzą – stwierdził pouczająco Mroczek. – Być może nie pamiętasz, przyjacielu Ulissiesie, ale kiedyś nam opowiadaliście o czymś takim. Jesteśmy dziećmi stepu i było to dla nas nowością.

Po tych słowach zwrócił się do wojownika prowadzącego Ulissesa:

– Przenieś go na tratwę. I uważaj – on może być niebezpieczny. Dziewczyna pójdzie sama.

W tym akurat miał rację.

Tratwę przywiązano do mocno wbitego w piasek zaostzonego drąga – dranie pomyśleli nawet o tym. Kiedy nasi prześladowcy odwiązywali linę i odpychali tratwę drągami od brzegu [choć robili to bojaźliwie i niepewnie – mimo wszystko jednak woda była dla nich obcym żywiołem] myślałam o tym, że gdyby Ulissesowi wystarczyło odwagi, mógłby przewrócić tratwę. Wypłynąć ze związanymi rękami oczywiście byśmy nie wypłynęli, ale choć utonęlibyśmy jak ludzie; a może nawet zdołalibyśmy zabrać ze sobą któregoś z koczowników.

I wtedy odezwał się Mroczek:

– Uważajcie na dziewczynę! Patrzcie, jak łypie oczami na boki!

– Bardzo mi zależy na tym, żeby was dowieźć w całości, mój przyjacielu – dodał zwracając się do Ulissesa. – Bo widzisz, widziałem to, co się wtedy stało w obozie. I bardzo jestem ciekaw, co powie twoja towarzyszką, jak popatrzy na ciebie nieco później. Nasze baby bardzo się wtedy darły...

– Bądźcie przeklęci! – odparł Ulisses znużonym głosem.

– Diana była twoją kobietą, czy tak? Zobaczyłbyś tyją... potem. Wygląda na to, że jeżeli o was idzie, od samego początku miałem rację. Nie jesteście ludźmi. Jesteście potworami, zarazą, którą trzeba wypalić rozżarzoną żelazem.

Ulisses nie odpowiedział.

– Patrz na niego bardzo uważnie – rozkazał Mroczek jednemu ze swoich rzeźników. – Bardzo mi się nie podoba jego wygląd. I trzymaj broń w pogotowiu – dzidę, nie nóż. W razie czego od razu bij tak, żeby zabić.

Bardzo ostrożnie przesunęłam się ku brzegowi tratwy – nie było to takie trudne, w końcu niewiele tu było miejsca, ale nie mogłam się stoczyć do wody – przeszkadzały mi dwie krzywe i smagłe nogi; jeden z koczowników stał na samym skraju i odpychał tratwę drągiem od dna –

robił to zresztą bardzo niewprawnie i tratwa się kołysała, a wiążące belki wilgotne rzemienie nieustannie zalewała woda. Spróbowałam uwolnić ręce, ale oczywiście nic z tego nie wyszło, więc tylko się spięłam i wyrzuciwszy nogi przed siebie mocno kopnęłam koczownika pod kolano. Wojownik wypuścił drąg i runął do wody. Poszedł na dno jak kamień, słowo honoru – nurt był w tym miejscu silny, a tratwę natychmiast poniosło i drań nie miał się czego chwycić. Szarpnęłam się natychmiast i stoczyłam się do rzeki – woda nakryła mnie z głową; zobaczyłam nad sobą ciemną masę i spostrzegłam nawet, że belki ocierają się o siebie, a przez szczeliny pomiędzy nimi prześwieca niebo. Potem w oczach mi poczerwieniało i pociemniało, w uszach rozległ się coraz głośniejszy szum, usiłowałam nabrać w płuca jak najwięcej zbawczej wody, żeby nikomu nie udało się wyciągnąć mnie na powierzchnię. Ostatnie, co zobaczyłam, było białą postacią tonącego koczownika – powoli szedł na dno, obracając się w nurcie jak szmaciana lalka. Potem nagle okropnie zaboląła mnie głowa i poczułam, że ktoś wlecze mnie w górę za włosy.

– Myślisz, że dam ci utonąć? – zapytał Mroczek. Zwiesiwszy się z tratwy trzymał mnie swoją muskularną, smagłą łapą. Potem szarpnął mocno i znalazłam się ponownie na tratwie. Poczułam pod policzkiem skrzypiące, mokre belki.

– Ciało chce żyć samo z siebie, prawda? – dodał z uśmiechem. – Ty je topisz, a ono wynosi cię w górę.

Przewrócił mnie na brzuch i wcisnął mi kolano w plecy. Natychmiast wyrzygałam wszystką połkniętą wodę.

– Trzymaj ją – zwrócił się do kogoś obok, a ja poczułam, jak czyjaś mocna ręka przygniotła mi twarz do bierwion; nie mogłam się nawet odwrócić. Od czasu do czasu chlustała mi w twarz woda spomiędzy belek, ale było jej zbyt mało, żeby się utopić. Tratwę rzucało z boku na bok i obracało, potem nagle zaczęła się dziwacznie trząść i zadrżała szybko, jak przerażone zwierzę, a ja usłyszałam narastający dźwięk, tak obcy, że z początku nie mogłam pojąć, co właściwie słyszę – było to nieludzkie, przenikliwe wycie, przerywane wrzaskami przerażonych ludzi. Zapraǳnęłam zatkać uszy dłońmi, bo ten przenikliwy ni to zgrzyt, ni to jęk, był coraz bardziej nieznośny, ale miałam związane ręce – i w końcu straciłam przytomność.

...Nie mam pojęcia, kiedy się ocknęłam, ale natychmiast poczułam, że tratwa już nie płynie – miękko kołysząc się na wodzie ugrzęzła w naniesionych przez rzekę trzcinach i na poły przegniłych gałęziach. Wokół mnie było bardzo cicho. Jak przedtem leżałam na mokrych belkach, ale ktoś odwrócił mnie twarzą ku górze i widziałam skrawek obojętnego, szarego nieba i kołyszące się nade mną łodygi trzciny. Spróbowałam poruszyć rękami, ale zrozumiałam, że są nadal związane. Bardzo mnie bolał każdy mięsień, a serce wprost pękało z bólu. Przypomniałam sobie wszystko i się rozkaszałam.

– Odzyskałaś przytomność? – usłyszałam zadane głosem Ulissesa pytanie. – Nie ruszaj się, zaraz rozetnę rzemienie.

Nie zamierzałam się ruszać, ale spróbowałam unieść głowę, żeby zobaczyć, gdzie jesteśmy. Oprócz nas dwojga na tratwie nikogo nie było. Ulissesa też widziałam dość niewyraźnie – ciemna sylwetka na tle nieba.

– Gdzie... tamci?

– Potonęli – odpowiedział zwięźle.

I dodał:

– Mógłbym cię wcześniej rozwiązać, ale bałem się, że z przerażenia skoczysz do wody.

Przeciął mi więzy, co zajęło mu trochę czasu, bo mokre rzemienie powrzucały mi się w skórę. Dopiero wtedy pojęłam, że ręce mi zupełnie zmartwiały i przez długą chwilę rozcierałam je bez słowa, aż w końcu poczułam, że palcom wraca czucie – zakłuło mnie pod paznokciami. Przerwałam dopiero wtedy, kiedy ból stał się nieznośny. Przez cały ten czas świetlista plama wisiała na niebie całkiem blisko – nawet niebo wydało się jaśniejsze, niż powinno. Było to dość nieprzyjemne uczucie – jakbym była świadkiem naruszenia zwykłego biegu rzeczy.

Na wszelki wypadek zapytałam:

– Potonęli?

Ulisses bez słowa wzruszył ramionami.

– Nie może być! Co, martwaki ich potopiły? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Nie – odparł Ulisses. – Akurat oni nie mieli z tym niczego wspólnego.

Mówił niezbyt ochoczo, jakby się do tego zmuszał. A w jego twarzy było coś takiego, co mi się bardzo nie spodobało – choć nie umiałabym rzec, co właściwie budzi moją czujność.

– Przecież sami nie powskakiwali do wody! Coś musiało się stać! Nie powiesz chyba, że to ty ich potopiłeś?

Przez chwilę milczał, a potem odpowiedział tak samo niechętnie, jak przedtem:

– Nie mam pojęcia.

Mówiąc to ściągnął tę swoją dziwną kurtkę przy kołnierzu, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

– Co się dzieje, Ulissesie? – zapytałam. – Czemu nic nie robimy? Może wytaszczymy tratwę wyżej, żeby jej prąd nie uniósł? Udało się nam, bo teraz możemy używać jej do woli.

Przez chwilę patrzył w przestrzeń, a potem powiedział:

– Posłuchaj... prawdopodobnie przyjdzie mi odejść. Będziesz musiała jakoś sama...

Dopiero wtedy zrobiło mi się naprawdę strasznie.

– Czy coś się stało?

– Długo by mówić. Chyba... Ale ty mimo wszystko spróbuj odszukać któregoś z naszych. Może są jeszcze jakieś szanse...

– Zwariowałaś, Ulissesie, czy co? Jakże ja ich odnajdę? Skąd mam wiedzieć, gdzie jest ten

wasz obóz?

– Pokazywałem ci, jak się posługiwać mapą. Pamiętasz?

Wtedy zrozumiałam, że naprawdę mu odbiło.

– A co, mamy mapę?

Umilkł na dłuższą chwilę, a potem stwierdził ze zdziwieniem w głosie:

– Nie... – Po chwili dodał jeszcze: – W zegarek był wbudowany kompas, ale też przepadł.

Nie pamiętam, czy go utopiłem, czy zgubiłem...

– No to o czym my mówimy? Ty może wiesz, dokąd iść, ale ja nie. A ty dokąd się wybierasz?

Wstał i przeskoczył na wysepkę – była niewielka i porośnięta trzcinami wzrostu człowieka. Na wszelki wypadek ruszyłam za nim i nawet tratwy na brzeg nie wyciągnęłam.

– Długo by objaśniać, i nawet mi się nie chce...

– Ale...

Nagle odwrócił się ku mnie, łapiąc mnie za rękę:

– Nie, to ty mi powiedz! Dlaczego, no dlaczego tak się stało, jak się stało? Oni byli inni. Zupełnie inni! Tak się staraliśmy, tak bardzo chcielibyśmy stać się takimi jak oni... Skoro dali nam życie – samym swoim pojawieniem się, samą swoją obecnością... Co się z wami stało? Dlaczego pozwoliliście sobie na to, żeby to wszystko zaprzepaścić?

– Przestań – powiedziałam. – Boli mnie.

Natychmiast puścił moje ramię, ale mówił dalej:

– Zabawne...Wychodzi na to, że to była iluzja... złudzenie... Przyjeliśmy ułudę za rzeczywistość. I sami staliśmy się iluzją. Co z nimi potem się stało, tam, pod tą ochronną kopułą? Dlaczego żaden z nich nie ocalał, żeby nam powiedzieć... Dlaczego oni woleli o tym zapomnieć? Bo myśmy jednak zostali, cokolwiek tam się zdarzyło. Żyliśmy jak oni... tak jak oni, jak wy powinniście żyć... A teraz – co?

Opadłszy na ziemię objął kolana rękami. Siedział i dygotał, twarz zrobiła mu się jakaś taka pusta – zupełnie nijaka, aż poczułam strach.

– Ulissesie!

– Uciekaj! – odparł krótko.

Minęło już południe, całe niebo przesłoniły ciężkie, nisko wiszące chmury z tych, jakie się często widuje nad wielkimi wodami – nie spada z nich deszcz, ale i nie przepuszczają słonecznego blasku. Wokół nas było jednak jasno, bardzo jasno i zobaczyłam, że ta świetlista sztuczka wisi zupełnie nisko nad wodą i powoli opada ku jej powierzchni. Po rzece przebiegło drzenie, jakby od lekkiego wiatru, ale natychmiast ustało – a w świetlistej mgłę potworzyły się jakieś kanały i dziury.

Ulisses nie podniósł nawet głowy – siedział dalej z twarzą w kolanach. Po wodzie i po

wysepcie przelatywały pasma światła, a pusta tratwa gwałtownie się kołysała.

Chwyliłam go za ramię:

– Popatrz! O, tam! Oto one, twoje miasto! Chciałeś się tam dostać, tak? Samo przyłazło!

Chodźmy!

Podniósł wolno głowę – w jego oczach rozjaśniając się i przygasając tańczyły fale światła i wydawało mi się, że ciągle zmieniają barwę.

– Co to jest? – zapytał wreszcie.

– A skąd mam wiedzieć? Ale chciałeś się tam dostać, może nie? Cały czas gadałeś tylko o tym... mówiłeś, że to ostatnia nadzieja.

– Niby tak – odparł niepewnym głosem. – Ale co to jest? Do niczego to niepodobne!

– Nie popatrzysz, to się nie dowiesz, prawda? Chodźmy, dopóki ta sztuczka jeszcze tu jest!

Wstał powoli, a jego twarz przybierała coraz bardziej rozumny wyraz.

– Nie wiem – ponownie się zjeżył, jakby owiał go nagle zimny wiatr. – Czy jest sens...

– A co będzie z tamtymi, co zostali w obozie, jak nikogo nie znajdziesz? Co w ogóle się z wami stanie? Co będzie ze mną, Ulissesie? Naprawdę myślałeś, że przeżyję, jak zostanę sama jedna? Dość już udawania głupiego, chodźmy!

Machinalnie przesunął dłoń po pasie, jakby sprawdzał, czy broń jest na swoim miejscu. Wiadoma rzecz, że niczego nie znalazł – zdziwił się więc tylko i wzruszył ramionami.

– No dobra – powiedział. – Chodźmy.

– Poczekaj chwilkę, tylko odepchnę tratwę – powiedziałam. – Ugrzęzła chyba w bloku.

I skoczyłam do wody.

* * *

Przez całą drogę do wsi Simona prześladowało osobliwe uczucie podmiany – jakby wszystko wokół stało się odrobinę inne, trochę nieprawdziwe. Może to dlatego, pomyślał, że po raz pierwszy schodzili do wsi wszyscy razem i na mobilu – czego nie robił nigdy wcześniej.

A może dlatego, że sama wioska wyglądała dziś jakoś inaczej – zza wysokiej palisady wyglądały dachy domów, a czarny pas skopanej ziemi otaczał ją z zewnątrz niczym rzeka.

– Czy tu zawsze jest tak cicho? – zapytała Oliwia.

Dopiero wtedy Simon zrozumiał, co go zaniepokoiło – tym czymś była absolutnie głęboka cisza porzuconej ludzkiej sadyby, zachowującej jeszcze ciepło ognisk, ale już puste.

– Co? – zdziwił się Komenski. – Nikogo nie ma?

– Nie wiem – odparł Simon przez zaciśnięte zęby.

– Może źle ich rozumiałeś?

– Zrozumiałem ich zupełnie dobrze.

Mobil płynnie przemknął nad pasmem zaoranej ziemi i zatrzymał się przed palisadą. Wrota były zamknięte.

– Podnieść go wyżej? – zapytał Gedeon.

– Nie. Nie trzeba.

– Sądysz, że ich nastraszymy?

– Tym? Nie, nie sądzę. Ale tak czy owak, nie trzeba. To nieuprzejme, włączyć tak gdzieś bez zaproszenia. Poczekajmy.

Ludzie pojawili się nagle i wcale nie tam, gdzie ich oczekiwano – wyszli z lasu, przecięli polanę i zatrzymali się wokół mobila. Simon otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Był to starosta w towarzystwie kilku ponurych młodych ludzi – wszyscy mieli na sobie baranice powywracane runem na wierzch.

„Boją się andrów? – pomyślał Simon. – Starucha mówiła chyba, że tamci są nieszkodliwi, ale te byczki mają wyraźnego stracha”.

– Wszystko wzięliście? – zapytał Micheasz, występując przed gromadę.

– Tak – odpowiedział Simon. – Jak się umówiliśmy...

Starosta bokiem, ostrożnie zbliżył się do przyczepy i zajrzał do środka.

– Dobrze – powiedział. – Zostawcie wszystko tutaj. I wychodźcie. Wszyscy przyszlście?

– Wszyscy – stwierdził Simon.

– Oni się pokażą tylko wszystkim...

Simon wrócił do mobila.

– Wszystko w porządku – powiedział. – Wysiadajcie.

– Mamy zostawić maszynę? – zapytał z niedowierzaniem Gedeon.

– Tak.

– Na wszelki wypadek odłącz przyczepę i odprowadź ją nieco dalej – polecił Komenski. – Simonie, wzięłeś pelengator? Może trzeba będzie się rozłączyć...

Simon bez słowa przyczepił do przedramienia płaską tabliczkę pelengatora i ukrył miniaturowe słuchawki w kieszeni na piersi.

– To broń? – zapytał starosta, który uważnie śledził wszystko, co się działo.

– Nie – odparł Simon szczerze.

– Zostawcie broń tutaj. Oni nie lubią broni.

– A kto lubi? – mruknął pod nosem Gedeon.

– No, przynajmniej są przewidujący – zauważył Komenski. – Cóż, chodźmy...

Oliwia pomogła Nataszy przy wysiadaniu. Ta ostatnia miała bezmyślną twarz i poruszała się mechanicznie, jak kukła. „Mam nadzieję, że to skutki zastrzyku – pomyślał Simon. – Jeżeli tak, to jest choć szansa na to, że odzyska świadomość”.

– Idziemy – ponaglił starosta. Szedł pierwszy, wskazując drogę – jego ziomkowie szli z tyłu,

zamykając kolumnę. Simon poczuł, że po plecach przebiegł mu dreszcz.

– Gedeonie – zapytał – wzięłeś coś ze sobą?

– Kamerę – odparł ze zdziwieniem zagadnięty.

– Nie o to pytam...

– Mam ultradźwiękowy nóż-przecinak – stwierdził szeptem Gedeon – i mikrokapsułę z gazem łzawiącym. Komenski kazał, jeszcze w obozie...

– To dobrze...

– Myślisz, że mimo wszystko są niebezpieczni?

– Nie wiem...

Las był ciemny i milczący, wokół pachniało nagrzaną trawą, a przy każdym kroku spod nóg na wszystkie strony uciekały szare kowaliki. Wszystko było nieznośnie zwyczajne, codzienne i Simon nagle przestał wierzyć we wszechmocne, niewiadome istoty, obserwujące skrycie rozwój wydarzeń. Pośród tego cichego, sennego popołudnia myśl o ich istnieniu wydała mu się nagle lodowato nierealna.

Skreśli na przesiece i ruszyli dookoła wsi. Tam, nieco za palisadą, zaczynały się łąki i pastwiska – otwarte pole usiane wielkimi głazami, które nie wiedzieć kiedy stoczyły się z górskich zboczy.

– Dokąd idziemy? – zapytał Komenski.

– Na górę – odparł spokojnie starosta. Najwyraźniej było mu gorąco w baranicy, ale nawet nie pomyślał o tym, żeby ją zdjąć. – Powinniście być dobrze widoczni z daleka. Oni zawsze patrzą z góry... androwie, znaczy.

– Jasne.

– Och – odezwała się Oliwia. – A co to jest?

Simon odwrócił się i wzdrygnął mimo woli; z lasu wyskoczyła drobna figurka, która rzuciła się ku nim klucząc pomiędzy złocistymi pniami świerków. Zdenko! – pomyślał. Chłopak dysząc ciężko i ślizgając się po trawie rzucił się ku nim, połykając łzy. Podbiegłszy do Gedeona chwycił go za rękę i zaczął przeraźliwie:

– Nie idźcie tam! Nie idźcie!

Gedeon pogłaskał go po głowie:

– Mały, wszystko w porządku.

Spróbował się delikatnie uwolnić, ale chłopak wczepił się mu w ramię żelaznym niemal chwytem.

– Nie rozumiecie! – zanosił się płaczem. – Tam nie wolno! Wam nie wolno!

Starosta odwrócił się i palnął chłopca w kark, nawet niezbyt mocno, ale Zdenko jęknął i poleciał w bok.

– Przepraszam, panie – odezwał się Micheasz. – Moja wina. Nie dopilnowałem. Chłopak się

rozpuścił, jak dziadowski bicz...

– Ale po co zaraz bić? – zapytał Gedeon, krzywiąc twarz z urazą.

– Starszych trzeba szanować – stwierdził Micheasz pouczająco. – Jeżeli każdy będzie się pchał, gdzie zechce... Mieczko, zabierz chłopaka.

Jeden z chłopów podszedł do pochlipującego Zdenka i capnąwszy go za ucho, odprowadził na bok. Zdenko bezsilnie tłukł piąstkami po trzymających go ogromnych łapach i krzyczał, dławiąc się rozpaczą:

– Nie idźcie tam! Nie idźcie! Będzie źle!

– Miary nie zna, paskudnik jeden! – stwierdził ponuro starosta i odwrócił się do Komeńskiego, bezbłędnie wyczuwając w nim przywódcę:

– To jak, panie? Idziemy, czy nie?

Odtaszczyli chłopaka do lasu, pomyślał Simon. Stamtąd wybiegł, nie od wioski. Wioska jest pusta i porzucona... Może na krótko, może na zawsze. Oni wszyscy się tam kryją, w tym lesie... woleli odejść jak najdalej. Może przedsięwzięcie jest bardziej niebezpieczne, niż myśleliśmy? Dużo bardziej niebezpieczne...

W tejże chwili starosta się odwrócił i spojrzał mu prosto w oczy:

– Może zdjął was strach? Powiedzcie szczerze.

– Nie – odpowiedział Simon. – Po prostu chciałoby się...

– A co nam z tego? Przecież my wszystko dla was...

– ...wiedzieć, co z tego wyniknie.

– Ale już prawie jesteśmy na miejscu. Sami zobaczycie.

Z rzucanego przez górę cienia wyłoniła się ozłocona słońcem łąka, ukwiecona szkarłatnymi makami niczym kroplami krwi. We fioletowym gęstym cieniu kryła się solidnie zbudowana owczarnia z rozwartymi zapraszająco skrzydłami wrót.

– Jeżeli wszystko zrobicie prawidłowo, oni wkrótce tu przybędą – wyjaśnił starosta.

– Jasne – kiwnął głową Komenski. – A co mamy zrobić?

– Wy macie wejść do środka. My sobie i bez was poradzimy.

– Czy to zgodne z twoją wiedzą? – zapytał cicho Komenski Simona.

– W zasadzie tak – odpowiedział zagadnięty niezbyt chętnie. – Są obrzędy, nie przeznaczone dla postronnych oczu... ale...

– Włazicie, czy nie? – zapytał rozdrażniony starosta.

Wszedłszy do mrocznego wnętrza skrzesał ognia i zapalił świecę. Pozostali wieśniacy rozstąpili się, a Simon i jego towarzysze przez chwilę dreptali na progu, nie mogąc się zdecydować na wejście, choć wilgotny półmrok owczarni rozkwitł ciepłym, migotliwym, pomarańczowym światłem.

– Nie podoba mi się to! – szepnęła Oliwia, ujawszy Simona za rękę.

Starosta się odwrócił. Trzymał świecę w dłoni, nie bacząc na kapiący z niej wosk, a jego twarz oświetlona od dołu upodobniła się nagle do pośmiertnej maski.

– Oni przyjdą tylko wtedy, jeżeli wszystko zrobi się jak trzeba – stwierdził.

Komenski pierwszy stanowczo przestąpił przez próg, za nim poszedł Gedeon podtrzymujący Nataszę.

Simon odwrócił się – odprowadzający ich chłopci zeszli się teraz w zwartą grupę, która odcinała im drogę odwrotu. Ująwszy Oliwię za ramiona, ruszył za pozostałymi.

Stojący za ścianami owczarni chłopci zaintonowali rytmiczną pieśń, tę samą, którą słyszał poprzednio, ale choć teraz były w niej wyłącznie męskie głosy, którym zaraz zawtórowało echo, melodia zabrzmiała równie hipnotyzująco jak przedtem.

Niewielkie okienka znajdowały się wysoko pod dachem i można było zobaczyć przez nie skrawek nieba – obojętnego i błękitnego.

Nie wiadomo skąd zawiąło dymem, ale Simona to nie zdziwiło – w jego świadomości rytmiczna pieśń była mocno związana z płomieniami. Mimo wszystko zapytał jednak starostę:

– Co, to też jest częścią przywołania?

– Tak – odpowiedział Micheasz. – Ciszej!

Simon umilkł, czując jak ciepłe palce Oliwii mocniej ściskają jego dłoń.

Okienka zasnuło dymem, sine pasma przedostały się do środka i Simon mimo woli się rozkaszał. Rozjaśniło się, on jednak nie umiałby już powiedzieć, czy to nieznośne światło leje się z nieba, czy daszek liżą języki ognia.

– Dotrzymałem słowa, cudzoziemcze – odezwał się starosta z powagą w głosie. – Oni przyszli.

I żwawo odskoczył ku wyjściu. Simon opamiętawszy się ruszył, by go zatrzymać, przeszkodziła mu jednak w tym Oliwia, jak przedtem mocno trzymająca go za rękę. Zdołał tylko krzyknąć:

– Zatrzymajcie go!

Nikt się jednak nie ruszył – wszyscy nadal rozglądali się dookoła z głupimi wyrazami twarzy, kaszląc i krztusząc się dymem. Jeden tylko Gedeon zrobił jakiś nieokreślony ruch i spróbował zastąpić staroście drogę, ten jednak mocno pchnął go w ramię i prześlizgnąwszy się obok, wyskoczył na zewnątrz. Natychmiast też zatrzaśnięto drzwi owczarni i Simon usłyszał, jak stęknęły ciężkie rygle, uderzone belką zapory.

– Czemu go nie zatrzymałeś? – krzyknął, dławiąc się pełgającym już po ścianach dymem.

Gedeon spojrzał nań roztargnionym wzrokiem i nie odpowiedział. Oliwia podbiegła do drzwi i zaczęła tłuc w nie pięstkami:

– Wypuście nas!

Chłopi nie przerywali rytmicznego zaśpiewu, a wilgotne belki owczarni najpierw zasyczały,

a potem zaczęły trzeszczeć od żaru. Trzask płomieni przypominał nieubłagany, mściwy szept.

– Nieźle nas podeszli! – stwierdził Gedeon.

Natasza stała ująwszy rękoma szczupłe ramiona i rozglądała się bezmyślnie dookoła; jej oczy błyszczały w półmroku niczym dwa nieznośnie jasne zwierciadła.

– Sami się w to wpakowaliśmy – wymamrotał Simon. – Osły jedne...

– Oni wszystko przygotowali wcześniej – zauważył Komenski. – Podlali bierwiona olejem...

Inaczej by się tak szybko nie zajęły.

– Na stryszku jest siano. Podpalili je...

– Posłuchaj, Amosie... a jeżeli oni w rzeczy samej nie zełgali... jeżeli ich wezwali... tylko takim sposobem...

Komenski rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy, w które wgryzał mu się dym.

* * *

Doskonale wiedziałam, że z zewnątrz ta sztuczka, choć wygląda na dość obszerną, ma jednak określone rozmiary, ale okazało się, że wewnątrz jest cały świat – ocknęliśmy się na rozległej równinie, całej pokrytej miękką, zieloną trawą. Zbyt miękka, żeby być prawdziwą, kołysała się łagodnie na wietrze, odsłaniając srebrzyste spody źdźbeł; mogłoby się wydawać, że po całej równinie powoli przepływają leniwe fale. Wszystko tu było jakoś nie na miejscu – i to, że panowała noc, i to, że pomimo nocnej pory można było dostrzec każdą trawkę, i to, że na niebie wisiały ogromne, złote gwiazdy, ciężkie jak owoce i tworzące nieznanne mi gwiazdozbiory. Ale poza tym nie było niczego – nie słyszało się nawet świerszczy w trawie.

– No proszę! – powiedziałam. – Ale wsiąkliśmy!

– Wydaje mi się – stwierdził Ulisses – że tu jest absolutnie bezpiecznie.

– Nie ma bezpiecznych miejsc. Jeżeli to akurat wygląda na bezpieczne, oznacza tylko bardzo chytrze skonstruowaną pułapkę.

– Ale i tak nie mamy się gdzie podziać – zauważył przytomnie Ulisses. – Chodźmy.

– Dokąd?

Rozejrzał się dookoła.

– Wygląda na to, że wszystko jedno, dokąd pójdziemy.

Iść było lekko, bardzo lekko; wokół rozciągała się wciąż ta sama płaska jak talerz równina, za to na czarnym niebie nagle zaczęły wschodzić i zachodzić kule i półksiężyce, jakby niebo nagle przysunęło się ku ziemi. Nie wiedzieć czemu budziło to we mnie strach. Jedna gwiazda miała ogon i wisiała nieruchomo.

– To na nic – stwierdził nagle Ulisses. – Lepiej usiadźmy i odpocznijmy.

– Ale wcześniej czy później dokądś powinniśmy dojść!

– Takiego guza... – powiedział. – Nigdzie nie dojdziemy. Wszystko co widzimy, to tylko iluzja. Coś w rodzaju planetarium.

– Czego?

– No... były kiedyś takie pouczające rozrywki. Pośrodku białego dnia można było popatrzeć sobie na rozgwieżdżone niebo, i tak dalej...

– Dziwne zajęcie.

– Tym niemniej miejsce, w którym się teraz znajdujemy, w zasadzie nie istnieje. Nie mamy dokąd iść.

– Ale tyle już przeszliśmy...

– Nie jestem pewien, czy w ogóle ruszyliśmy się z miejsca.

– Ale my po prostu umrzemy z głodu jak będziemy siedzieć i niczego nie zrobimy.

– Nie sądzę, żeby oni pozwolili nam umrzeć z głodu, kimkolwiek by byli. Jeżeli wpuścili nas do siebie, to zatroszczą się o pozostawienie nas przy życiu.

– Jeśli jesteśmy im tak potrzebni, to dlaczego nam przedtem nie pomogli?

– Uczciwie mówiąc – stwierdził Ulisses – oni w ogóle nam nie pomogli.

No jasne – dopiero teraz to do niego dotarło. Do tej pory uważał, że unoszące się w przestworzach martwiaki, obserwujące ból i cierpienie żywych tylko dlatego, że w śmierci nic innego im nie pozostało, pomogą mu osobiście, bo jest taki szlachetny...

– A ja wciąż myślę – ciągnął – dlaczego oni się nie wtrącają... może nam nie ufają? Albo nie ufali do tej pory, skoro teraz nas wpuścili. A my przechodzimy właśnie ostatni sprawdzian, ostatnią próbę...

– Przed czym?

– Przed... zawarciem bliższej znajomości.

– Coś jak wtedy, gdy poznaliście się z nami? Kiedy przylecieliście do nas?

– Tak... my też przez jakiś czas obserwowaliśmy, zanim założyliśmy obóz. Liczyliśmy na to, że więcej się o was dowiemy... choć jak sama wiesz, nic dobrego z tego nie wynikło. Co prawda – dodał smętnie – i tak nie mieliśmy innego wyjścia.

...Czas mijał, ale wokół nas nic się nie zmieniało. Wydawałoby się, że otaczającą nas noc wcześniej czy później powinien zastąpić świt, niebo jednak pozostawało niezmiennie głębokie i czarne, i powoli płynęły po nim kule, półkule i półksiężycy.

– I co dalej? – zapytałam.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział. – Poczekajmy.

Ponownie popłynął czas – nie wiadomo ile go minęło, bo niebo się nie zmieniało. A raczej zmieniało się, ale nie tak, jak na zewnątrz.

Trawa była miękka i ciepła – prawdziwa taka nie jest.

– Chcę jeść... – odezwałam się wreszcie.

– Pocierp trochę – odparł Ulisses. – Wcześniej czy później się pokażą. Przecież nie będą nas tu trzymali do końca świata...

– A jeżeli będą? Czym jest czas dla umarłaków? Mają go pod dostatkiem. A my, jak tak tu siedzimy, w końcu zdechniemy – i być może wtedy na coś się im przydamy...

– To po prostu przesąd!

– Przesąd? Akurat! Sam widzisz, że to świat pozagrobowy – wieczna noc i wszystko inne...

– Ależ to zwykła iluzja – stwierdził pobłaźliwie Ulisses. – Obraz. Choć wołałbym, żeby wykazali się jakimikolwiek aktywnymi działaniami...

Trzasnął dłonią w ziemię:

– Cholerne *simulacrum!*

I w tej samej chwili cofnął dłoń i zaczął uważnie oglądać palec, na którym pojawiła się kropelka krwi.

– Do tej pory wydawało mi się, że tu nie ma owadów, ale nigdy nie wiadomo...

– Coś cię użarło? – zapytałam.

– Nie – odpowiedział. – Wygląda na to, że pobrano ode mnie krew do analizy. Jesteśmy w laboratorium. Nie wiadomo tylko, dlaczego urządzono je z takim zbytkiem.

– Co to znaczy?

– Badają nas – odpowiedział. – Być może skanują i prześwietlają. Pobierają próbki do analiz biochemicznych i fizjologicznych... przypuszczam, że jesteśmy teraz w zamkniętym pomieszczeniu. I to w bardzo niewielkim. Co prawda nie wiem, czym je zamknięto – choć sądzę, że raczej polami siłowymi, niż ścianami. I nie wiadomo po co utrzymują iluzję otwartej przestrzeni... Zdumiewa mnie rozrzutność energii, jaką poświęcają na takie drobiazgi.

– A na co innego mieliby ją tracić?

Zamyślił się. Potem rozpiął kieszeń swojego kombinezону [wygodna sztuczka, te kieszenie, nie rozumiem czemu sami ich nie odkryliśmy] i wyjął stamtąd płaskie pudełeczko wielkości dłoni.

– Wiesz, co to takiego? – zapytał.

– Pudełko? Przedmiot?

– Neutralizator. Posługiwaliśmy się nimi, żeby otwierać przejścia w ochronnym polu wokół obozu – tam przecież też było coś w tym rodzaju, pamiętasz? Mam nadzieję, że się nie rozładował. Poczekaj...

Powiódł końcem pudełeczka po ziemi i nagle zapłonął na niej żółty, szybciotko migający ogieniek. Przywykłam już do tego, że wszystkie ich Przedmioty piszczą albo migają – ale na wszelki wypadek zapytałam:

– Co on tak miga?

– Tu wszędzie wokół są siłowe pola. I to bardzo silne. Być może oni mają nawet

indywidualną obronę siłową – w przeciwnym razie bym ich poczuł.

– Kogo?

– Gospodarzy tego... statku? Sadyby? No, ogólnie rzecz biorąc tych twoich...

– Nie rozumiem, jak ich można wyczuć...

– Przecież czujesz ciepło albo chłód... To mniej więcej tak samo. Ale po co ja o tym mówię...

Nie wiem, czy zawiniła ta tabliczka, czy stało się tak samo z siebie, ale niebo nagle się zmieniło – nie zmieniło barwy, tylko nagle otworzyła się w nim dziura i to spowodowało, że można się było przekonać, jakie jest w rzeczywistości niskie. W dziurze kłębiła się mgła, a w niej pływały jakieś świetliste kokony – i na mgnienie oka wydało mi się, że wewnątrz jednego z nich mignęły niewyraźne zarysy ludzkiej sylwetki.

Dziura była niewielka, a jej brzegi już zaczęły się rozplýwać i zaciągać, kiedy Ulisses krzyknął mi: „Szybko!” i skoczył w nią pochyliwszy głowę. Pognałam za nim – strasznie byłoby zostać samej w tym strasznym miejscu, choć nowe okazało się nie mniej straszne. Pod nogami zabrakło nam oparcia, choć nigdzie nie spadliśmy, jakby od dołu coś nas wypychało w górę, jak parcie wody wypycha płynącego człowieka. Wszystko tu było rozmyte, wszystko się nieustannie rozplýwało, wszystko było nijakie – i nie wiadomo skąd niosła się dziwna muzyka, monotonna i powtarzająca się, jakby chodziła w kółko. Przedmiot w dłoni Ulissesa zaczął popiskiwać.

– Mają tu jakieś potężne źródło energii – zwrócił się do mnie Ulisses. – Gdyby tak...

– Gdyby tak co?

– Oni mogliby nam pomóc.

– W jaki sposób?

– Mogliby podnieść nasz statek. Taka potężna technologia... aż trudno uwierzyć.

– Martwiaki władają potężną magią. Mogą wszystko.

Uśmiechnął się.

– Prawo Clarke’a.

– Czego?

– To, co wydaje ci się magią, w rzeczy samej jest przejawem działania wysoce rozwiniętej technologii. Oni z pewnością mogą wiele, ale nie wszystko.

– Mogą wszystko, Ulissesie. Ale nic nie robią. I na pewno nie zrobią.

– Nie sądzę. Jeżeli doszli do takiej potęgi... po prostu nie mogą być tępyimi, obojętnymi bydlakami. Im wyższy rozwój intelektualny...

– Wiem, wiem.

Niekiedy sam mi przypominał tych martwiaków – jak się zapętlił, to wciąż powtarzał to samo.

– Oni nikomu nie pomagają, Ulissesie, właśnie dlatego, że są bardzo potężni. To jasne.

Wreszcie się zaniepokoił. Chyba i jemu dojadło to wiszenie w pustce – i na chybił trafił

wymierzył ten swój neutralizator. Najbliższy kokon ostro chybnął się w bok.

– Oni są tam, w środku – powiedziałam.

– Sam widzę – odparł z gniewem w głosie.

Potem zwrócił się ku zawisającemu nieco wyżej od innych kokonowi i powiedział:

– Posłuchajcie... Zwracam się do was, w imieniu tych, którzy...

Wyglądało to dość głupio i sam chyba to zrozumiał nagle, bo zająknął się i umilkł. Potem zwrócił się do mnie:

– Jestem pewien, że oni i tak wiedzą, kim jesteśmy. A już na pewno wiedzą, skąd przybyliśmy.

Kokon wciąż unosił się w tym samym miejscu, kolebiąc się lekko z boku na bok – i nie wiedzieć czemu wydało mi się, że ten co siedzi w środku śmieje się z nas drwiąco.

– Czemu oni milczą? Boją się nas, czy co? Jeżeli są tak potężni, to czego się obawiają?

Nic się nie działo – znów popłynął czas, którego niczym nie dało się zmierzyć, skądś dochodziła wciąż ta sama monotonna, powtarzająca się muzyka, a w oddali wisiało kilka kokonów leniwie kolebiących się w powietrzu. Zaczęło mnie mdlić – paskudnie było wisieć w pustce, nie czując ziemi pod nogami, a jeszcze to miganie... Do tej pory nawet za bardzo się nie bałam, pewnie dlatego, że człowiek nie może żyć w ciągłym strachu, a może też i dlatego, że wszystko wokół było niepojęte; żeby się porządnie przestraszyć, musisz wiedzieć, co właściwie budzi w tobie przerażenie... Tu jednak zrobiło mi się po prostu niedobrze. Zgięłam się w pół i objęłam brzuch rękami, walcząc z nagłym napływem mdłości.

– Co ci jest? – zapytał Ulisses.

– Chcę się stąd wydostać.

– Pocierp trochę – powiedział pojednawczo. – Oni z pewnością zaraz tu kogoś przyślą...

Mimo wszystko był dziwakiem.

– To powiedz im, że jest mi niedobrze...

– Sami to widzą...

Niczego nie widzieli. Wisieli i kolebali się, a ja spłynęłam całkiem na podłogę – choć właściwie trudno to było nazwać podłogą.

Ulisses popatrzył na mnie z pytaniem w oczach, a potem zawahawszy się krótko skierował neutralizator na jeden z kokonów – i w tej chwili został uderzony. Nie rozumiałam nawet, jak to się stało – po prostu odleciał kilka kroków wstecz i upadł. Lepiej zresztą byłoby rzec, że nie upadł – tu właściwie nie było gdzie upaść – a zawisł bezwładnie w powietrzu. Kokon znów chybnął się w bok, choć tym razem odplynął nieco dalej. Nie wiadomo skąd pojawił się jeszcze jeden – zobaczyłam jak powoli podpływa do pierwszego, potem wyciągnęły się z niego ku tamtemu jakieś rozmyte świetliste nici, a potem oba zlały się w jeden, nieco większy.

Ulisses podniósł się na kolana. W oczach miał szaleństwo i ponownie skierował neutralizator

na rozmytą, świetlistą plamę. Chwyciłam go za ramię:

– Nie rób tego! Będzie jeszcze gorzej!

Wymamrotał coś jakby, że gorzej już być nie może, ja jednak trzymałam go kurczowo, a on nie mógł się zdecydować na to, żeby im solidnie przyłożyć i dlatego zwlekał.

– Bydlaki! – ryczał jednocześnie, nie żałując krtani. – Parszywe, bezduszne bydlaki! Kim oni w ogóle są?!

– Dość, Ulissesie! – powiedziałam.

Nie umiałabym powiedzieć, kiedy to się stało, ale w pewnym momencie spostrzegłam, że wszystko znikło – byli... i nagle przestali być. Wokół nas ponownie pociemniało, a z zewnątrz zaczęła nabrzmiewać ogromna, jaskrawa bańka. Przyjrzałam się – to była ziemia; tak, jak ją wtedy, dawno temu, widziało Niebiańskie Oko, ale potem zrozumiałam nagle, że ta jest prawdziwa, tylko bardzo mała. Woda się srebrzyła, odbijało się w niej niebo, a zarośla wikliny wyglądały jak maleńkie kępy mchu na błocie. Pęcherz wciąż nabrzmiewał, a ziemia się przybliżała, na wodzie zastygły niewyraźne pasy prądów, wysepki nabrały wyraźnych zarysów, a potem zobaczyłam, że po wodzie przebiegają drobnutki fale – jakby z jednej części nieba dał na nią słaby wiatr. Potem woda znikła, pojawiła się jedna płycizna, z której wyrósł brzeg, mignęły mi wysokie, gliniaste urwiska, drzewa podobne z góry do trawy i w końcu zwykła trawa. Pęcherz pękł a my potoczyliśmy się po twardym gruncie – grunt był naprawdę twardy i było to wspaniałe uczucie. Świetlista plama zawisała nad nami, a potem frunęła w górę i rozplynęła się w jaskrawobłękitnym niebie.

Kuliłam się na ziemi, nijak nie mogąc złapać tchu, a kiedy mi wreszcie wrócił, powiedziałam:

– Myślałam, że będzie gorzej... Myślałam, że sami staniemy się martwiakami... a oni nas po prostu wyrzucili jak niepotrzebne lalki.

– Tak – stęknął Ulisses. – Wyrzucili nas.

I dodał:

– Wybacz, że wciągnąłem w to ciebie.

– No dobra... – powiedziałam.

– I tak w końcu nic z tego nie wyszło.

Nie wyszło, bo nie mogło wyjść; nie mam pojęcia, na co on liczył, ale to akurat było wiadome od początku, dlatego powiedziałam:

– Jeszcze nie wiadomo. Im się po prostu nigdzie nie spieszy.

– Tak myślisz? – zapytał ze znużeniem w głosie.

Rozejrzałam się dookoła – we wnętrzu tego pęcherza spędziliśmy chyba więcej czasu, niż z początku nam się wydało, bo słońce już zachodziło, było nadęte, czerwone i znikało z widoku wcześniej, niż należało, bo na horyzoncie piętrzyły się góry. Stąd były podobne do burzowych

obłoków – tylko oczywiście tkwiły bez ruchu w jednym miejscu. Okolica też była całkiem inna; rzeka płynęła z prawej i była bardziej wartka, niż przedtem. Oprócz tego rosły tu drzewa – nigdy nie widziałam takich drzew, były ogromne, wysokie, miały czerwone łuszczące się jakby pnie, a zamiast liści na gałęziach sterczały igły.

– No, no – powiedziałam.

– To zwyczajne sosny – powiedział Ulisses. – Wiesz, wydaje mi się, że przeniesiono nas na sporą odległość w stronę celu. Jeżeli się nie mylę, to nasza stacja jest tam, w górach. Nie jest do niej tak daleko, jak przedtem.

– Zrobili to celowo? – zapytałam. – Znaczy, przenieśli nas do...

– Być może – odpowiedział. – Nie wiem.

I dodał smętnie:

– Chociaż pewnie nie ma już i tej stacji. W przeciwnym razie dawno by nas odnaleźli. Rozumiesz... Najpierw pomyślałem, że też mogli się jakoś zetknąć z tymi tu... Dojść do wniosku, że kontakt z nimi jest priorytetem. W takim wypadku jednak mimo wszystko podjęliby próbę nawiązania łączności z naszą bazą... a gdyby nie odpowiedziała na sygnał, ogłosiliby alarm. Nie... musiało się stać coś innego.

Położywszy się w trawie założył ręce pod głowę i wbił wzrok w niebo.

– Spróbuję złapać jakąś rybę – powiedziałam.

– Gołymi rękami?

– A czym?

Wstał niechętnie i powiedział:

– Dobra. Chodźmy.

– Sama sobie poradzę.

– Nie – odpowiedział. – Ja już dawno chciałem zobaczyć, jak się łowi ryby rękami.

– To bardzo łatwe. Potrzeba tylko cierpliwości.

Dno w tym miejscu było porośnięte wodnym zielskiem, w którym kryły się ryby, gładkie, leniwe i podobne nieco do mobilów Gwiezdników, tylko maleńkich. Musiałam dość długo stać po kolana w wodzie, aż ryby do mnie przywykły i przestały się bać; słońce zaszło już za zębatą krawędź gór, jeszcze trochę i miało się zupełnie ściemnić, ale na razie był ciepły, letni zmierzch – jak raz ta pora, kiedy rybom zaczyna się mącić w głowach. Czego zresztą od nich chcieć – główki naprawdę mają maleńkie...

Wyszłam na brzeg trzymając w rękach dość sporego pstrąga.

– No, nieźle! – powiedział Ulisses.

– Wypatrosz go nożem – powiedziałam. – A ja rozpalę ogień.

– Czym – zdziwił się.

– Jak to czym? – odparłam. – Patykami.

Ruszyłam na poszukiwanie co bardziej suchych kawałków drewna.

– O czymś takim to tylko czytałem – powiedział Ulisses.

W rzeczywistości rozpalanie ognia było dość niebezpieczne – a nuż ktoś go wyczuje? Nie zwierzęta, wiadoma sprawa. Ludzie, jeżeli jacyś tu mieszkają. Jak dotąd nie spostrzegłam śladów ludzkiej obecności, ale kto wie... I dlatego jak tylko ryba się przypiekła, zgasiłam ogień i przysypałam węgle piaskiem.

Ulisses obserwował mnie z niemałym szacunkiem w oczach, choć w zasadzie nie było to nic takiego. U nas każdy malec musiał umieć zdobyć sobie pożywienie – Ulisses nazwałby to „elementarnymi nawykami żywymi”.

– Nieźle ci to wychodzi – powiedział.

– To nic, Ulissesie, Drobiazg.

– Wygląda na to – odezwał się z zadumą, raczej do siebie, niż do mnie [taką już miał manierę] – że zostaliśmy ukarani za swoją pychę. Odnosiliśmy się do was... pogardliwie. Nie odpowiadaliście naszym wyobrażeniom, naszemu pojęciu „człowieka rozumnego”... a tymczasem potraficie przeżyć tam, gdzie każdego z nas diabli by wzięli...

– Wy też umiecie wiele rzeczy, które dla nas są niedostępne.

– Nie jest ich aż tak wiele – sprzeciwił się. – No i jeszcze... popełniliśmy kolejny błąd: trzeba nam było poświęcić więcej uwagi waszym legendom. Ale powiedz mi... odczuwacie przed tymi istotami zabobonny strach, a przecież oni nikomu nie uczynili żadnej krzywdy.

– To prawda... ale zawsze pojawiają się w czasie wielkich nieszczęść... zlatują się jak muchy do trupa.

– Dlaczego?

– Bo tak już mają...

– Ale skąd oni się biorą?

– Ulissesie, nie sądzę, żeby przybyli z gwiazd. Opowiada się, że oni kiedyś byli ludźmi. I kiedyś, bardzo dawno temu, z własnej woli stali się martwi.

– Co to znaczy?

– Nie wiem...

– Ci, których nazywacie martwiakami... tak, to może być... Cywilizacja obojętnych... patologicznych tchórzy... Jeżeli sobie wyobrazić...

Przez chwilę milczał, a potem powiedział stanowczo:

– Wszystko się zgadza. Przypuśćmy, że po tym, jak wysłano do gwiazd pierwsze ekspedycje, udało im się opanować technologię zapewniającą biologiczną nieśmiertelność. I to natychmiast wszystko odmieniło.

– Oni nie są nieśmiertelni, Ulissesie. Oni są martwi.

– Widocznie tam, gdzie nie ma śmierci, nie ma i życia. Fizycznie można im zrobić krzywdę

tak samo, jak wam – choć może w nieco mniejszym stopniu. Ale gdy ginie mózg, tak czy owak następuje śmierć. A jeżeli którykolwiek z nich zginie w wyniku jakiegoś nieszczęśliwego przypadku, straci nie lata czy dziesięciolecia jak wy, tylko całą wieczność. I dlatego kamieniem węgielnym ich cywilizacji stała się ochrona samych siebie...

Co on się tak uczepił tych martwiaków? Zdążyłam już zauważyć, że najlepiej się trzymał, jeżeli nad czymś się zastanawiał, lub o czymś usilnie rozmyślał... może to taki ich obrzęd, do którego nie chcieli się przyznać. Więc dla podtrzymania rozmowy zapytałam:

– Co to znaczy?

– To znaczy – odpowiedział natychmiast – że każde działanie kryje w sobie potencjalne niebezpieczeństwo. Każdy postęp podszty jest nieszczęściem. To kultura podglądaczy – mogą tylko patrzeć i obserwować.

– Niby co? Nas obserwują?

Chłopcy lubią czasami podglądać, jak baby kąpią się w rzece i inne takie... jak dadzą się przyłapać, dostają niezłe wnyki... ale to całkiem inna sprawa.

– Podejrzewam, że tak. Dla nich to główna rozrywka, osobliwie jeżeli dzieje się coś niezwykłego, coś czego wcześniej nie widzieli... związane z bólem lub śmiercią... Możliwe nawet, że na początku skonstruowali sobie iluzję rzeczywistości – sami widzieliśmy, co potrafiały, ale potem wszystko to im spowszedniało. Ta iluzja rzeczywistości nie dostarczała im dostatecznie mocnych wrażeń.

– Chcesz powiedzieć, że niektórzy ludzie... tacy sami jak my, z jakiegoś powodu postanowili stać się martwymi?

– Tak. I zostawili innych samym sobie. Nie wiem, według jakich kryteriów dokonano tego podziału. Może być, że ci... ja ty ich nazywasz? Martwiaki? Zalęgli się w krajach wysoko rozwiniętych... w każdym razie wszystkie zasoby energetyczne i technologiczne ukierunkowano na to, żeby zapewnić im nieśmiertelność nie tylko biologiczną, ale i fizyczną. Do tych właśnie celów stworzono ochronne pola siłowe. Odchodząc w nieśmiertelność wyszali prawie wszystkie zasoby; przy takim obciążeniu zawaliły się całe systemy energetyczne i siadły elektromagnetyczne nośniki informacji. Nic nie zostało. A resztki ludzkości odrzuciło wstecz... nie zdołano się już podźwignąć... zanikł impuls rozwojowy. Żeby społeczeństwo się rozwijało, potrzeba mocnego stymulatora, celu... a ten twoim ziomkom odebrano. Najwyraźniej nie da się zatrzymać na jakimś stopniu rozwoju – albo idziesz naprzód, albo cofasz się w mrok. Wychodzi na to, że nie było żadnej katastrofy – a każdym razie w dosłownym znaczeniu. Nic się nie stało. Zwykły proces dziejowy...

Nagle roześmiał się krótko, śmiechem podobnym do łkania.

– No, niezłe... tak bardzo ulec złudzeniu... a my cały czas szukaliśmy ludzi... cywilizacji... a kiedy ją znaleźliśmy, okazało się, że ona nie chce mieć z nami niczego wspólnego. Otóż i ona –

ludzkość... Z jednej strony garstka dzikusów, z drugiej kompania tchórzy i wyrodków. Tamci z pewnością są szaleni – stopniowo powariowali w tych swoich kokonach... po tylu latach... W sumie można rzec, że nam się udało – ale nie daj Bóg, żebyśmy mieli poznać ich bliżej.

Milczał przez chwilę.

– Teraz myślę, że ta nasza grupa, która przepadła, natknęła się właśnie na nich. Nie wiem, co oni zrobili z naszymi – może i nic... Ale to wystarczyło.

– Sam widziałeś, że oni niczego nie robią. Tylko patrzą.

– Nie w tym rzecz. Nasi byli chyba nieprzygotowani. Szok okazał się zbyt silny. Posłuchaj, jeżeli nie zdołam dotrzeć do stacji, postaraj się tam dojść sama. Opowiedz im...

Ten znowu swoje!

– Przecież mówiłam. Sama nie dojdę. Skąd mam wiedzieć, gdzie ich szukać?

– W górach.

– No to popatrz, jakie są wielkie te twoje góry... Co ja tam pocznę?

Mówiono, że w niektórych Domach za najgorsze przestępstwa po prostu cię wyganiają – żyj sobie samotnie i radź jak potrafisz. I ludzie strzegą się tam nie gorzej od nas – banicja to też śmiertelna kaźń, tylko odroczone. Najpewniej nawet we dwójkę nigdzie nie dotrzemy – ale tego akurat mu nie powiedziałam, dlatego że on popadał w rozpacz ze zdumiewającą łatwością. Była to cecha niegodna mężczyzny, na dodatek takiego, który był twoim jedynym towarzyszem... ale drugiego nie miałam skąd wziąć.

Dlatego powiedziałam po prostu:

– Do rana nic się z tobą nie stanie. A mnie spać się chce. Lepiej kładźmy się kolejno – nie znam tych okolic, nie wiadomo, kto tu mieszka... a ja cię zmienię w połowie nocy.

– Tak, tak... oczywiście – powiedział, błędząc myślami gdzie indziej. – W razie czego cię obudzę.

Umościłam sobie legowisko pomiędzy korzeniami najbliższej sosny – od ziemi ciągnęło chłodem i wilgocią, ale drzewo oddawało nagromadzone podczas dnia ciepło. Noc była cicha, bardziej cicha niż u nas, bo nie było tu słycać świerszczy, jakby je coś ogłuszyło, obłoki się rozpełzły i pokazało się niebo – zwykłe gwiazdziste niebo. Nie takie piękne jak tam, w Mieście Martwiaków i nie takie straszne – gwiazdy były wyraźnie i jasne, jakby umyte. Jeden nieco rozmyty świetlisty punkt niespiesznie płynął ku górom.

– Popatrz, leci w góry – powiedziałam. – A tam jest jeszcze jeden.

Ulisses też odwrócił głowę i przez chwilę odprowadzał wzrokiem obłoczek nikłego blasku.

– Lecą ku przełęczy – powiedział.

– I co z tego?

– Za przełęczą jest obóz. Może...

– Może tam coś się stało?

– Tak. W każdym razie oni liczą chyba na jakieś widowisko. Trzeba nam się pospieszyć...

– Ale nie możemy iść nocą... w dodatku przez nieznaną okolicę. Do rana i tak nie możemy nic zrobić, Ulissesie.

– No to rano trzeba się będzie pospieszyć...

Obiecałam mu, że ruszymy o świcie; tak mi się chciało spać, że byłabym mu wszystko obiecała, nawet latanie. Pomyślałam, że jak mnie obudzi o północy, to może będzie mi się trochę lepiej myślało i znajdziemy jakieś wyjście – ostatecznie ognisko sygnałowe też jest jakimś wyjściem, o ile ludzie Ulissesa cokolwiek pojmują z ognistych sygnałów.

Obudził mnie jednak wcześniej.

* * *

Jeżeli dni mijają podobne jeden do drugiego i czas ciągnie się jak smoła, to sny śnią się bardzo wyraźnie; całe historie, nie pojedyncze sny, a teraz jakbym wpadła w jamę czerni. Rozumem pojmowałam nawet, że w nieznanym miejscu lepiej spać, jak to się mówi, na jedno oko, nawet jeżeli nie jesteś sam i twój partner czuwa – ale rozumieć i wiedzieć to jedno, a robić to rzecz zupełnie inna i kiedy Ulisses zaczął mnie trząść za ramię, w pierwszej chwili pomyślałam, że wszystko mi się śni. Potem jednak zadziały mięśnie i poderwałam się na nogi, choć jeszcze chwila musiała minąć, zanim zorientowałam się, gdzie jestem i co robię...

– Co jest? – zapytałam.

Doszłam do wniosku, że ktoś pewnie chce nas zaatakować. Wokół jednak było cicho, choć szum drzew był dziwnie monotony – nasze szeptały zupełnie inaczej. Gwiazdy na niebie znacznie zmieniły swoje położenie, ale pomyślałam, że jeszcze za wcześnie na zmianę.

Potem pomyślałam, że coś musiało się stać z tą ich stacją – na tle nocnego nieba piętrzył się przed nami górski grzbiet, który byłby zupełnie niewidoczny, gdyby nie łańcuch świecących punktów, który zawisł nad wierzchołkami gór, jak niteczka gigantycznego naszyjnika – zebrała się tam ich cała chmara, ale jak zwykle niczego nie robili, wisieli tylko nad górami i tyle.

Doszłam do wniosku, że Ulisses obudził mnie właśnie przez nich, choć w zasadzie nie było warto – zrobić i tak nic byśmy nie zdołali.

A potem powiedziałam:

– Piękne, ani słowa. Oni nigdzie stąd nie odlecą, Ulissesie. Może ja jeszcze trochę pośpię...

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– O nich! Zobacz, ilu się zleciało. Ale do rana...

– A... ci – powiedział. – Tak... istotnie coś się tam dzieje... Ale nie w tym rzecz.

Nie mogłam dostrzec jego twarzy – widziałam tylko czarną ludzką sylwetkę na tle ciemnego nieba.

– No to co jeszcze się stało?

– Będę musiał odejść – powiedział.

Ten znowu swoje. A już mi się wydało, że go uspokoiłam. Co prawda z głową cały czas miał coś nie w porządku i dlatego wcale się temu nie dziwiłam, tylko zapytałam:

– Odejść? Dokąd? I dlaczego to nie może poczekać do rana?

– Już nie daję rady – odpowiedział przepraszająco. – Rozumiesz...

– Jeżeli myślisz, że tam coś się dzieje z twoimi ziomkami... dobrze, chodźmy teraz. Pomóc i tak im nie pomożemy, ale dobrze, chodźmy...

Pomyślałam, że lepiej mu się nie sprzeciwiać. Ale on natychmiast wyprowadził mnie z błędu:

– Z nimi... Tak, pewnie tak... Myślę, że oni też zginęli. Nie mam pojęcia, z czyjej winy – może przyszedł ich czas, ale zginęli. Cała nasza ekspedycja poniosła klęskę... ale nie w tym rzecz... po prostu nie chcę cię przerazić... więc...

Umilkł i zaczął chwytać ustami powietrze. Jego twarz skaził dziwny grymas. Zaczęłam potrząsać jego ramieniem. Patrzył na mnie tak długo, że zwątpiłam już, czy on coś w ogóle kuma, ale potem nagle zamrugał oczami i zapytał:

– O czym to ja mówiłem?

– Powiedziłeś, że ekspedycja poniosła klęskę. Mów dalej.

Lepiej mu było, kiedy mówił, choć nie rozumiałam nawet połowy z tego, o czym opowiadał... Ale chyba naprawdę się ocknął. Westchnął głęboko i powiedział zmęczonym głosem:

– Nie wiem, ile mi jeszcze zostało czasu... A ty po co chcesz to wiedzieć?

– Po prostu jestem ciekawa – powiedziałam najbardziej przekonującym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. – Sam mówiłeś: człowiek powinien dążyć do wiedzy, i inne takie...

– Być może mówiłem głupoty – odparł ze znużeniem w głosie. – Wszyscy mówiliśmy głupoty... i popełnialiśmy głupstwa. Boże, co myśmy tu narobili. Może powinniśmy byli lepiej się przygotować... i wtedy postępowalibyśmy trochę mądrzej... Ale już nie mogliśmy...

– Dlaczego?

– Bo już wtedy staliśmy na krawędzi zagłady... na krawędzi zniknięcia. Impuls zaczął zanikać... potencjał, jaki otrzymaliśmy od pierwszych kolonistów, przez jakiś czas podtrzymywał kontakt jednych z drugimi... No i jeszcze istniało kulturowe dziedzictwo... Mówiąc waszym językiem, Kroniki i Przedmioty. To, co zostało po ludziach po... No, po tym, jak nam się udało przeniknąć pod kopułę.

Dopóki mówił, to jakoś się trzymał. Nie wiem dlaczego, ale tak było. Inna sprawa, że plótł jakieś bzdury, trudno go było zrozumieć, coś zresztą mi mówiło, że nie ma po co – nie można go zrozumieć. Mówił nie do mnie – ale do siebie. A może i do tych, co wisieli teraz w oddali

i świecili obojętnym blaskiem. Nie wiem. Ale mimo wszystko się odezwałam:

– Nie rozumiem.

– Uczciwie mówiąc, nikt z nas nie rozumie. A jeżeli rozumie, to wypiera się tego zrozumienia sam przed sobą. Ale prawda jest taka, że na Syriuszu od dawna już nie ma żadnych kolonistów.

– Nie ma? Ale ty sam przecież o nich opowiadałeś... Mówiłeś, że polecili tam, żeby znaleźć innych... żeby ludzkość nie była samotna...

– Znaleźli tych innych. Znaczy, w pewnym stopniu. Ale sami przepadli. Przypuszczam, że nawet jeśli pozakładali kolonie w innych systemach, to coś podobnego stało się i tam. Z jednym, jedynym wyjątkiem – na Syriuszu jednak natknęli się na życie.

Pomilczał przez długą chwilę, a potem podjął wątek:

– Ale to było bardzo swoiste życie. Bardzo... plastyczne. Samo z siebie nawet nie było rozumne, ale z niezwykłą łatwością przejmowało ludzkie twórcze impulsy... o ile tylko pojawiała się taka możliwość. Sęk w tym, że taki impuls wcześniej czy później zanika – jeśli jest samotny. Przez pewien czas może jakoś podtrzymywać się sam z siebie... na bazie wymiany z innymi... żywiąc się wspomnieniami... Dlatego tak się trzymaliśmy tych waszych książek... ale koniec końców ten impuls zanika. Kiedy to zrozumieliśmy, poczuliśmy strach; niełatwo jest pogodzić się z myślą, że powrócisz w nicość. Więc wyposażyliście statek do podróży. Ten, który pozostał po gwiazdnej ekspedycji. Kultura przedmiotów pozostałych po kolonistach – tych prawdziwych – ocalała prawie bez strat. Szybko ją sobie przyswoiliśmy – chyba nawet za szybko. Za łatwo to poszło. Do pewnego stopnia uwierzyliśmy nawet, że jesteśmy jej twórcami. Że to my jesteśmy jej nosicielami. Uwierzyliśmy, że ludzie – to my. I żywiliśmy nadzieję, że uda nam się wrócić do innych ludzi. Wrócić do ludzkości. Nie zastanawialiśmy się nawet, co będzie, jeśli ekspedycja poniesie klęskę – przecież umiemy posługiwać się obcymi przedmiotami, ale nie potrafimy tworzyć własnych. A energetyczne zasoby kolonii już się wyczerpywały – nikt ich przecież nie umiał odnowić. Paliwa wystarczyło tylko na podróż do Układu Słonecznego i na Ziemię. Nie mogliśmy wrócić do swoich bez odszukania tych, którzy potrafią uzupełnić braki... Którzy potrafiliby odesłać ekspedycję z powrotem. Nie pomyśleliśmy nawet o tym, co będzie, jak trafimy na wysoko rozwiniętą cywilizację. Na prawdziwych ludzi. Nie myśleliśmy o tym, jak nas przyjmą. Bo cokolwiek byśmy o sobie myśleli, uważaliśmy się za ludzi... Inna sprawa, że...

Ponownie umilkł, ale po chwili znów podjął wątek.

– Sądząc po tym, co my przejęliśmy od kolonistów, spodziewaliśmy się dobrego przyjęcia. Oni byli humanitarni... To niezręczne w tym kontekście słowo, ale dokładnie oddaje istotę rzeczy. Zakładaliśmy, że tacy właśnie będą prawdziwi ludzie i dlatego, kiedy natknęliśmy się na was, zaczęliśmy popełniać błędy. Cały czas zachowywaliście się inaczej, niż się tego spodziewaliśmy.

Ale my nie mieliśmy innego wyjścia. Doszliśmy do wniosku, że skoro zabrakło tamtych, poprzednich, to może wy zdołacie nas jakoś wspomóc, podtrzymać... Niechby i nie tak, jak się spodziewaliśmy na początku, ale zawsze jakoś... Dlatego musieliśmy was popchnąć ku twórczości i rozwojowi, musieliśmy w was obudzić dawne ambicje, ukazać wam wyższe cele... Wydawało nam się, że jesteście okrutni tylko dlatego, że brak wam niemal wszystkiego. I jeżeli nauczymy was tego, co sami umiemy, staniecie się takimi, jak my... To znaczy, że ocalejemy. Bardzo się spieszyliśmy. Ale sama widzisz, czym się to skończyło.

Pomyślałam, że istotnie skończyło się to zagładą kilkudziesięciu Domów i nie tylko tym – życie na równinie nigdy już nie będzie takie, jak przedtem, teraz jednak nie było sensu o tym rozmawiać – po pierwsze on i tak o tym wiedział, a po drugie, jeżeli te wszystkie myśli doprowadzały go do szaleństwa, to po co jeszcze wpędzać go w nie głębiej.

I dlatego zapytałam tylko:

– I co teraz zrobimy? Pomyliliście się, trudno, ale...

– Teraz myślę – powiedział ponuro – że wszystko było pomyłką. Od samego początku. Koloniści byli idealnymi ludźmi – a my sądziliśmy, że wszyscy są tacy. Ale chyba nie do końca to zrozumieliśmy i nie znaliśmy całej prawdy. Przecież to, co się tam z nimi stało, pod tą kopułą pola siłowego... Oni przestali wychodzić na zewnątrz, a my już... byliśmy mniej więcej tacy jak teraz... i zaczęliśmy się niepokoić. Kiedy w końcu zdołaliśmy przeniknąć do środka, oni tam leżeli... martwi...

– Całkiem martwi? Wszyscy? Dlaczego?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Minęło tyle czasu. Mogliśmy ich tylko pochować pod naszym niebem. I podjąć ich dziedzictwo. Byliśmy tacy dumni, że teraz to my jesteśmy ludźmi. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że nie zostaniemy nimi na zawsze... Postanowiliśmy zaryzykować.

Najzabawniejsze jest to, że już wtedy powinniśmy byli się zastanowić – przecież ludzkość miała za sobą gwiazdny posiew, wysłała kolonistów i się cofnęła. A czas na statku płynie innym tempem niż ziemski. Na Ziemi tymczasem minęły całe epoki. Wszystko się zmieniło. O tym już nie pomyśleliśmy... nie chcieliśmy myśleć... No i wyszło, jak wyszło.

Ponownie zapadł w milczenie.

Pomyślałam, że chyba stracił rozum. W tym, co mówił, mogło nie być ani słowa prawdy – za bardzo to wszystko było dziwne. Z drugiej strony – coś się stało z Dianą w namiocie Borsuka... Coś przstraszyło te psy koczowników, które nigdy się niczego nie bały, tak samo jak koczownicy... i coś w końcu stało się dziwnego na tratwie...

Jeżeli wszystkie te wstrząsy naprawdę pomieszały mu we łbie, to może być niebezpieczny. A jeżeli nie...

To jeszcze gorzej.

Cofnęłam się o kilka kroków.

– Boisz się mnie? – na poły zapytał, na poły stwierdził z goryczą w głosie Ulisses.

– Sama nie wiem – odpowiedziałam.

– Przecież nie zrobiliśmy wam niczego złego.

Po krótkiej chwili sam się poprawił:

– No, w każdym razie nie mieliśmy żadnych złych zamiarów.

– A jednak nas skrzywdziliście...

– Nie bardziej, niż wy nas. Jak już mówić uczciwie i szczerze, wszystko zrobiliście sobie sami. Gdybyśmy mogli, spróbowalibyśmy zapobiec tej rzezi.

Pomyślałam, że oni naprawdę są bezbronni – przecież kiedy ci dranie ich napadli, nie próbowali się nawet bronić. A potem przypomniałam sobie, jak w tym namiocie darły się kobiety...

– Co się stało z Dianą?

– Nie wytrzymała Przy silnych wstrząsach psychicznych, zwłaszcza jeżeli jest się samemu, zawsze istnieje szansa załamania się. A ona została zupełnie sama, i na dodatek była przerażona. Bałam się tego i dlatego mi się spieszyło. Wiesz, my jesteśmy bardzo plastyczni...

– I ona... zmieniła się w coś innego?

– Tak.

– W co?

Pokręcił głową.

– Nawet nie wiem. Być może w coś, czego oni bali się najbardziej. W takich sytuacjach reaguje się na najsilniejsze, najbardziej prymitywne impulsy.

Usiłowałam sobie wyobrazić, co mogło z tego wyjść, ale wyobraźnia mnie zawiodła.

– Nie wiem, czego mogliby się bać koczownicy – w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– Może to dla nich zakazany temat. W prymitywnych społecznościach zawsze istnieją jakieś tabu...

Mimo wszystko wciąż w nim siedziało przekłete zarozumialstwo – jakby byli lepsi od innych tylko dlatego, że potrafią naciskać rozmaite guziki.

– Wiem, czym jest prymityw – powiedziałam. – A wśród was na przykład przyjęte są rozmowy o tym, kim tak naprawdę jesteście?

– Nie – odpowiedział. – O tym się nie rozmawia. Nie tylko w prymitywnych... wybacz...

I dodał nie bez zdziwienia w głosie:

– Boże wielki! Pomyśleć tylko – wszystko wokół się wali, a my siedzimy i rozmawiamy, jakby nic się nie stało!

– Czy nie tego właśnie chciałeś?

Zamilkł na długą chwilę, a potem powiedział:

– Nie wiem. Dziwna rzecz... Nie sądziłem, że tak długo wytrzymam. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze...

Miał rację. Naprawdę było mi straszno, ale jeszcze gorsza była myśl o tym, że zostanę całkiem sama w ogromnym, wrogim świecie, w którym nigdzie nie znalazłabym schronienia. W którym były tylko strach i śmierć.

– Ponieważ jesteśmy sobie potrzebni – ty mnie, a ja tobie. Przecież ja sama też nie wyżyję...

Umilkł znowu, a po chwili odezwał się niezbyt pewnym głosem:

– Tak... chyba tak.

– No to – powiedziałam – chodźmy stąd. Jeżeli chcesz się dostać do tego waszego obozu...

Niebo na wschodzie stało się jaskrawozielone i gwiazdy w nim utonęły, ale na zachodzie, tam gdzie piętrzył się górski grzbiet, było jeszcze ciemno, a w głębokim cieniu pojawiały się obłoczki mgły – naliczyłam ich dziesięć, wedle liczby palców na rękach, a jeszcze kilka z nich powoli podpływało gdzieś z boku.

– No, no! Popatrz tylko, co oni tam urządzili!

– To właśnie mnie niepokoi – powiedział Ulisses. – Chodźmy. Musimy się pospieszyć.

* * *

Zrobiwszy krok na zewnątrz Simon znalazł się w kręgu, w kokonie światła – ze wszystkich stron otaczał go ogień, a z góry lało się nieznośnie białe światło; jego zimny blask mieszał się z purpurowymi językami płomieni, splatając dziwną sieć, nieważką, ale niosącą śmierć. Na mgnienie oka znieruchomiał, mrugając osmalonymi rzęsami – nieba nad głową już nie było... z góry lała się jedna zwarta ściana blasku, jakby słońce nagle oszalało i zaczęło się rozpląwać po niebie jak plama tłustego oleju rozpląwa się po powierzchni wody.

Po ziemi snuł się dym, poprzez który widać było milczące sylwetki chłopów z zaostrzonymi kołkami w dłoniach.

– Szybciej! Szybciej do diabła!

Natasza wrzasnęła przeraźliwie – jej twarz wykrzywiła się osobliwie i straciła wszelkie podobieństwo do ludzkiego oblicza...

– Trzymajcie ją! – krzyknął Komenski.

Gedeon chwycił Nataszę za nadgarstek, ona jednak bez wysiłku wysunęła mu się z uścisku, jakby w dłoni nie miała kości i na oślep rzuciła się ku kręgowi ludzi.

Simon chwycił Oliwię za rękę i odwrócił dziewczynę ku sobie.

– Nie patrz! – krzyknął. – Nie trzeba!

W kręgu powywracanych runem na wierzch baranic coś wyło – wysoko, na granicy słyszalności, i miotano się tak szybko, że oko nie nadążało z rejestrowaniem ruchu. Simonowi

przez mgnienie oka zwidziało się, że istota wewnątrz kręgu ma kilka rąk i nóg.

W górę uniósł się zaostzony osinowy kołek z opalonym w ognisku grotem, i zaraz za nim frunął drugi. Wycie wzmogło siłę, osiągając wysokości niedostępne ludzkiemu uchu – i nagle się urwało.

– Szybciej! – krzyknął Komenski.

Rzucili się do ucieczki obok miejsca rzezi. Przez ułamek sekundy każde z nich widziało tylko ręce i osinowe kołki, unoszące się miarowo i opadające w cel, raz za razem pograżając się w czymś niewidocznym. Potem krąg się rozerwał i ponure, blade gęby zwróciły się w ich stronę.

– Gaz! – ryczał tymczasem Komenski. – Gedeonie, otwórz kapsułę... Musimy się przebić do mobila!

– Może nie zadziałać! – krzyknął w odpowiedzi Gedeon. – Za dużo tu dymu... Reakcja chemiczna...

Mimo zastrzeżeń otworzył niewielki pojemnik i cisnął go za siebie, ku powoli się zbliżającemu łańcuchowi ludzi. Pojemnik zawirował w miejscu sycząc przeraźliwie i wypuszczając kłęby zielonkawej pary. Najbliżsi napastnicy rozkaszleli się i padłszy na ziemię znieruchomieli, a pozostali wyraźnie stracili zapał i zaczęli niepewnie dreptać w miejscu.

– Wstrzymać oddech! – polecił Komenski. – I naprzód!

Za ich plecami kłębił się nad ziemią zielonkawy dym, który z sykiem mieszał się z sinym, płomienie trzeszczały i huczały, najbliższe krzaki poszarzały, a ich liście zaczęły się zwijać w trąbki, a daleko za nimi w dole błyszczała srebrzysta ryba mobilu.

Simon poczuł uderzenie w plecy – z początku nie był to nawet ból, ale potem na łopatkę zrobiło mu się lepko i ciepło.

– Szybciej! – krzyknął. – Bo nas wystrzelają z łuków!

– Nie rozumiem... – krzyczał Gedeon w biegu. – Za co?!

– Ruszaj się!

Obejmując ramiona Oliwii starał się ją osłaniać. Z jakiejś przyczyny zupełnie nie czuł prawej ręki.

Zasłoniły ich drzewa – teraz gnali w dół po stoku, lawirując pomiędzy pniami jak ścigana przez myśliwych zwierzyna. Mobil błyszczał nieznośnie, odbijając lejące się z nieba światło.

– No! – Simon nawet nie wiedział, czy ponagla Oliwię, czy samego siebie. – Jeszcze trochę...

Gedeon dobiegł do mobilu jako pierwszy i nie tyle przeskoczył, co przetoczył się przez niską burzę.

– O do diabła... – wymamrotał.

Przedni panel pokryty był wgłębieniami po uderzeniach toporem. Wybebeszone wnętrze silnika ujawniło płataninę mechanicznych flaków i naczyń krwionośnych ...

– I co teraz? – zapytał ogłupiały Gedeon.

– Teraz? – Simon wzruszył ramionami. Prawe ramię przeszył ostry ból, co nie wiedzieć czemu go ucieszyło. – Cóż teraz...

Komenski odwrócił się do Simona. Szef grupy miał okopconą twarz i opalone włosy.

– Widziałeś ich? – zapytał, przekrzykując dolatujące zza drzew wściekłe wrzaski.

– Kogo?!

Komenski uniósł głowę i wskazał ręką niebo, gdzie bezgłośnie i płynnie unosiły się świetliste bańki.

– No przecież to oni! Ale dlaczego... dlaczego się nie wtrącają... dlaczego na to pozwalają...

– Może nie widzą, co się dzieje?

– Akurat, nie widzą!

Przypomniał sobie to, co mówiła starucha. Tamci żywią się ludzkimi cierpieniami i bólem.

– Zostaw ich, Amosie. To niczego nie da.

– Ale kto to jest? Co to za jedni?

– Ludzie – odpowiedział Simon.

„W tym właśnie rzecz – pomyślał. – To naprawdę ludzie... W przeciwnym razie z pewnością by się nad nami ulitowali”.

– A skąd się wzięli?

– Cały czas tu byli – syknął Simon przez zęby. – Po prostu do tej pory nie byliśmy dla nich... interesujący. I co, Gedeonie? Nic?

Gedeon przecząco pokręcił głową.

– W zamku moglibyśmy się jakoś utrzymać.

– Tutaj! – rozległ się gdzieś niedaleko dziki wrzask. – Tuuuutaaj!

Simon odwrócił się w stronę, z której dobiegał krzyk. Nad urwiskiem stała drobna figurka wymachująca rozpaczliwie rękami.

– A to co znowu? – wymamrotał zaskoczony Gedeon.

Na górze podskakiwał Zdenko, którego biała koszulina miotła się w krzakach jak spłoszony ptak.

Gedeon wylazł z mobilu i spojrzał pytająco na Simona.

– Szybko! – ponaglił go towarzysz. – Idziemy!

– Wierzysz mu? – Komenski odwrócił się i ledwo zdążył uskoczyć przed strzałą, która wbiła się w miejsce, gdzie stał sekundę wcześniej, a teraz drżała migocząc opierzeniem brzechwy.

– Nikomu nie wierzę – mruknął zrywając się do biegu Simon i ciągnąc za sobą Oliwię. – Ale co za różnica?

Zaczęli piąć się pod górę, kalecząc dłonie o ciernie najeżonych kolcami krzewów i potykając się na osuwających się w dół kamieniach. Stok nagle się skończył i znaleźli się na szczycie urwiska. Wąwóz przecinały głębokie cienie. Daleko w dole srebrzyła się rzeka, z tej wysokości

wydająca się nikłym strumykiem. Simon pchnął nogą kamień, ten potoczył się w dół – i długo łomotał, odbijając się od innych głazów.

– Popatrzcie, oni płyną za nami – stwierdził Komenski, patrząc na migotliwe niebo. – Jak myślicie, może mimo wszystko...

– Amosie, po tym co się stało, jeszcze na coś liczysz?

– Nie wiem – odparł zagadnięty. – Nie wiem. Przecież muszą w końcu jakoś...

– Niczego nie muszą.

– A gdzie się podział ten chłopiec?

– Tutaj – rozległ się tuż obok cichy głosik.

Krzaki rozchyliły się i wyjrzała z nich umorusana, zapłakana twarz Zdenka. – Właźcie tutaj.

– Coś ty tu znalazł, chłopcze? – zapytał znużony do cna Simon. – Króliczą norę?

– Przecież tu jest kamienna podmurówka – stwierdził Gedeon nachyliwszy się mocno. – No, w każdym razie jej resztki. Ale numer!

Oczy rozgorzały mu blaskiem ciekawości.

– Podziemne przejście!

– Zostaw te swoje zabawy – rzucił sucho Komenski.

– Ale to naprawdę jest podziemne przejście – zapewnił go Zdenko pospiesznym szeptem. – Prowadzi do zamku. Łaziliśmy tędy z chłopakami. Tam i dorosły przejść może, tylko że my nikomu nie powiedzieliśmy... to nasza tajemnica... łaziliśmy aż do zeszłego roku, ale potem coś tam się zawaliło i belki się obruszyły... Jeżeli zdołacie je usunąć, to...

– Masz ten ultradźwiękowy nóż – przecinak? – zapytał Komenski Gedeona.

– No... tak... ale akumulator jest na wyczerpaniu.

– Zaryzykujemy.

– Wszystko jedno! – Gedeon wyraźnie się ożywił. – Jest zamek, to i podziemne przejście być musi! Tak zawsze było. Czytałem.

– Chyba nie to czytałeś – wymamrotał Simon, ale Gedeon nie dał się zbić z tropu – pochyliwszy się, pierwszy dał nura w czarny otwór wejścia.

* * *

Ogarnęły ich mrok i wilgoć. Powietrze tchnęło stęchlizną, jakby od wieków nikt tu nie wietrzył... W ogóle nie czuło się tu żadnej przestrzeni – wydało im się, że stoją w ślepych zaułku zwróceniu twarzami do ściany... Z tyłu migało nikło gasnące światło dnia.

– Tu gdzieś była świeca – szepnął Zdenko. – I krzemień z krzesiwem... Schowaliśmy na wszelki wypadek...

Pomacał we wnęce, utworzonej przez kilka wykruszonych cegieł.

– O... jest!

Zapalił nikły ogieniek, w świetle którego wszyscy ujrzeli czarny otwór przejścia, wyglądający jak gardziel w mrok.

– No proszę! – odezwał się Gedeon z wyraźną satysfakcją w głosie. – A ja już myślałem, że to głupie wymysły! Pamiętam, czytałem w jednej książce, jak...

– Potem opowiesz – przerwał mu zmęczonym głosem Komenski. – Simonie, widzisz te kamienie przy wejściu? Zobacz, czy nie zdołasz ich poruszyć. Nie chcemy, żeby tamci poleźli tu za nami.

– Nie poleżą – zapewnił go Zdenko. – To niedobre miejsce. Trafiają się tu rozmaite paskudy.

– Paskudy mówisz? – zapytał Simon. – To się dobrze składa. Ale nie zawadzi się zabezpieczyć... Dalej, Gedeonie, przyłóżmy się.

Wejście do tunelu było tak niskie, że nijak nie mógł wykorzystać swoich sił, ale w końcu jeden z niższych kamieni się poddał – i pociągnął za sobą pozostałe. Dzielne światło zgasło ostatecznie.

– A w razie czego zdołamy to odsunąć? – zaniepokoiła się Oliwia. – A nuż przyjdzie nam tędy wracać...

– Myślę, że tak – odpowiedział Simon. – Do diabła!

– Co się stało?

– Ramię...

– Poczekaj – powiedziała Oliwia. – Zobaczę...

– Nic... groźnego... Podejdź bliżej, chłopcze...

– O Boże, Simon! – westchnęła dziewczyna. – Grot strzały!

– Nic, nic... – zapewnił ją. – Mogło być gorzej. Kombinezon zamortyzował większość energii uderzenia. Ściągnę trochę naruszone, to wszystko.

Ukradkiem spróbował poruszyć palcami. Choć mu się to udało, nie poczuł ich jednak.

– Daj mi nóż, Gedeonie – stwierdziła stanowczo Oliwia. – Wyjmę grot!

Simon odwrócił się pokornie i mocno wparł dłoń w kamień, przygotowując się na ból.

– Uważaj z tym grotem...

– Co, uważasz, że jest zatruty? – zapytała przestraszona

– Nie. Myślę tylko, że może się złamać.

Ból był ostry i krótki, a zaraz potem poczuł sztylet chłodu – Oliwia potraktowała ranę anestetykiem.

– No i wszystko – powiedziała. – Teraz tylko opatrzę. Bardzo boli?

– Da się wytrzymać. Masz lekką rękę, Oliwio. Hej, chłopcze, to jedyna świeca? Więcej nie masz?

– Są – stwierdził Zdenko. – Tylko dalej. Specjalnie je tak poustawialiśmy.

– Przewidujące chłopaki – mruknął z uznaniem Gedeon.

– Czy to przejście wiedzie wprost do zamku?

– No jasne – potwierdził Zdenko. – Prościutko na dziedziniec. Wychodzi obok takiej przybudówki...

– A szkielety tu są? – zainteresował się Gedeon. – No, te w zardzewiałych kajdanach...

– Gedeonie, może już wystarczy?

– Nie ma tu żadnych szkieletów – wyraźnie poirytowany chłopak siąknął gniewnie nosem. – I bardzo dobrze...

Zniżył głos do szeptu:

– Ale pewnego razu znaleźliśmy szczękę... no, ludzką szczękę... tylko jedna kosteczka została i tyle...

– Jasne – powiedział Simon. – No to prowadź!

Sklepienie było niskie i musieli pochylać głowy, a w niektórych miejscach zginać się niemal w pół i przeciskać pomiędzy ociekającymi wilgocią ścianami. Simonowi cały czas się wydawało, że brakuje mu powietrza – choć doskonale rozumiał, że to autosugestia, ale niczego nie mógł na to poradzić...

– Aaa – odezwał się Zdenko. – Znalazłem drugą świecę. Już niedługo będzie ten zawał. Co, będziecie kopać tą sztuczką? – zapytał zezując na trzymany przez Gedeona ultradźwiękowy przecinak.

– Tak – odpowiedział Gedeon. – Tą sztuczką. O ile damy radę.

Oliwia chwyciła Simona za rękę. Drgnął mimo woli i zrozumiał, że dziewczyna sama jest mocno przestraszona – drżały jej palce.

– Ktoś idzie za nami! – szepnęła.

Nadstawił ucha. Odgłos ich kroków był stłumiony – nie było tu echa, bo poszczerbione i porośnięte mchem ściany doskonale pochłaniały dźwięki.

– Wydało ci się...

Gdzieś niedaleko miarowo kapła woda. „Jest woda – pomyślał – to dobrze.” Niespodziewanie dla samego siebie poczuł, że chce mu się pić – do tej pory jakoś o tym nie myślał.

– Jest tu jakiś strumień? – zapytał Zdenka.

– Jest – kiwnął głową chłopak. – Za zakrętem... Znaczy, dawniej był strumień, a teraz to chyba całe jezioro się zebrało.

Nieśmiało pociągnął Gedeona za rękaw.

– Ja wam mówiłem, żebyście tam nie chodzili – stwierdził z wyrzutem w głosie. – I po co oni byli wam potrzebni... ci androwie?

– Chcieliśmy... – Gedeon zająknął się lekko i przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. –

Chcieliśmy ich bliżej poznać, nic więcej.

– Kto chciałby się poznawać z jakimś diabelstwem?

– Nie myśleliśmy, że oni to diabelstwo. Spodziewaliśmy się, że nam pomogą... Ludzie powinni sobie pomagać.

– Wy we wszystko wierzycie i wszystkiemu ufacie – mruknął ponuro chłopak. – Zupełnie jak dzieci...

Korytarz skręcił ostro w bok i ukazało się jezioro – woda pokryła wyszczerbione kamienne płyty, a nieco dalej, niebyt dobrze widoczne w migotliwym blasku świecy, wznosiło się rumowisko – zwalone podpory sterczały niczym popękane żebra.

Simon opadł na kolana i z rozkoszą zaczerpnął zimną wodę. Na mgnienie oka zatańczył na niej czerwony poblask świecy i wydało mu się, że dłonie ma pełne krwi.

– Może to brudna woda – mruknęła Oliwia z powątpiewaniem w głosie. – Jeszcze ci zaszkodzi...

Simon z trudem zdławił histeryczny śmiech.

– Nie ma się czego bać – powiedział. – Gorzej nie będzie.

Łykał zimną, czystą i obojętną wodę, nijak nie mogąc zaspokoić pragnienia. Coś chlupnęło mu za plecami, tuż obok i usłyszał czyjś okrzyk [nie zorientował się nawet, kto krzyczy]:

– Simon! Uważaj!

Coś go oblepiło, dławiąc mu oddech, jakaś oślizgła masa, usiłował ją z siebie zerwać, ale nie mógł.

– Przecinak! – usłyszał głos Komeńskiego. – Dawaj go tu, Gedeonie!

– Nie chcę go zadrasnąć...

– Tutaj! Skieruj go tutaj!

Simon zobaczył błysk przez zamknięte powieki. I zaraz potem poczuł, że coś z cichym szmerem ześlizguje się po kombinezonie, opada na ziemię, i mógł odetchnąć. Otworzył oczy.

U jego nóg podrygiwało coś szarego i niekształtnego. Drgania stawały się coraz radsze, aż wreszcie ustały.

– Co to było? – zapytała wolno Oliwia.

Gedeon westchnął i szybko się odwrócił.

– Zapytaj lepiej, kto to był – odpowiedział Simon. – Wiener... albo Natasza... Nie wiem. Ale raczej Wiener... Amos, zostaw, nic na to nie poradzisz. Gdzie chłopak?

Zdenko stał wtulony w ścianę i dygotał. Świeca drżała w jego dłoni – a jednak jej nie porzucił.

– Draństwo jakieś... – wymamrotał.

– Odejdź dalej, chłopcze – zwrócił się do niego Simon. – Wszyscy się cofnijcie. Gedeonie, włącz przecinak. Dobrze byłoby zwalić na to kawał ściany...

– Jeżeli podpiuję tę belkę... – Gedeon powoli odzyskiwał rezon i teraz ze skupieniem przyglądał się rumowisku...

– To co?

– To wszystko runie... Znaczący, to co się jeszcze trzyma.

– Poczekaj, Gedeonie...Tej belki lepiej w ogóle nie ruszaj. Tnij niżej, tam, gdzie te dwa wielkie kamulce.

– Belkę byłoby łatwiej.

– To piaskowiec. Łatwo się kruszy.

Gedeon zagryzł wargi i wziął się za przecinak.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Odejdź od ściany. Ja sam...

Ostrze przecinaka zadrgało i przekształciło się w wąskie, rozmyte i połyskujące nikłe pasmo.

– Działa?

– Na razie tak. Odejdź Simonie i nie zagaduj mnie... może cię zahaczyć jakimś odpryskiem.

Simon cofnął się pod ścianę, ale w tejże chwili przywołał go do siebie Komenski, który do tej chwili stał bez ruchu i patrzył na nieforemną kupę śluzu, którą odwleczono pod przeciwległą ścianę.

– Simonie... podejdź tutaj...

Zagadnięty usłuchał bez entuzjazmu.

– Tak, Amosie?

– Widziałeś?

Simon wzruszył ramionami.

– Wszyscy widzieliśmy, Amosie... Wiemy przecież, że tak się zdarza...

– Ja tak nie chcę...

– No... a kto by tego chciał?

Komenski popatrzył mu w oczy. Jego źrenice odbijały światło odległej świecy.

– Simonie... gdybym miał być następny, to...

– Nie potrafię się zmusić, Amosie. Nie. Nie proś mnie nawet.

– Przecież ja nic nie poczuje. Potem to już nie będę ja...

– To okrutne, Amosie... Dlaczego ja? Czemu nie Gedeon?

– On do tej pory... tak potrafi się wszystkim cieszyć... Szkoda mi go.

– A mnie nie?

– Nie – odparł zimno Komenski. – Ciebie mi nie szkoda.

– No cóż... – Simon wzruszył ramionami. – Dobrze.

* * *

– Chyba ustępuje... – mruknął Gedeon.

– Tak? – Simon drgnął i wrócił do rzeczywistości; okazało się, że przyłgnąwszy plecami do ściany zapadł w krótką drzemkę. – Czemu tak długo?

– Przecinak ledwo już ciągnie. Cały czas się przegrzewa. Boję się zahaczyć o coś twardszego, bo wtedy będzie po wszystkim, koledzy... Wpadniemy gorzej, niż ci... muszkietierowie w dwadzieścia lat później...

– Pospieszylbyś się – mruknął Zdenko, który cały czas kręcił się niedaleko Gedeona, nie chcąc odchodzić dalej. – Lada moment świeca zgaśnie.

– Drugiej nie masz?

– Drugą postawiliśmy za tym obwałem. Jeszcze zanim tu wszystko tapnęło.

– A nie wiesz ty przypadkiem... Może tam cały strop runął, a?

– Możliwe – zgodził się Zdenko. – Czemu nie...

– I co wtedy zrobimy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział chłopak. – Zobaczysz się...

– Dość gadania – Gedeon wyłączył przecinak i powiesił go za karabińczyk na pasie. – Dalej, Simonie. Pchaj. Tylko ostrożnie.

Simon napał dłońmi na zimny kamień i poczuł, że ten powoli obraca się w swoim gnieździe.

– Dobra nasza – powiedział. – Tam za nim jest pusta przestrzeń.

– To jeszcze nic nie znaczy.

– Zaraz zobaczymy...

Kamień ustąpił nagle i zapadł się w głąb, a ręka Simona weszła po łokieć w dziurę.

– No, co tam? – zapytał ponaglająco Gedeon.

– Nic. Pusto.

– Dobra. Teraz drugi.

Drugi pchnięty mocniej kamień poszedł w ślady pierwszego, odsłaniając czarny, wiodący donikąd otwór.

– Simonie, dasz radę przeleźć?

– Ciasno będzie. Może chłopak?

– Nie pójdę! – zachnął się Zdenko.

– No dobra, to ja spróbuję. Gdzie schowaliście tę świecę?

– Tam na występie, po prawej stronie. Zaraz za wielką belką, jeżeli jeszcze się trzyma...

– Dobra. Poczekajcie tutaj...

Z trudem przepchnął się przez ciasny otwór i zmacawszy kamienny występ po prawej powiódł po nim dłońią. Pod palcami śmignęła mu jakaś przestraszona stonoga, a potem zmacał nie większy od dłoni ogarek świecy i trzasnął zapalniczką.

Płomień oświetlił dalszą część tunelu – tedy już można było iść prawie się nie schylając;

kamienne luki łączyły się tuż nad głową, a z lewej ginęło w mroku ogromne pomieszczenie; wspierające strop kolumny runęły stwarzając groźbę całkowitego zawalenia stropu.

Wrócił do otworu i kilkakrotnie machnął świecą, dając sygnał towarzyszom. Potem usiadł i poczekał na resztę.

Zdenko pierwszy śmignął ochoczo przez otwór i zaczął się rozglądać z niepokromioną chłopięcą ciekawością.

– A tam co? – zapytał Simon wskazując podbródkiem boczną piwnicę.

– Tam były składy – odpowiedział chłopak. – Wino tam kiedyś chyba trzymali. Beczki się porozsychały, ale butelki stoją całe. Odkorkowaliśmy jedną – straszny kwas... świństwo jakieś... Oni naprawdę pili coś takiego?

– Skwaśniało ze starości – wyjaśnił Simon. – I to wszystko?

– A co jeszcze miałyby być? Mówiono, że za dawnych czasów ludzie się tu kryli. Tyle że tego nawet babka nie pamięta...

– Jasne.

– Stąd już niedaleko. Tam chyba już dzień nastał.

Simon podniósł świecę i popatrzył na płomień. Ognisty języczek drgnął lekko i pochylił się pod naporem nieuchwytnego powiewu przeciągu.

– I co? – zapytał Gedeon otrzepując dłonią kombinezon z kamiennego pyłu.

Simon wskazał świecą kierunek, skąd ciągnęło czyste powietrze.

– Tam.

– Tak jest – potwierdził Zdenko. – Tam.

I odwróciwszy się ku Simonowi, dodał ponuro:

– Posłuchajcie... A w rzeczy samej tu naprawdę coś paskudnego się zaległo... My tak dla śmiechu się strasziliśmy...Co to było, to draństwo które was napadło?

Simon w milczeniu wzruszył ramionami.

– Może tu gdzieś jeszcze są inne takie?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Simon ze znużeniem w głosie. – A raczej, wiem na pewno, że nie. A teraz pokazuj, gdzie mamy iść.

* * *

Ciemna sylwetka zamku ponuro rysowała się przed nimi na tle jasnego nieba – dopiero teraz zauważyli, że miała bardzo odpychający wygląd pustej, niezamieszkannej ruiny.

„Nic nam się nie udało – pomyślał Simon. – Nie zdołaliśmy nawet tchnąć życia w porzuconą sadybę... błakaliśmy się tylko po niej, jak gromada ogarniętych szaleństwem widm, którym się wydało, że są ludźmi...”

Przeniknęli pod ekran pola ochronnego – zwykle migotało ponad zamkowymi budowlami, tworząc miękko świecąca kopułę. Teraz coś jednak się z nim działo – pulsowało to przygasając, to rozjaśniało się mocniejszym niż zwykle blaskiem.

– Co się z nim wyrabia? – zapytał Simon.

– Nie mam pojęcia – stwierdził Gedeon wzduszając ramionami. – Jakieś zbyt mocne działanie zewnętrzne, czy co?

Niespodziewanie coś zapiszczało. Dźwięk był tak przenikliwy, że Simon mimo woli się wzdygnął.

– A to co? – zapytał Komenski, który zdążył już ku nim wrócić.

– Urządzenie śledzące – wyjaśnił Simon. – Pamiętasz, kazałeś... Przedtem chyba ta kamienna ściana ekranowała sygnał...

– Czyżby Natasza...

– Nie, to niemożliwe... Sam widziałem...

– No to kto?

– Może ktoś z grupy Lagrange'a?

– Tutaj?

– Niekoniecznie tutaj. Ale z pewnością gdzieś niezbyt daleko. Nie będzie nawet dwustu kilometrów. Słyszysz, jak wyje?

– Mimo wszystko wysłali pomoc!

– To dobrze – odpowiedział Simon, pełną piersią wdychając wilgotne powietrze przedświt, ostrożnie, żeby nie pobudzić zranionego ramienia. – To bardzo dobrze.

– Jeżeli Lagrange wysłał tu kopter – zauważył Gedeon – to będzie musiał się przebić przez zaporę tych...

– Oni nie będą mu przeszkadzali...

– Uważasz, że są niegroźni?

– W pewnym sensie owszem, są niebezpieczni. Ale nie tak, jak myślisz...

Zdenko czuł się najwyraźniej nieswojo. Przez jakiś czas miał niewyraźną minę i krępował się powiedzieć, co go trapi, ale w końcu przestępując bosymi stopami po zimnych płytach, mruknął:

– Chcę do domu...

– Dobrze. – Gedeon wyjął z kieszeni neutralizator. – Zaraz cię przepuszczę, chłopcze.

– A nie dostanie ci się od starszych? – zaciekawiał się Simon.

– Akurat się dowiedzą, gdzie byłem... powiem, że utknąłem w jakiejś jamie. Zanim się wydostałem i tak dalej...

„A oni ci akurat uwierzą – pomyślał Simon. – Co prawda w takiej zawierusze łatwo się zgubić”.

Gedeon tymczasem powiódł palcem po klawiaturze i w migotliwej zasłonie otworzyło się

przejście o nierównych, drgających brzegach.

– Otwarte! – powiedział. – Biegnij!

– A was stąd zabiorą? – zapytał niepewnie chłopak.

– Tak – odpowiedział Simon. – Zabiorą nas. Nie martw się.

– Biegnij, dopóki się nie rozjaśniło – poradził chłopcu Gedeon. – Bo jeszcze zauważą, jak stąd wychodzisz.

– A co mi się stanie...

Zdenko skierował się do wyjścia. Zwolnił nieco kroku, obejrzał się przez lewe ramię i dał nura na zewnątrz... Zasłona się zamknęła i w jej nikłym świetle Simon zobaczył, jak biała plama koszuli przemyka wśród zarośli. I nagle Zdenko podskoczył gwałtownie, jakby ni z tego ni z owego próbując wzbic się w powietrze, a potem zaczął chylić się na bok.

– Co z nim? – wymamrotał Gedeon.

Rzucił się ku granicy pola ochronnego zanim Simon zdołał go powstrzymać. Simon widział, jak przygięty w pół przedziera się przez krzaki, a potem opada na kolana.

– Gedeonie! – zawołał. – Pospiesz się!

Gedeon podniósł chłopca jedną ręką, a drugą wymierzył neutralizator, utrzymując rozwarte przejście w polu. Simon skoczył mu na spotkanie. Pole ściągnęło się za ich plecami – uderzające o jego powierzchnię strzały stawały w ogniu i sprawiały wrażenie, że w kopułę bije deszcz meteorów.

Simon ostrożnie przejął chłopca i opuścił go na ziemię. W ostrym świetle wstającego dnia koszula Zdenka nie była już biała, a czerwona – krwiście czerwona.

Simon przyłożył palec do arterii szyjnej – i powoli go cofnął.

– Słabnie – powiedział.

Zdenko zachłysnął się oddechem i otworzył oczy.

– Boli... – poskarżył się i natychmiast potem ponownie stracił przytomność.

Simon spojrział na Gedeona i pokręcił głową:

– To sprawa kilku minut – powiedział cicho.

– Nie! – wymamrotał Gedeon. – Nie może być. Trzeba go zanieść do zamku... Tam jest apteczka i aparatura...

– A czyją krew mu przetoczysz, Gedeonie? Swoją?

Gedeon milczał zawzięcie.

– Nie oszukuj się – on nie jest z naszych... Takie rany są dla niego śmiertelne.

– Ale przynajmniej można spróbować.

– Dobrze – odezwał się Komenski. – Zanieś go do laboratorium. Zajmę się nim. Oliwio, zechciej mi pomóc.

– Dobrze.

– Simonie, połącz się z Lagrange’em. Objasnij mi sytuację. Jeżeli faktycznie wysłali kopter, uprzedź ich. Niech uważają – całemu temu pokazowi sztucznych ogni z pewnością towarzyszą silne zakłócenia elektromagnetyczne, popatrzcie tylko, co się dzieje z polem ochronnym.

– Tak jest.

– I nie wychodź z aparatowni.

– A niby dokąd miałbym wyjść? – zapytał Simon z goryczą.

– Dobra. Gedeonie, pospiesz się.

Oliwia była już wewnątrz zamku – w laboratorium zapłonęło światło, prawie niewidoczne w blasku wstającego dnia. Simon pokręcił głową i ruszył do aparatowni.

Wysunął antenę zewnętrzną i włączył sygnał wywołania. Ekran się rozjaśnił, ale zalała go ta sama obojętna poświata – a potem opustoszała i zgasła.

Odwrócił się usłyszawszy szcęk otwieranych drzwi – do aparatowni wszedł Gedeon w poplamionym podsychającą już krwią kombinezonie.

– Wygonili mnie – poskarżył się. – Powiedzieli, że tylko przeszkadzam...

– I dobrze zrobili. Idź się umyj.

– Połączyłeś się z Lagrange’em?

– Nie.

– Jak to – nie?

– Sam zobacz. – Simon odsunął się na bok, udostępniając podejście do ekranu.

– Nie rozumiem... – wymamrotał Gedeon. Podskoczywszy do ekranu gorączkowo zaczął kręcić gałką dostrojenia, ale ekran jak przedtem zalewało tylko urągliwie migające światło.

– Zakłócenia? – zapytał Simon z nadzieją w głosie.

– Nie mogą być aż tak silne...

– Może coś z aparaturą?

– Z naszą? Nie, ta jest w porządku.

– No to u nich...

– Przecież całkiem niedawno z nimi rozmawiałeś! – stwierdził zaskoczony Gedeon.

– Nie z nimi rozmawiałem. Zgłosił się jakiś tubylec... Sprawdź, czy od tamtej pory oni w ogóle nawiązywali łączność?

Gedeon wyświetlił na pomocniczym ekranie dane rejestratora, patrzył na nie przez chwilę w milczeniu, a potem stwierdził:

– Nie. Mówiłeś, że mamy awarię?

– Powiedziałem, żeby jak najszybciej się z nami połączyli – stwierdził Gedeon. – I tak by zrobili, chyba że...

– Wygląda na to – rzekł Gedeon tonem smętnego domysłu – że u nich też coś się wydarzyło. Wyprowadź Obserwatora...

– Zaraz... jeżeli sygnał przejdzie...

Na zadanie współrzędnych Obserwatorowi stracił trzykrotnie więcej czasu niż zwykle – palce tak mu drżały, że nie trafiał w klawisze. W końcu na ekranie pojawił się step, nad którym płynęła kamera rejestrująca wszystko beznamyślnym spojrzeniem drapieżnego ptaka, a potem w oddali pojawiły się znajome budowle – obce ciała na obojętnej, bezkresnej płaszczyźnie stepu.

– Aha... – odezwał się Simon. – No tak...

Obraz wyostrzył się do granic możliwości – i Simon zobaczył drugą bazę. A raczej osmalone, czarne kopuły bezmyślnie gapiące się w puste niebo.

– Co tam? – zapytał Gedeon, zaglądając mu przez ramię.

Simon usunął się w bok, odsłaniając ekran.

– O Boże! – jęknął Gedeon.

– Nie ma już grupy Lagrange’a... Nikogo już nie ma.

– Co tam się stało?

– Nie mam pojęcia – odparł Simon zmęczonym głosem.

Opadł na krzesło; ekran migotał urągliwie, jakby mrugał porozumiewawczo, a przez okna lało się zimne światło... światło obcego świata.

Nie było już na co liczyć – a z nadzieją uszły zeń ostatki sił. Odczuwał wewnątrz jakąś osobliwą pustkę; pomieszczenie wydało mu się zbyt obszerne, ekrany wyglądały jak okna obcego, wrogiego świata, i zapragnął wleźć w jakiś ciemny kąt, zamknąć oczy i na nic już nie patrzeć... Instynkt samozachowawczy kazał mu się ukryć – ale przed samym sobą nigdzie sienie skryjesz...

W drzwiach aparatuwni pojawił się Komenski, zdejmujący z dłoni gumowe rękawice. Nie zdążył włożyć kitla i jego kombinezon był jeszcze bardziej ubabrany krwią, niż kombinezon Gedeona. Natknąwszy się wzrokiem na pytające spojrzenie Gedeona pokręcił przecząco głową:

– Koniec...

Gedeon wypuścił wstrzymywany oddech i zapytał:

– Jesteś pewien, że zrobiłeś wszystko?

– Wszystko, co mogłem... Posłuchaj, Gedeonie, to przecież było wiadome od początku.

Gedeon oparł się łokciami o pulpit i ujął głowę w dłonie.

– Umarł mu na rękach – powiedział cicho Komenski do Simona – jeszcze wtedy, gdy on go niósł... Powiedz mi, Simonie, czemu oni to zrobili? Czy nie wiedzieli, w kogo mierzą?

– Nie wiem – odparł Simon – ale chyba rzeczywiście nie wiedzieli, przecież było dość ciemno. Albo komuś ze strachu drgnęły palce na cięciwie. A może pomyśleli, że my możemy przyjąć wygląd, jaki zechcemy...

– W pewnym stopniu to prawda...

– Owszem. W pewnym stopniu...

Komenski westchnął:

– Cóż robić? Gedeonie, sprowadź serwa, niech go wyniesie poza kopułę...

– Nie!

– No to trzeba go pochować tutaj... Simonie, nawiązałeś łączność z Lagrange'em? Co tak patrzysz?

– Kiepska sprawa, Amosie. Baza została zniszczona.

– Jak to zniszczona?

– Całkowicie. Sam zobacz – Simon odsunął się na bok. – Zostały tylko ruiny...

– Ale sygnał... Odebraliśmy przecież ich sygnał.

– Możliwe, że ktoś przeżył. Ale nie możemy liczyć na pomoc z ich strony. To my, a nie oni, musimy wysłać kopter, żeby przejął tego, który ocalał – kimkolwiek by był. Inna rzecz, że nie wiadomo, czy zdołamy się przebić przez tę zasłonę. Popatrz.

Słońce stało już wysoko na niebie, ale niebo samo płonęło ogarnięte białym ogniem – w powietrzu wisiały świecące soczewki, które powoli obracały się wokół swoich osi.

– Otoczyli nas.

Komenski spojrział w okno.

– I nie zamierzają się wycofać. A może to jednak kontakt?

– To nie kontakt – stwierdził beznamiętnie Simon. – To cyrk.

Niespodziewanie dla samego siebie chlipnął i gniewnie otarł dłonią oczy. Oto oni – ludzie. Nieśmiertelni i nietykalni. Zimni, obojętni obserwatorzy, którzy zostawiają po sobie tylko śmierć i zniszczenie. Ich bezmyślna ciekawość wydała mu się bardziej obraźliwą niż dowolna nienawiść, bo było w niej coś odpychającego...

Komenski skierował się ku drzwiom.

– Pójdę, pomogę Oliwii przebrać się. Nie można jej zostawiać na dłużej. Tym bardziej po tym, jak...

– Sam pójdę – ofiarował się Gedeon bez entuzjazmu w głosie.

– Nie trzeba, zostań tutaj. Potem się pomyśli, co dalej.

Simon stał podpierając ramieniem framugę drzwi i patrzył za odchodzącym w mrok korytarza Komenskim.

– A co dalej? – Gedeon ze znużeniem pokręcił głową. – Nic... pustka.

– Określiłbyś lepiej, skąd pochodzi sygnał.

– Po co?

– Jak to po co? Ktoś tam potrzebuje pomocy!

– To nam jest potrzebna pomoc.

– Dość, Gedeonie. Bierz się do roboty.

Gedeon niechętnie usiadł za pulpitem.

Oliwia wyłoniła się z głębi korytarza tak bezgłośnie, że Simon mimo woli się wzdrygnął.

– Co z tobą? – zapytał.

– Simonie, tak mi przykro – odpowiedziała z poczuciem winy w głosie. – Niczego nie mogliśmy zrobić.

– Tak, wiem... Ale mimo wszystko...

– Przynieśliśmy im same nieszczęścia.

– Oni nam też – stwierdził ponuro. – Wiesz, że w bazie Lagrange'a zdarzyło się nieszczęście?

– Tak. Komenski mi powiedział. Nie możemy już spodziewać się pomocy od nikogo...

– Nie – odparł Simon. – Chociaż tam ktoś ocalał... Ktoś z grupy Lagrange'a. Gedeon usiłuje teraz określić jego współrzędne.

Gedeon odwrócił się ku rozmawiającym.

– Znalazłem. Jest niedaleko. Tu, na pogórzcu... południowy wschód. Na razie nie mogę powiedzieć nic pewniejszego.

– Jeden?

– Jeden.

– Ale to... to niemożliwe – odparł Simon z powątpiewaniem w głosie.

– Wiesz przecież, jak pracują nasze odbiorniki. One się nie mylą. Są zbyt prosto zbudowane.

– Ale skoro tak – Oliwia nakryła dłonią łokieć Simona – to powinniśmy go zabrać...

– Tutaj? – zapytał z goryczą Gedeon.

– Musimy wypuścić się wszyscy razem. Przygotować kopter...

– I zostać bez obrony? – pokręcił głową Simon. – Na razie jeszcze powstrzymuje ich pole siłowe, ale wystarczy, że znajdziemy się poza jego obrębem, i ktoś zaręczy... W każdym razie decyzja powinna należeć do Amosa.

– Biedaczysko – wymamrotał Gedeon.

– A tak. To ciężkie brzemię. Posłuchaj, a gdzie w ogóle podział się Amos? On chyba mówił, że wybiera się do ciebie.

– Jest w laboratorium. Wyprawił mnie... powiedział, że poradzi sobie sam...

– Dość długo tam siedzi... poczekaj, przejdę się i zobaczę.

– Pójdę z tobą – zaproponował Gedeon.

– Nie trzeba, zostań tutaj.

Wiedział, że powinien się pospieszyć, ale nie mógł się zmusić. Domyślał się, co zobaczy, wciąż jednak zwalniał krok, i doszedłszy do na poły przymkniętych drzwi, krzyknął:

– Amosie!

Odpowiedziało mu milczenie.

Otworzył drzwi jednym szarpnięciem. Laboratorium było puste. Nad stołem operacyjnym

płonęła bezcieniowa lampa, leżące na stole ciało pokrywało szare poplamione prześcieradło, ale nawet patrząc przez nie można było dostrzec, jak kruche jest to ciało. Simon odruchowo poprawił osunięty skraj i wyszedł.

W przyległym do sali operacyjnej pokoiku nie było nikogo, a z okna lało się obojętne światło. Na posadzce leżała kartka zmiętego papieru. Simon pochylił się, podniósł ją i ostrożnie wygładził dłonią. Na kartce napisano krzywymi, dziecięcymi literami:

„Jestem Komenski.

Jestem Jan Amos Komenski.

Jestem człowiekiem”.

Ostatnia litera „m” spływała w dół, przekształcając się w drżącą, pionową linię.

To wszystko.

Za nim rozległ się szelest, on jednak odwrócił się nie od razu. Przez pewien czas stał wpatrując się bezmyślnie w te kulfony, potem otworzył szufladę stołu i wyjął promiennik...

* * *

Noc miała się ku końcowi, ale niebo nie pociemniało; nad kopułą wisiały maleńkie fałszywe słońca, a kopuła wibrując pod naporem światła mieniła się wszelkimi barwami tęczy, jak skóra ranionego zwierzęcia – i w pewnej chwili rozbłysła czystymi barwami i zgasła...

– Wyłączyli pole! – w głosie Gedeona dzwięczała trwoga i jakieś niemal religijne uniesienie.
– Ale przecież to praktycznie niemożliwe! Nie da się go wyłączyć z zewnątrz!

– Dlaczego? – oszołomiony Simon kręcił tylko głową. – Nie rozumiem. Oni przecież nigdy nikomu nie szkodzą... nigdy nie podejmują żadnych działań!

Ekran w aparatuwni też zamigotały i jednocześnie wszystkie zgasły – teraz gapily się na ludzi ślełą bielą ekranów i w ich wypukłej powierzchni Simon zobaczył swoje własne, powoli rozplywające się oblicze. Soczewka je zniekształcała – a może tak mu się tylko wydało.

– Może oni zrobili to nieumyślnie? – odezwał się Gedeon niepewnym głosem. – Może to po prostu efekt uboczny... jest ich tu zbyt wielu...

– Co za różnica, umyślnie, czy nie. Teraz jesteśmy zupełnie bezbronni. Otoczyli nas ze wszystkich stron. Wyjść z zamku nie możemy – na zewnątrz z pewnością czekają ci tubylcy. A na niebie wiszą ci...

Simon odruchowo musnął dłonią kaburę promiennika.

– Oczywiście można spróbować przebić się przez kordon, ale nie w tym problem. Kopter nie wzbije się w powietrze.

Gedeon pokręcił głową:

– Nie rozumiem dlaczego...

– Z tych samych przyczyn, dla których kiedyś stanęły tu wszystkie zakłady produkcyjne... Uszkodzono wszystkie elektroniczne środki łączności... wszystkie elektromagnetyczne nośniki informacji, którymi tak się chęlpili, zamieniły się w złom. Być może masz rację i jest to jakiś efekt uboczny. Albo nauczyli się w jakiś sposób odsysać energię...

Oliwia patrzyła na niego, a po jej twarzyczce przebiegały drżenia, jak słoneczne błyski po powierzchni wody.

– Simonie!

– Tak?

– Boję się...

Przyciągnął ją do siebie i na chwilę zanurzył twarz w jej lekkich niczym srebrna przędza włosach. Potem szybko się odsunął.

– Wiem – powiedział. – Ale przebijemy się. Obiecuję ci...

– Oni nie zrobią nam krzywdy, prawda?

Ledwo się powstrzymał od zapytania jej, czy mało jej tego, co już widziała – ale w porę się spostrzegł.

– Ci tutaj? Nie... ale oni wcale nie muszą niczego robić.

– A ja tak cały czas sobie myślę... może oni po prostu chcą być bliżej. Ja ich wyczuwam, Simonie. Tam jest tak dobrze, tak spokojnie...

– To też jest śmierć – sprzeciwił się łagodnie.

– Nie śmierć – podniosła ku niemu ciemne źrenice rozszerzonych oczu. – Sen...

Pracujący na autonomicznym zasilaniu przekaźnik nagle znów zapiszczał rozpaczliwie – Simon zupełnie o nim zapomniał. Po cóż zresztą miałbym pamiętać – pomyślał – ktokolwiek by to był, i tak do nas nie dotrze. A my tkwimy w pułapce. I nagle sobie przypomniał.

Pociągnąwszy Gedeona za rękaw odprowadził go w bok.

– Posłuchaj, awionetka jest na chodzie?

– A pewnie... – odezwał się wolno Gedeon. – Awionetka... Benzynowy silnik i tak dalej... Tak, na chodzie... Tylko...

– Tak?

– Być może uda nam się wylądować nią gdzieś tam, wśród tych wzgórz. Ale ponownie wzbić się w powietrze nie damy rady... A poza tym...

– Co jeszcze?

– To samolocik dwumiejscowy, Simonie.

– Wiem – odpowiedział Simon. – Posłuchaj... Zabierz stąd Oliwię. Ja zostanę. Spróbuję się utrzymać.

– Simonie...

– Przecież potrafisz posłużyć się awionetką równie dobrze jak ja, prawda?

– Tak, ale...

– No to ją wyprowadź. Wszystko jedno, kto będzie osłaniał odwrót. Posłuchaj...

Od strony okien doleciały dźwięki przypominające trzask wystrzałów – były to jednak tylko wrota, z których na wszystkie strony odpadały drzazgi od uderzeń żelaza; masywna brama drgała pod naporem tłumu.

„Oni przestali się nas bać” – pomyślał Simon.

– Idźcie na tylny dziedziniec do hangaru, ja tam urządzę fajerwerki.

– Ja nie... – odezwał się niepewnie Gedeon.

– Proszę cię... No co, mam może paść na kolana?

– Idź ty do diabła! – warknął Gedeon ze złością. – Dobra, Oliwio... chodźmy.

– A ty, Simonie? – zapytała zaniepokojona dziewczyna.

Simon gorączkowo grzebał w szufladach i pośród skrzynek.

– Ja zaraz was dogonię – odpowiedział pośpiesznie.

– Tak, ale... Gedeonie gdzie ty mnie ciągniesz? Ja nie chcę...

Gedeon spojrzał bezradnie na Simona.

– Zabieraj ją! – ponaglił go Simon mówiąc przez zęby. – Przecież widzisz, co się dzieje. I pośpiesz się, zanim...

– Nie! – wymamrotała Oliwia, ale jednak pokornie podreptała za Gedeonem. „Ona się porusza jak we śnie – pomyślał Simon – albo jak człowiek idący po dnie morza”. Odprowadził dziewczynę wzrokiem, ale zaraz się odwrócił.

– Nie myśleć! – rozkazał sam sobie, gorączkowo grzebiąc pośród sprzętu polowego. – Tylko nie myśleć...

Wrzuciwszy do torby kilka pojemników z gazem łzawiących i parę min pognał na galerię. Nad wrotami wznosiła się ściana zamku, z której otwierał się rozległy widok; zobaczył, jak na okute żelazem drewno spadają uderzenia połyskujących w słońcu toporów, zataczających lśniące, śmiercionośne łuki.

„Gedeonowi by się to spodobało – pomyślał. – Wszystko jest tak, jak w jego ulubionych książkach...”

Zamachnął się i rzucił w dół jeden z pojemników. Ten padł w grupę napastników, którzy ogarnięci bojowym zapalem nie zwrócili nań uwagi. Jeden z nich nerwowo odsunął nogą na bok błyszczący przedmiot.

– Ach, tak! – mruknął Simon. Nastawiwszy promiennik na pełną moc wymierzył starannie i nacisnął spust. Pojemnik rozerwał się, wypuszczając obłok gęstego dymu; najbliżsi napastnicy rozkaszleli się nagle i sflaczeli, tracąc zapal bojowy.

– Wspaniale! – syknął Simon mówiąc przez zęby.

Drugi pojemnik trafił w locie – ten upadł za plecami napastników odzianych w powywracane

runem na wierzch baranice i teraz obłoki jadowitego dymu otoczyły chłopów ze wszystkich stron.

Simon rzucił ostatnie spojrzenie na malowniczy obraz w dole i zbiegł po schodach na dziedziniec.

Porozrzucawszy pod wrotami miny biegiem kopnął się ponownie do aparatu. Pomieszczenie było puste – poczuł, jak jego serce dwakroć targnęło mu się nierówno w piersi i musiał oprzeć się o ścianę, żeby nie upaść. Przez chwilę stał bez ruchu, łowiąc ustami powietrze, potem podniósłszy głowę zaczął nasłuchiwać: ponad trzask pękającego drewna wzbijał się inny dźwięk – głośny i miarowy warkot silnika. Gedeon zdołał jakoś wyprowadzić awionetkę z hangaru. Simon przeskoczył przez niski parapet i wydostał się na dziedziniec.

– No co? – zawołał.

Gedeon siedział w otwartej kabinie. Ujrzawszy Simona podniósł błyszczący gorączkowo wzrok znad tablicy przyrządów.

– Wszystko w porządku – stwierdził. – Miałeś rację. Te ich sztuczki są zgubne tylko dla elektroniki. Motor zaskoczył... Naprawiłem wskaźnik – nieprzerwanie odbieram sygnał i teraz będziemy wiedzieć, dokąd on idzie i gdzie jest. A on się przemieszcza... współrzędne wciąż się zmieniają. Idzie tutaj i sądząc z prędkości, porusza się chyba pieszo... Kto to może być, jak myślisz?

– Nie wiem.

– Jak on się tam znalazł?

– Nie mam pojęcia. Posłuchaj, ja zaraz... wrota długo nie wytrzymają.

– Paskudna sytuacja – odparł Gedeon zupełnie obojętnie. – Może byś tak zakręcił śmigłem.

Tylko ostrożnie...

– Gedeonie!

– Co?

– Nic... Choć ty się trzymaj, proszę cię... Oliwio!

Rozejrzał się dookoła, a potem ponownie popatrzył na Gedeona i chwyciwszy go za ramiona mocno nim potrząsnął.

– Posłuchaj, gdzie jest Oliwia?

Zapytany wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Przecież była tu przed chwilą!

– Naprawdę?

Nie mało trudu kosztowało Simona, żeby nie strzelić towarzysza w głowę. Gedeon patrzył na niego zupełnie bezmyślnymi oczami.

– Czemuś ją zostawił samą, skurwysynu? Dlaczego pozwoliłeś jej odejść?

„Może jeszcze nie jest za późno – pomyślał. – Może ona tylko...” Odepchnąwszy towarzysza rozejrzał się dookoła.

– Oliwio! – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza.

Nad ich głowami, zupełnie nisko, zawisła lśniąca plama.

„U waszych nóg... Szałas zbudowałem, żeby z niego... wzywać ukochaną... Żeby echo... Oliwio! wzgórzom podawało...”

Znużonym gestem przesunął dłonią po oczach i wrócił do hangaru.

* * *

Wrota drgały i trzeszczały, a żelazne zawiasy zaczęły uginać się na trzpieniach.

„Długo nie wytrzymają!” – pomyślał Simon z rezygnacją.

Silnik awionetki kichał, wyrzucając z siebie kłaki sinego dymu a śmigło zaczęło się obracać – najpierw wolno, potem coraz szybciej, aż wreszcie rozmyło się w migotliwy krąg. Awionetka drgnęła niepewnie, uniosła się nieco, a potem powoli, kołysząc skrzydłami, potoczyła się w przód.

Siedzący w fotelu pilota Gedeon w swoich ochronnych okularach podobny był do jakiegoś wielkookiego potwora. Jedną ręką manipulując orczykiem, pomachał drugą Simonowi.

– Wsiadaj! Pospiesz się!

Dziedziniec nie był dostatecznie wielki dla nabrania szybkości – wyglądało na to, że Gedeon wybrał sobie po prostu dość niezwykły sposób na popełnienie samobójstwa.

Simon wzruszył ramionami i pognał za awionetką. W otwartej i ciasnej nawet dla dwu osób kabinie silnie pachniało benzyną i olejem. Gedeon zgarbił się i pociągnął orczyk ku sobie.

„Dziwne – pomyślał Simon – że to w ogóle się porusza”.

Wrota runęły wreszcie i rozjuszony tłum wtargnął do zamku zmiatając wszystko na swojej drodze. Ktoś nastąpił na minę – Simon mimo woli zmrużył oczy, jakby krwawe strzępy mogły smagnąć go po twarzy. Tłum jednak przewalił się już nad resztkami tego, który niedawno jeszcze był człowiekiem i runął przed siebie – ludzie gnietli się i wywijali bezużytecznymi w takim ścisku toporami i widłami.

Awionetką podskakiwała i pędziła przed siebie, kichając w gęby prześladowców sinym dymem. Potem pognała jeszcze szybciej – migająca pod kołami ziemia zlała się w jeden bury pas.

„Dokąd go niesie? – pomyślał Simon i w tejże chwili pojął, że samolocik mierzy w przejście pomiędzy hangarami, tam gdzie zabudowania przylegały do stromego urwiska.

– Zwariowałeś! – zawołał, wczepiając się palcami instynktownie w niewysoką burtę kabiny.

– Jesteś samobójcą!

– A co za różnica?! – zawołał w odpowiedzi Gedeon.

„W zasadzie ma rację – pomyślał Simon. – Co za różnica?..

Mimo wszystko zmrużył oczy, gdy maszyna przestała podskakiwać i płynnie runęła w dół – ale nagle wywinąwszy oszałamiającego kozła wyrównała lot i wzbiła się w górę, prześlizgnąwszy się pomiędzy stromymi ścianami jaru... Uniosły ją poranne prądy powietrza. Otworzywszy oczy Simon zobaczył zamek, dziedziniec i hangary – na dziedzińcu stali ludzie, którzy gapili się na nich pozadzierawszy głowy; z początku byli rośli, a potem zaczęli się zmniejszać... aż wreszcie stali się mali jak mrówki...

Machali włóczniami i coś wrzeszczeli, ale ich głosy nie dolatywały na tę wysokość.

Awionetka zadarłszy dziób powoli wzbijała się coraz wyżej, a błyszczące bąble wiszących na niebie soczewek zaczęły się powoli rozstępować, otwierając im drogę.

– Nie sądziłem, że ci się uda – stwierdził szczerze Simon.

– Sam nie wierzyłem – przyznał Gedeon. – Pomyślałem tylko, że lepsza śmierć, niż...

Też spojrział w dół, a potem odwrócił się do Simona:

– Więc niczego nam nie przebaczyli... Wszystko się zaczęło od tej historii z Wienerem...

Simon pokręcił głową. W tej chwili odczuwał tylko ogromne znużenie.

– Nie... nie tylko. Może oni w pewnym sensie mają rację. My rzeczywiście jesteśmy niebezpieczni. Albo możemy się takimi stać.

– Ale przecież nikt z nas... Oprócz niego żaden z nas nie zrobił im niczego złego!

– A czegoś ty od nich wymagasz, Gedeonie? To przecież tylko ludzie.

– Nie! – Gedeon szarpnął orczykiem tak, że awionetka chybnęła się gwałtownie. – Nieprawda! Oni to imitacje! Człowiekiem jestem ja!

– Oczywiście, że jesteś człowiekiem – stwierdził pojednawczo Simon. – Uspokój się...

Gedeon płakał – po jego policzkach spływały łzy. Co prawda mógł je wydusić z jego oczu dmący im w twarz potężny wiatr. Awionetka targała się i tańczyła w powietrzu jak w ataku gorączki, i nagle opuściła dziób.

Odepchnąwszy partnera Simon położył dłonie na przyrządach sterowniczych.

– Puść mnie – powiedział. – Sam poprowadzę.

Gedeon nie wyraził sprzeciwu, musiał jednak minąć jeszcze pewien czas, zanim zdołał wyprostować zdrętwiałe palce.

– Nogi! – krzyknął Simon.

– Co?

– Zabierz nogi z pedałów!

Maszyna przechyliła się niebezpiecznie, po chwili jednak wyrównała lot, a świecąca plama za plecami Simona powtórzyła ich wiraż.

Przez chwilę macał pod tablicą rozdzielczą szukając pary zapasowych okularów, nie mógł ich jednak znaleźć. Wszystko przed oczami zlało mu się w jedną pstrą mieszaninę. Ale za to znalazł nauszники, a gdy je włożył, przestrzeń wokół niego wypełniła seria sygnałów.

– On wciąż tam jeszcze jest! – zawołał.

– Kto?

– Nie wiem, ale jeszcze tam jest!

Orczyk chodził ciężko, jakby starając się wyrwać z obcych dłoni i kiedy Simon walczył z nim, zaciskając wściekle zęby, awionetka traciła wysokość. Teraz mógł zobaczyć jej cień, pomykający nieco przed nimi po trawach.

Nie wiedział nawet, czy lecą we właściwym kierunku, ale gdy wzmocił głośność, pisk w słuchawkach się nasilił.

– Zbliżamy się – oznajmił.

Piski stawały się coraz bardziej głośnie; teraz można je było usłyszeć przez szum wiatru, wydawało się, że rozrywają czaszkę, obca ziemia płynęła pod nimi jak plastyczna mapa, a jedna ze świecących soczewek oderwała się od skupiska i uparcie płynęła za nimi, wciąż nieco z tyłu, unosząc się w powietrzu jak oszalała bańka mydlana, Simon jednak nie zwracał już na nią uwagi.

Ocierając łzy patrzył w dół.

Góry wyglądały z tej wysokości jak pomięte fałdy burego koca, pokryte tu i ówdzie zielonymi plamami lasów, potem zieleń zaczęła gęstnieć, stała się bardziej jaskrawa; a jeszcze później spłowiła, awionetkę podrzucił wzwyż jakiś potok powietrza i Simon pojął, że przedarli się przez góry i lecą teraz nad pogórzem.

Mógł już dostrzec dwa poruszające się wolno punkciki.

Odwrócił się do Gedeona i zawołał, przemagając głosem pisk w uszach i ryk silnika:

– Gedeonie! Słyszysz mnie! Tam ktoś jest! Oni ocaleli! Gedeonie!

Nie widział ukrytych za ochronnymi szklami oczu Gedeona i z jakiegoś powodu poczuł strach. Wiatr smagał go po twarzy, głużył jego własny głos i nie dawał odetchnąć.

– Gedeonie! – wrzasnął rozpaczliwie Simon. – Nie odchódź! Nie poddawaj się! Proszę...

Płakał wpatrując się w step. Punkciki stały się figurkami ludzi, maleńkimi jak na ekranie zdalnej obserwacji. Chwycił orczyk i odepchnął go od siebie, awionetka chybnęła się dziobem w dół i zaczęła tracić wysokość, przechyliwszy się niebezpiecznie na bok. Simon poświęcił chwilę na wyrównanie lotu i stracił idących z oczu, a potem zobaczył ich całkiem blisko: stali nieruchomo z zadartymi w górę głowami. Pilot zerwał niepotrzebne już słuchawki z uszu i wokół zrobiło się cicho. „Ziemia jest tu prawie zupełnie równa – pomyślał. – Może się uda”. Korpus awionetki uderzył o grunt, maszyna podskoczyła, zaczęła skrzydłem o jakiś krzak, który okazał się niespodzianie wysokim, przeszła ślizgiem jeszcze ze dwieście metrów podskakując na nierównościach, i wreszcie zamarła, przechyliwszy się na bok.

Simon odpiął pasy i wylazł z kabiny.

– Ulissesie! – zawołał podrywając się do biegu. – Ulissesie, przyjacielu!

Ulisses stał nieruchomo, wpatrując się w jego twarz i mrużąc oczy od nadmiaru światła, a potem puścił się ku niemu biegiem.

– Nie wierzę własnym oczom! – powiedział. – Po jaką cholere wytrząsaliście tyłki na tym złomie? I dlaczego goniło was to świństwo? Jak w ogóle udało się wam ich zgromadzić w takiej liczbie?

– Tak jakoś wyszło – odparł enigmatycznie Simon.

Nagle zaschło mu w krtani; nie mógł przez chwilę wypowiedzieć ani słowa, potrzasał tylko przyjacielem, ująwszy go za ramiona, aż w końcu Ulisses ostrożnie się uwolnił.

– No, wystarczy, już dobrze... – powiedział.

I w tejże chwili sam głośno odetchnął.

– Myślałem już, że nie znajdę nikogo z naszych. Myślałem, że to koniec...

– Sam też tak myślałem – odpowiedział Simon ogromnie zmęczonym głosem.

– Gdzie pozostali?

– Nie ma już ich... nikogo nie ma... Tylko ja i Gedeon...

– Co się u was stało?

– Potem ci opowiem. A co z wami? Widziałem resztki tego, co było bazą...

Ulisses wzruszył ramionami.

– Nie ma już naszej grupy. Koczownicy wyróżnili wszystkich...

– Ty co, zostałeś sam? – zapytał z niedowierzaniem Simon. – Ale to przecież niemożliwe.

Ulisses pokręcił głową.

– Nie jestem sam...

Simon odwrócił się.

Podchodziła do nich lekko utykając chudziutka dziewczynina, prawie podrostek; zmęczona, w brudnej poszarpanej koszuli. Nieufnym wzrokiem obrzuciła osiadłą na ziemi awionetkę, która utknęła dziobem w krzakach, jak ptak z utraconym skrzydłem.

Patrzyła na awionetkę szeroko otwartymi oczami i Simon, który powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem zobaczył gramolącego się z kabiny Gedeona, którego pusta, jakby wytarta twarz powoli przybierała zwykłe rysy.

– Poznajcie się – powiedział Ulisses. – To Wyją.

– Bardzo mi miło – odparł Simon uprzejmym głosem.